

Sawicka Józefa
KRÓLEWNA

Na dworcu ruch panował niezwykły: wyjeżdżał ja kiś potentat kolejowy, i prawie jednocześnie wypra wiano w świat dwa wyścigowe konie, którym szczęście . czy osobista zasługa, dopomogła do zdobycia pierwszej nagrody, Ludziska tłoczyli się gromadnie; zarówno dygnitarz, jak i wyścigowce, mieli swoją bardzo liczną świtę. Wszystkie latarnie zapalono zawczasu, i zdwojona baczność służby i żandarmów podwajała zamęt wśród tłoczącej się na platformie publiczności.

Pociąg przybył z wagonów wysypały się pstre roje wiosennych spacerowiczów, przyplływająca i odptywająca fala zmieszała się chwilowo, przyjezdni tłumnie ku drzwiom śpieszyli.

Włodkowa wysiadła prawie ostatnia z wagonu trzeciej klasy z walizką w rękę i zatrzymała się na ubo czu; chaos gwar tłumu odurzył ją chwilowospogląd

dała dokoła roztargniona. Wiedziała, że nikt na nią nie czeka, pomimo to; wśród wysokich okazatych mężczyzn mimowoli prawie szukała wzrokiem swego szwagra, oglądała się za elegauckimi kobietami, które z figury lub twarzy jej siostrę przypominały.,.

— Może trafem jakimś są tu dzisiaj pomyślała — wodząc wzrokiem po platformie.

Gwar ncichł prawie; odjeżdżający siedzieli już w wagonach. małe tylko gromailki snły się jeszcze i znikaly w drzwiach dworca. Włodkowa przeszła przez pusty salon pierwszej klasy, a ustawivszy walizkę na fotelu, stanęła przed lustrem. Miała na sobie szary płaszczyk i czarny kapelusz, nasunięty na oczy. W drodze parę szpilek wypadło z włosów, pyszny czarny warkocz osunął się na plecy. Zdjęta kapelusz, upięta warkocz otarła chusteczką kurz z twarzy. Mężczyźni, przochodzący przez salon, zwalniali kroku i spoglądali w zwierciadło, w którym odbijała się delikatna, śnia dawa twarz o dumnie wydętych ustach i duże czarne oczy, ocienione długą rzęsą; ciekawsi przystawali na chwilę, mierząc badawczym okiem wdzięczną główkę i wysmukłą figurę o wązkich, spadzistych ramionach; we drzwiach oglądali się raz jeszcze, odchodzili,

skinąwszy głową z boku. Iakby na potwierdzenie swego sądu o wcale ładnej kobiecie. Chudy starzec, o drewnianej twarzy i zgasłych oczach, przeprowadził ją aż do dorożki; dopiero, gdy dorożka znikła mu z oczu, wrócił do sali po rzeczy, a przechodząc koło lustra, gdzie przed chwilą stała Włódkowa, spojrzął przez ramię w tę stronę".

Dorożka toczyła się zwolna za innymi, między dwoma rzędami gazowych latarni; turkot głużył myśli. Włódkowa spoglądała machinalnie to w prawo, to w lewo, twarze przejeżdżających migały jej przed oczyma, dzwinki tramwajów raziły ucho, przyzwyczajone do wiejskiej ciszy. Na moście turkot złagodniał. Rozparta w dorożce, przymknęła oczy, odurzał ją drgający w powietrzu gwar dużego miasta, ogarnął nieznany dotąd niepokój. Uczuta się naraz strasznie samotną wśród tłumu jadących i pieszych, z bojaźliwą ciekawością wpatrzyła się w długą ulicę z szeregiem latarni i oświeconych sklepów po obu stronach. Wczoraj o tej porze była u siebie na wsi—wpatrzona w rozległą przestrzeń, oblaną blaskiem księżyca, wsłuchiwała się w głąb ciszę, przterywaną szmerem komarów, lekkim pluskiem jeziora, przeciągłym klekotem błotnego ptaka. Teraz

zdawało jej się, że nioprzebyta przestrzeń dzieli ją od tego dworku wśród biot, wykarczowanych lasów, wśród leśnej monotonnej równiny.

Wspomnienie to dodało jej otuchy, wyprostowała się, ściągnęła brwi z lekka.

— Dziś zasnę, nie słysząc rechotania żab i brzęczę Ilia komarów! Idyla skończona!

Wzruszała ramionami z pogardliwym uśmiechem. Dorożka stanęła przed hotelem. Lokaj jednym rzutem łka ocenił już wartość nowego gościa. Schwyciwszy walizkę, poszedł przez długi, wązki dziedziniec, wzdłuż którego ściany oficyn, obrosłe dzikim winem, tworzyły tunel o cietnym sklepieniu z pochmurnego nieba. Lokaj wszedł w ostatnie drzwi na prawo, wbiegł na schody, oświetlone naftową lampką. Włodkowa podążała za nim z podniesioną główką, przymrużonemi zlekka oczyma, przyglądała się wązkim schodom, naftowej lampce. Gdy walizkę przy drzwiach postawił i sięgnął po klucz do kieszeni, z przeciwległego numeru wyszła kobieta, wysoka, blondynka, w czarnej okrywce, w kapeluszu z czarnym piórem. Panie zmierzyły się ciekawem wejrzeniem.

— Wrócę za godzinę — rzekła do lokaja — proszę przygotować samowar.

Lokaj skinął głową Włodkowa, przeprowadziwszy wzrokiem swoją sąsiadkę, ua przeciwległych drzwiach dostrzegła wizytowy bilet.

Mieszka w hotelu... pewno kokota!...

W pierw.szej chwili chciała się cofnąć — nie mogła przecież... ua jednych schodach...

Lokaj wniósł walizkę do pokoju, zapalił ua komodzie dwie świece, między którymi Włodkowa ujrzała fajansowy biały kałamarz, ustawiony na dużym arkusza papieru, pióro otjok niedopalonego papierosa i parę nieco zgniecionych kopert. Zapomniała o sąsiadce, sprawę konwenansów na dalszy plan usuwając, sięgnęła po pióro.

— List trzeba odnieść zaraz podług adresu—rzekła do lokaja—który, zauważywszy. Ze nawet dla najtańszego gościa powietrze w numerze było zbyt duszne, podniósł rolety i otworzył jedno, potem drugie okno.

Przyjechałam na pare dni w bardzo ważnym interesie—nie mów o tem Ninie, chcę jej zrobić jutro niespodziankę. Przyjdź do mnie zaraz, chociaż na chwilę.

Pisała Włodkowa, stojąc przy komodzie w płaszczyku i w kapeluszu; zamyśliła się, nie wiedziała, jak podpisać... imię wyglądałoby zbyt pieszczotliwie, nazwiska używać nie chciała...

Królewna—podpisała w końcu z figlarnym uśmiechem, który dziwnie odbijał od poważnych oczu, od brwi, ściągniętych zlekka,
— Królewna!—powtórzyła w duszy, śliniąc brzegi koperty!

Lokaj spojrział ua adres;

— P, Wierzbicki? To ten adwokat? Znam, to ztąd niedaleko.

Włodkowa wraz z listem wsunęła mu w rękę parę miedziaków. Gdy lokaj wyszedł, obejrzała się po pokoju. Po ostatnim gościu, oprócz zapachu taniego ty tuniu, czosnku i skóry, zostało tu sporo pamiątek; na ceratowej kanapie leżała gazeta, pare zmiętych kawałków papieru walało się na podłodze, na stole przed kanapą zostały dwie butelki od piua. szklanka i puste pudełko od papierosów. Włodkowa uprzątnęła wszystko w mgnieniu oka; papiery i pudełko cisnęła bez cere monji przez okno na podwórze, butelki i szklanka poszły w kąć za kanapę, prześcieradłem, ściągniętem z łóżka pościeraia kurze z większego. Zmęczyła się przytem, serce bilo, na policzek wystąpił piześliczny rumieniec; wyglądała to jednym, to drugim oknem... Z oświetlonej bramy na czarny asfalt podwórza słała się smuga światła, naprzeciwno, w oficynie, obrosłej dzikiem winem, piawie wszystkie okna były oświetlone, przez

spuszczone rolety gdzieś widziała snujące się cienie... Leon nie nadchodził... zapewne nie tak blisko, jak ten fagas mówił. Chodząc po pokoju, spoglądała w lustro, zawieszone nad kanapą... Zmieniła się przez te dwa lata... schudła, zcieniała... Eh, głupstwo, nie myśli przecież czarować go wdziękami... Z tych wdzięków zresztą dziś nie zostało prawie śladu!... Wiedziała, że tak nie jest, umyślnie jednak dręczyła siebie smutnymi myślami. Tak zbankrutowany bogacz, z pogardą spoglądała na resztkę skarbów, które już tylko chleba powszedniego dostarczyć mogą... Co mu powie, od czego zacznie... list zdziwi go... no, i ucieszy... tego była pewną!... przekonanie to kryło się na (lnie duszy... Mysląc o tem. nadymała usta dumnie. Oh, przecież nie ma zamiaru wyzyskiwać jego słabości... zwietrzałej już może, zapomnianej oddawna. Chce tylko rady! potrzebuje ratunka dłużej przecież żyć nie może, nie powinna! On jeden z całej jej rodziny zrozumieć ją potrafił, on... jeden!... Powie mu wszystko odrazu... albo nie.— przygotowuje go z wolna. Zbyt dużo miałaby mu do powiedzenia... tyle skarg bolesnych, tyle dotkliwych wspomnień cisnęło się na usta! Nie, odrazu nie potrafiłaby wypowiedzieć wszystkiego, on nie uwierzyłby nawet, że w takim piekle mogła przeżyć dwa lata!... Me uwierzy... posądzi ją o przesadę... Ach. więc może dobrze się stało, że policzki zapadły bez pory, oczy zgasły, że schudła i zestarzała... W pamięci jej żyje dawniejsza królewna — dzisiejsza zaś, jest tylko smutnym cieniem tamtej... Co on jej powie? Trudna to sprawa! Przyrzekł jednak ratować ją w każdej potrzebie.

— Masz we mnie brata i przyjaciela! powtarzał jej nieraz w tych czasach, kiedy do braterstwa i przyjaźni chętnie dodałby jeszcze jedno uczucie...

— Jestem twoim szwagrem!—dodawał, jak gdyby to dla niej było tajemnicą!

Śmieszny był w masce wesołej obojętności, z pod której wyglądało nieraz bezsilne uczucie!

Na schodach rozległo się stąpanie, uchyliła drzwi z wolna: sąsiadka wracała z trzema dorodnymi kobietami, śmiały się i rozmawiały wesoło.

— Niecił pani wyjmie klucz z zamka, tu kradną— rzekła, dostrzegłszy podglądającą przez szparę Włod kowę.

— Kokoty! — szepnęła królowna z pogardliwym uśmiechem. Stała chwilę za drzwiami, przysłuchując się gwainej rozmowie z sąsiedniego pokoju. Zaciekawiała ją te kobiety. Chętnie spojrzełaby na nie przez dziurkę od klucza... Tajemnice dużego miasta znała tylko ze słyszenia, trochę z książek, a resztę z domysłów. Zegar pod podłogą, czy za ścianą, wybił dziewiątą. Zamiast gwałtownych wybuchów radości, zdziwienia, zamiast spojrzeń wymownych i słów niedopowiedzianych, które miała odpierać pełnym godności spokojem—może nie doczekam się go wcale!—szepnęła do siebie. Bez potrzeby wywlokłam starą zbroję... Nawet te kokoty, chichoczące za ścianą, nie będą miały sposobności podziwiać mojej wytwornej powagi. Jestem sama!...

Przygryzła wargi, nozdrza zadrgały. To dobrowolne dręczenie się sprawiało jej bolesną przyjemność.

— Brzydkie, głupie, znikczemniałe potwory żyją pełnią wesołego życia!

— rozmyślała, chodząc drobnymi krokami po pokoju... — a mnie najlepszy przyjaciel chwilki drogiego czasu poświęcić nie chce!

I to zestawienie siebie z potworami zrobiło jej też bolesną przyjemność.

Ogarniała ją drażniąca niecierpliwość, policzki pałały, przez wpótotwarte usta widniały zaciśnięte zęby — uśmiechała się do własnych kłujących myśli... Potrzebowała wyrzucić z siebie zasób słów ostrych, gryzących wniosków i podejrzeń,, chęci te jednak tłumiała za po

mocą ironji, bała się śmieszności nawet sama przed sobą.

— Truję się własnym jadem i to bez koniecznej potrzeby w dodatku. Nie mógł przecież przeczuć, że przyjadę—wyszedł, list czeka spokojnie w jego gabinecie obok rachunku od szewca i nożyka do czyszczenia paznogi; będzie tak czekał do jutra. Ja też mogę poczekać—sprawa niepilna, chodzi tylko o życie, złamanego szeląga nie warto! Po co ratować dobrowolnego topielca!

Wzruszyła ramionami. W gardle wyszło, chciała zadzwonić i kazać podać herbatę.

— A jeżeli nadejdzie?...

Herbata w fajansowym czajniku, na odrapanej hotelowej tacy, do zbyt ponętnych akcesoryj nie należała; wypła szklanek ciepłej wody z karafki i czekała dalej. Teżeli wróci wcześniej do domu, przyjdzie niechybnie. Wie przecież, że ona będzie oczekiwać go do późna, rozumieli się doskonale, chociaż prawie nigdy nie mówili ze sobą o fem.

Ona jedna z całej rodziny widziała, że Wierzbicki drwi sobie z ich arystokratycznych pretensyj, nudzi się strasznie w ich otoczeniu i tylko z musu podtrzymuje tak zwane rodzinne stosunki. Duszno mu było w ich starym murowanym domu, osłoniętym odwiecznymi drzewami, gdzie w upały nawet panował chłód i zmrok wilgotny, po kątach grzyby rosły, a na bielonych ścianach widoczne były pleśń i ślady deszczu. Przyjmowano go zwykle bardzo uroczyście: zarzynano dla niego ostatnie kury, podczas jego bytności chłopak stajenny codzień jeździł do miasteczka po mięso na kredyt, wyjmowano odwieczne cerowane serwety i resztę srebra, a matka i dwie siostry, podstarzałe panny, .siliły się ua urządzenie przysmaków dla tego mieszcza. Wszystko to jednak nie skutkowało. Wierzbicki w ich towarzystwie był jak obcy, milczał, jadł mało, słuchał

niby, ale widocznie myślał o czymś innym; zabawiwszy dzień jeden, zostawiał żonę i dzieci i zmykał raniutko chłopską iurmanką, żeby się uwolnić od podróży w ich starym koczku o połamanych resorach.

— Dobry to człowiek, ale nieokrzesany,—mówiła o nim matka, przysadzista staruszka o żywych oczkach i zadartym ciekawym nosku. W towarzystwie nie prezentuje się dobrze, ale Nina jest z nim szczęśliwa... Kochają się, a miłość zaślepia! tem lepiej dla Niny!... dodawała z błogim uśmiechem, kiwała głową, rozmarzona własnymi wspomnieniami.

— To jego chyba miłość oślepiła. Wziął dziewczynę głupią jak but, nieokrzesana, bo mnie się zdaje, że Nina nawet czytać dobrze nie umie.— Jak ty myślisz Halko?—mówiła stara, rezolutna paima do siostry, tylko o rok młodszej.

— Nie umie, ile razy napiszę do niej o jakiś sprawunek, nigdy nie nie przyśle; skąpa przytem jak żydówka; widocznie w szabas na świat przyszła.

Matka słuchała tych uwag z dobrotliwym uśmiechem. Wszystkie jej córki były prześliczne. miały wielkie szczęście do ludzi, kochano się w nich na zabój. Duie starsze dotąd nie wyszły za mąż dla tego tylko, że przebierały zbyt wiele. Teraz, może, gdy już obydwóm minęła czterdziestka, będą może mniej wymagające, wybiorą sobie pocziwych, zamożnych mężów z dobrymi nazwiskami. O świetności marzyć już niewarto; każda z nich miała ua sumieniu po jednym uprzywilejowanym konkurpcie. Cesia przez cale życie powinna żałować, że nie wyszła za Roszkow.skiego. najbogatszego obywatela w okolicy, który r.iz jeden był u nich na polowaniu, a wyjeżdżając, zamiast swego, wziął jej szalik włóczkowy, który zresztą odesłał natychmiast z bardzo uprzejmym listem. List ten matka komentowała przez parę mieięcy, a podziśdzień umie go na pamięć. Halkę zaś Bóg skarał długiem panien

stwem, za tego poczciwego barona Klemberga, który był u nich parę razy, gdy sobie czwórkę kasztanów dobierał; podhumorzony przy obiedzie, przegrał do niej w zakład znaczną ilość cukierków, które odesłał wraz z pysznym bukietem, przysyłając po zakupione konie. Bukiet ten i cukierki należały do najmiłszych wspomnień rodzinnych. Baron nie ożenił się dotąd, miał przy sobie kochankę, zgubił zatem duszę... dla Halki! Matka najpoważniej w świecie wymawiała córce, że z powodu jej obojętności zmarnował się poczciwy baronisko! Dziewczyny śmiały się z matczynych iluzji. Nie wyszły zamaż, bo za młodu zbytecznie może szalały za studentami. Każdy szafirowy kołnierz wprawiał je w zachwyty; studenckie teorie wydawały się szczytem mądrości; czytały bez ładu i składu, szydziły bez litości z wołówszlachciców. gadały wszystko co ślina na język przyniosła! Okrzyczano je jako sawantki, emancypantki, heretyczki, a potem jako złośliwe stare panny; o szeregu wielbicieli, o których nadmieniała matka, mrużąc figlarnie lewe oko, nie słyszały jako żywo.

— Mnie nigdy w życiu nikt się nie oświadczył,— jńówiła z wesołą rezygnacją Cesia.

— Mnie też, ale ja się do tego nie przyznaję, nie chcę żeby mówili, że pozuję na brak powodzenia,—dodawała Halka sentencjonalnie.

— Oh, nie grzeszcie trzpioty,mówi!a matka.—Bóg nieraz świetną dołę zsyłał.

— Ale źle adresował widocznie, bo ja nie otrzymałam,—przerwała Cesia.

— Ani ja. Nie moge przecież nazwać dołą kulawego Szemiota, albo księdzowskiego brata suchotnika; żaden z nich zresztą nio oświadczył się mnie ani razu...

— Macie jeszcze czas, chwata Bogu!

— To prawda, przeżyliśmy tylko pół wieku, druga połowa zostaje do naszego rozporządzenia; w naszym rodzie długo żyją

Siaruszka nie mogła wmówić córkom, że dziś jeszcze, pomimo chudości, żółtej cery i siwiejących włosów są bardzo, ale to bar...dzo niebezpieczne!... Dziewczyny drwiły ze swoich chudych ramion, zapadłych piersi, nazywały siebie wzajemnie: ty stara, a tyłko, chcąc zrobić przyjemność matce, tytułowały się czasami eks baronówną i eksRoszkowską,

Stas, ukochany jedynak, jeszcze więcej uporu okazywał w tym kierunku, Kiedy wracał z pola ogorzały, spotniały, w brudnym płóciennym surducie, w zakurzonych butach, matka, patrząc na niego kiwała głową smutnie. Chłopiec zestarzał bez pory, schudł, pracował jak chłop ostatni, po to tylko, żeby w coraz nowe leźć długi, jak sam mówił w przystępie gniewu lub szczerze rości, a przecież, raógl wszystko naprawić odrazu,., bo gatem ożenieniem! Dawniej nadmieniała mu o tem po ważnie i żartem, wzdychając, uśmiechając się po swojemu, jak zwykle gdy była mowa o miłości... Syn mil czał, tylko głową kręcił, jakby dokuczliwe muchy odpędzał,

— Daj matko pokój!—odpowiadał czasami zniecierpliwiony,—długów mam więcej niż włosów na głowie, jestem zdechłak w dodatku, co miesiąc na inną chorobę choruję, a matka chcesz, żeby się sprzedał korzystnie! Wprawdzie panny na wydaniu, to najgłupszy gatunek kobiet, ale ja mam trochę sumienia! Trzeba wprzód interesy i zdrowie poprawić, a na to może nie będzie dość czasu przed śmiercią.

Jedna tylko Nina nie zmartwiła matki zbyt dużym pesymizmem... Dziewczyna w istocie była prześliczną— wysmukłą, blondyną, miała popielate włosy, ciemne oczy i alabastrowe ciało, uśmiechała się do wszystkich bezmyślnie i w rodzinie długo uchodziła za idiotkę; dziś nawet, chociaż wyszła za mąż, siostry w poufnej rozmowie i dalej ją nazywały. Cichą była, milczącą, latem całe godziny łowiła koszulkę rybki w jeziorze;

po kąpielach wygrzewała się, siedząc nago na kamieniu, obrócona plecami do słońca; w wolnych chwilach od bezczynności karmiła kocięta, pielęgnowała szczenięta. wogóle okazywała wiele sympatii dla istot noworodzonych; świadczyło to u wczesnie rozwijającym się i stynkcie macierzyńskim. Rozkwitała pysznie! W szesnastym roku wyglądała na lat ośmnaście, w oczach tylko i w uśmiechu pozostał wyraz niemowlęcej niewinności i to właśnie stanowiło jej urok; duża, prześliczna dziewczyna uśmiechała się i patrzyła jak dziecko! Głos miała cichy, zanim mówić zaczęła, czerwieniła się jak jutrzienka, najłżejszy uśmiech wywoływał rozkoszne dołeczki na policzkach. na bródce, wkoło usteczek! Była to najpiękniejsza panna w całej okolicy, Wierzbicki oświadczył się jej przy pierwszym poznaniu, a w trzy tygodnie potem był już jej mężem. Matka marzyła dla niej o innej partii; próbowali nawet perswadować przed ślubem, ale starsze córki zakrzyczyły ją jednogłośnie.

— Czy nie na szlagona jakiegoś ma czekać! Wierzbicki wykształcony, znany, własną pracą zdobył stanowisko — ależ to najświetniejsza partja. takiego męża pozazdrości każda mądra, uczciwa kobieta!

Wierzbicki przypominał im ich własne ideały... w szafirowych kołnierzach... Ideały te oddawna już przemieniły się w filistrów, w karjerowiczów, albo w zwykłych pocziwcówuiedołęgów. One jednak pozostały im wierne—z duwnym zapałem wygłaszały przekonania zdobyte za młodu—wygłaszały je śmiało, bezwzględnie, i lo właśnie sianowilo najśmieszniejszą stronę ich staropanieństwa.

Nina słysząc, że wszystkie kobiety będą jej zazdrościć, uśmiechała się zadowolona; przedewszystkiem jed nak cieszyło ją to, że za rok będzie miała swoje własne dziecko; pierwszego chłopaka nazwie .Jasiem, pierwszą dziewczynkę—Zosią; wszystkie dzieci będzie sama

karmiła... Zawczasu już ukradkiem spoglądała ua swoje piersi białe, okrągłe, trochę może zaduże! Nie gniewała się na siostry, gdy mówiły, że niewarta tak mądrego, szlachetnego człowieka. Co ją to mogło obchodzić? Kochał ją przecież taką, jaką była i jest — więc czegoż one chcą od niej? Matka przyjmowała jej stronę. Sta. ruszka była przekonana, że Wierzbicki szuka koliga cji... ród Strawińskich znany był przecież, panna z takiego domu, to nie pierwsza lepsza... Ta myśl łagodziła w niej troskę o posag i wyprawę—oddała mu ją prawie w jednej sukience — ha, sani tego chciał! Niechby się ożenił z Dorobkiewiczówną, dostałby może krociową fortunę! Z rodu Strawinskich nawet księżęta ubogie panny brali... Tego nigdy nie było, Strawińska mówiła tak sobie, dla przykładu! Największe nadzieje pokładała na najmłodszej Karolci, która, dla piękności twarzyczki i pysznie wydętych usteczek, zostaią przezwana skrótewnąs; siostry dla odmiany nazywały ją czasami czarną kotką; miała bowiem elastyczne ruchy, stapała cichutko, wślizgata się wszędzie niego strzeżnie; ciekawą

była i mądrą, uczyła się z niezmierną łatwością przy tanich guwernantkach; ale gdy siostry w zapale do emnancypacji zachwycaly się nad jej rozumem, zachęcały do wyższej nauki, królowna uśmiechała się pogardliwie. Słyszała, jak wyśmiewano mniemaną uczoność jej sióstr, jak nazywano je staremi fiksatkami czerwienie się ua samą myśl, że kiedyś taki los może ją spotkać! Wołała już nazwę gąski niż sawantki, a ua wszelką zachętę sióstr do rozwijania wrodzonycii zdolności, odpowiadała niechętnie:

— Dajcie mnie święty spokój!

Uwala się za to do muzyki i śpiewu, uczyła się języków i nieraz całemi nocami czytała powieści. Ona jedna z całej rodziny słuchała z namaszczaniem opowiadania matki o koligacjach, o świetności rodu Strawińskich, pamiętała wybornie imiona znakomitszych przód

ków, ostrym wzrokiem karcila siostry, gdy ze zwykłą sobie lekkomyślnością wzruszały ramionami na wszystkie banialuki!

— Bardzo stary ród, aż zdarł się, mówiła ironicznie Cesium.

— Ze starości i z biedy drwić nie należy, do czegoż więc odnosi się twoja ironja?—zapytywała bardzo poważnie królowna.

Wszelkie upokorzenie było dla ulej najstraszniejszą męczarnia, Kiedy dłużnicy zaczęli oblegać Stasia coraz Częściej, i prawie codzień zaczęły pojawiać się chłop skie i żydowskie wózki przy plocie pod oficyną, a w kancelarji rozmowa przechodziła nieraz w głośnie wymyślanie, królowna na sam widok wózka czuta wypieki na twarzy, a zasłyszawszy głośniejszą rozmowę chtopa lub żyda, uciekała jak szalona w najciemniejszy kąć ogrodu.

Zadyszana, z zacisniętymi zębami, tuląc się do drzewa, słuchała; serce biło gwałtownie, nogi i ręce drżały; zdawało się jej, że słyszy grubijańskie wyrazy, rzucane w twarz brata, i zaciskała pięści; w takich chwilach gotową była ukryć się pod ziemię raz nazawsze!

— Ach lo straszne, potworne! Żyd, chłop, ostatni jakiś tam obdartus śmie wykrzykiwać, odgrażać się... to podle! lepiej umrzeć!—niż znosić takie upokorzenie, szeptała do siebie urywanym głosem.

Uspokajała się zwolna, ale po każdym takim wzburzeniu w duszy pozostawał cierpki osad, drażliwa zgry źliwość, Z żalem myślała o świetnej przeszłości, o życiu nad stan, za które ona dziś niezasłużenie pokutować musi,

— Po to na świat przyszedłam, żeby w nędzy żyć i upokorzenia znosić,,— powtarzała w duszy; mite warunki! W tej głuszy przeklętej zmarnuje młodość, a potem będę wisieć na łasce u brata, jak t e dwie raęczen

niczki postępu i emancypacji! Umrę wprzód, niż pogodzę się z taką przyszłością.

W bardzo ciężkich chwilach. kiedy za długi grożono licytacją, kiedy brat głowę tracił, a siostry i matka siedziały jak odrętwiąłe, królowna ze spokojną rezygnacją myślała o śmierci.

— Raz skończę i basta! głupcy tylko żyją we wstręt uych dla siebie warunkach.

Burzę zażegnano chwilowo, znowu na jakiś czas było spokojnie i wesoło. Staruszka po całych dniach siadywała przy oknie w wygodnym fotelu, z pończochą lub ze skarpetką w ręku; panny przerabiały sobie wiosenne lub jesienne suknie, obmyślały tanie i efektowne kombinacje strojów, szeptały

między sobą o zdobyciu od Stasia chociaż kilku rubli na buciki i rękawiczki, z wielką pilnością odrabiały z wypożyczonych żurnalów próbki wstawek i koronek; zmęczone pracą, odłożywszy robótki na stronę, na odpoczynek zasiadały we dwójkę do bezika. W brudnych spódnicach, w białych, rozpiętych na piersiach kaflanach, z włosami zwinie temi niedbałe z tyłu głowy, siedziały za stołem naprzeciwko siebie, zapatrzone w karty; ładne niegdyś, hoże dziewczęta, w domowym negliżu wyglądały jak sekut nice, miały ostry profil, wąskie zaciśnięte usta i calu sieć drobniutkich zmarszczek na szyi i wkoło oczu. Kló ciły się o lada kartę— impetyczna Cesia wybuchała pierwsza, zrywała się z miejsca i przysięgała na honor, że nigdy z tą starą oślicą grać nie będzie. Halka zbierała rozrzucone karty i zaczynała układać pasjansa; spokój ten rozbrajał Cesię: po godzinie były znowu w najlepszej zgodzie. Pomimo ciągłych sprzeczek sta re kochały się serdecznie; łączyło je tysiące drobniutkich wspomnień, mikroskopijnych wypadków, z których utkana była ich przeszłość, jedna przed drugą nie miały nigdy tajemnic, zwierzały się sobie nawet ze snów i przeczuć; to też jakieś nieznaczące opamiętasz wywo

ływało w obydwóch cały szereg wspomnień, smutny lub wesoły uśmiech, czasem łzę za tem co było, a czego niema i nie będzie już nigdy! Zdarzało się wprawdzie, że po walnej sprzeczce nie rozmawiały ze sobą po kilka dni i dłużej, ale i wówczas nawet obejść się bez siebie nie mogły: szły razem na spacer po dwóch stronach drogi, stawiały sobie wzajemnie spodeczki konfitur na stoiczkach przy łóżku, kręciły się koło siebie, spotykały się niby nieumyślnie, aż w końcu pierwsza przemawiała Cesia:

wybuchaly płaczem, przeproszały się wzajemnie i do stosunków rodzinnych stała pogoda wracała na dni kilka.

W duecie tym dla królowny nie było miejsca, siostry zawiodły się na niej; z ładnej, kapryśnej, rozpieszczonej dziewczynki wyrosła dumna panna, która traktowała je zgóry, szydziła bez ceremonji z ich ideałów i mówiła im w oczy, że głupio urządziły się ze swoją młodością, należało bowiem wyjść zamąż i nie marnować czasu napróżno...

Nie będziemy ciężarem nikomu, odpowiadały jej na to. Niech Stas odda nasz posag, jutro otworzymy pracownię sukien w Warszawie i będziemy żyć wygodnie z własnej pracy!

To . postanowienie uspokajało je w zupełności... graty dalej najspokojniej w bezika. Królowna uśmiechała się drwiąco na te projekty! Czyż nie dość już tej deklamacji o pracy! Ośmieszyły, siebie za młodu, a teraz ją ośmieszyć gotowe... Trzymała się od nich zdaleka i przy każdej sposobności uporczywem milczeniem manifestowała .swoją obojętność na ich porywy i poglądy. Pod wielkim sekretem marzyła czasami o bardzo świetnej partji... o bogactwie, tytułach... o błyszczeniu w świecie... Niejedna przecież z ich rodu zajmowała takie stanowisko... .Słyszała o tera od matki, czytała wzmianki o swoim nazwisku w historycznych powieściach...

Marzenia te zresztą trwały bardzo krótko w la tach pierwszej młodości, powtarzały się coraz iza dziej podczas samotnych przechadzek w cienistych alejach lipowych; wywoływała je tylko dla zapełnienia pustki w myślach i w sercu, ale coraz słabiej wierzyła w ich urzeczywistnienie za pomocą nazwiska. Znacznie więcej liczyła na swą urodę... Królowała na

wszystkich wieczorkach w sąsiedztwie, lecz powodzenie to podziwiała prawie same kobiety, młode i stare, i gromadka żonatych sąsiadów; w okolicy młodzieży nie było; gdzieniegdzie konserwował się jakiś unikat, rozrywany na wszystkie strony do posażnych pauien. królewua unikała tych bohaterów—obawiała się na samą myśl, że mogła być posądzoną o łapanie męża I

Eaz na balu w sąsiedztwie przez cały wieczór tańczył z nią i rozmawiał bogaty, przystojny kuzyn gospodyni; królowna hołdy te przyjmowała z iście królewską godnością, przez krótką chwilę wierzyła, że to on właśnie, ten piękny blondyn, elegancki, wykształcony, miły, był jej przeznaczonym od losu! Tryumfowała tym spokojnym, pełnym godności tryumfem, który raczej jest tylko uznaniem osobistej wartości. Lecz i ten pierwszy szczęśliwy wieczór w życiu zatruiły siostry i matka, zbyt widocznie uszczęśliwione jej powodzeniem. Wciąż czuła ich wzrok badawczy, widziała znaczące mrugania, co chwila zbliżały się do niej, poprawiały coś w tualecie, szeptały do ucha uwagi, któ rych słyszeć nie chciała! Gdy nareszcie znalazły się wszystkie razem w starym koczu na połamanych re sorach, rzucały się na nią kolejno, ściskając, cahując, winszowały świetnego powodzenia, które miało być pierwszym krokiem do świetniejszego jeszcze — weseliska! Siostry otrzeźwiały wprawdzie przy pierwszym powiewie porannego wiatru, Cesia przypomniała, że i ją kiedyś na rękach noszono. Halka też coś mruknęła o głupich szlagonach, którzy bawią się z ład

nemi dziewczętami, a ,spcedają. się bogatym gęsiom. Matka jedna tylko wytrzymała w złudzeniach — ona los ten przewidziała oddawna, nie dziwiło

ją ani ciepyło zbyteczne powodzenie córki — kochali się w niej przecież wszyscy, dwóch żonatych wzdychało do niej sekretnie, a nawet, co tam ukrywać, nawet stary ksiądz proboszcz tak na nią patrzył nieraz... Cóż więc dziwnego, że młody, ładny panicz, stracił dla niej głowę odrazu. Byleby tylko nie śpieszył zbytecznie ze ślubem, tej przecież nie może oddać w jednej sukier.ce; bogaty obywatel, to nie pierwszy lepszy adwokat. A tu podobno u Stasia pustki w kie.szeni—jak zaw.sze! Co ten chłopak robił z pieniędzmi, staruszka nigdy zrozumieć nie mogła—siedzieli przecież ua dużym majątku z czterema folwarkami! Krakania tego musiała słuchać królowna przez całą drogę; dopiero, gdy wszystkie trzy zdrzemnęły, ona — już marzyć nie mogła; wspomnienia z bała wydały się snem rozkosznym... Sarkastyczny uśmiech coraz wyraźniej drgał na ustach. Tego poranku pierwszy raz w życiu przyglądała się wschodowi słońca; miała łzy w oczach i czuła się bardzo nieszczęśliwą. Postanowiła zaraz po powrocie do domu rozmówić się z bratem o interesach... Teraz, gdy przed oczami stał wspaniały panicz, nie chciała wierzyć, że jest ubogą, nie ma ani szeląga, że świetny pan, żeniąc się z nią, zrobiłby finansowy mezalians,— nie przyznałaby się do tego, nawet sama przed sobą!

Przez kilka dni potem musiała patrzeć na śmieszne miny matki i sióstr; w oczekiwaniu konkurenta cały czas były jak w gorączce, rejwach panował w domu, uprzątało, czyszczono, wydostawano owe nieszczęśliwe cerowane serwety i resztki srebra... zarżnięto parę starych kur, aby skruszały nieco, i upieczono trochę sucharów. Dopiero, gdy po tygodniu rozeszła się pogłoska, że piękny pan odjechał tam, zkad przyjechał — miny się wydłużyły — natychmiast otoczono ją

prawdziwie rodzinnem współczuciem. Siostry i matka milczały wprawdzie, pocieszać nietyypadało — ale w milczeniu tem było tyle serdecznej tkliwości! Musiała zjeść najsmaczniejsze kąski z owych kur skru szalęci i prawie wszystkie sucharki—przez czas jakiś traktowano ją z łagodną troskliwością, usiłując chociaż tym sposobem wynagrodzić bolesny zawód. Matka nie traciła nadziei, a w głębi duszy królewna też pewną była, że on wróci. Myśl ta prześladowała ją uporczywie, wrosła w duszę, stała się niemal manją. Nie kochała go przecież, powoli nawet rysy jego zatarły się w pamięci, czasami stawał przed nią jako blondyn czasem jako wspaniały brneet—zawsze jednak był czarująco miłym, rozumnym, subtelnym, zawsze należał do wytwornego towarzystwa, wykwintnie się ubierał, i imponował jej swoją wiedzą, znajomością życia, był znacznie od niej starszy, ona go szanowała, poważała i uwielbiała bez granic!...

W szarem otoczeniu meteor spotkany chwilowo musiał olśnić i na długo pozostać w pamięci,—tera smutniej wyglądało rzeczywiste życie! Duży dom stał prawie pustką, w jednym kącie trzy stare kobiety robiły robótki albo giały w karty, skracając czas późnem wstawaniem; znużony, stetryczwały brat pracował za dziesięciu. Włóczył się po sądach, pozywany niemal co tydzień przez dłużników, albo jeździł po ludziach, szukając pieniędzy, aby jedną dziurę drugą dziurą załatać! Sąsiedzi zaglądali coraz rzadziej, krewni tylko, stare ubogie kuzynki zjeżdżały czasem na całe tygodnie, przywożąc ze sobą troche plotek z dalszej okolicy. Od czasu do czasu zjawiał się przy obiedzie jakiś jegomość, zaprezentowany niewyraźnie przez Stasia, jadł w milczeniu, albo rozmawiał tylko ze Stasiem o gospodarce; po obiedzie wynosił się do kancelarji, rzadko na noc zostawał, zwykle odjeżdżał przed wieczorem skromną bryczuszką, zaprzężoną parą krzepkich ko

ników. Był to cierpliwy dłużnik, albo nowa ofiara, której względy Stas starał się pozyskać. Takim gościem powitany ogólnym milczeniem, był Włodek, zamożny szlachcic, sąsiad, barczysty, rumiany brunet o białym czole i oliwkowym karku; przyjechał kupić siana, a że matka jego była niegdyś panną służącą u ich krewnych, Strawińsk sama zaczęła wypytywać o ojca, którego trochę znała, o matkę nieboszczkę. Włodek rozmownym nie był, wyrażał się z trudnością, nie umiał panować nad głosem, to też słuchał chętniej niż mówił, trzymał się sztywno, ale w wyrazach nie przebierał. Mówiąc o gospodarstwie, powiedział, że mu tej wiosny kobyła zdechła, a pozostałe po niej śliczne źrebię zmarniało bez... ssania. Obie stare parsknęły śmiechem i jedna za drugą wysunęły się z pokoju. Włodek powiódł dokoła zdziwionym wzrokiem; w wędrowce tej spotkał parę ślicznych oczu królowny; patrzyła na niego z uprzejmym uśmiechem. Wybryk starych ukłuł ją w serce. Z czego się śmiały te wykwintne pannice, szafujące tak hojnie Jemokratycznymi frazesami. Prosty człek mówił jak umiał, nie należało go na gawędę wyciągać, nie był przecież ich gościem! Starła się załagodzić głupi wybryk, rozmawiała z nim długo, robiąc na złość starym, które, stojąc za drzwiami, kolejno ucho do dziurki od klucza przykładały. Włodek jednak w dalszym ciągu nic śmiesznego nie powiedział, spoważniał jeszcze więcej, i jakby zahypnotyzowany wzrokiem królowny, oczu z niej nie spuszczał... — Nowa konkieta! — zawołały jednogłośnie stare, po wyjeździe Włodka. Mała ma szczęście, ten hipopotam w jej obecności nawet o izdechłej kobyłe zapomnia!... Tryumf to nielada!... Panna Haliczach!... Nocami wprawdzie swoje konie po cudzych miedzach pasie, ale w razie potrzeby szykownie wystąpić potrafi!...

Wydrwiły jego czarny tuzurek z długimi połami, przyciasny w piersiach, błękitną krawatkę, szerokie spodnie, aż do medalika na czarnej tasiemce, który dostrzegły przez rozchyloną koszulę na kosmatych piersiach!... Cały wieczór bawiły się wybornie jogo kosztem. Włodek przyjeżdżał kilkakrotnie po siano, ale już na obiad zaciągnąć się nie dał. Wstępował do kancelarii, albo rozmawiał ze Stasiom na ganku—za siano zapłacił gotówką, i bez żadnej trudności dał trzysta rubli zaliczki na rok przyszyły..., Pieniądze te znikły jak kropla w morzu długów. Tego lata Stas ostatecznie stracił na duchu, osłabł i zaczął przebąkiwać, że dalej już nie da sobie rady. Uo dawnych kłopotów przyłączyło się jeszcze parę procesów z dzierżawcami i dość zawikłaną kwestją o folwark, zostający w zastawie, jedyny kęs ziemi wolny od bankowego długu. Postanowiono wezwać Wierzbickiego. Posłano na stację kolei stary kocz na połamanych resorach; przez cały dzień cztery bosc dziewczki od krów szorowały podłogi, myły okna, zarżnięto dwie kury i kilkoro kurcząt, stare zaś z niezmiernym pośpiechem odświeżały letnie suknie, prasowały spódniczki i kaftaniki, zbroiły się na cały tydzień, przygotowując się zarazem w myślach do zajmującej rozmowy o literaturze, o mózgu, o nowych prądach i starych przesądach. Szwagier był dla nich ideałem człowieka, nietylko bowiem własną pracą zdobył stanowisko i t, d., umiał prowadzić zajmującą rozmowę, ale przede wszystkim umiał słuchać! Kiedy zacierzwione wpadły w zapał i z zaciętym uporem dowodziły, że dwa a dwa — cztery, on słuchał, nie zaprzeczał, tylko przy pierwszej sposobności zwracał rozmowę na przedmiot więcej zajmujący. Stare tedy z upragnieniem wyglądały szwagra, który od pięciu lat nie był ani razu w Brzozówce, Królowna przez te pięć lat wyrosła na dojrzałą pannę—dla niej Wierzbicki był zupełnie nowym czło

wiekiem, nie znają go prawie; dawniej grywał z nią w piłkę, przywozi! raoralnonauczające książki w ładnej oprawie i gwałtownie domagał się całusa; egzaminował ją z historii i literatury, sam podpowiadał i chwalił niezwykłą jej pamięć i uzdolnienie, najczęściej jednak milczał i wówczas miał minę fatalnie znudzo nego całym otoczeniem i własną forsowaną wesołością.

To też, gdy na drugi dzień po jego przyjeździe znaleźli się sara na sam w kancelarji. gdzie ona miała mu pomagać w wyszukaniu porozrzucanych papierów, spojrzeli na siebie uważnie, jak gdyby spotkali się pierwszy raz w życiu... On zmierzył ją wzrokiem od stóp do głowy. Wpatrzył się w pociągłą świeżutką twarz...

— Wyrosłaś na śliczną pannę! — rzekł zdumiony. Ona milczała chwilę, wyrzucając z szuflady ua stół żółtkie papiery,

— Doprawdy?... nie wiedziałam o tem! — odrzekła z doskonałą obojętnością, która więcej może niż wdzięki zachwyciła wrażliwego szwagra.

Spojrzał na nią z ukosa: ostry prodi, brwi zlekka ściągnięte i dumnie wydęte usta wyrażały siłę woli i niezachwiany spokój.

— Zkąd się to wzięło wśród tych grzybów spleśniałych?... Powiadają przecież, że sowa nie urodzi sokoła... Widocznie zdarzają się wyjątki!... Przez cały czas przebierania listów, dokumentów, notatek, królowna co chwila prawie czuła na sobie badawcze spojrzenie szwagra; dziwił się, że zna dokładnie stan interesów, pamięta długą listę dłużników i nie ma żadnych iluzji co do polepszenia bytu.

— Wyglądasz jak stary rachmistrz, wobec takiej pow.igi nie śmiem zapalić cygara. i po co Stach wtajemniczał ciebie w te smutne sprawy? Jiady ani pomocy chyba .spodziewać się ide mógł. Struł twoją młodą wesołość i basta... Na snutki i kłopoty zawsze dość

czasu... Nie sądziłem, że on i papla i mazgaj jednocześnie...

W słowach tych było pewne lekceważenie praktycznej strony jej charakteru, ale była, zarazem mężka energią, która zawsze imponuje kobietom. Spoglądał na nią z widoczną przjemnością i z serdecznym współczuciem zarazem. To ciągle hypnotyzowanie wzrokiem zaniepokoiło ją w końcu; coraz bezmyślniej wpatrywała się w papiery i coraz baczniej śledziła twarz i ruchy Wierzbickiego. Wyłysiał przez te lat pięć, postarzał znacznie, do piękności nigdy nie miał pretensji, rudawy blondyn z czerwoną twarzą, z głęboko osadzo nymi niebieskimi oczyma, przenikliwość wzroku łagodził wesołym uśmiechem. Znać po nim było, że czasu tracić nie lubi; rozmawiając, żartując, notował cyfry, nazwiska, z nagromadzonych papierów odrazu wybierał najpotrzebniejsze; bez królowny obszedłby się wybornie, przeszkadzała mu nawet, podsuwając bez żadnej potrzeby listy, zaczynające się od Jaśnie Wielmożny Panie i tym podobne dowody starej świetności; pociągała go jednak niepospolitą urodą i zagadkowym nieco wyrazem twarzy; umyślnie marudził, żeby jaknajdłużej być z nią sam na sani; gdy wyszła, wstawał, chodził po pokaju, nasłuchując czy nie wraca. Opuszczone, stare domisko, obrosłe mchem i drzewami, w którym dawniej kilku godzin wytrwać nie mógł, poweselało nagle, rozjaśniło się, jak gdyby naraz wszystkie odwieczne drzewa zasłaniające okna usunąwszy swe zielone konary, przepuściły do wnętrza wesołe promienie słońca...

— No proszę! takie śliczne dziewczę gnieździ się w tej zgniłej dziupli, powtarzał w myślach, spoglądając na grzyby po kątach, na pleśń po ścianach. Ogarnął go nagle niepokój o jej przyszłość; nie mógł przecież pozwolić, żeby się zmarnowała w tej głuszy, z kąd wreszcie wyrzucą ich prędzej może, niż się spodziewają. Myśl

ta oblegała go coraz natarczywiej, pomimo to przez pierwsze parę dni nie miał odwagi zaproponować, że weźmie ją ze sobą, a potem ostatecznie zaniechał projektu. Zeznawał w duszy, że ogarnia go głupi szal, nieprzewyciężony pociąg do tej dziewczyny; jak mocne wino, podniecała w nim wesołość i wymowność niezwykłą, ale śmiał się i gadał tylko dla niej. Zaledwo wy szła z pokoju—poważniał, wracał do swej codziennej skóry... parę razy nie podał jej ręki na djbranoc, bo czuł, że ścisnąłby jej palce zbyt silnie, głupstw przecież wyprawiać nie miał zamiaru... Siedząc nad papierami w kancelarji, jak ostatni żak tłumił oddech, albo skradał się do drzwi na palcach, żeby jej głos usłyszeć. Jak tylko spostrzegł ją zdaleka w ogrodzie, rzucał się (do okna, rozchyłał splątane gałęzie lipy i przez otwór w gęstych liściach śledził ją wzrokiem, a gdy znikła za drzewami, czekał nim wróci, wpatrywał się z natężeniem, czy między drzewami nie dostrzeże rąbka jej sukienki. Śmieszne to było, ale on śmiech i rozwagę odkładał na później, teraz strzegł się tylko kompromitujących wybryków; unikał jej nieznacznie, nie patrzył na nią, bo i bez tego twarz jej wciąż jak zaklętą miał przed oczami. Czasami jednak zdarzało mu się, że nie wytrwa w swej roli—podczas długich przechadzek szczególnie, gdy przez ostrożność pod jedno i pod drugie ramię brał chude ręce starych panien, a idąc między nimi miarowym krokiem, słuchał banialuków na temat hlozoiji lub praw kobiecych, a jednocześnie spoglądał na samotnie idącą przed nimi królownę, uczuwał drażniącą niecierpliwość w piersiach, odpowiadał bez sensu, i to jedną, to drugą chudą rękę nerwowo łokciem do żeber przyciskał. Stare uśmiechały się do niego rozkosznie; wróciwszy ze spaceru, gdy się znalazły same w panińskim pokoju, nie mogły się dość nachwalić jego rozumu i elegancji.

A on tymczasem, z cygarem w ustach, z rękami w kieszeniach chodził wielkiemi

krokami po ciemnej alei, podrzucał ramionami i spluwał! od czasu do czasu. Co mu się stało?—drwi! zawsze z tych zawrotów gwałtownych, naturę swoją trzymał w garści, życiem tak kierował, że prawie był pewny, że nie zachoruje i nie umrze bez pory, a tu raptem sza! głupi w taki wir go popchnął, że czuł już słabnące siły, resztkę woli już tylko jakby zębami trzymał. Zrana bywał trochę trzeźwiejszy... raz nawet wyjechał ze Stasiom do folwarku; wówczas jedna ze starych, widząc zdziwienie królowny, żaidowała złośliwie:

— A cóż? myślałaś, że ciebie o pozwolenie poprosi? Pamiętaj, że powiedziano jest: Nie požądaj żony bliźniego twego. O mężu wprawdzie przykazaide milczy, ale za to mówi o ośle, a to wszystko jedno.

— Ja znacznie później niż ty uczyłam się pacierza, więc przykazania dobrze pamiętam—odrzekła królowna spokojnie.

— Biedna Nina! żałuje marki na list, a nie wie, że jej ogniotrwała kąsa w niebezpieczeństwie!

— Napisz do niej o tem,

— Ha! Chcialabyś ją zabić tą wieścią piorunującą! Nie bój się, narzędziem zbrodni nie będę! Wiesz przecie, że mądrość z mlekiem wyssałam,

— Nie przechwalaj się swoją mamką, wszyscy wiedzą, że była to stara plotkarka!

Stara zaśmiała się wesoło, Obie miały wielką słabość do tej Czarnej kotki—królowny—znosiły od niej wiele i przebaczały jej wszystko.

Przywiązanie to wytworzyło w nich baczność na wszystko, co się odnosiło

do najmłodszej siostry; dostrzegły, domyśliły się, przeczuły może niezwykłą skłonność dla niej Wierzbickiego; zawrzało naraz w przygasłej nieco wyobraźni starych panien: ciekawość, strach jakiś, pragnienie chociażby pośrednich wrażeń, ożywiły odrętwiałą już nieco naturę. Wzrok i słuch stanęły pod bronią... Tymczasem cały ten rynsztunek okazał się zbytecznym. Wierzbicki

cały zakopał się w inteiesach, a królowna ani jednym ruchem nie zdradziła stanu swej duszy. Starej były do niej trochę zażalone;

— Skryta jest, nieszczerza!—mówiła Cesia.

— Bez serca!—dodała Halka sentencjonalnie.

— Ach, żeby on już .sobie wyjechał! — powtarzała w duszy królowna każdego rana — a wieczorem, przysłoniwszy ręką oczy, szeptała jakby pod sekretem przed sobą;

— Znowu dzień minął... jutro, pojutrze.. wszystko się skończy! Zdawało się jej jednak, że to jutro nigdy nie nastąpi...

Zrazu czuła tylko strach jakiś przed natrętnym wzrokiem mężczyzny... дума podtrzymała w inej zwykłą sztywność i spokój... Z całą swobodą siadała przy nim. rozmawiała; pod wpływem gorącego wzroku roz. winęły się i wzrosły w mgnieniu oka wszystkie zarodki kokieterji, mrożone dotąd chłodem otoczenia... Nieraz przez długie chwile siedziała naprzeciwko niego nieruchoma, z rękami skrzyżowanymi na piersiach.

— Patrzaj, jeżeli ci to sprawia pi zyjemność!—zdawały się mówić pogodnie oczy, pogardliwy uśmieszek na dumnych ustach.

Ale gdy tych spojrzeń zabrakło, kiedy Wierzbicki, jakby znudzony jednostajnością widoku, przestał zwracać na nią uwagę —w duszy

zbudziła się straszna zazdrość o każde jego słowo i spojrzenie ! Przez kilka dni należał do niej całkowicie—nie zdawała sobie sprawy, jakie w nim budzi uczucie i co z uczuciem tem zrobi w końcu, czuła tylko, że jest zadowolona, prawie szczęśliwą. Kaptowna zmiana przecięła odrazu słoneczną nić, wiążącą ją z nieznanym światem, o którym już marzyć zaczynała. Chciała się otrzeźwić za pomocą rozsądku — Toż myśl dzika!... żonaty... szwagier!... I cóżbym z tym fantem robiła? Taki mądry, trzeźwy!... On może

bezwieilnie patrzył na mnie, a Jednocześnie sumował nasze długi. Tem lepiej. interesy zyskają, a ja nie stracę—spokoju!

Spokój ten jednak zginął bezpowrotnie ! Do głodu miłosnego dołączyła się podrażniona próżność. Przecież nie zbrzydła odrazu! Spowszedniała tylko... Nowy wdzięk jakiś zwróciłby znowu jego uwagę. Zrywała nieznacznie białe i czerwone róże, i przynosiła je do pokoju, ukryte w kieszeni. Tu, przed upstrzonym przez muchy zwierciadłem, wpinała naprzemian to jedną, to drugą we włosy, za uchem, nad czołem — prześlicznie jej było w kwiatkach — ale wyjść tak ustrojoną nie miała odwagi!

Bala się domysłów, znaczących słówek i uśmiechów. Czasami zdawało się jej, że popełnia wielką zbrodnię chodząc wóczas przez kilka godzin po swoim pokoju rozdrażniona, niespokojna, co chwilę miała Izy w oczach, a na chaotyczne myśli odpowiadała sobie półgłosem jednym tylko frazesem:

— Nie, przez cały dzień dzisiaj nie wyjdę z tego pokoju!

Tak niegdyś, będąc małą dziewczynką, postanowiła zamorzyć siebie głodem, gdy nie chciano dogadzać jej kaprysom, i wówczas i teraz postanowienie znikło wobec obiadu; zaledwo posłyszała w jadalni głos Stasia i Wierzbickiego, zapomniała o zbrodni, czekała tylko, zanim wszyscy się zbiorą, nie chciała być pierwszą... Wychodziła z pokoju po to tylko, żeby przez cały obiad słuchać sprzeczki, lub wesołych żartów brata i szwagra, przerywanych wesołym śmiechem starych, które ostatecznie doszły do przekonania, że po wyjeździe Wierzbickiego chyba umrą z nudów,

— Żeby ja mogła umrzeć! Jedyna rzecz, która mi pozostaje do zrobienia! Jeszcze lat parę... młodość zgaśnie, śmieszne rojenia pierzchną, zostanie przeświadczenie o własnym niedołęztwie... w dodatku może przy

plączą się dziwaczne pretensje starzejącej się panny, która gwałtownie pragnie ratować znikającą nadzieję... nędza przytem i ciągła obawa ostatecznej katastrofy majątkowej... Pyszna przyszłość...

Myśl o śmierci pojawiła się teraz w znacznie łagodniejszej, jakby melancholijnej formie.

Umrze w kwiecie wieku... już nie z trwogi przed nędzą jedynie... do śmierci tej przyczyni się jeszcze uczucie... występne może, ale potężnie silne... napróżno starałaby się je stłumić... musiała przocież pokochać raz w Życiu... Czyż to jej wina, że na pustej drodze życia spotkała tylko jego?...

Czasami starała się część tej winy jemu przypisać... Wówczas wspomnienia spojrzeń i słów nabierały niebywałej doniosłości, mnożyły się raptownie... Trwało to jednak krótką chwilę: przyznawała w duszy, że

on zbyt prędko ochłonał z wrażenia... że... że ona widocznie niezdolną jest wzbudzić głębszego uczucia w poważnym, rozumnym człowieku, żeby w twarzy jego mogła wyczytać chociaż część tego niemego uwielbienia, którym prześladował ją Włodek! Poczciwy wół pożerał ją wzrokiem w kościele, przyjeżdżał do nich pod roz maitemi pozorami, ośmielony nieco, rozmawiał z nią nawet czasami... Myśl o śmierci i miłość Włodka łagodziły do pewnego stopnia rozjątrzone nad wyraz usposobienie.

Umierając, będzie mogła powiedzieć sobie, że i ją ktoś kochał na śniecie! Melancholja ta przebijała się w jej ruchach i w głowie; była przekonana, że taką już pozostanie do śmierci.

Wtem, raz przechodząc przez ogród, usłyszała pośpieszny szelest gałęzi bliżutko za swymi plecami; gałęzie te zasłaniały okna kancelarii: chodziła często w tę stronę. Pochyliła się nad krzakiem białej róży, i bardzo starannie, bardzo troskliwie zaczęła zdejmować liszki z gałązek. Szelest powtórzył się raz jeszcze i ucichł. Ostrożnie, nie podnosząc głowy, wpatrzyła się

z ukosa w gęste liście lipy. Dostrzegła naprzód część popielatego rękawa ira, wyżej nieco blaty mankiet ze złotym guzikiem... Biedne liszki spadały jedna za drugą, królewna uwzięła się na ich życie! Gdy liszek nie stało, przyszła kolej na uscble listki: odwieczny krzak róży, którym dotąd deszcz i słońce opiekowały się po swojemu, stał się naraz celem wyjątkowej troskliwości.

— Stoi jeszcze!—szeptała z bijącym sercem! Między jednym i drugim mankiem dostrzegła części rudawej brody, a wyżej nieco—brwi i część czoła. Oczu tylko bała się spotkać! Liście zasłaniały twarz, nad głową

krzyżowały się drobne gałązki, wśród gęstej zieloności tylko bardzo wprawne oko mogło dopatrzeć ukrytego widza. Królowna odeszła w głąb ogrodu. Odkrycie to zdziwiło ją więcej, niż ucieszyło. Melancholja, myśl o śmierci znikły — odżyła, ale jakimś innym, jakby po ważniejszym życiu.

— Kocha mnie! — powtarzała z takim uczuciem, jakby słowa te padały w niezmierną, zupełnie pustą przestrzeń.

— Kocha! Z wyrazem tym w jej umyśle kojarzyło się pojęcie o nieograniczonej sile, zdolnej druzgotać wszelkie przeszkody, którą nieprzełamana wola trzyma zakutą w piersi mężkiej!

— Biedny!...

Przeświadczenie o jego cierpieniu przyniosło jej znaczną ulgę; bolesna, przygnębiająca strona uczucia znikła bez śladu... pozostał błogi spokój, pogoda zawitała do duszy.

— Biedny!...

Słowem tem jak dobroczynnym balsamem usiłowała złagodzić ślady, pozostawione od cierni niepewności, zwątpienia i rozpacz.

Nie zastanawiała się nad rodzajem, ani możliwą trwałością jego uczuć — wiedziała, że w tej chwili kochał ją. Świadomość ta potrzebną jej była jak powie

trze... Odetchnęła całymi piersiami! Nie mogłaby sita mieć oddechu, chociażby powietrze to miało zawierać zabijający narkotyk.

— Kocha!... — powtórzyła w duszy, jak uwolniony z pod noża skazaniec powtarza: Żyję!

W postępowaniu jej nie zaszła żadna zmiana, baczniej tylko śledziła ruchy i spojrzenia Wierzbickiego. On zrozumiał, że uczucie jego nie jest już tajemnicą. Dłuższy pobyt na wsi stawał się niemożliwy; u załatwianiu interesów dawno już nie było mowy, siedział dla odpoczynku, dla świeżego powietrza, przede wszystkim zaś dla tego, że wyjazd swój z dnia na dzień odkładał. Cały czas wprawdzie przepędzał za domem ze Stasiem: w polu, w stajni, na folwarkach, ale wyjechać nie mógł. Przez parę godzin dziennie byli razem, rozmawiali, śmieli się wobec wszystkich; on czasem polał jej rękę, gdy ze stopni ganku schodziła, w chłodny wieczór zarzucił szal na ramiona; rękę i szale podawał i starym, królowa czuła jednak, że dla niej robi! to inaczej.

— Ozy wytrwa do końca? Czy się nie zdradzi?...

Przekonaną była, że wytrwa, a jednocześnie pragnęła gorąco, żeby został chociaż na jedną chwilę. Chwilę tę przedstawiała sobie w myślach stokrotnie... Słyszała gorące słowa miłości, czuła, jak ją tulił gwałtownie w ramionach, przeżywała całą gamę uczuć od rozkosznego dreszczu do miłosnego omdlenia... Orzeźwioua, oglądała się niespokojnie, bała się, czy kto myśli jej nie podsłuchał!... W minutę potem, gdy się znalazła wobec Wierzbickiego, była znowu sobą, drgające jeno nozdrza i przyśpieszony oddech zdradzały ją trochę, odwracała głowę, unikając jego wzroku, Gdy się znaleźli sami, w pokoju lub na ganku, on palił cygaro i milczał—był trochę zakłopotany, szukał w myślach tematu do rozmowy, czasami ogarniała go gwałtowna chęć pocałowania jej w rękę, Zaczynał mówić o gosfo

darstwie lżej mu się robiło, gdy przerwał dręczące milczenie.

Ona nie słyszała ani jednego słowa, a on powtarzał machinalnie słowa Stasia.

Za to od czasu do czasu spoglądali na siebie: oboje byli o sto mil od szalonych myśli, które napastowały ich w różnych porach dnia i nocy.

— Śliczne dziewczę! powtarzał w duszy Wierzbicki ze spokojem świętego ascety,

— „laka ta Nina szczęśliwa!”—rozmyślała jednocześnie królowna,

Miał wyjechać w niedzielę rano — uciekł w piątek

o świcie chłopską furmanką, jak zwykle, W kieszeni paltota uwiózł jedną różę z owego krzaka przed oknem. którą zgubił zresztą zanim dojechał do stacji.

W kilka miesięcy potem królowna wyszła za Włodka. Z całej rodziny jeden tylko Wierzbicki pochwalił ten krok rozsądny, napisał do niej list serdeczny, którym widocznie chciał dodać jej otuchy, zachęcić do wytrwania w rozsądnym postanowieniu.

Masz we mnie brata! przyjaciela, pamiętaj o tem pisał do niej w tym jedynym i ostatnim liście.

List ten odczytywała nieraz,., umiała go na pamięć. Teraz, siedząc samotna w hotelowym pokoju, powtarzała w myślach każdy wyraz, tchnący szczerą, serdecznym uczuciem.

Musi ją ratować! Wie przecież, że tylko straszna ostateczność mogła ją popchnąć do szukania jego opieki

i pomocy... W hotelu powoli zalegała cisza. Uspokoili się gwarne głosy na pierwszym piętrze; naprzeciwko w oficynie zgasło światło w kilku oknach. U sąsiadek tylko wciąż jeszcze trwała głośna rozmowa sprzeczały się widocznie... od czasu do czasu wybuchały szczerym, wesołym śmiechem!

Włodkowa zmęczona oczekiwaniem, znużona dręczącymi myślami, przysłuchiwała się krzykliwej weso-

łości... Wesołość ta stanowiła jaskrawy kontrast z jej iisposołtieniem. Świece dopalały się w lichtarzach. za szatą w kacie mysz szamotała papierem. z podwórza dolatywał odgłos kroków i oddalony turkot durożek.

— Co ja tu zrobił" ... i czy zrobię cośkolwiek — po wtarzała zcicha. Siedziała przy stoliku z głową opartą na ręku...

Zawód, doznany na pierwszym wstępie, wzbudził trwogę; jadąc, pewną była. że Wierzbickiego zobaczy dzi.ś jeszcze, że go jakimś trafem na dworcu spotka... Uplanowała już całą rozmowę. On miał jej dodać otuchy. Teraz, po długim namyśle podczas oczekiwania cały pian został znacznie zmieniony.

Nie przyszedł, widocznie nie było go w domu. nie otrzymał listu. Pomimo to miała żal do niego, że mi mowrdi skazał ją na samotność, na szamotanie się z bo leśnemi myślami.

— Będzie zły, że się rozminął z moim listem.. Byłby już tu ori dwóch godzin,

W głębi duszy ani na chwilę nie wątpiła, że kocha ją po dawniejszemu... Ona przecież iemu nie winna... wzbronione uczucie zawsze najmocniej wrasta w duszę.

Drzwi naprzeciwko otworzyły się — sąsiadka odprowadzała swoich gości.

— Do jutra tedy. rzekła, a nie zapomnijcie o liście, trzeba mu zmyć głowę, rozhultał się widocznie, więc wpada w pesymizm.

— To już twoja rzecz odpowiedział wesoły głos z schodów.

Włódkowa podniosła głowę... czekała, co jeszcze po wipdza....

— Pesymizm... nie rozumiała dokładnie tego słowa dla niej miało ono znaczenie apatji. seuuegu odrę twienia z którego napróżno nieraz starała się obudzić.

w jej otoczeniu stan taki nazywano haltajstwem. Mąż powtarzał coraz częściej.

Bo ty, Karusiu, weź się do roboty jak się należy, nabiegaj się. napracuj przez cały dzień, krew rozgrzeje się, będziesz zdrową jak rydz; z tą powolnością sobie, ludziom i Bogu w końcu obrzydniesz, dalibóg! Ochrypły, powolny głos odżył nagle w jej ustach. Wstała z kanapy, przeszła się przez pokój, zacierając ręce.

— Nie, tak dłużej być nie może.

Odrętwiała chwilowo wola i energją zbudziły się w duszy z całą siłą. Nazajutrz obudziła się późno; kości ją bołaty; przeciągała się na twardym materacu. Przez spuszczone rolety u dołu przekradały się promienie słońca; w pokoju panował półcień, nie osłaniający dostatecznie zakurzonych ścian i pajęczwy nad piecem. Włódkowa powiodła wzrokiem dokoła: uarazie nie mogła przypomnieć, gdzie jest i co się z nią dzieje. Podróż... hotel... hałaśliwe sąsiadki... oprzytomniała w końcu... Usiadła na łóżku, przed oczami, na ciemnym tle pokoju zarysował się raptem mały bielony domek, obłany smółcem, z brzoźkami przy ganku. Z sieni przez próg wysoki z trudnością przełaziła na czworakach dziewczynka bosa. w koszulinie, z zarumienioną od snu twarzą...

Włódkowa wpatrywała się w ten miraż sze roko otwartymi oczami, machinalnie, jak przez sen, zrobiła znak krzyża w powietrzu...

Twardy sen wzmocnił ją i orzeźwił, wczorajsze wieczorne zmory pierzchły przed jasnym promieniem słońca; odgarnęła palcami włosy z czoła, wyskoczyła z łóżka. Zastukano do drzwi gwałtownie.

— Karolciu, to ja!—odezwał się za drzwiami słodki głos Niny.

Włódkowa ściągnęła brwi, przez chwilę stała niezdecydowana... przekreśliła klucz w zamku i cofnęła się do łóżka, okryta pledem.

— Dopiero wstajesz, ależ, droga moja, już dziesiąta! zawołała, wchodząc, śliczna, elegancka pani.

Siostry ucałowały się kilkakrotnie. Włódkowa na razie nie mogła się zdobyć na pierwsze słowo, wyręczyła ją Nina. Pieszczotliwym głosem opowiedziała, stojąc przed nią. Ze dopiero dziś zrana dowiedziała się o jej przyjeździe od męża, że list nie zastał go wczoraj w domu, że bardzo rada. Ze ją widzi, taka miia uiespodziaka, nagadamy się z sobą o wszystkim. Nachyliła się, pocałowała ją raz jeszcze i, wciąż szczebiocząc, oglądała się po pokoju, szukając wolnego krzesła; przyczem dostrzegła parę zakurzonych skórzanych bucików przy łóżku; obok czerwonych podwiązek i granatowych poriczoch, dostrzegła na krześle zakurzoną czarną kaszmirową suknię, bardzo skromny szary płaszczyk na łóżku. Włódkowa bosa, w koszuli, z pledem na ramionach, z rozczochranymi włosami, wyglądała jak cyganka wobec eleganckiej damy. Odpowiadając krótko na zapytanie, mierzyła ją wzrokiem z pod brwi ściągniętych. Nina miała na sobie jasnopopielatą suknię bardzo obcisłą na biodrach, stanik leżał jak oklejony ua pysznej figurze, z pod popielatego kapelusika z bratkami, spadała na czoło misternie ułożona złotawa grzywka; biała tiulowa woalka sięgała tylko do ustek, z pod sukni wyglądała zgrabna noga w połyskującym się pan toflu. Twarz jaśniała pogodą i niezrównaną świeżością. Zdawało się, że teraz dopiero widoczny był w całym znaczeniu skutek dobroczynnych promieni słońca, którym się tak chętnie poddawała, wygrzewając się nago nad brzegami jeziora! Kozkwitła i dojrzała pysznie... W dużych szarych oczach pozostała dziecinna ciekawość. O matce, o rodzeństwie zapytała pobieżnie; odwykła już od nich, bała się złych wieści, tam przecież zawsze bieda, kłopoty, a przytem nudy śmiertelne! Stokroć więcej zajmowała ją Włódkowa; spotkały się teraz po

jej ślubie. będą tedy uwagi, zwierzenia... Nina przepadała za tego rodzaju zwierzeniami. Ta siostra, z która teraz będzie mogła mówić swobodnie o przypadłościach różnych, o dzieciach, o chorobach swoich znajomych, była jej bliższą i droższą niż tamte dwie, z którymi właściwie nie miała o czym mówić.

— Przyjechałaś się zaradzić? więc jesteś chorą? — spytała ciekawie, gdy Włódkowa, chcąc uniknąć natrętnych pytań, powiedziała zmyślony powód przyjazdu.

Nina przysunęła się z krzesłem do łóżka, pochylona ku siostrze, wpatrywała się w nią ciekawie, drgające różowe nozdrza węszyły ulubiony temat rozmowy.

— Dawno to? mów, przecież ze mną możesz mówić o wszystkim — nagliła stłumionym głosem, widząc, że siostra ociąga się z odpowiedzią, — Nie lubię chorować i nie cierpię mówić o chorobie! — odrzekła Włódkowa.

Nina wyprostowała się, rozjaśniona twarz spo chmurniała nagle; niezrażona stanowczą odpowiedzią, zagadnęła z innej strony;

— Adi, wy tam na wsi nie macie lekarzyspecjali stów. to wielkie nieszczęście!... Tu wyleczą cię odrazu!... Znam ich wszystkich, sama wprawdzie nie lecę się nigdy... ale moje znajome, powiadam tobie, nie szczęśliwe kobiety!...

Zaczęła wyliczać krótsze i dłuższe przypadłości swoich znajomych, znowu się ożywiła. Śliczna twarz oblała się parę razy rumieńcem zadowolenia, różowe usteczka nazywały wszystko po imieniu, z naturalną prostotą wypowiadała rzeczy, zdolne wzbudzić niesmak w cynicznej ulicznicy. Były tylko we dwie... z sobą przecież mogły mówić o wszystkim.

Potem, co opowiedziała, pewną była, że Włódkowa dłużej krępować się nie będzie, z całą szczerością opowie o swych doległościach. Cboroba ta zaczynała ją

interesować... domyślała się trochę, przypuszczała, ale... nie była pewną... Wiedziała, że córeczka Włódkowej ma rok za ledwie, na tem tle snuła różne kombinacje, opowiadała o znajomych, które też mają roczne córeczki, a zaznaczając odnośne takty, patrzyła badawczo w twarz siostry. Na twarzy tej jednak nic a nic wyczytać nie mogła. Włódkowa ubierała się z wolna; wytarła twarz i szyję zmoczonym ręcznikiem; w krótkiej spódnicy, w gorsowej koszuli, usiadła przed lustrem i zaczęła rozczesywać pyszne czarne włosy.

Nina dopiero teraz zauważyła, że siostra zmieniła się znacznie: schudła, ściemniała, na policzkach i na skroniach miała żółte plamy, a szyi i między brwiami zarysowały się głębokie bruzdy...

— Po pierwszym dziecku zeszkapiała tak strasznie! Cóż będzie dalej? Westchnęła ze szczerem współczuciem.

O dzieciach rozmowa poszła składniej. Nina, oziębiona nieco skrytością siostry, ożywiła się znowu; przysiadła bliżej ku niej. po drugiej stronie stołu, zdjęła przyciasne rękawiczki, i zacierając pulchne palce, a których oprócz ślubnej obrączki błyszcząły dwa oryłałowe pierścienie, o swojej czwórce gawędzić zaczęła. Żadnego sama karmić nie mogła, było to dla niej straszne zmartwienie! Mieć dzieci, a nie karmić, to przecież tylko połowa przyjemności!... Dziwiła się w duszy, że Włódkowa nie zachwyca się swoją córeczką, przyznaje sama, że jest brzydką, krzykliwą i powiada. Ze za nic w świecie nie chciałyby mieć więcej dzieci!... Okrzyk oburzenia

zastygł na wpółotwartych ustach Niny. patrzyła na siostrę, jak ua warjatkę.....

— Ty nie jesteś kobietą! — szepnęła w końcu pod wpływem ogłupiającego zdumienia.

Włoilkowa wzruszyła ramionami.

— Chacun son yout! odrzekła.

Nina straciła ostatecznie wątek do rozmowy z siostrą; i choroby, : dzieci, poufne zwierzenia nie szły jakoś. Włodkowa wyglądała zamyślona, parę razy nie odpowiedziała na pytanie,, to znowu ni z tego ni z owego zapytała, o której mąż wraca i czy zawsze bywa na obiedzie wdomn?,,, — Hoże chce od niego pożyczyć pieniędzy!.,. Zaczerwieniła się, przygryzła nsta,,. Wiedziała, że mąż jest głupi i nieraz już dawał pieniądze Stasiowi teraz pewno znowu wysłali do niego Włodkowa! Dla siebie zapewne prosić nie potrzebowała, Włodek był , tylko zagrodowym szlachcicem, ale podobno miał się dobrze !,,. Ach, więc nigdy ta głodna szarańcza nie przestanie ich skubać!,, Nie lubiła swojej rodziny dlatego tylko, że była zubożałą.,. Nie można było po iechać do nich na parę dni, nie wioząc z sobą całej fury podarków!.,. Mąż ją tak wyprawiał! Dlatego leż w końcu przestała do nich jeździć... Trudno być hojną, gdy się ma swoich czworo dzieci!,,. Śpochmurniała. wydeła usteczka, świeżutka bozia postarzała o lat kilka... Sama nie wiedziała, czy ma prosić Włodkowa na obiad?,,. Mąż wprawdzie sam wydał ją po to... kazał nawet zabrać Włodkową z hote u do nich na mieszkanie... Ale tego to już nie robi, nawet dla konającej matki nie naru.szylaby raz ustanowionego porządku w domu. Na obiad jednak

musiała prosić... Nie odstąpi ich ani na chwilę; przy niej zaś Włódkowa o pieniądzach nie wspomni.

— Muszę kupić nowy kapelusz — rzekła Włódkowa. chciała raz jeszcze wybrnąć z rozmowy o sypialni i dzieciach...

Stary kapelusz wyglądał strasznie szkaradnie. Nina jęła go dwoma palcami, pióro było odfryzowane, wstążki zakurzone,

— Pójdę z tobą — rzekła — wybierzemy prześliczny tani!.. Spuść się na mnie!...

i znowu oczy blysnęły pogodą; przepadała za wy i liieianiem kapeluszy! Przymierzała ich zwykle po kilkanaście w każdym magazynie. Bez okrywki, z odkrytą głową, przectiodziła od lustra do lustra, słuchając po chlebnych stówek panien, które zachwycaly się nad kolorem jej włosów, nad piękną figurą, upewniały, że tak ślicznej kobiecie w każdym kapeluszu do twarzy liyć musi. Wiedziała o tem doskonale, uśmiechała się rozkosznie, kręciła główką, wracała do domu ubawiona, szczęśliwa, i nazajutrz nową rozpoczynała wędrówkę. Powtarzało się to na wiosnę i w jesieni; w tym roku wędrówka już była skończona: miała kapelusik wizytowy z bratkami i codzienny z czarnej słomy. Nie spodziewała się, że los nadarzy jej tak pyszną sposobność.

— Chodźmy tedy — zawołała, powstając z miejsca; pilno jej było wylecieć z ciemnego pokoju na słoneczną, ruchliwą ulicę

Otrzeпаła chusteczką stary kapelusz, poprawiła siostrze okrywkę. obejrzała ją od stóp do głowy.

— Pomyślą, że idę ze służącą — rzekła do siebie. W pierwszym magazynie zaraz spotka! ją smutny

zawód; zaledwo zaczęła oglądać eleganckie, leciuchne pieścidełka. wybierając te, w których jej mogło być najpiękniej, zaledwo przymierzyła jeden z różowych stokrotek, a już Włódkowa wybrała czarną kapotkę, zapłaciła bez targn, bez jej rady i, zawinawszy w papier stary kapelusz, zabierała się do wyjścia,

— Hojna jesteś! — szepnęła Nina urażona — na Niecałej dostałybyśmy taki o połowę taniej!...

— Czemuś mię tam odrazu nie zaprowadziła? Pożegnały się na rogu ulicy.

— O czwartej czekam — rzekła Nina — nie spóźniaj się, moja droga.

Włódkowa weszła do cukierni, usiadła wa framudze okna. Było prawie pusto, dwóch starych emerytów

zapijało kawę, czytając gazety; przy drugim oknie siwa babunia, czarno ubrana, jadła lody z jednego spo deczka z wnuczkiem w marynarskim ubraniu; uśmiechali się do siebie, podnosząc jednocześnie łyżeczki do ust Włódkowa zamyśliła się nad filiżanką białej kawy. Przed oczami stała świetna strojna Nina, typ zdrowej szczęśliwej kobiety... Wobec niej czuła się starą, zmorzoną życiem... ona dawno juz zapomniała tak śmiać się, tak pogodnie na świat spoglądać!

— Ślepy traf... nic więcej... tak, tylko traf! Tylko traf ciska kobietę w kałużę, skazuje na wieczue szamotanie się z nędzą, z upokorzeniem, na straszną poniewierkę, przykuwa raz nazawsze do wstrętnego człowieka, albo wynosi na szczyt powodzenia, pozwala być wzorową żoną. matką uwielbianą, szanowaną za cnoty, które tylko szczęśliwym okolicznościom się zawdzięcza!... Szczęście, przyszłość, życie całe tylko od trafu zależy...

A!... i wartoż mieć duszę, jeżeli o całym Istnieniu tylko szczęśliwy traf rozstrzyga?...

Zagryzła usta, w gardle ją ścisnęło, drażniła siebie bez żadnej potrzeby.

— Co ja mu powiem?... Od czego zacznę?...—zapytywała w duchu, zamyślając się po każdym zapytaniu... Zapewne dawno to przewidział...

Po pierwszym słowie sam dopowie resztę... Tak dłużej być Die może... On to zrozumie... Sara przecie ze swego życia musiał też wydrzeć kartę, na której miłość najwspanialszy hymn skreśliła... Biedny!... Jak on kochał szalenie!...

Nigdy jeszcze owo niewyznane uczucie nie wydawało się jej tak potężnym... Teraz, gdy za parę godzin miała go ujrzeć, zawczasu już bała się, czy ule zrobi zbyt silnego wrażenia... Dziś, więcej niż dawniej zależy mu na ukryciu prawdy... będzie tedy panował nad sobą... o sobie nie bała się wcale, od tak dawna przygotowywała się do tego spotkania... była zupełnie

spokojoną... tymczasem jednak wszystkie zapomniane, zbiakłe wspomnienia zbyt jaskrawo odżyły w pamięci; wobec jego doskonale odgrywanej obojętności, ona też doskonale potrafi być sobą.

Do cukierni wszedł piękny brunet w jasnopopie latem ubraniu, w żółtych rękawiczkach. Laskę i kapelusz położył na stoliku, przesunął ręką po spódnicy łem czole, już miał usiąść w drugim końcu pokoju, przy stoliku, u którego sługus postawił porcję lodów, wtem sipojrzał w stronę, gdzie siedziała Władkowa. poprawił binokle i z podniesioną głową przyglądał się jej przez chwilę, wziął spodek z lodami i usiadł obok niej przy drugim stoliku. Mrużąc oczy, z ukosa wpatrywał się w piękny proni, mierzył

okiem elegancka figurę w paratjańskim ubraniu; przerzucił rękę przez poręcz krzesła, rozparty, z wyciągniętymi nogami, dotykał prawie łokciami jej ramienia, uśmiechając się nieznacznie pod pięknym wąsem, magnetyzował wzrokiem pyszną kobietkę. Włódkowa wstała zwrócona ku oknu, zapinała u szyi okrywkę, on podniósł głowę, wyczekując... pierwszego spojrzenia. Wyszła, nie, rzuciwszy okiem w jego stronę... Piękny brunet przygryzł wargi, z wyciągniętą szyją przeprowadził ją wzrokiem na drugą stronę ulicy.

Wierzbicka tymczasem ua przyjęcie siostry urządziła uroczystą kąpiel swym dzieciom. W pokoju od podwórza, przy jednej ścianie między oknem a piecem, rozwieszona była na sznurach cała garderoba dziecinna, od śliniaczka i brudnej koszulki. aż do sukienki z kremowych koronek z niebieskierai wstążkami; przy drogiej stały dwie wanny, wysunięte ua środek pokoju; podłogę wysłanu szarem suknem, na ścianie zaś. obok lustra, wisiały narzędzia tortury: gąbki rozmaitej wielkości i różga, związana niegdyś białą wstążeczką.. W zimie bywało tu strasznie duszno, gorąco buchało od pioca., kłęby pary unosiły się z wanien, tworząc

szary obłok u sufitu i krople rosy aa szybach i lu strze; latera pokój wietrzono od rana do nocy i tyłko na czas kąpieli zamykano okna.

Uroczysta kąpiel odbywali się zwykle w sobotę. W ten dzień Wierzbicka budziła się z wykrzyknikiem na ustach:

— Ach, dziś będę kąpać dzieci!... Będziemy kąpać dzieci — przypominała kucharce, pokojówce. Wybacz, obiad będzie dziś skromny — mówiła do męża — kąpię dziś dzieci!...

Cały ranek poświęcała tej operacji, na szczęście, tylko raz w tydzień. Chcąc zaimponować siostrze eleganckim wyglądem czwórki, przeniewierzyła się tradycji, urządziła walną kąpiel w piątek. W czerwonej spódniczce do kolan, w gorsowej koszuli, z wysoko zaczesanymi włosami, z szyldkretowym grzebieniem na czubku głowy, zaczerwieniona, uśmiechnięta, uwijała się po pokoju, mierzyła temperaturę wody w jednej, to w drugiej wannie, podczas gdy w kącie pokoju, przy sofie, służąca rozbierała dziatwę jedno po drugim. Dzieci stały jak trusiątka, kąpiel przerażała je zawsze.

Najmłodszy, tłusty blondynek z dużą głową i czar nemi oczami, stał w kącie, tuląc głowę w ramionach; tymczasem milczał jeszcze, ale drganie warg i noska zapowiadało, że wkrótce beknie, z pod czoła spoglądał na różgę i wzdychał urywanem westchnieniem, przy pominającym stłumione łkanie...

Dwie tłuste białe dziewczynki sieiliały już w koszulkach na sofie, czekając, zanim rozbiorą chłopaków. Dziatwę zanurzano w wannie jednocześnie — tylko wspólny los zdawał się łagodzić trwogę i chęć do płaczu. Po chwili w wannie, napelnionej do połowy wodą, widniały cztery jasne główki; dzieci stłumiły oddech, spoglądały na siebie przerażone,, jeden sygnał do płaczu wywołałby może ogólne beknięcie... różga z białą wstążeczką podtrzymywała han ducha!...

— A co? dobrze, doskonale—powtarzała mateczka, układając na krześle gąbki i mydło — dzieci lubią się kąpać, prawda? ach jak dobrze w wodzie!

Poruszała koło nich wodę białą, pulchną ręką. Cztery pary szeroko otwartych ocząt z przerażeniem spoglądało na gąbkę i mydło: szorowania bały się jeszcze więcej niż wody!...

Wierzbicka przepasała na czerwoną spódnicę prześcieradło, złożone we czworo, odetchnęła z całych piersi i pochyliła się nad wanną. Z niezrównaną zręcznością schwyciła najmłodszego chłopaka jedną ręką pod ramię, drugą, uzbrojoną w namydloną gąbkę, szorowała mu twarz, główkę, ciało, zawieszona w powietrzu nad wodą! Chłopak zacisnął powieki, kręcił głową, brykał nóżkami, wyrywał się, buzi tylko otworzyć nie śmiał, czuł mydło na wargach; smak jego pamiętał dobrze, milczał tedy ze stłumionym oddechem, a mateczka pucowała go zajadle! Mięciuchne, aksamitne ciało sprawiało już niewypowiedzianą rozkosz, zdusiłaby je w uścisku, całowała by i kąsała naprzemian! Ulukro wanego mydłem chłopaka zanurzyła w wodę raz, drugi, trzeci, powtarzając zasapanym głosem:

— A co, dobrze, doskonale! ach, jak Felowi dobrze! Patrzajcie dziatki, jaki on rad, że się kąpie!...

Porwała czerwonego raka w objęcia i niosła do drugiej wanny z czystą wodą; tu jeszcze parę zanurzeń wraz z główką, i Felo był gotów.

Okrywała go prześcieradłem i sadzała na sofę.

Rumiany, błyszczący, ze sterczącymi kosmykami nad czołem, sapał głośno, spoglądał dokoła, jak gdyby dopiero na świat przyszedł. Kości bolały go trochę, podnosił do uszka to ramię, za które podczas operacji trzymała go matka żelazną dłońią, tarł nosek piąstką, ale milczał; bał się, żeby go znowu do tej dobrej, śliczueji wody nie wrzucono!

Kapanie sprawiały Ninie wielką przyjemność, ale i męczyło ją trochę. Zaledwo załatwiła się z dwoma delinkwentami, krople potu występowały na czoło, policzki pały, uśmiechała się do każdego z osobna, pożerała je wzrokiem, chciałyby wszystkie razem mieć w ręku, wszystkie szorować od razu; w najważniejszej chwili, kiedy rak był ułukrowany do połowy zaledwo, rzucała go w wodę, po to tylko, żeby schwycić śliczną tłuściutką córeczkę, żeby ją wycalować w dołki u ramionach, na łokciach, w kolanka, w szyję; rzucała ją do wody, i wciąż się uśmiechając, szczebiocąc do dziewczynki, szorowała delinkwenta! Kiedy już cała czwórka wymyta, wytarta należycie, znalazła się obok siebie na sofie, mateczka, klęcząc przed nią, naciągała kolejno każdemu pończoszki. Najmłodszy urwis kopał nogami, stoczył się jak karmna gęś na podłogę i bardzo grzecznie prosił, żeby mu pozwoliła pobiegać po pokoju w kąpielowym stroju.

— Raz jeden od drzwi do okna i dosyć!... Matka oparła się temu stanowczo, dowodząc, że to

wielki grzech, że Bozia nie lubi patrzeć z nieba u gołe dzieci... Z ubieraniem mniej było kłopotu, służąca podawała kolejno każdą część ubrania, Nina nakładała dzieciom, klęczając, nachylając się. obracała je jak marionetki, całowała w tłuste karczki, szczypała, kąsała żartobliwie w ramionka, w rączki powyżej łokcia. Dzieci się ożywiły, śmiały się wraz z matką, tupwały nóżkami, wyciągały rączki po sukienki, po fartuszki. W końcu cała czwórka gotową była do odwrotu — dwaj marynarze z gołemi łydkami i dwie marjonetki w niebieskich kusych sukienkach, w białych fartuszkach,

— A kysz do pokoju! — wołała zadyszana Nina, ujęła dwoma palcami czerwoną spódniczkę z jednej i z drugiej strony, poruszała uia, pędząc przed sobą na korytarz śmiejącą się czwórkę. _

— Karolcia pęknie z zazdrości, jak moje dzieci zobaczy! szepnęła do siebie, oddychając z całych piersi.

Ża to sama nie lubiła się ubierać; od niejakiegoś czasu tyła gwałtownie, gorset męczył ją strasznie, pomimo to ścisnęła się coraz mocniej.

— Pęknie z zazdrości! — powtórzyła, nakładając przed lustrem gorset, rurkowane spódniczki i fularową niebieską suknię w kremowe grochy, z kremowymi koronkami u rękawów i wyciętego stanika.

— Byleby męża o pieniądze nie prosiła!

Ach ten mąż! Najpocziwszy z ludzi, ale strasznie niepraktyczny! Nic a nic o przyszłości nie myśli! Nie mają prawie żadnego funduszu... jakieś kilkanaście tysięcy... cóż to znaczy! Dokąd on żyje, wszystko idzie dobrze, ale wrazie jego śmierci... któż ją weźmie z czworgiem dzieci?.. Teraz pannom trudno o męża. cóż dopiero wdowie z czworgiem dzieci! nawet młodość, zdrowie i piękność niewiele pomogą! Myśl o chorobie i śmierci męża była jedynym cieniem w jej pogodnym życiu!

Ubrana, przejrzała się w lustrze od stóp do głowy: miała zbyt silne rumieńce, ręce pachniały mydłem.

— Karolcia pęknie z zazdrości!

Spójrzała przez ramię na stanik, wysunęła z pal sukni nóżkę w złotawym pantofelku, w niebieskiej pończosze... Skinęła głową.

W salonie, w dużym lustrze, naprzeciwko drzwi, przejrzała się raz jeszcze.

Przez okna. przez szklane drzwi otwarte na bal kon, przysłonięte koronkowymi firankami, słały się na podłodze ukośne płachty słonecznego światła. Duszo tu było trochę od słońca, od ciężkich paśowych draperyi u drzwi i okien, od aksamitnych krzesełek i kanapek, poustawianych w chaotycznym nieporządku. Salon ten był jej chlubą: zawsze znalazła w nim cośkolwiek

ilo ustawienia, iakieś źdźbło kurzn do starcia... Dziś oglądała go troskliwiej niż zwykle...

Na ulicy, naprzeciwko otwartych drzwi balkonu, katarynka grała walca; Nina, potrząsając w takt biodrami, przechodziła od sprzętu do sprzętu, przesuwając krzeselka, układała symetryczniej albumy na stole, batystową chusteczką do nosa strzepywała ślady kurzu z kosztownych okładek...

Po drugiej stronie ulicy, na balkonie, akurat naprzeciwko otwartych drzwi jej balkonu, szpakowaty jegomość w żółtych pantoflach, bez kamizelki, w szarej marynarce, zapiętej na jeden guzik, lornetował jej salon, zalany falą słońca. Stojąc w cieniu, widział dokładnie złożone ramy małych i dużych obrazów na ścianach, pąsowe aksamitne meble, a na tem Ile ze złota i aksamitu widział przechodzącą się pyszną kobietę z jasnopopjelatemi włosami, w niebieskiej obcisłej sukni, z odkrytymi do łokcia bielutkimi rączkami.

Nina widziała go, nie odwracając głowy; krzątała się lia środka pokoju, akurat naprzeciwko drzwi balkonu; w końcu stanęła w blasku słonecznym, oblana światłem, z opuszczonemi wzdłuż sukni rękami, z podniesioną głową, zmrużyła oczy i patrzyła przez chwilę na swego nieruchomego obserwatora,— kiedy ten, nie odejmując lornety od oczu, postąpił naprzód parę kroków, odwróciła się do niego plecami i wyszła z pokoju. Czy to on jeden przyglądał się jej zdaleka i zblizka! Dwaj sąsiedzi z podwórza w poobiednich godzinach prawie nie odchodzili od okna; na ulicy, w salonie, na spacerach widziała zawsze zwrócone na siebie oczy mężczyzn!... Cóż ją to mogło obchodzić... była przecież uczciwą kobietą... Czasami lubiła ich drażnić dla zabawki: czesała się w gorsowej koszuli przy oknie, naprzeciwko okna ciekawych sąsiadów, albo w ładnym szlafroku podlewała kwiaty na balkonie, podczas gdy ten stary lornetował ją zawzięcie... Cóż lo ją mogło

obchodzić? Teraz pragnęła tylko, żeby jej córki wyrosły na ładne, pełne kobiety! Obie miały iakież śliczne ; ciało, jak i ona, i obiecywały wiele... ale czy się nie zmienią, czy będą miały jej piękny wzrost i kształtną figurę? Niestety! darów tych nie mogła im przekazać... Zresztą, Bóg łaskaw, może i one będą miały szczęście do ludzi;

Prawie jednocześnie wrócił mąż z sądu i przyszła Włodkowa.

— Pęknie z zazdrości, gdy zobaczy mój salon—pomyślała, śpiesząc na spotkanie siostry.

Mąż ją wyprzedził; na odgłos dzwonka wybiegł z gabinetu, sam drzwi otworzył.

— Jej królewska mość we własnej osobie!—zawołał uradowany; porwał jej obie ręce w czarnych rękawiczkach i przez długą chwilę obsypywał pocałunkami.

— Chodźże tu, do światła, niech ujrzę twoje królewskie oblicze, śliczna pani moja! Niech mię лихо porwie, jeżeli pamiętam drugie tak mile powitanie w życiu

Rzucił jej okrywkę lokajowi i ująwszy za rękę, poprowadził do swego gabinetu, spojrzął w twarz przelotnie i raz jeszcze serdecznie rękę do ust przycisnął.

— Siadajże tu, na tronie, jedno miejsce godne ciebie w tym pokoju!—zawołał, wysuwając na środek dębowy fotel. Sam usiadł naprzeciwko niej na sofie; oczy mu się śmiały, twarz jaśniała szczerą radością. Całą duszą cieszył się z jej przyjazdu.

Zapomniał już dawno o gwałtownej słabostce... takich porywów duszy zamłodził przeżył kilkanaście... Ten ostatni pozostał trochę dłużej w pamięci, dla tego właśnie, że był ostatni... że raż się przytrafił zapóźno... wśród nawału spraw, wśród kłopotów swoich i cudzych, podżyłemu, zubożniałemu na wszelkie głupstwa latu. siowi, w starej duszy wystrzelił kwiat spóźniony, który raptem najpiękniejsze kwiatki wiosenne przy

pomni!... Śmiał się potem sam z siebie dobrodusznym, pobłażliwym śmiechem! Na usprawiedliwienie, zwyczajem prawnika, przytaczał wyjątkowe okoliczności: głusz dzika, przepelniona odurzająco świeżym powietrzem, w którym unosiły się zarodki złego i dobrego akurat jak w rajach, a wśród tej wonnej cienistej głuszy prześliczne dziewczę, którego dotąd nawet grzeszne spojrzenie nie tknęło... Z drugiej strony trzy nudne baby, od których nawet muchy uciekały. Szalał za nią, a po tym szale, jak po każdej chorobie, w starszym wieku pozostało coś... czego najbieglejszy lekarz określić nie zdoła... Wdzięcznym jej był za tę powtórną młodość, wspominał ją zawsze z błogim uśmiechem, Czasami przypuszczał, że i ona miała dla niego słabostkę... Ie ciuchną zresztą, która wcale nie przeszkodziła jej wyjść w kilka miesięcy zamaż rozsądnie, jak należało w jej położeniu,

— Mądra, taktowna dziewczyna! Tę stronę charakteru cenił w niej więcej, niż czarujące powaby, które go odurzyły chwilowo. Pragnął dla niej spokoju i dostatku, nie byłby szczęśliwy, żeby wiedział, że jej źle na świecie. To coś, pozostałe w duszy, nie miało już ani śladu egoizmu... natomiast podnosiło do apoteozy wszelkie jej zalety, rozsądek i praktyczność przede wszystkim...

— Mądra, taktowna kobieta — powtórzył wczoraj jeszcze, po przeczytaniu jej kartki: pewny był, że przyjeżdża zasięgnąć jego rady w jakimś interesie; spo chmurniał, gdy się dowiedział od żony, że przyjechała się leczyć,...

— Nieznośna Karolcia, skarżyła się Nina. nie chce mi nic powiedzieć o swojej chorobie, ona przedemną ma sekrety! .Testem przecież starszą i mężatką.

— Nie mówmy o chorobie ! zepsuje to nam humor i apetyt. Ona niech o swoim domu, o mężu i dziechu mówi, to jej i nam przyjemność sprawi. No cóż, do,

brze tobie? Ściska! jej rękę w swoich dłoniach, patrzył w oczy, i z całym skupieniem ducha wyczekiwał jednego tylko słowa: dobrze!

— Czy sądzisz, że odrazu zacznę od narzekania?— odrzekła wymijająco. Pozwól mi wprzód nacieszyć się widokiem waszego szczęścia!

Wyglądacie oboje znakomicie... Nina tyje jak na obstalunek, a ty...

— A ja?

— Ty masz minę prezesa dobroczynności! Tyle pogodnej dobroci jaśniej w twojej twarzy, jak gdybyś chciał wszystkich maluczkich i nieszczęśliwych pod swoje skrzydła zagarnąć; masz w swojej twarzy coś patriarchalnego!

— Czy to przymówka do łysiny?

— Nie wiem; wynik to łysiny, czy spokojnego ducha, ale—wyglądasz imponująco!

Zaśmiała się; rozparta w fotelu, z rękami na poręczach, spoglądała kolejno to na męża, to na żonę.

Wierzbicki patrzył na nią zdziwiony, w śmiechu i w słowach było tyle źle ukrytej ironji! Teraz dopiero zauważył, że zmizerniała i zmieniła się bardzo.

— Chore biedactwo, więc i do oczu skacze, pomyślał.

Kozmowa przeszła na grunt neutralny. Wierzbicki zapytywał o wiadomości ze wsi, o matkę i siostry, mówił wesoło, wciąż jej w oczy patrząc, jakby się bał zadrasnąć jakąś strunę drażliwą.

— Ha. cóż może być nowego u nas! Dogorywamy! Drogi do nas trawą zarosły, żyjemy jak w grobie, siostry powysychały na mumje, Stas mówić zapomniał, matka żyje wspomnieniami przeszłości, długi tylko wiążą nas ze światem! Kłopotliwy to węzeł, co prawda, ale przypomina o nas dłużnikom!

Mówiła tak, jakby się nie odłączyła od rodziny, jakby i dziś jeszcze tylko dom rodzinny był jej domem.

— Święte życie I — zawołał Wierzbicki wesoło. Wszyscy asceci tali żyli. a jeszcze potem Bóg wie za co Królestwo niebieskie otrzymali.

— Nam w dodatku korona męczef.ska będzie się należeć.

— Czy dla tego, żeście starą szlachtą.

— Pokutujemy za cudze grzechy!

Wierzbicki machnął ręką; nie cierpiał frazesów; po kuta za cudze grzechy, podług niego, należała do takich absurdów, o których nawet z kobietami rozprawiać niewarto. Włodkowa zadziwiała go coraz więcej swoim podrażnieniem i nieustającą ironją.

Ona lo czuła, zeznawała całą głupotę wypowiedzianych frazesów, całą śmieszność drapieżnej ironji, chciał; być spokojną, naturalną, ale ani nad głosem, ani nad słowami zapanować nie mogła; żółć w niej się rozlała, a serce i rozum skrzepły! Wesołe twarze, gustowne, a podług niej, wspaniałe otoczenie tak na nią wpłynęły. Uczuła się naraz maluczką, ubożuchną, nieszczęśliwą wobec tej pary wypasionych, zadowolonych z siebie i z życia mieszczuchów. Siostry nie lubiła, nie zwracała więc na nią uwagi, ale on!... on przecież mógł odczuć jej położenie, mógł zaoszczędzić widoku wesołości, podczas gdy ona upadała pod ciężarem

swej doli! On!.., przez te lat parę nie było może godziny, w którejby o nim nie myślała! Mądry, wykształcony, z wielkiego świata, kochał ją szalenie, miała więc wszelkie prerogatywy do zostania żoną wybitnego człowieka — tymczasem los strącił ją tak nisko, w taką bezdenną przepaść głupoty, grubiaństwa, ciężkiej pracy, skazał na zlanie się z ciemnym tłumem, z którym nie łączyło jej ani jedno drgnienie subtelnego serca! W tej chwili kontrast ten zarysował się przed jej oczami z całą jaskrawością! Wspaniale urządzone gabiney, dębowe krzesła, ogromne oszklone szafy z książkami, ciężkie draperje u drzwi i okien, portrety znakomitych ludzi na scia

nach, były wymownym dowodem dobrobytu, pracy umysłowej, wyższego wykształcenia i smaku; rwała się do takiego życia myślami, sercem, pragnieniem zawsze żyła w tym świecie, do takiego życia wreszcie urodziła się i chowała od kolebki! To był jej świat właściwy, z którego wygnał ją raz nazawsze traf ślepy... Strach przed głodnym jutrem! Czują ły pod powiekami, bała się śmiechności, pozostawało tylko zwalić wszystko na mniemaną chorobę; ścisnęła skronie palcami!

— Nieznośne wasze miasto! — rzekła zdławionym głosem, — od wczorajszego wieczora głowa boli szalenie!

— Przenieś się do nas, będzie ci wygodniej, spokojniej, no, i przyjemniej może, niż samej w hotelu — mówił Wierzbicki takim głosem, jak się mówi do dziecka, które długo kaprysiło, a teraz ma zamiar być grzecznym; przestawał po każdym słowie, uśmiechał się, patrzył w oczy, sięgnął nawet znowu po rękę, spoczywającą bezwładnie u poręczy fotelu i serdecznie do ust ją przycisnął.

Palce zadrżały przy jego ustach — i nad tym ruchem zapanować nie mogła.

— Spokoju nie zapewniasz!—dodała Nina z pośpiechem—zapominasz o dzieciach.

— To już twoja rzecz, żeby było cicho — odrzekł, nie patrząc na nią. Nina podrzuciła ramionami. Stojąc przy biurku, pluła w twarz brązowemu Juljuszowi Cezarowi i ocierała końcem batystowej chusteczki.

Wierzbicki wziął z jej rąk posążek i postawił na płycie papierów.

— Każ dawać obiad—rzekł—im dłużej każesz nam czekać, tembardziej będziemy wymagający; a ty pewno zapomniałaś, że mamy gościa na obiedzie.

— Karolcia wybaczy; z siostrą nie potrzebuję robić ceremonji.

— Brak ceremonji znaczy rosół i pieczeń! Wolelibyśmy, żebyś była więcej ceremonjalną; zbyt poufale obiady nie każdemu smakują.

Nina wyszła przyśpieszonym krokiem; nie lubiła, gdy żartowano z jej skąpstwa.

Zostali sami; Włódkowej serce biło silnie. Teraz właśnie należało zacząć. Nie mogła żyć dłużej z mężem... nie kochała go nigdy, a przez parę lat nie potrafiła przywyknąć. Żadna siła na świecie nie potrafi utrzymać jej dłużej w tem położeniu. Do zerwania przygotowywała się stopniowo, z namysłem; zrobiła krok stanowczy, a chociaż dotąd nie mówiła o tem nikomu, czuła, że z przeszłością zerwała ostatecznie,

— Nie chcę i nie mogę. Te dwa słowa nie potrzebowały komentarzy.

Powtórzyłaby je nawet wobec Boga. Na wszelkie przypuszczenia, rady

lub perswazje zawczasu już uśmiechała się pogardliwie. Należało tylko rozważyć i ułatwić tę sprawę; rozwód, separacja, czy tylko zwykłe rozstanie—mało ją obchodziło — ona zamaż powtórnie nie wyjdzie, mąż niech się urządza jak chce. Stokroć ważniejszą była strona materialna. Naturalnie, że będzie pracować chociażby od świtu do nocy—ale chciałyby zacząć pracować natychmiast, od jutra, jeżeli można. On ma tyle stosunków, znajomości, robotę dla niej znajdzie natychmiast; mniejsza tam o rodzaj zajęcia, byleby pochłonęło jej czas, myśli i siły, byleby nie zostawiało ani chwili czasu na przykre wspomnienia! Tylko tego od niego żądać zamierzała., jedno słowo wszystko załatwiłoby odrazu — lecz ona słowa tego wymówić nie mogła! Znal ją od dziecka, wiedział, że była chowaną w pieczytach, w dostatkach, zna jej wykwinną naturę, więc i położenie zrozumie odrazu. O współczuciu... nie wątpiła, na rękach czuła ślady gorących pocałunków, a w oczach czytała więcej może, niż chciał wyrazić... dlatego też po wyjściu Niny, nie miała odwagi spojrzeć głębiej w te oczy...

Wszelkie aluzje do przeszłości utrudniłyby rozmowę; ona i tak nie wie, od czego zacząć. Tyle słów gwałtownych cisnęło się na usta, gdy myślała o tej z nim rozmowie... Teraz siedzi naprzeciwko niego, słucha opowiadania o zbójcekim usposobieniu najmłodszego syna, uśmiecha się, chociaż nie słyszy ani słowa, i drży na samą myśl, że on w każdej chwili może zamilknąć; z kolei ona coś musi powiedzieć... każda rozmowa odciąga ją od jedyne go przedmiotu jej myśli... kradnie czas drogi. Chciałyby jaknajprędzej zrzucić przygniatający ciężar... chciałyby powiedzieć wszystko w dwóch słowach — odetchnęłyby swobodniej — załatwiłyby

całą sprawę odrazu. Tylko tych słów wynaleźć nie może... na długą relację niema już czasu—zaraz na obiad poproszą. Słucha tedy i uśmiecha się bezmyślnie.

Na jak długo wzięłaś urlop od męża?—zapytał z figlarnym uśmiechem. Milczała, uśmiech znikł. Spójrzała mu w oczy zmieszana.

— Psuje cięde ten safandula! Jestem przekonany, że siedzi pod pantoflem! Nie bierze się bezkarnie kró lewny za żonę., trzeba się godzić z losem poddanego. Pocziwe to człeczysko twój mąż, krótko go znałem, ale prostą naturę oceniłem odrazu; dobrześ zrobiła, idąc za niego.

Zamilkł, wpatrzył się w okno. Te ich kłopoty, długi procesy stanęły mu w myślach, nieraz już chciał plunąć na wszystko i przestać myśleć o tym worku dziurawym, O ratunku mowy być nie mogło — łątał dziury, przyrzekając sobie przy każdej pożyczce, że to już ostatnia! Prawie był pewny, że teraz łąta do wspólki z Włodkiem, od niejakiegoś czasu bowiem Staś przestał pisać do niego o pieniądzu; ta okoliczność tem serdeczniej usposabiała go dla uprzejmego współnika.

— Pocziwe człeczysko—powtórzył, ,

Włodkowa milczała; nie zaprzeczyłaby, żeby go był nazwał genjuszem— we właściwym czasie powie wszystko — zresztą, nie miała zamiaru odmawiać mu pocziwości.

Wierzbicki zmrużył lewe oko.

— Izba wyższa sprzeciwiała się temu podobno, he? Patrzył na nią z drwiącym uśmiechem.

— Oni tam jeszcze w mezaljansie wierzą I Niech wierzą! Pamiątka to z dobrych czasów, poniosą ją ze sobą do grobu. Ręczę, że wyboru swego nie pożałujesz nigdy... Ja znam się na ludziach,

— Nie pożałuję!—powtórzyła w duszy — śmieszny! chce wmówić w siebie, że jestem szczęśliwą, Ale i teraz jeszcze nie miała odwagi powiedzieć prawdy, Ach, żeby ktoś ją wyręczył! Żeby mogła zasnąć snem letar gicznym chociaż na kilka godzin, podczas których Wierzbicki, poinformowany o wszystkim, miałby czas zastanowić się, obmyśleć całą sprawę, a w końcu zbudzić ją oznajmieniem, że już wszystko gotowe ! Los mógłby jej oszczędzić chociaż przykrości opowiadania wielu rzeczy, które właściwie tylko odczuć można! Zamyśliła się, wpatrzona w podłogę, przymykała oczy zwolna.

— Znużoną jesteś, co? Przejdź do pokoju Niny rzekł, podając jej rękę, Włodkowa potrząsała głową.

— Wolalabym wrócić do hotelu,

— Po obiedzie sam ciebie odwiozę. Więc chorujesz naprawdę? oddawna? Trzeba było odrazu powiedzieć, nie męczyłbym ciebie głupią rozmową!,,—mówił zafrasowany; spojrzał po pokoju i znowu wpatrzył się w jej twarz, w przymknięte oczy... Chciałby coś doradzić, a tn narazie nawet odpowiednie słowa na myśl nie przychodziły.

— Jestem zdrowa—odrzekła — nie podnosząc oczu; rzuciłam męża, chcę zostać w Warszawie — zamilkła.

w gabinecie zaległa głęboka cisza. Z jadalni dolaty. wał brzęk talerzy i łyżek, zmieszany z wesołym krzykiem dzieci.

Nina rozmawiała głośno w przedpokoju z lokajem. Poszła do dalszych pokojów, lokaj pośpieszył za nią, krzyk dzieci i brzęk łyżek ucichł na chwilę.

Zdumiony Wierzbicki słyszał wyraźnie równy oddech nieruchomo siedzącej Włodkowej...

— Z jakiego powodu? Zły byt dla ciebie? Nie mogliście się zgodzić? Co zaszło między wami... od kie. dy... teraz, w ostatnich czasach?... czy dawniej?

Mówił stłumionym głosem, zatrzymując się po każdym pytaniu.

Nie śpieszyła się z odpowiedzią. Właściwie na żadne i z tych pytań stanowczo odpowiedzieć nie mogła. Czy był zły? Wzruszyła ramionami pogardliwie. Od kiedy stał się jej obojętnym? Ależ od pierwszej chwili wspólnego życia! W takich warunkach o zgodzie mowy być nie mogło...

— Był zły dla ciebie? — powtórzył z naciskiem Wierzbicki.

— Był głupio dobry! — odrzekła zniecierpliwiona.

— A... tak, to wielki błąd!

Podniosła na niego oczy: ujrzała twarz poważną, surową niemal; czekał dalszych odpowiedzi.

Pożałowała słów wyrzeczonych, ale żal stłumiła w mgnieniu oka, o złagodzeniu sądu nie myślała wcale, czuła jednak, że utrudnia jej dalsze zeznania.

— I cóż? on zgodził się, żebyś... eh!

Zerwał się z sofy, przeszedł parę razy po gabinecie, zacierając ręce.

— On jeszcze o niczem nie wie.

Stanął przed nią, skupiał myśli, usiłując rzecz całą przedstawić sobie jaknajdokładniej.

— Więc to tak tylko... projekt... ty sama zrywasz.
a raczej chcesz zerwać?

Skinęk głową.

— Jeżeli on jest głupiodobry, to ty bądź chociaż mądrą—lepiej rady dać ci nie mogę. Wiem wszystko, a raczej domyślam się wszystkiego.,.

Tak ci się zdaje ! — przerwała przez zaciśnięte zęby.

Była bardzo bladą, brwi i nozdrza drgały nerwowo.

Wierzbicki przeląkł się zmienionej twarzy, złagodniał, ale słów powiedzianych cofnąć nie mógł. Wiadomość spadła na niego jak kamień, zapomniał o subtelnościach, był może zbyt szorstki...

— No, uspokój się, pomówimy o tem,,,

— Powiedziałam już wszystko—nie chcę i nie mogę żyć w tych warunkach—odrzekła sucho — o szczegóły nie pytaj.

Stanowczość nie pizeraziła go zbyt wiele; u kobiet zacięty upór zawsze prawie rozpuszcza się w łzach rozrzewnienia widział to nieraz. Stokroć więcej bał się chłodnej rozwagi—z tym objawem nie umiał sobie adzić. Chodząc po gabinecie, spoglądał na nią z ukosa.

— A to farsa! — powtarzał machinalnie. Hm, nie chcę i nie mogę! To dobre na dziś, ale czy pomyślałaś jutrze?

— Zbyteczna troskliwość o jutro stała się główną rzeczą mego nieszczęścia; jeżeli sądzisz, że raz jeszcze się złękę niepewnego jutra, to bardzo się mysz, Żebym owdowiała, znalazłabym się w tem, co dziś ołożenin, a jednak musiałabym istnieć! Maloletniość ie powtarza się w życiu,

— Ale niezaradność trwa czasem całe życie, Włódkowa przysłoniła ręką oczy. Każde jego słowo rzeźwiało ją, jak strumień chłodnej wody. Zaczęła roz mowę nawpót bezwiednie: pierwsze słowa wyznania wy powiedziała bez namysłu, pod wpływem przygnębienia; zorstka prawda pokrzepiła odrazu słabnącą woię —

mogła prosić o radę, ale peror nie potrzebowała... Pocóż on mówi jej to wszystko?... On!... Nie miała sity nic więcej dodać do tego słowa. Wierzbicki widział i uch ręki, widział, jak pochyliła głowę, podrzucił ramionami niecierpliwie. Nie chciał poddawać się współczuciu, nie tracił jeszcze nadziei, że energicznymi traktowaniem rzeczy potrafi w niej zdrowy rozsądek przebudzić.

— Czegóż u diabła chce od niego? Nikt gwałtem jej zmuszać nie będzie... ale tak odrazu stargać swoje i jego życie... Królowna., eh! zacisnął pięści. Stał przed nią, wziął za obie ręce;

— No, sprawiłaś mi taką niespodziankę, od której wyłysiałbym może, żebym miał jeszcze coś do stracenia w tym kierunku! Zżyłem się już z myślą, że przyszłość twoja zabezpieczona. Teraz przybyła mi troska dotkliwa... dotkliwsza może, niż zdawało się narazie...

Włodkowa patrzyła mu w oczy zdumiona. Słowa te stanowiły rażący kontrast z tem wszystkim, co dotąd powiedział.

— Mnie los sprawił jeszcze większą niespodziankę, a jednak chcesz, żebym się z nim godziła! — odrzekła, nie odrywając oczu od jego twarzy.

— Los... traf... wieczyści winowajcy! — mruknął wpatrzony w okno. Weszła Nina, rozpromieniona, ze świeżymi śladami pudru na twarzy, przejęta nieco zapachem kuchennym:

— Obiad na stole! Dziś Karolcia wybaczy...

— i Jutro wybaczy! — przerwał Wierzbicki — należysz do gospodyń, które przez całe życie potrzebują wybaczenia I

Poda! ramię Włodkowej przeszli do jadalni.

Czwórka oczekiwała, stojąc przy stole — dwóch malców miało palec w buzi, dziewczynki dygnęły jednocześnie. Z podniesionymi oczętami spoglądali na tę

czarną, nieznaną ciocię, Włódkowa uśmiechnęła się do nich;
— Drosły twoje dziewczynki, dziś już nie mogłabym podizacać ich w powietrzu, jak dawniej — rzekła, całując kolejno tłuste buziaki. Wspomnienie przeszłości rozgrzało ją trochę; idąc do stołu, była przekonana, że nie potrafi połknąć jednego kęsa.

Niewiele było do przetykania: obiad, jak Wierzbicki słysznie przepowiedział, składał się z rosółu, pieczeni i kompotu ze śliwek, pachnących senesem. Brak jadła Nina nadsztukowała rezonem: w roli gosposi była Czarującą! Z niezrównanym wdziękiem wybierała wśród raalutkich kawałków mięsa najlepsze dla męża i siostry, dokładała musztardy, parę razy zawołała z miłym zdziwieniem:

— Ależ ty nic nie jesz, Karolcia! Wyborną byłabyś stolowniczką. Położyła jej parę cieniutkich plasterków pieczeni, które obficie sosem poląła.

— To musisz zjeść! — rzekła takim głosem, jakby ten przymus odnosił się tylko do połowy ofiarowanej porcji! Moje dzieci więcej jedzą niż ty. Słowa te czwórka przyjęła zdumionym wejrzeniem; obmawiano ją niesłusznie. Każde dostało po parę łyżek rosółu, sztuka mięsa z musztardą dla dwojga została zakwestjonowaną pod pozorem jakiegoś nieporządku w sprawach wewnętrznych, kompotu zaś odmówiono im stanowczo. To wywołało opozycję. Najmłodszy grubas, przezwany zbójem, rzucił łyżkę, odsunął talerz, spuścił głowę zaczerwieniony i już zabierał się beknać,

— Ach, nie sprzeciwiaj mu się — zawołał Wierzbicki z niecierpliwością—takie świństwo nawet umarłemu nie zaszkodzi, po co ty tych byków wiecznie głodem dręczysz!

— Chore dziecko nie może się objadać.

— z głodu choruje—mruknął Wierzbicki.

— Woię już niecił choruje z głodu, niż z przejedzenia.

— To bodaj na jedno wychodzi!

Włodkowa stuchwała tej podjazdowej wojny obojętnie. I dawniej na wsi słyszała nieraz icii utarczki, wówczas przyjmowała w myślach stronę Wierzbickiego, on zawsze miał słuszość. Nina była strasznie głupią i upartą warjatką! Dziś Wierzbicki wydał się jej zgryźliwym pedantem, gderaczera, czepiającym się do drobnostek. Kiedy pochylony nad talerzem jadł zupę, z głową w ramionach przyglądała się mu z ukosa: Vo rudawych włosów przybyło dużo siwizny, roztył, zgarbił się, schło piał jakoś dziwnie; jedząc, poruszał zwolna dolną szczęką i co chwila językiem wasy oblizywał; zły był, czy smutny, brwi ściągał, przez cały obiad nie spojrział na nią ani razu, milczał; lecz z pod brwi najeżonych zdawał się wyglądać sposobności do gniewu.

Dzieci przeczuwały widocznie usposobienie ojca, siedziały jak trusiątka, to jedno, to drugie zerkało z ukosa na niego. Nina nic sobie nie robiła z tego humoru męża ; kazała podać czarną kawę, siedząc naprzeciwko siostry, objęła pusty talerz rękami obnażonemi po łokcie, uśmiechnięta, rozpromieniona, wpatrzona w nią szeroko otwartemi oczami, opowiadała o trzech swoich znajomych, cierpiących na jednakową chorobę, leczących się u jednego lekarza...

— Które zapewne w jeden dzień umarli... burknął! Wierzbicki.

Wstał od stołu, krzesło nogą odsunął, zmiętą serwetę na stół rzucił.

— Teraz ja z kolei za obiad przepraszać będę — rzekł, całując rękę Włodkowej.

Ona tylko ramionami wzruszyła:

— Czy w istocie tak wielką wagę przywiązują do swego obiadu?—
pomyślała w duchu. Poszła do salonu. Za nią, gryząc wargi, postępowała
Nina, spodziewała

się podziwu, pytań, spodziewała się przede wszystkim źle ukrytej
zazdrości...

Włodliowa przeszła salon parę razy, wpatrzona w ziemię. Atmosfera
mieszkania była dla niej nieznośnie ciężka... Chciała ztąd wyrwać się
jaknajprędzej, zostać samą... Za nic w świecie nie wróciłaby do
przerwanej rozmowy. Powiedziała już wszystko i on prawdopodobnie
wszystko już powiedział!

— Bądź przynajmniej mądrą! To jedno zdanie pozostało jej w pamięci.
Bądź mądrą!

Zmienił się do niepoznania!... Nic dziwnego... Postarzał!... Lecz cóż
będzie, jeżeli on poprzestanie na tej radzie?.. Ach, musi to przecież
skończyć się jakoś... Iyłoby dziś już o tem nie mówić!

Nina przez ten czas, stojąc na balkonie, wołała ją parę razy, Włodliowa
spojrzała na nią i chodziła dalej. Czekala na Wierzbickiego—chciała się
pożegnać i uciec.

Wierzbicki stanął w progu z cygarem w ustach.

— Idę już—rzekła do niego—jestem strasznie zmęczoną!

Zapomniata, że przyznała się przed nim, że jest zdrową, machinalnie
podniosła rękę do czoła.

— Odwiozę ciebie—rzekł, patrząc w okno po nad jej głową; poczekaj
chwilkę.

— O piątej przyjdą klienci, znowu będą czekać!— zawołała Nina z balkonu.

Oboje spojrzeli na nią, potem sobie w oczy, Wierzbicki podał jej ramię,

— Chodź—rzekł zcicha. Nina wyszła za nimi.

— Hoże przyjdiesz na herbatę, Karokiu, poszłybyśmy na spacer w aleje.

Masz teraz nowy kapelusz, IO możesz śmiało chodzić po Warszawie.

Pocałowała siostrę w usta dwa razy.

Jadąc dorożka, Wierzbicki palił cygaro i milczał; chwilami spoglądał na nią z ukosa, raz zrobił ruch, jakby chciał ją ująć za rękę, cofnął się, brwi ściągnął, zły był na siebie; nie mógł się zdobyć na spokój i energję—żał go ogarniał; rozumiał, że z pierzy i puchu nawet porządnej bibuły zrobić nie można, że ona musi mieć dużo kaprysów, więcej jeszcze pretensyi, z tem na świat przyszła, więc ani potępiać, ani gwałtownie przerabiać jej niepodobna; ale rozumiał zarazem, że niech dziś jej pofolguje, niech da wodze swojej ślamazarno ści, zgubi kobietę raz nazawsze!

O rozwód trudno. Zresztą, po jakiego djabła rozwodzić się z człowiekiem, któremu nio ma się nic do zarzucenia? Brak miłości? Podrzuci!

ramionami.

On sam dziesięć lat żyje z żoną i nie pamięta już iiawet, czy kocha! się kiedykolwiek. Zapewne, że kocha!, ale trwało to tak krótko! Pomimo to żyją z sobą aie gorzej od innych! Nie, stanowczo nie powinien dopuścić do tak ryzykownego kroku. Wmówi jej, wyperswaduje, przedstawi.

Rozmyślając, nie spostrzegł prawie, jak wziął jej rękę i mocno ścisnął w dłoniach.

— Nieszczęśliwa kobieta... Ona jedna z nich wszystkich... najwięcej mnie się podobała—dodał zniecierpliwiony swoim mazgajstwem. Wolałby bronić sprawy stu złodziejów, niż roztrząsać tę jedną sprawę małżefi ską! Raptem odezwała się w nim żyłka adwokacka— pyszny temat do obrony wraże procesu. Dziesiątki, setki argumentów, okoiiczności łagodzących stanęło w myślach jak na zawołanie! Wątła, delikatna kobieta... wrażliwa, rozpieszczona... natura subtelna i duma zarazem... z jednej strony... szorstki, brutalny pocziwiec—z drugiej! Phi! jakby on tę sprawę bronił! Poweselał, lżej mu się zrobiło na duszy, nie zeznawał, że właśnie mazgajstwo. tę drogę obrało, żeby go resztki energii pozbawić!

— Nieszczęśliwa kobieta! —powtórzył, głęboko przekonany, że mówi prawdę.

Sprawę jej wygrał, ale co teraz zrobić z delinkweni ką?... Ha, żeby zamiast głupiej lali miał chociażby tylko dobrą kobietę... wszystko dałoby się urządzić...

— Ell, zamki na lodzie!—dodał po długim namyśle. Tężeli już zatnie się ostatecznie i na wszelkie moje perswazje będzie mikzeć jak ściana, a na argumenty leż tylko mikzeniem odpowie—będzie to dowodem, że skamieniała w swoim postanowieniu... że szkoda czasu lia próżną gawędę, z mówiącą bowiem rzadko można do ładu trafić, a z mikzącą nigdy—bm, wówczas zobaczymy. Tymczasem jednak należy użyć wszelkich środków, żeby w niej uśpić pretensje, a rozbudzić sumienie.

— Jakże głowa? boli jeszcze—spytał, gdy stanęli przed hotelem.

— Trochę.

— Odpoczniesz, uspokoisz się, przede wszystkim zaś ochłoniesz z czarnych myśli! Wszystkiego tego dokonasz w przeciągu paru godzin— zgoda? Wstąpię po ciebie, jak tylko załatwię się z interesantami. Mam nadzieję, że się spotkamy w lepszym humorze.

Odprowadził ją do drzwi numeru, ucałował w rękę, nie podnosząc oczu, i zbiegł prędko ze schodów, jakoby od własnej słabości uciekał!

Włodkowa pozostała na schodach, oparta plecami o tulrynę okna, patrzyła wśląd za nim.

Na prawo i na lewo w pustych numerach panowała głęboka cisza, na podwórzu i jakby w całym hotelu ruch naciął chwilowo, tylko kroki

Wierzbickiego rozlegały się naprzód na schodach. potem na asfaltera podwórzu; gdy ucichły, łowiła uchem turkot odjeżdżającej dorożki...

turkot się oddalił, a ona wciąż słuchała, bała się wracać do swoich myśli...

Spoglądała na czerwono malowane schody, na żółte ściany z ceglastej

szlakami u góry, zauważyła, że przy jej drzwiach i sąsiadki z przeciwka leżały jednakowe słomianki...

— Ach, bilet..,—przypomniała naraz prawie z radością.

Nie ruszając się z miejsca, zmrużywszy oczy, wpatrzyła się w duży bilet na drzwiach sąsiadki.

— Dr. Anna Wrońska. Doktor? a więc nie kokota?...—szepnęła, odróżniając raczej nazwę niż znaczenie wyrazów. Wpatrzyła się bezmyślnie w zmięty kawał gazety przy ścianie.

— Co teraz będzie?—szeptał trwożnie głos w duszy... Wzniszyła ramionami, próbowała nawet uśmiechnąć

się pogardliwie... nie mogła! Trwoga, a z nią pewna ociężałość, apatyczna bezwładność oładnęły ją stopniowo, opuściła ręce wzdłuż sukni, głowę oparła o futrynę, przymknęła ociężałe powieki.

— Jestem strasznie znużoną tem... tem... Narazie nie mogła znaleźć odpowiedniego wyrazu...

— Życiem—dodała w końcu.

Frazes ten usprawiedliwiał dostatecznie bezwładność; głowa ciężyła, kolana się uginały—nie mogła i nie chciała ruszyć się z miejsca...

Na schodach znowu rozległy się kroki, biegła Wrońska zadyszana, z paczką w ręku; przechodząc, otarła się suknią o suknię Włodkowej, otwierając drzwi, spojrzała na nią przez ramię,

Włodkowa, usłyszawszy kroki, wyprostowała się, otworzyła oczy, pomimo to Wrońska zauważyła bladość i znużenie twarzy, nasłuchiwała ze swego pokoju. Gdy po długiej chwili Włodkowa nie ruszyła się z miejsca, sąsiadka uchyliła drzwi, popatrzyła na nią, zbliżyła się, wzięła za rękę, ujęła pod brodę i twarz ku oknu zwróciła.

Włodkowa cofnęła się, już nawet chciała otrząść się z odrętwienia i, usunąwszy zlekka zbyt troskliwą sąsiadkę, zamknąć się w swoim pokoju.

wtem uczuła gwałtowną potrzebę czyjejś opieki, troskliwości, współczucia, pragnęła zwalić choć część troski na czyjeś barki, odrętwieć ostatecznie, a tem samem odpocząć chociaż na chwilę. Nie opierała się więc, nie odpowiadała; zacisnęła usta i westchnęła urywa nem westchnieniem. Wrońska ujęła ją wpół i, przytuliwszy zlekka ku sobie, zaprowadziła do swego pokoju. Włodkowa wpół leżąca na kanapie, poddała się jej troskliwości bez oporu. Czuła, jak nacierano skronie, da

wano wachać etery, zeznawała przytem, że jest zupełnie zilrową, że w każdej chwili mogłaby wstać i odejść ii własnych siłach, woli tylko nie miała! Wrońska, położywszy zmoczony płatek na głowie, usiadła przy niej, pochylona naslnchivyała oddechu, gotowa na każde skinienie. Włodkowa czuła wkoło siebie umiejętną, serdeczną troskliwość, to przynosiło jej znaczną ulgę; chciałaby tak leżeć jaknajdłużej! Żby teraz zapadła na jakąś ciężką chorobę... usługiwanoby jej, pieszczoby, jak dawną królownę... Wówczas może i ten przekonałby się, że nie przez kaprys jedynie chciała zerwać swoje więzy... że życie takie było nad jej siły... Niecierpiała Wierzbickiego, pragnęła jednak przekonać go, że miała .słuszość, chociażby za pomocą śmierci. Przez chwilę z przyjemnością marzyła o ciężkiej chorobie... uwolniłoby lo ją na czas jakiś od wszelkich myśli i kłopotów... ach, żeby można było przetrwać między życiem a śmiercią chociażby pół roku!... Za trzymała się na tej myśli... leżała nieruchomi, tłumiąc oddech.

Wrońska przytknęła jej do ust szklanke z winem. Włodkowa odwróciła głowę, nie chciała budzić się z odrętwienia. Przymkniętymi oczyma wodziła po pokoju, zatrzymując wzrok na każdym przedmiocie. Widziała dużo książek: na biurku, na stole pośrodku pokoju, na półkach przy ścianie, książki i gazety... Coby dały jej siostry, żeby mogły spotkać się oko

w oko z kobietądoktorem! Tryumfowałyby za nią i za siebie! przez trzy lini o emancypacji krzyczałyby aż do ochrypnięcia! Chot; raz w życiu ujrzałyby na własne oczy tyloletni swój ideał, wcielony w Zywą kobietę! Warjatki! Nienawidziła ekstazy! Wszyscy, ale to wszyscy, najgłupsi

nawet, drwili z nich przecież... Jej krew krzepła w żyłach na samo przypuszczenie, że mogłaby zostać celem pośmiewiska... Zresztą, może tu w mieście inne zwyczaje. Chociaż i tu... ona sama doktorkę tę wczoraj jeszcze przyjęła za kokotę... Co za sens mieszkac w hotelu! Nieruchoma pozycja zaczynała ją męczyć; podniosła głowę, wyprostowała się na kanapie.

— Lepiej pani?— spytała Wrońska.

Włodkowa spojrzała jej w twarz, chcąc zbadać, jak dalece można przed nią udawać chorobę. Ucisnęła ją za rękę w miękciu. Bala się ciekawości kobiecej, chciała uniknąć wszelkich pytań. Ale kiedy Wrońska po pierwszym pytaniu zamilkła i, siedząc obok niej na sofie, nie zdradzała najlżejszej chęci do rozmowy. Włodkowa czuła się w obowiązku przemówić kilka słów uprzejmych.

— Przyczyniłam pani trochę kłopotu... przepraszam bardzo... może to właśnie godziny przyjęcia?

— Nie jestem lekarzem. Doktor na bilecie nie zawsze medycynę oznacza— odrzekła z uśmiechem.

— Ach, to jeszcze inny gatunek— pomyślała Włodkowa. usta jej drgnęły ironicznie. Zmierzyła wzrokiem skromny ubiór Wrońskiej. całe otoczenie prawie ubogie:

— "Warto suszyć mózg, żeby potem żyć tak, jak ta tu żyje! Wzruszyła ramionami nieznacznie.

I znowu siostryentuzjastki stanęły w myślach. Tamtym przynajmniej deklamacja nie przeszkadza żyć wygodnie!

— Może ja pani przeszkadzam? Pani zapewne zawsze zajęta— rzekła głosem, jakim mówią dzieci do starszych, bardzo poważnych ludzi.

Wrońska zaśmiała się z tego przypuszczenia.

— Nie przeszkadza mnie pani wcale; w nerwowem usposobieniu trzeba unikać samotności. Może pani tu zostać chociażby do nocy! Wypijemy razem herbatę, potem przejdziemy się i spokój wróci. Wypij pani tymczasem trochę wina.

Podawała jej szklankę ze stołu.

Wesoły, spokojny głos orzeźwił Włodkova ostatecznie; wino rozpogodziło umysł. Wyznała jej szczerze, że pierwszy raz widzi kobietę, która ma prawo nazywać się doktorem.

— W naszych sferach o tem nie słyhać; nie uwierzą mi nawet, gdy wrócę i opowiem o spotkaniu z panią.

— Czy pani do Chin wraca?—spytała Wrońska żartobliwie.

Włodkowa zrozumiała, że przesoliła trochę, rada była jednak, że miała sposobność powiedzieć w naszych sterach; nie wątpiła, że to zrobiło pewne wrażenie.

— Mury starych dworów osłaniają nieraz więcej przesądów, niż sławny mur chiński—odrzekła z pobłaż liwem lekceważeniem.

Za nic w świecie nie przyznałaby się, że mieszka w nędznym dworku szlacheckim o małych oknach, białych podłogach, ogromnych piecach z zielonych kafli, za któremi gnieźdzą się miliony prusaków i karaluchów. Wypowiadając swój piękny frazes, miała na myśli murowany dwór rodzinny i dwa odwieczne portrety w czerwonych kontuszach, kupione z licytacji przy eksdewy zji dóbr ich dalekiego krewnego. Natomiast przyszło jej na myśl wyzyskać zrzęczenie to spotkanie. Wprawdzie od rozmowy z Wierzbickim plany na przyszłość przybrały mniej wyraźne kontury, główny projekt nie uległ zmianie; męża rzuci i będzie pracować. Zdaleka tedy, omawiając smutne warunki bytu na wsi, nadmieniła, że jedna z jej kuzynek bardzo inteligentna,

bardzo uzdolniona zmuszoną jest szukać pracy... Prosiła ją o zasiągnięcie wiadomości, ale ona nie zna tu prawie nikogo, ma tu wprowadzić siostrę zamężną, ale ta jest kobietą bardzo mądrą,, o sposobach zarobkowania prawdopodobnie wie niewiele,,

Mówiąc to, czuła się zmieszaną i upokorzoną zarazem. Nie przypuszczała nawet, że będzie zmuszoną sama szukać pracy,,. Podług planu sprawę tę miał załatwić Wierzbicki. Nie wymieniła wprowadzić, e ta o nią chodzi,, zdawało jej się jednak, że głęboki wzrok Wrońskiej czyta w jej duszy, że ta kobieta domyśli się czegoś,, może ma ją za przybłądę, którą nędza zmusza do szukania zajęcia?.. Może dlatego tylko przygarnęła ją i napiła winem? Mądrzej obywatelki nie śmiałyby przecież zaprosić do siebie! Postanowiła więc dać wyraźnie do zrozumienia, że to nie o nią chodzi... — Chętniebym tę biedaczkę przyjęła do siebie — rzekła w końcu—lecz to harda dusza w zubożalem ciele, łask żadnych nawet od krewnych nie przyjmie...

Wszystkie te fortele stracone były dla Wrońskiej: słuchając piąte przez dziesiąte, śledziła bacznie jej twarz i cieszyła się w duszy, że to biedactwo odżyło nareszcie.

— Wątku, zbiedzona kobietka, zlatowała się widocznie, a może i zgryzła się czemś biedaczka. Może głodna?,, któż ją tara wie co za jedna,, Zaproponować jadła nie śmiała, więc dolewała wina, zachęcając wzrokiem i uśmiechemi przy drugiej szklance przysunęła koszyczek z ciastkami.

— Jedzmy, pani—rzekła—ja dziś miałam podły obiad, ale sama jedna nawet ciastek jeść nie umiera.

Wybrała parę największych, jedno saraa wzięła, drugie położyła przy jej szklance,

— Co zaś do pani kuzynki—rzekła, byle coś powiedzieć—to dla niej tu niema żadnych widoków; w mieście ciasno, niech tam lepiej gęsi pasie, niż tu miałyby

bruki zbijać. Zapewne niczego .się porządnie nie uczyta. więc tylko sobie i ludziom będzie ciężarem. Poradź jej pani. niech się gdzie na wsi za bone albo za gospodynię zgodzi, przynajmniej z głodu nie umrze! Dlaczego pani nie je?—spytała z serdeczną uprzejmością; dziwi panią moja rada bezwzględna? Cóż robić, szczerą jestem i nie cierpię partaczów w żadnym zawodzie. Wykładałam nauki przyrodzone—ale za góry złota nie podjęłabym się uczyć czytania, bo wiem, że tego nie potrafię.

Włódkowa straciła naraz chęć do rozmowy, a jednocześnie zrozumiała całą niewłaściwość swego położenia! Dlaczego tu siedzi? je i pije u nieznannej sobie kobiety, a w dodatku jeszcze słucha moralnych nauczek... Uczona pani każe jej paść gęsi! .Taka szorstka zarozumiałość w każdym słowie; Nie pożałuje nigdy tego, że ule została uczoną! O nie! woli już paść gęsi! Cóż robić?

— Ale ja nadużywam dobroci pani!—zawołała, powstając. Nie wiem, jak mam panią przeproszać... i dziękować...

— Za co? czy za tę trochę wina? Bo przecież nie za pomoc w chwilowej niedyspozycji? Nic śmiem panią zatrzymywać dłużej; wracaj, bo potrzebujesz, ponieważ mieszkasz pani sama, pamiętaj, że masz znajomą sąsiadkę. Uścisnęła serdecznie podane sobie końce palców, przeprowadziła ją do mieszkania, a że w pokoju, obok wielkiego bezładu duszno było jak w piekle, podniosła roletę, pootwierała okna, przyniosła od siebie karatkę świeżej wody i buteleczkę z eterem. Wychodząc, raz jeszcze skinęła jej głową z uprzejmem dowidzeniem.

— Dobra...szepnęła Włódkowa—przeprowadziwszy ją wzrokiem. Usiadła przy stoliku, zakryła twarz rękami. Myśli układały się dziwnie: to, co chciała zepchnąć w głąb duszy, na pierwszy plan się wysuwało... Dziecko, mąż, dom wstrętne—nie chciała myśleć o tem, co się tam

teraz dzieje... co oni robią... wystarczała jej świadomość, że istnieją... pragnęłaby i o tem zapomnieć!

— Ach, jak im łatwo rozporządzać się cudzem życiem!—szepnęła przez łyzy. bądź mądrą! Miej sity! Żeby była głupią i bezsilną, cierpiałaby jak owca pokorna, albo zmarłaby bez pory! Nie rozumieli jej usposobienia! W dzieciństwie ukarano ją raz za to, że ugryzła w twarz niańtę, która ją obdartą królową nazwała! Późniejsze deklamacje sióstr na temat pracy i zarobkowania, ciągłe napady dłużników, lekceważenie ze strony bogatych krewnych i zamożniejszych sąsiadów było dla niej ciągiem powtarzaniem owego obdarta.. Kąsać ich nie mogła, ale jakże serdecznie nienawidziła ich czasami! Nazywano ją wówczas zimną i wyniosłą, nikt nie rozumiał, że ona tyra sposobem resztę swojej godności ratować chciała! A teraz, gdy ją dławi życie wśród zapracowanych bydłat, kiedy ona zbiera resztę sił, żeby się wyrwać z tej obory, zanim ostatnia ludzka iskra w duszy nie zgaśnie—teraz, ten nawet, który ją zna najlepiej, powiada: bądź mądrą!

— A!..—zerwała się z miejsca, odgarnęła pakami wilgotne włosy z czoła: policzki i uszy pałały, w myślach powstał znowu ów chaos męczący, który ją resztek władzy panowania nad sobą pozbawiał!

— Al... powtarzała zdławionym głosem, biegnąc drobnymi krokami po pokoju.

Zmrok zapadł; przez otwarte okna powiało chłodem, zwieszające się gałązki dzikiego wina poruszały się z lekkim szelestem. W pokoju, wśród szarego zmroku rysowało się wyraźnie łóżko z białą niezasałaną pościelą, otwarta walizka, wysunięta na środek, ręcznik, zwieszający się z poręczy krzesła ku ziemi.

Wierzbicki mógł nadejść w każdej chwili, pamiętała o tem, spoglądając na brudny bezład dokoła; wzruszyła ramionami niedbale, Co ją ten człowiek mógł obchodzić? ?Cniła go dawniej zupełnie innym: był mądry,

elegancki, światowy, zachwycał wszy.slkich wymową i dowcipem, królował w towarzystwie—dziś, był to ociężały wół roboczy, czytający nudne frazesy z biblij rozsządku i dobrych obyczajów. Zmienił się do niepoznania przez te dwa lata. Któż wie, może to ona sama przyczyniła się do tej zmiany. Stłumił w duszy występłą miłość, a z nią stłumił wszelkie szlachetniejsze porywy. Mniejsza o to! dziś mu jest dobrze, prawdopodobnie robi majątek i znosi cierpliwie głupią Ninę. Każdy ma taką żonę, na jaką zasługuje—on dziś nie wart innej kobiety! Wolałaby go nie potrzebować; że jednak bez niego obejść się nie może, potrafi tak siebie postawić, że nie upokorzy się do prośby, a jednak robi co zechce... On musi jej ułatwić rozwód, lub przynajmniej separację, musi znaleźć odpowiednie zajęcie, któreby ją oderwało raz nazaw.sze z rodzinnych okolic, usunęło z oczu i pamięci tych wszystkich bogatych i zamożnych, którzy zapomnieli o jej istnieniu, o których sąd ona, pomimo nienawiści, dbała jedynie. Tak, on robi to wszystko, może nawet wbrew swemu rozsądkowi—jak lunatyk, kierowany wyższą siłą. Uśmiechnęła się do tej myśli... Ona zna mężczyzn; wie, że uległa łagodność czyni z kobiety niewolnicę, kaprys i wymagania oddają jej władzę w ręce—z jego spojrzeń, wzroku, uściśnień ręki zrozumiała, że miłość stłumił tylko, że będzie ją tłumil i nadal, ale od wpływu uczucia uwolnić się nie potrafi. Plan ten wrócił jej spokój i równowagę myśli.

Zapaliła świecę, podsunęła nogą walizkę pod łóżko. Wierzbicki nie nadchodził. Zajęty jeszcze... Była przekonana, że myślą i sercem jest przy niej, coraz silniej czepiała się tego przekonania.

U sąsiadki gwaro było, po wczorajszemu, i znowu kilka wesołych głosów K.zprawiało jednocześnie...

— Może tam pójść na chwilę?...

Czuła potrzebę... swobodniejszego towarzystwa... One przecież tali wiele sobie pozwalają. że gdyby nawet została kochanką Wierzbickiego, i tak jeszcze byłaby wobec nich dość czystą! W zamiarze swoim nie widziała nic bardzo złego, pomimo to pragnęłyby usłyszeć raz jeszcze w jakiegokolwiek formie, że cci uświęca środki... dodałoby to jej energii i śmiałości... Tam, między nimi, posłyszałaby może więcej niżby chciała... tymczasem jednak budziły w niej niesmak... wołała tedy czekać Wierzbickiego.

Wszedł lokaj, list oddał i zatrzymał się w progu.

Włódkowa otworzyła list śpiesznie, czytała pochylona między dwoma świecami. Czytanie trwało bardzo długo, chociaż list zawiera! tylko kilka wierszy. Lokaj się niecierpliwił, miał czapkę w rękę, przestępując z nogi na nogę:

Dorożka czeka na panią—rzekł w końcu.

Włódkowa podniosła głowę, patrzyła na niego, usiłując przypomnieć, kto jest i co tu robi?

— A... nie pojedę—rzekła, i znowu pochyliła się nad listem.

Kolega ciągnie mię na winta, nie przyjdę do ciebie—pisał Wierzbicki—
Nina czeka z herbatą. Otrzeźwiałaś już zapewne i po rozsądnej rozwadze

pozbyłaś się szalonego projektu, czy tak? Jutro tedy zjemy razem obiadek z lepszym apetytem i w lepszych humorach, a pojutrze marsz do domu, Wierzaj mi. moje dziecko, im dłużej o tem myślę, tem silniej jestem przekonany, że nie masz racji. Dowidzenia tedy, zapomnijmy raz nazawsze o niesmacznym wybryku.

List ją ogłuszył. Wpatywała się bezmyślnie w zapisaną ćwiartkę; zwolna, jakby senna, przysiadła na sofie. głowę sparła na dłoni, nie wypuszczając listu z drżącej ręki. Nie czytała już. kaziły wyraz paląciami

literami miała wypisaany w mózgu. Jedyna nadzieja pierzchła po tym liście, nawet imię jego wydrze z pamięci.... Nigdy jeszcze nie miała tale żelaznej woli... Teraz wołałaby umrzeć, niż odstąpić od swego projektu; list ten zmroził w niej ostatnie objawy uczucia. Zmrużyła oczy, z nieokreślonym uśmiechem na ustach wpatrywała się w ciemną przestrzeń po za świecami. Wzburzony umysł pracował nad określeniem nikczemnego postępku człowieka, który dobrowolnie, w najważniejszej chwili jej życia, narzucii się jej ze swą przyjaźnią, z gotowością pomocy w każdej potrzebie... Mrużyła oczy, uśmiech zniknął stopniowo...

— Chaml—szepnęła przez zaciśnięte zęby. Pociąg odchodził o dwunastej, o dziesiątej była już na dworcu.

W Baliczach nie oczekiwano jej wcale; wyjechała na parę tygodni, może na miesiąc, wszyscy w domu cieszyli się z jej wyjazdu. Stary Włodek przeprowadził pieszo synowę aż do pierwszej karczmy, pożegnał, uchy lając czapki, i wszedł zalać robaka ua prędcę. Wypił kwaierkę.

— Nie śpiesz waść—rzekł do arendarza, gdy ten drugą chciał nalewać— wypiję dwie, gdy ją całkiem dja bli wezmą—dzisiejsza pociecha jeszcze dwóch złotych nie warta, wyjechała tylko na miesiąc.

Wracał podchmielony; przez całą drogę pykał machorkę z krótkiej fajeczki, nucił ochrypłym głosem o Jasiu i Kasi, uśmiechał się przytem, mrużąc lewe oko; dawno już nie był w tak dobrym humorze. Sąsiedzi, wracający z łąki z wozami siana, oglądali się za nim:

— Hej, hej, czy nie drugiego żyda jegomość liznął, co taki wesoły!— zawołał któryś z za wozu i mrugnął figlarnie na towarzyszków.

Włodek tylko splunął w jego stronę i szedł dalej. Nie mogli mu tego żyda darować, huncwoty! Przypomną mu to jeszcze i ua pogrzebie! Chociaż on od te

go czasu mógłby już stu innych zlizać, żeby sposób uość posłużyła! Było to tak dawno, że czasami zda wało mu się, że tu nie on zrobił, ale jego ojciec, albo i dziad może... Znanego koniokrada w pasji drażniem przez plecy ściągnął! Chrześcijańska dusza od tego uderzenia pokwękałaby może i basta, żydowska drapnęła odrazu—żyd jak byt przy jego nogach, tak i nie wstał. Włodek przeleżał za to trzy miesiące w wit.izieuuu i to wciąż prawie na jednym boku, wyspał się za wszystkie czasy, aż w końcu Matka Boska Ostrobram.ska cudownie wybawiła go z tej biedy!. Odtąd poszło mu wszystko jak z płatka, przez trzy miesiące odpokutował za wszystkie grzechy, potem za to błogosławił mu Bóg i w złem i w dobrem. Po ojeu trzy włóki tylko wziął, chałupę nędzną z obórką i chlewem. iJziś miał ośm włók smacznej ziemi, folwark, zabudowany jak dwór pański, no i grosiwa trochę... Trzydzieści dwa procesy wygrał, kawał lasu wykarczował

własnymi pazurami! Kleli go .sąsiedzi... żywoziemem przeżywali, ua psie pocziwym nie było tego, eo na nim. No, ale trudno! Kto dba o chudobę, na ludzkie gawędy zważać nie może... Słowo—wiatr, a ziemia—ziemią! Ziemia! miał coś w sobie z tej ziemi, ciągnęło go do niej. Na puchach nigdy tak nie spał smaczno, jak na polu nagiem, wśród zagonów, z grudą czarnoziemiu pod głową; pachniała mu ta ziemia, czuł jej smak w ustach... pozierał oczyma i żeby świat cały posiadał, myślałby może o tej, co tam gdzieś w niebie, czy na księżycu. Ziemi nigdy nie miałby dosyć! Ujadał się z sąsiadami u lada miedzę, ryczał z pasji, gdy mu kto garść trawy kosą zagarnął. Jak zły pies. szczyrzył zęby na każdego sąsiada, bez sękatego kija z chaty nie wyjrzał, a że dawniej był siłacz niesłychany, więc i najśmielsi nawet śmiali przed nim uszy. Parę razy zbili go uczciwie, raz w lesie, a raz na łące—przeleżał ze dwie niedziele i wstał jeszcze zdrdwszy i jeszcze sił

niejszy. Od czasu, jak syn najmłodszy dorósł, bał się go zaczepiać. Syn był cichy, ale zawzięty.

— Dla kogo on zbój — mawiał—a dla mnie ociec, krzywdy mu zrobić nie dam.

Stary miał ich trzech, ale tego jednego kochał po swojemu. Najstarszy po dzierzawach chodził—kutwa straszny, z żydami szacherki prowadził, a że dureń był. okradli go judasze jak kpa ostatniego. Wstyd tylko ojcu robił, po jarmarkach włóczył się z żydami, jadł i spał z nimi, prześmiardł tak żydem, że gdy do Balicz przyjeżdżał, ojciec go do chaty wpuścić nie chciał, trzymał go na ławie przed domem, rozmawiał paląc machorkę, żeby tegoniechrześcijańskiego smrodu nie wachać. Drugi księdzem był w

Wilnie. Bóg może tam miał z niego pociechę, ale ojciec—żadnej, o chacie zapomniał, nigdy nawet funta księdzowskiej tabaki ojcu nie przysłał; czasami listy pisywał, takim wykręconym charakterem, że na pięć mil dokoła niktby ich przeczytać nie potrafił. Ojciec listy te chował do kieszeni w spodniach, a chociaż nie wiedział co tam stało, o syna był zupełnie spokojny.

— Żeby umarł, toby nic pisałmówił do siebie — żyje tedy, A dokąd ksiądz żyje, to mu kościół buty szyjes, Ha, niech tam będzie Bogu na chwałę.

Od czasu, gdy syn księdzem został, Włodek ani jednego prosięcia nie zawiózł do kościoła.

— Syna ofiarowałem!—mawiał, a w duszy uśmiechał się chytrze, zdawało mu się bowiem, że on tym razem Boga oszukał.

Jeden mu tedy został, ale ten jeden za dziesięciu starczył. Do nauki nie był bardzo ciekawy, z trzeciej klasy wrócił i sam prosił, żeby już więcej do szkoły nie jechać,

— Nic ja tam mądrego nie wysiedzę, co trzeba, to już umiem, a tobie bezemnie ciężko. Nie na to ty nas

chował, żeby na starość własnym potem ziemię rościć. Staremu łzy wówczas stanęły na testowa.

— Jeżeli on z trzeciej klasy taiti mądry, cóżby to było, żeby choć do piątej doszedł, pomyślał w duchu. Do naulti nie namawiał—kosztowała słono, a liorzyści z niej w gospodarstwie niewiele—kupił mu za to zieloną kalamazkę i darował parę kasztaowatych podjezdków. Chłop wyrósł odrazu jak dąb, po wakacjach nie wlaźły nawet w mundur pana

profesora. Odtąd pracowali razem od świtu do nocy. Ojciec czuł, że młodemu ciasno na ośmiu włokach; kilka lat pomęczył się jakoś, a potem każdej wiosny o dzierżawie nadmieniał

— Żeby tak duży majątek jaki! Siechby tam człek, choć na sto części rwał się, niechby się potem oblewał! Nu tak co? Na to sity i młodość! W Baliczach to jak u Boga za piecem — dobrze tu na stare lata siedzieć, młodemu za piecem ciasno...

Ojciec słuchał i uśmiechał się radośnie. On go rozumiał! Żeby taki kęs ziemi mieć, coby go echo własnego głosu nie obleciało—toby dopiero było szczęście i swoboda!

— Ożeń się wpierw, gospodynię weź, bez kobiety na gospodarstwie nie poradzisz—mawiał—potem zobaczymy.

On sam żoncy połowę fortuny zawdzięczał. Wziął dziewczynę bez grosza, wybierał tylko zdrową i pracowitą. Pół roku jeździł po zagrodach szlacheckich. zważając baczenie, gdzie więcej garnków od mleka suszyło się na płocie, gdzie świnie tłściejsze, gdzie piękniejsze warzywo w ogrodach. No i wybrał w końcu wysoką rumianą dziewczynę, która móg gęstej jak mur pszenicy zrzynala w jeden dzień, śpiewając. Na pięć mil dokoła opowiadano o niej jak o cudzie. On ją wziął, a gdy po ślubie wiozł ją do chaty jednym konikiem, koła skrzypiały od silnej, rozłożystej żonki.

— Skrzynięze zlotem wiozę, pomyślał, i nie omylił się. Każdego roku wykarmiała z dziesięć wieprzdw, sprzedawała kilka pudów masła, a każdej niedzieli przywoziła parę rubli z targu,

— Ty sama chyba te jajka znosisz, mawiał nieraz rozczulony; dalibóg, Nastusia, takiej żonki jak ty, jabym na sto krów mlecznych nie wymienił. Żył z nią trzydzieści lat. i przez ten czas nosił ubranie jej ręką utkane, jadł chleb jej ręką pieczony, a jeżeli zdarzyło się, że miał sińce na plecach, to też tylko od jej ręki.

Nie lubiła gdy wracał pijany, więc bila czasami, gdy dobre słowo nie pomagało. To leż po jej śmierci chciał zaraz drogą taką wziąć, ale nie znalazł. Młode śmiały się z niego, a ze starych on się śmiał; zresztą terazniejsze kobiety już mu nie przypadały do smaku.

Wiedział, że syn wybierze sobie uczeńszą, z posagiem. Siedział bowiem na własnym folwarku, kilka ty siączków miał w zapasie, no, i naukę miał, mógł choćby między panienkami wybierać. Stary zgadzał się nawet na trochę fanaberji, byleby przytem pieniądze były,

— Kto chce u nas chleb z masłem jeść, musi masło ze sobą przynieść— mówił do syna— a syn rozumiał

o co mu chodziło i kiwał głową potwierdzająco.

Wkrótce jednak nietylko o maśle, ale i o chlebie zapomniał!... Ojciec, widząc, że konie zajeżdża, u ka Jamaszki koła pękają, a wszystko to dla zubożałej, czarniawej pannicy, pluł z początku i mikzał, bo myślał!, że mu jej nie dadzą. Polem chciał perswadować, ale było już zapóźno. Więc tylko kazał dwie izby wybielić, ze spiżarki trzecią zrobił, sam zielone piece naprawił, bo na kominach zna! się trochę,., kupił po zmarłym proboszczu jesionową kanapę i sześć krzeseł ceratą krytych; w miasteczku, po żydzie zmarłym na cholere, kupi! dwa łózka, malowaną na czerwono szafę i jesionową komode. _

— lia, dziej się wola Boża—mawiał do syna głosem strapionego lecz zrezygnowanego ojca. Pańskie ostatki lepsze, niż szlacheckie dostatki, dodawał w duszy dla siebie. Wiedział, że Strawińscy córki z pustymi rękami z domu nie wypuszczą; chociażby dali tylko te pięć włók piasku, co do Balickiego lasu przylegały, to i tak jeszcze Bóg miłosierny łaskęby jego synkowi okazał, Bydelka i koników trochę przytem,,. No, cóż robić; Niech się dzieje wola Boża, widocznie to chłopakowi sądzono! To też w pierwszych tygodniach był dla synowej bardzo uprzejmy, całował po rękach i naszą królową nazywał; z machorką wynosił się za ogród, a jeżeli łyknął trochę, szedł do odrynki na siano, chrapnął sobie cichaczem, a gdy z bydłęcia znowu w poczciwego szlachcica się przemienił, wychodził na świat boży, jakby nic nie było. Krępował go trochę szaraczkowy surdut na codzien, wołał dawniejszą swobodę w płóciennych spodniach, w koszuli rozpiętej na piersiach; trudna rada! dla koligacji i spodni płóciennych czasem wyrzec się trzeba. Czekał, kiedy o tych piaskach mowa będzie, a dla bydelka zawczasu część obory uprzął. Przebąkiwał nawet z chytrym uśmiechem wobec synowej, że ptaszkę syn złapał, ale bez ogona*. W końcu zapytał syna:

— A cóż tam o posagu ani mrumru? Czy wacpan zagłupi, czy oni zamadrzy? Chudą, czarniawą dziewczkę dali, a my ją mamy własnym chlebem odkarmić?

— Daj ojciec pokoi, oni teraz w kłopotach, w interesach,

— Teraz? A czy wacpan słyszał kiedy, żeby kto od kobyły podatek dawał po roku? Zaraz z ręki w rękę, albo nigdy. Cóż to? może oni myślą wykręcić się sianem? Ho, ho, pierwej mnie albo ich na świecie nie stanie.

Zaperzy! się, zaczerwienił, zasapany wysnął się z izby, bo mu syn z pod brwi ściągniętych talt w oczy patrzy!. Ze aż ciarki po skórze przeszły. Nazajutrz za to wwałił się do izby prosto z pola, trochę cięty, w koszuli i spodniach, zasiadł za stołem i urznął pięścią w stół, aż potem własny kułak z bólu liznął.

— Hej. pustodomki, a strawa gdzie? Południe na niebie, a tu jadła ani zapachu!

Z sypialni wybiegła królewna w białym haftowanym kaftaniku, z robótką w rękę, patrzyła na niego przerażona.

— Ty, czarniawa, cóż tak ślepie wytrzeszczasz? Misę, chleb na stół dawaj, a prędzej, bo tak kijem popędzę, że własnego cienia nie zobaczysz.

Na tę scenę wszedł Filip, spokojny jak zwykle, skinął na żonkę, żeby wyszła.

— Słuchaj, ojciec—rzekł, biorąc go za ramiona po swojemu—jak dobry to dobry, ale jak zły to... jeszcze zobaczysz? W domu spokój chcę mieć, rozumiesz. Chata i ziemia twoja, ale praca moja. Dawnobyjuż po twoich dostatkach śladu nie było, żebym ich tu wszystkich w garści nie trzymał—rozumiesz? Siedź cicho i dziękuj Bogu, że ja zdrow i silny—rozumiesz? Przy każdym rozumiesz ścisnął go za ramiona. Stary patrzył mu w twarz i tylko oczami mrugał — otrzeźwiał w mgnieniu oka. .Tedną ręką schwycił czapkę, drugą rozpiętą koszulę na piersiach ścisnął, zafrasował się, narazie myśli połapać nie mógł...

— Ot do czego przyszło... ot do czego przyszło...— powtarzał, wciąż oczami mrugając—na ramionach czuł wyraźne ślady paków syna. Spokornia! i od tego dnia udawał, że czarniawej nie zna.

— Nie wiem, kto ona jest, dalibóg nie wiem, mawiał szybkim przyciszonym głosem, gdy podpił trochę. Zona nie zona... tak jakaś... kochanica może... albo ja

wiem... Siedzi cały dzień w izbie, przy robocie nikt jej nigdy nie widział... może to i zona?... albo ja wiem.

Kręcił głową, podrzucał ramionami i zerkał z ukosa, czy syna gdzie nie widać...

— Kochanica może... albo ja wiem I... Markotno mu było, że syn tak jakoś z nim... jakby bez uszanowania postąpił.

— Zawsze co ociec to ociec...—powtarzał w duszy; jednak żalu do niego czuć nie mógł. Chłop pracował za dziesięciu, od świtu był już na nogach,, sam do wszystkiego rękę przykładał, na jadło, na sen czasu nie miał— ludzie i bydło u niego w porę spali i w porę jedli, on sam — jak Bóg dał — robotę tylko zawsze w porę robili

— Taki syn, to choćby czasem i., i... prawdę w oczy powiedział, zniknąć mu trzeba. Mnie nie szanuje, ale krwawicę moją szanuje, a to ważniejsza... ziemia ważniejsza, bo ja i sam do ziemi pójdę.

Mikzał tedy; tylko gdy, wracając z pola z kosą i grabiami na ramieniu, ujrzał synowę w ogródku przy domu, pochyloną nad kwiatkami, albo w uprasowanej świeżo sukni przechodzącą przez podwórko, zaglądającą do obory, do stajni, ot tak przez ciekawość tylko, podczas gdy ludzie potem oblewali się na polach i łąkach, a za marną najemnicę, która w zwykły czas trzech groszy niewarta, dwa złote dziennie płacić trzeba — stary s pluwał, pięści zaciskał, odwracał głowę w stronę Rudawki, gdzie jego wróg zacięty siedział. Wolałby na wroga, ua śmierć własną patrzeć, niż na tę czar niawą, co Syna jego z polowy fortuny okradła!

— Ja wiedział, że ona do niczego — mówił mu Filip—nic mi ona nie obiecywała, więc i nic wymagać nie moge. Ja głupi, że taką wziął — mnie z tem dobrze — porządku w domu dojrzy, do gospodarki domowej nałoży się z czasem, da Bóg dzieci, będzie chować i pielęgnować, mnie więcej nie trzeba. Co miło duszy.

nie zawsze miło kieszeni. Ja wiedział kogo brał—ona ranie nie oszukała. W najpilniejszy czas wpadał do niej choć na rai nntę; spełniały, zakurzony, siadał przy niej. o gospodarce nie wspominał, o kłopotach nie mówił nigdy, jeżeli miał czem pochwalić się. to się pochwalił, ale prawie zawsze mówili o niczem; on dotykał grubemi pakami jej robótki; dziwił się, że to ładne i delikatne, i jej samej dziwi! się w duszy: taką była ładną, delikatną, z gładko zaczesanemi włosami, w zgrabnej sukience, w błyszczących bucikach na małych nóżkach; czasami chciał ją wziąć na ręce i nosić jak dziecko, przytuliwszy do piersi. Całował w twarz, w szyję, gładził po rękach i dziwił się w duszy, że ludzkie ciało może być tak miękie. tak gładkie, jak ak.saniit. Ona pieszczoty te przyjmowała zawsze z jednakim uśmiechem, z początku wypytywała go o krewnych, o sąsiadów, chciała jakieś .stosunki .sąsiedzkie lub rodzinne zawiązać, od swoich odjechała o mil kilka,—tu, wśród tej głuszy brzydkiej, gdzie oprócz jednej dzikiej gruszy pod oborą, nawet drzewa porządnego nie było— czuła się samotną, opuszczoną, a załatwiwszy codzienne gospodarskie zajęcia, nudziła się strasznie:

— Bydło tu sanie wkoło nas siedzi — odrzekł jej na to — krewnych mamy trochę, ale ci nie lepsi od obcych, zazdroszczą nam tej fortunki, każdyby nas w łyżce wody utopił! Zjadą się tu czasami, popiją się, człek kilka rubli na poczę.stnnek straci i tę jeszcze przykrość ma, że na pijaństwo, a czasem i na bijatykę patrzeć musi... Znajomości nam niepotrzebne, bo z tego tylko koszt i strata czasu. Chleba nam nie zabraknie, a jak przy boskiej pomocy grosz do grosza składać zacniem, to i wesoło nam będzie. Tylko, że teraz ciężkie czasy, oj ciężkie! Najlepsze lata człek marnuje i ledwo końce z końcami wiąże! Ha, żeby dobra dzierzawa trafiła się, wtedy co innego...

Patrzyła mu w oczy, wyczekując tego innego,

— Na większem żyć łatwiej: praca jest co prawda, ale i skutek jest! Jak człek ciała zbytecznie nie folguje, głód byle czem opędzi i byle jak plecy przykryje, to pod koniec żywota dla dzieci kawał grosza zbierze... Na wiosnę muszę wyszukać dzierżawy.

Pochylała głowę nad robotą, dalsze plany mało ją zajmowały.

Większa gospodarka to więcej bydła roboczego w domu, mąż jeszcze więcej zajęty, krzykliwy, brudny, cuchnący potem i nawozem, o zmroku już śpiący, jak wół spracowany! O lepszym jadle, o względnym chociaż komforcie w otoczeniu mowy być nie mogło. Filip głuchł. jak tylko zaczynała mówić o wydatkach, na gospodarkę nie żałował, a chata byle sucha i ciepła, jadło najprostsze, byleby obfite—wystarczały mu w zupełności.

Ja tam i z parobkami najeść się moge, ja przywykł do prostej strawy i to mi najlepiej smakuje. W naszym stanie to trzeba jeść co w chacie jest; grzeszyłbym ciężko, żebym pieniądze na kupowanie jedzenia wydawał—mięso, cukier, herbata, to pańskie wymysły, czasami można sobie pozwolić, ale często— grzech.

Chizciny jednak wyprawił sute. Całą rodzinę żony zaprosił, ze swoich zaś, tylko dwóch braci, jako jedynie możliwych w pańskiemu towarzystwie.

Ojca pilnował, żeby się nie upił:

— Jak wyjadą, pijcie ile wlezie, ale teraz wstydu mnie nie róbcie: zaraz zaczniecie o swoich rozbojach opowiadać, a to i wstyd i nieładnie.

Sam zaś był jeszcze poważniejszym niż zwykle, mało mówił, uśmiechał się uprzejmie, w zonę patrzył jak w obraz, znać było po nim, że jest rozrzewniony własnem szczęściem, i że mu już lepiej na świecie być nie może. Przy kolacji wypił trochę, i to mu animuszu dodało:

matkę i siostry po rękach całował. Stasia zaś objął za szyję, pocałował głośno w jeden, w drugi policzek, potem w samą gębę, i pierwszy raz nazwał go bratem:

— Eh, bracie, zawołał, dobrze żyć ua świecie!

Stas i cała rodzina przyznali, że Włodek wiele zyskuje przy bliższem poznaniu, i że, jeżeli to prawda, że stary ma znaczne pieniądze, to Karokia miała niezły węż, wychodząc za tego szlachciurę. Za rok, drugi mogą sobie wystawić porządny dom mieszkalny, mogą się umeblować jak należy, a jak kupią powóz, chociażby nie nowy, to przyjmą ich w najporządniejszych domach, a z czasem zapomną nawet, że Włodek, to prosty szlachclura. Chcąc żonę na czas choroby nawet od domowych zajęć uwolnić, Filip przywiózł z dalszej okolicy swoją krewniaczkę daleką. Antośka od pierwszego dnia była w Baliczach jak w domu, poznała wszystkie kąty, spostrzegła wielkie zaniedbanie w gospodarce kobiecej i odrazu wzięła się do roboty. Nazajutrz o świcie uprzątnęła spizarkę, piwnicę, sama wydoiła prawie wszystkie krowy, upiekła chleb; do śniadania przyszła uśmiechnięta, rozpromieniona, czerwieniła się jak róża. gdy Filip i stary chwalili jej pracowitość i pośpiech. Staremu przypomniawszy nieboszczkę; była wysoka, rosta blondynka, trochę piegowata, z milutkiemi, łagodueini oczkami. Śmiała się chętnie, ale po za domem, w pokoju krępowała ją trochę Włodkowa. Antosia nigdy jeszcze z taką ładną panią nie siadywała u stołu. Wstydziała się trochę swoich rąk czerwonych, barczystych pleców i przyciasnych kaftaników w gorsie, unikała jej o ile mogła, jadła później, a wieczorem, po robocie, żadna siła nie zaciągnęłaby jej do pokoju. Siedziała albo na ławie przed domem, albo w izdebce za kuchnią. Czerwieniła się na sara dźwięk głosu Włodkowej.

W Baliczach wróciły dawne czasy, pojawił się doskonały sitni chleb na stole—wyborne sery z kminem i zawsze świeże masło, a na podwórku zaczęły space

rować coraz tłusciejsze wieprze. Antosia każdej niedzieli jeździła do miasteczka, wioząc w kałamaszce parę fajeczek ze śmietaną i masłem, parę koszyków z jajami i kurczętami! Stary gotów był uwierzyć w zmartwychwstanie swojej nieboszczki—tamta tylko czasami lulkę pykała, albo miętówkę trzymała w ustach od bólu zębów, ta nawet i tej przywary nie miała! Filip poweselał, teraz z czystym sercem mógł zostawić wszelką swobodę swojej królownie. Antosi obiecał sporządzić tymczasem parę sukienek, buciki i nic więcej—przygarnął sierotę przecież. Sześć ich siedziało z matką na dwóch włókach, chodziły na zarobki po ludziach. Jego królewna z dziecięcym wartą była przecież dwóch sukienek i pary bucików! Zostawił ją w spokoju, a sam jeszcze szczerzej zabrał się do gospodarki, różniej mu było jakoś, gdy wesołą dziewczynę miał zawsze pod ręką, wielki ład w chacie i parę nowych rubli każdej niedzieli. Wkrótce tak do niej przywykł, że się jej spowiadał z każdej myśli, ojcu rodzonemu nie powiedziałby tego. co ,iej mówił. Dziewczyna słuchała uważnie, kiwając ud czasn do czasu głową na znak, że rozumie. I rozumiała dokładnie, w myślach jego czytała! Wyręczał się nią jak drugim sobą, w sprzedaży szczególnie, o grosz dbała jak o swą duszę: dla bogactwa iego miała też szacunek wielki. Z początku nawet chciała go w rękę całować, ale tego zabronił jej stanowczo. Miłu mu było jednak, że dziewczyna dla niego szacunek ma i. chociaż krewniaczka, za pana go uważa. Wynagradzając pokorę, sam byt dla niej coraz łaskawszy, naradza!

się z nią o każdej rzeczy; gdy z domu wyjeżdżał, jej pieniądze do schowania dawał, wiedział bowiem, że o dobro jego niezmiernie jest dbałą. Skąpą liyla strasznie: parobki i dziewczki szemrali, że ich głodem luorzy. codzień prawie ktoś na skargę przychodził; Filip gniewał się niby, a w duszy rad był, że taką pomocnice

sobie dobrał! Przytem węc miała wyborny: każda kradzież zwietrzyła odrazn! Kłóciła się z parobliami. biła dziewczki, przeklinałi ją, ale bali się jej jak ognia! Nigdy jeszcze takiego porządku nie było w Baliczach, — Złota dziewczyna—mówił stary, Filip kiwał głową potwierdzająco. Nieraz calemi dniami nie widywał żony. Śniadanie jadał bardzo rano, obiad w pilny czas Antosia przynosiła mu na pole; o zmroku, załatwiwszy się z robotnikami i zjadłszy misę zsiadłego mleka na ławie przed chatą, szedł spać do odrynki na siano. Czasami tylko wśród dnia uczuwał raptowny niepokój, jakby brak czegoś: uderzał się rękami po kieszeniach spodni: klucze miał wszystkie... w gospodarce szło wszystko jak należy... — Królewny mojej nie widziałem dzisiaj!—szeptał z radośnym uśmiechem. Słowa te jednak odnosiły się laczzej do córki niż do żony. Wstępował tedy do domu, brał maleństwo na ręce i bawił się z nią czas jakiś, przyrailając się zabawnie. O żonce strasznie jakoś zapomniał... czasami za drzwiami już przypomniał, że nie przemówił do niej ani słowa, że nie zapytał nawet o zdrowie,, chciał wracać, machnął ręką i szedł w pole.

— Nie ucieknie, zapytam wieczorem!

Ona rada była z tego zubożenia; w nieznośnym życiu ubywała chociaż jedna przykrość: niemiłe pieszczoty powtarzały się coraz rzadziej, — Żeby jeszcze wyprowadził się gdzieś na dzierżawę—mówiła w duchu—wyobrażałam sobie, że jestem w więzieniu bez dozorczy... Mówią przecież, że i do więzienia przywyknąć można... ale ja chyba tego nie potrafię!

Krzętała się po domu, a resztę dnia leżała w pierwszej izbie na jesionowej kanapie, zasłanej pledem. Kiedy wchodził Filip, udawała śpiącą. Widziała, jak po

chylony nad nią wpatrywał się uważnie, czasem zlekka pocałował ją w czoło albo w rękę. Wołałaby jednak umrzeć, niż otworzyć oczy i za pieszczotę zapłacić mu chociaż lekkim uśmiechem... udawała śpiącą... Gdy się oddalał, stąpając ostrożnie na pakach, spoglądała za nim z pod przysłoniętych powiek.

— Czyż mogłam przewidzieć, że będzie dla mnie taki wstrętny!— odpowiadała na własne myśli—on mnie znał, a ja go dopiero teraz poznałam.

Bała się myśleć o przyszłości.

— Umrę wkrótce, takim życiem długo żyć niepodobna.

Jeździła czasami do matki, wracała smutna, zgryziona; żebyż swoją ofiarą chociaż im jakąś ulgę przynieść mogła! O pomocy mowy nie było, męża swego znała: chleba jej nie żałował, ale grosza jednego nie dałby jej rodzinie. Zresztą, onaby tej pomocy nie przyjęła—i tak już dosyć poniżenia znosić musiała!

Stary coraz częściej głos podnosił, nadmieniając o darmożjadach, których Bóg nagłą śmiercią karać powinien; szydził z panów podupadłych, stawał się coraz śmielszym, chociaż do synowej wyraźnie nigdy się nie zwracał. Filip nie słyszał zjadliwych słów ojca, czy tylko udawał, że nie słyszy.

— Czego oni chcą odemnie?zapytywała w duchu Włódkowa tak wolno, jak gdyby każdy wyraz pytania chciała dokładnie zrozumieć. Czy mam krowy doić, wieprze karmić, żać, siano grabić?—mają do tego Antosię... Podrzucała ramionami z pogardliwym uśmiechem.

— Nie, tak dłużej żyć niewarto!—powiedziała raz sobie zupełnie niespodzianie.

Myśl ta kielkowała w duszy oddawna; raz wypowiedziana, stała się faktem spełnionym. Włódkowa czuła, że nie cofnie się od swego postanowienia.

W tym czasie akurat Filip skończył odnawiać bryczkę; sam ją skórą obił, sam wymalował na żółto suszył

ją na słońcu pod stajnią i co godzinę prawie zaglądał, czy chłopcylianalje nie cisnęli garścią piasliu na świeżą farbę. Żonkę też namawiał, żeby z nim poszła spróbować siedzenia... „sam materace świeżym włosiem wypchał, był przekonany, że żaden rymarz nie wyrychtowałby tak doskonale starej na nową, Włódkowa nie słuchała, co do niej mówił; nie pierw.szy to raz odpowiadała mikzeniem na gospodarskie kwestje, dawniej nie zwracał na to uwagi, teraz, ponieważ o jego bryczkę chodziło, oburzył się w duszy,, serce się ścisnęło...

— Ona mnie ma za nic, dalibóg! —zamyślił się nad tym frazesem...

Nieraz już przychodziło mu na myśl, że nie wszystko tak jest, jak być

powinno, nieraz odchodził od niej zły trochę, kręcił głową i mruczał groźnie. Dawna słabość przemagała jednak, po paru dniach łagodniał, wracał, więcej jednak do dziecka, niż do niej.

— Mrukliwa bestja... nie pracuje, chleb darmo je, ale niechby chociaż człowiekowi duszę rozweselała... Słowa ceni jak złoto, gada jak z łaski,, a, no, markotno jej tu z nami—dodawał naraz—życie w naszym stanie ani wesołe, ani wygodne, ale cóż robić? inaczej być nie może... Za cóż więc mną poniewierać, jak gdyby już ja nie był wart łaskawego słowa?

Bolało go to z początku, powoli ból przemieniał się w gniew ukryty, w chłodną zawziętość.

— Kiedy ty tak, to i ja tak...—powtarzał w duszy. Siedząc obok niej na kanapie, bawi! się z dzieckiem, a na nią tylko z ukosa spoglądał. Czekał, kiedy do niego przemówi, zażartuje, albo chociaż uśmiechnie się łaskawie. Ona nie podnosiła głowy od roboty, może nie widziała, że siedzi przy niej.

— Nie, to nie, pal cię lichu!

Przestawał spoglądać na nią, śmiał się i gadał do dziecka, ale wargi drgały, ręce trzęsły się jak w febrze—uciekał, trzasnąwszy drzwiami za sobą!

— Ona ma mnie za nic! — powtórzy! z powodn liryczki.

Powlók! się sam jeden pod stajnię, głowę zwiesił, patrzy! w ziemie ociężałym wzrokiem, jak człowiek, który się olradził ze snu ciężkiego, ale jeszcze orzeźwić się nie zdołał. Na widok żółtej bryczki jaśniej mu się w oczach zrobiło, uderzy! ręką po materacu... wskoczy! do bryczki, usiadł:

— Antośka, chodź tu, zawołał na wychodzącą ze świrna dziewczynę, siadaj przy mnie, zobaczymy, czy pomieścimy się tu we dwoje. Dziewczyna stanęła przy wasągu, podniosła na niego niebieskie oczy, ale gdy ją za rękę schwycił i do bryczki chciał wciągnąć, wyrwała się i uciekła zarumieniona.

Patrzył wślad za nią, jak biegła przez podwórko do chaty. Wiatr podwiewał różową spódnicę, na czarny kaftanik z pod białej perkałowej chusteczki spadały dwa jasne warkocze... On zawsze lubił takie dorodne, silne dziewczyny... śmiech i pieśni lubił... a chatę miał teraz jak grób smutną.

Antośka dawno znikła we drzwiach sieni, on też przestał patrzeć w podwórko; siedział na bryczce zgarbiony, z rękami na kolanach, brwi ściągnął, najeżył wąsy.

— Sam... sobie... dołę... stru!...—szepnął wpatrzony w swoje zakurzone buty; obejrzał się i westchnął z całych piersi.

Odtąd na chatę ręką machnął. Wkrótce zaczęła się kośba; tego roku wydzierżawił łąkę od proboszcza, drugą pod lasem od dworu, od jednej do drugiej miał z pół mili. Nie było czasu zaglądać do domu,

O zamierzonej podróży żonki dowiedział się w przeddzień wyjazdu. Zdziwił się i zląkł zarazem :

— Pewnie zapotrzebuje pieniędzy?—przemknęło mu przez głowę...

Gdy oświadczyła, że pieniądze ma od brata, ochłonął odrazn, uśmiechał się radośnie —aż zły był w du szy, że mu tale ua sercu lekko... konie do ,stacji dał prawie bez oporu:

— Czas roboczy—mruknął,

Ale gdy powiedziała, że może cały miesiąc u siostry zabawi—zapomniał o czasie roboczym:

— Na miesiąc jedzie, lo konie dać warto!—pomyślał, jakby dłuższy przeciąg czasu znacznie wpłynął na skrócenie drogi do stacji.

— No cóż, Antosia, przez cały miesiąc ty tu panią będziesz! Zawołał, gdy bryczka z żonką wyjechała za bramę.

Patrzyli na siebie, stojąc w ciemnej sieni.

— Uporządkuję trochę!—rzekła dziewczyna; w oczach błyszczała szczerą radość.

On poszedł, gwizdząc, na łąkę. Dawno już nie było mu tak wesoło.

Nazajutrz cały dom przybrał inny wygląd; Antosia zaczęła gospodarować po swojemu. W pierwszej izbie, wzdłuż zielonego, mocno napalonego, pieca ustawił a tapczan, na którym stanął cały rząd garnków z mie kiem, poprzykrywauych kwadratowemi deseczkami , do drugiej strony pieca przysunęła stół jesionowy , na którym ustawiła dzieżę z twarogiem, przykryt ą czystym obrusem; bojąc się psów i kotów, okna zaray kata szczelnie. W drugim pokoju, na drażu miedz y dwoma krzesłami, wisiało kilka serów w workach, serwatka ściekała zwolna do niecek. W kącie przy piecu leżata kupa starych worków, przygotowanych do naprawy, na podłodze walały się kawałki zgrzeb nego płótna, przeznaczone na nowe worki. Ogromny kię bek szarych nici i olbrzymie żelazne nożyce leżały na komodzie przy łóżku Włodkowej. Wśród tych nowych i starych worków czołgała się Zosia w koszuke, z nadgryzioną marchewką w rączce.

Dziewczynka, jakby

zdziwiona raptowną zmianą w otoczeniu, spoglądała dokoła, z podniesioną główką, jasnymi oczkami parzyła na zaczerwienioną, głośno sapiącą Antosię, która długimi kawałami płótna okrywała starannie łóżko, dla ochrony pościeli od kurzu ze starych worków.

Do pierwszej izby stary wniósł stół jadalny, ustawił go pośrodku, na jesionowej kanapie swoją pościel zasłał.

— Przynajmniej człek jeść i spać będzie, jak należy, mrucał do siebie; w ciupie przy kuchiu muchy oczy wygryzają, z myszami spokoju niema. Przyniósł tu jeszcze swój kozuch, worek z machorką i kilka krótkich lulek z glinianymi fajkami ustawił na oknie. W parę dni po wyjeździe Włodkowej znikł wszelki ślad jej bytności w Baliczach; w izbach, napełnionych duszną atmosferą, przesiąkła wonią mleka, serów, kozuchów i machorki, panował gospodarski nieład: było tu pod ręką wszystko, czego dusza zapagnie: napoczęty bochen chleba na stole, obsiadły muchami, fajki, ścierki, nawet wiadro z wodą przy drzwiach i kubek drewniany. Przy oknach pozostały wprowadzie muślinowe firanki, ale i te obsiadły roje much, wabione nie zwykłym ciepłem i apetyczną atmosferą. Pozostała jeszcze Zosia, cicha, jakby zdetonowana, czołgając się po brudnej podłodze, oglądała się po kątach, nasłuchiwała, krzykliwa zwykle, przez te parę dni zachowała się cichutko; zostawiona sama w izbie, siedziała w kącie między łóżeczkiem a ścianą, wzdychała, czasem podrzucała ramionkami, jakby pytała siebie, co to z tego będzie?

O zmroku stary i Filip zasiedli w pierwszej izbie do kolacji, W pokoju duszno było jak w łaźni, lampa kopciała u sufitu; w ciszy słycać było szmer much na piecu, ścianach i firankach, cichy oddech Zosi, śpiącej w drugiej izbie, i regularne kapanie serwatki z serów do niecek.

Ojciec i syn, w oczekiwaniu kolacji, siedzieli naprzeciwko siebie za stołem, bez surdutów, w rozpiętych koszulach, palili krótkie lulki, obaj opaleni od słońca, oddychali ciężko długim, urywanym oddechem, w którym czuć jeszcze było resztki zmęczenia. Stary mrużył oczy, raz po raz oglądał się przez ramię na kanapę, jakby się chciał przekonać, czy jest tam jego poduszka, siennik i kozuch, którym okrywał się latem i zimą, zarówno w gorącej izbie, jak i w odrynie na sianie. Wierzył w zbawienną własność potu;

— Pot nawet grzech z duszy wypędzić może—mawiał — z potem wszelka choroba z ciała i kości wychodzi...

Filip mikzał; spoglądał z ukosa w otwarte drzwi do sieni; naprzeciwko, w kuchni, stojąc przy kominie, Antosia smażyła słoninę — zapach tłuszczu, kartofli i świeżego chleba napelnił sieni i izbę.

Antosia przyniosła na stół misę zsiadłego mleka, pobiegła do kuchni po kartofle, potem raz jeszcze wróciła po smażoną słoninę, którą przyniosła na okopconej patelni. Stała przy stole, zaczerwieniona, nśmiech nięta. Ojciec i syn zwrócili ku niej oczy:

— Oto nasza gospodyńka, oto pomocnica kochana— zawołał stary— siadajże tu koło mnie. napracowałaś się ty i za siebie i za innych!

Posadził ją koło siebie, łyżkę przysunął i wszyscy troje zaczęli jeść z jednej misy. Łyżki Filipa i Antosi spotykały się każdy raz, gdy sięgali po mleko, przyczem spoglądali na siebie z uśmiechem. Dziewczyna czerwieniła się jak piwonja, niebieskie oczki śmiały się wesoło...

— Jaki ten Filip, dalibóg!... — szeptała w duszy... kroplisty pot wystąpił jej na czoło, serce kołatało w piersiach. I zis zrana objął ją wpół i pocałował w szyję... Bratem jej był wprawdzie... pomimo to pocałunek ten czuła przez cały dzień, jakby wypalony poniżej ucha...

On też może o tym pocałunku myślał... od czasu do czasu zatrzymywał wzrok na jej białej, tłustej szyi.

Filip pierwszy łyżkę w misie zostawił; oparł głowę na dłoni, pake w rozczochrane włosy zasunął; mrużył oczy... dobrze mu było w cichej, dusznej izbie! Dawno już nie zażywał takiej swobody!

— Złota dziewczyna! tak, złota dziewczyna — powtarzał w duszy. Nie patrzył na nią, miał ją wciąż przed oczyma nie od dzisiaj,, przychodziło już mu na myśl, iż należałoby ją może... do miasta odesłać...

— Zginę tu bez niej... odpowiadał na to głos su ndenia... zginę!...

Po każdej takiej rozmowie z sobą wpadał w zły humor, mikzał nasrożony. Przez ten miesiąc musiał ją mieć w domu, nie miałby przy kim zostawić dziecka,, Miesiąc cały!,, zdawało mu się, że len miesiąc trwać będzie bez końca... Była już u nich więcej roku, ale dopiero przez ten miesiąc będzie u niego prawdziwą gospodynią! Czemuż nie rok cały.., nie całe życie!

— Głupi jaszepnął przez zaciśnięte zęby. Powolny turkot wozu dolatywał zdaleka; wrota

skrzypnęły. Wszyscy troje spojrzeli pytająco. Z pod stołu wylazł burek, stanął w otwartych drzwiach i słuchał. Wóz wjechał na podwórko, słyhać było przerywane skrzypienie kół i powolne stąpanie konia; wóz stanął przed gankiem.

— Ktoś przyjechał—mruknął stary. Antosia wpatrzyła się w Filipa.

Podrzucił ramionami, jakby chciał powiedzieć: eh, to być nie może! A jednocześnie uczuł jakby trwoę, brwi ściągnął, nie ruszając się z miejsca, wpatrzył się w otwarte drzwi do sieni,

W progu stanęła Włodkowa w szarym płaszczyku, w kapeluszu nasuniętym na czoło, z torebką w ręku.

Wszyscy naraz powstali od stołu... widmo śmierci uie zdołałoby wywołać silniejszego wrażenia.

Filip i Antosia zamienili długie zdumione spojrzenie !

— Nie czekaliście mnie—rzekła, przestępując próg; raz jeszcze rzuciła okiem na stół z resztkami jadła, na szereg garnków przy piecu, na kozuch i pościel starego; raz jeszcze ujrzała też same długie, zdumione spojrzenia Antosi i Filipa.

— Nikt biedy nie czeka, sama przychodzi — mruknął stary.

On pierwszy ochłonął ze zdumienia; tupcząc na jednym miejscu, szukał czegoś... Surduta może, kija i czapki... drżącymi rękami macał po oknie, po krzesłach; .straci! zwykły rezon narazie.

— Nikt biedy nie czeka...—powtarzał machinalnie. Filip i tego nie mógłby powiedzieć, w mikzenia

przyjął od żonki torebkę, pomógł zdjąć płaszczyk, ale zapomniał przywitać; i jemu ręce drżały, a głos ugrzązł w piersiach. Antosia śpiesznie ze stołu sprzątała; miski wstawiła jedną w drugą, na wierzchu postawiła patelnię, garścią zmiotła okruszyny do lartucha i, zebrawszy wszystko jak mogła, znikła za drzwiami w ciemnej sieni; za nią wysunął się stary, suwając nogami. Włódkowa przysiadła na krześle.

— Zosia śpi?—spytała męża. Skinął głową w mikzeniu.

Chodził wzdłuż pokoju i nawet nic próbował zdobyć się na rozmowę.

Działo się z nim coś niezwykłego : co chwila iała gorącej krwi przyplływała do głowy, czuł dzwonienie w uszach, żyły na skroniach i na szyi na brzmiewały, włosy podnosiły się na głowie.

Fala odpływała... czuł dreszcze i dzwonił zębami jak w febrze. Nie mógł nawet spojrzeć na żonkę... Czekał co powie, a zarazem nie chciat, żeby się odzywała... Plunął w końcu, schwycił czapkę starego z okna i wybiegł za drzwi.

Włodkowa popatrzyła w ślad za nim. Wszystko troje znikli prawie w jednej chwili, nie przemówiwszy ani słowa; spłoszyła ich... Przeraziła, jak widmo nieszczęścia... uśmiechnęła się smutnie, wzruszyła ramionami. Zczerniała, schudła przez drogę, od wczoraj nie miała nic w ustach; gorączka ją paliła. Przez chwilę czekała, może które z nich wróci... W domu zalegała grobowa cisza... Uciekli przed nią!... Zapaliła lampę, przeszła do drugiej izby. Przy progu spotknęła się o kupę worków. Powiodła błędnym okiem dokoła. I tu było duszno jak w łaźni. Zosia spała w łóżeczku, przykryta od much kawałkiem starego mnślinu. Włodkowa postawiła lampę na komodzie, zbliżyła się do łóżeczka... skinęła ręką—i odeszła.

Otworzyła okno, oparta o futrynę, wychyliła się do ciemnego ogródka. Gwiazdy migotały na niebie, w powietrzu przesiąkniętym rosą czuć było zapach siana, słysząc głuchy brzęk komarów i oddalone rechotanie żab w jeziorze... młode drzewka rysowały się gdzieś na ciemnym tle nocy, nad oknem, pod strzechą wróble odzywały się przez sen. Cicha głęboka ukołysała narazie myśli i uczucia. Włodkowa patrzyła bezmyślnie w ciemną przestrzeń, spalonymi ustami chwytając wilgotne powietrze. błogi spokój zapanował w jej duszy: żal, rozpacz, wątpliwość, porwy obrażonej dumy. które przez całą drogę szarpały jej duszę, ucichły, wyczerpane bezsilną walką... Wszystko przeszło, skończyło się, i nic zacząć się nie może... nic! Wraz z uczuciami zniknęły pragnienia, wola i siły.

— Jaka cicha noc... — powtarzała z dziecinnym uśmiechem... Cicha noc!.. Miała Izy w oczach... zacisnęła powieki, spójrzała w górę... na czyste niebo usiane gwiazdami... Izy znikły, skryły się na dno duszy.,.

— Cicha noc!...

I znowu łzy zasłoniły jej oczy.

— Czego ja płacę?

Wzruszyła ramionami jak skazaniec, który dawno pogodził się z wyrokiem, a jednak duszy w karbach rezygnacji utrzymać nie może.

Trzeba skończyć... tak żyć nie można... tyle razy powtarzałam... zawsze byłam gotową, a teraz... płacę...

Smutek ją ogarnia!. Łzy jedna za drugą spływały po twarzy.

— Cicha noc!

W tych słowach była cała jej przyszłość.

— Zasnąć nazawsze!

słowa wydawały się takie bezsilne, śmieszne, wobec tej ciszy bezgranicznej, tego odretwiąłego spokoju!,, — Cicha noc!

Uśmiechała się jak konający, gdy go cierpienia opuszczają, a serce uderza coraz wolniej.

Szarawy brzask poranku zarysował się na wschodzie, rozlewał się zwolna po niebie, ciemne tło nocy przybierało coraz jaśniejszą barwę. Gwiazdy gasły jedna za drugą... wiatr powiał, napędzając na pogodne niebo szarawe obłoczki.

Oparła się rękami o futrynę,, wskoczyła do ogrodu. Stanęła!; jedna ręka została jeszcze na ramie okna... Zwróciła oczy do izby... Łóżeczko, przysłonięte muślinem, rysowało się jak biały cień na ciemnym tle pokoju—zakryła ręką oczy.

Głuche a...a! wyrwało się z piersi! Złożyły się na nie rozpacz, żal, duma i,, ostateczna bezsilność. Poszła śpiesznie przez ogród w stronę jeziora! Kóźany brzask jutrzeńki szerzył się po niebie, dokoła rozlegał się głuchy szmer budzącej się natury.,.

Nad oknem świergotały wróble, w wysokiej trawie, w naroślach
odpowiadały im stłumione głosy; rosa, jak szron srebrzysty, pokrywała
łąkę wzdłuż jeziora, osłoniętego po brzegach białawym obłoczkiem. Silny
plusk wody odezwa! się przeciągiem echem w dalekiej przestrzeni. Wśród
budzącego się życia zgasi jeden błędny ognik.

ŚWIĘTY.

PRZEZ

PAWŁA BOURGETA,

PETERSBURG. SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNI BR. RYMOWICZ.

Znajdowałem się w miesiąc październik ... roku w podróży po Włoszech, bez innego celu, jak spędzenie kilku tygodni na oglądaniu po raz wtóry kilka arcydzieł, które przenoszę nad inne. Ta przyjemność powtórnego wrażenia była u mnie zawsze żywszą, aniżeli za pierwszym razem, z pewnością dla tego, że odczuwałem zawsze piękność sztuki jako literat, czyli człowiek, który przede wszystkim wymaga od obrazu lub statui, aby dały pochoch do myślenia. Jestto pobudka mało estetyczna i na którą uśmiechnąłby się każdy malarz, będący istotnie malarzem. Ona jedynie wszakże sprowadziła mię w miesiącu październiku, o którym pnowa, na kilka dni do Pizy. Pragnąłem tam odetchnąć marzeniem Benozza Gozzoli i Orcagna. Nawiasem mówiąc, i aby nie uchodzić za ignoranta w oczach znawców dziejów malarstwa, nazywam mianem Orcagna autora Tryumtu śmierci w Campo Santo tegoż miasta Pizy, wiedząc bardzo dobrze o tem, że nowoczesna krytyka odmawia mistrzowi temu ojcostwa tego utworu. Dla mnie atoli i dla wszystkich tych, którzy w pamięci swej zachowują cudowne wiersze z Pianto o tym fresku tragicznym, Orcagna jest i zostanie jego twórcą. A potem Benozzi nie stracił, wobec wątpliwej i nieszczęsnej krytyki katalogów, prawa do dekoracji muru wschodniego na tyra cmentarzu, Mój Boże! jakich IO doznawałem wrażeń w tym małym zakątka świata, , przypominając sobie, że Byron i Shelley mieszkali w tym

starym grodzie toskańskim, że ukochany mistrz mój Taine opisał sąsiednie miejsce na swych najwymowniejszych stronicach, że ten wielki liryk z Pianto był tutaj, wreszcie że Benozzo Gozzoli, pilny twórca poezji malowanej, spoczywa pogrzebany u stóp tych murów, na których freski jego zacierają się zwolna. Widziałem wśród tych murów pizańskiego Campo Santo i na tej ziemi, przywiezionej z Palestyny w wiekach pobożnych, jak wiosna rozchylała kielichy bladych narcyzów u stóp czarnego cyprysu; widziałem, jak zima sypała tam lekkie płatki śniegu, topniejącego natychmiast; widziałem, jak gorące niebo włoskiego lata zawisło ciężko nad tem miejscem bez cienia!,, A jednak nie sprzykrzyło mi się to, ponieważ powróciłem owej jesieni, nie spodziewając się moralnego dramatu, w którym miałem uczestniczyć, jeżeli nie jako aktor, to przynajmniej w roli widza bardzo wzruszonego i prawie mimowolnego. Pierwszy epizod tego dramatu stanowił, jak w wielu innych, wypadek dość powszedni, który zaznaczam tu z przyjemnością, jakkolwiek wątku go tylko łączy nić z resztą opowiadania. Budzi on jednakże w mej pamięci obraz dwóch miłych starych panien, angielskich. W czasie mego zwiedzania Campo Santo zauważyłem te panie, które przez niezwykłą brzydotę i oryginalność ubrania zdawały się być ilustracją żywą i karykaturalną wzniosłego wiersza poety do pewnej zmarłej, w którym powiada: cnie tobie liczyć już lata...

Więcej ruda z nich—ściśle rzecz biorąc, druga, mogła uchodzić za ognistą nieco blondynkę usiłowała malować akwarelą kobietę z Tryumfu śmiercią, tę, która w gromadzie po lewej stronie stoi odwrócona twarzą, z oczami niewinnymi i drobnymi ustami, z oczami i ustami, które nie mogły nigdy skłamać i których się nie zapomina, gdy się je raz pokochało. Biedna angielfka nie posiadała najmniejszego talentu, ale wy

bór tego wzoru i sumienność pracy zajęły mnie. Ponieważ te panie mieszkały w tym samym, co i ja ho teln, ustąpiłem dość niedyskretnie mej ciekawości, odszukując ich nazwiska w liście, przeznaczonej dla cudzoziemców. Przekonałem się, że jedna z nich nazywała się miss Mary Dobson, a druga miss Klara Hoberts. Były to panny blisko lat pięćdziesięciu, odbywające ową podróż po za granice Wielkiej Wyspy abroad (zagranicę), jak one mówią, którą przedsiębiorą każdego roku tysiące odważnych ich towarzyszek, żyjących w celibacie przymuszonym lub dobrowolnym. Łączą się one po dwie, trzy, niekiedy cztery i wyjeżdżają na piętnaście lub dwadzieścia miesięcy, umieszczając się w tajnych pensjonatach, których adres przesyła sobie całe wolnomularstwo tego rodzaju podróżniczek, uczą się nowożytnych języków pomimo siwiejących włosów, starają się rozumieć sztuki piękne z bohaterską wytrwałością, przebiegają najgorsze miejsca z niewinnością anielską, a wszędzie odnajdują to kościół angielski, to cmentarz angielski, aptekę angielską, nie licząc, że nie pominęły ani jednego dnia, czy to w głębi Kalabrii, czy nad brzegiem Nilu, by nie sporządzić sobie herbaty na sposób angielski, i to w godzinach, w których przywykły pić ją w salonie Devonshiru lub Kentu. Taki we mnie budzi podziw ta energja moralna, kryjąca się pod zewnętrznemi śmiesznościami tych istot, że w czasie mej częstej włóczęgi zawsze wdawałem się z niemi w rozmowę, przekonawszy się zresztą, że zamiatowanie określonego taktu, które panuje wśród ich rasy, czyni je często znakomitemi w udzielaniu informacji. One zawsze sprawdziły wszystkie zapewnienia przewodnika, a kto błądzi! z Badekerem w rękę w głębokiej pro wincji Włoch, ten przyzna, że takie sprawdzanie aż nadto jest pożytecznem. To też trzeciego wieczoru mego pobytu w Pizie, kiedy odjazd kilku gości zbliżył przy stole moje nakrycie do miejsca dwóch stajych panien,

zacząłem z nimi rozmawiać, przekonany z góry, że nie sliacą tej sposobności, aby się ćwiczyć w języku francuzkim.

Widzisz ztąd czytelnika dekorację i scenę, nieprawdaż? komnata tarożytnego paiacu, zamieniona w hotelową sale jadalną, umeblowaną mniej lub więcej na modłę nowożytną, z posową, pomalowaną żywemi ktdorami, z długim stołem, z drobną liczbą nakryć, ponieważ pora zimowa jeszcze się nie rozpoczęła. Na tym stole kołjszą się w mosiężnych podporach fiaschi, owe śliczne butelki z długą szyjką, oplecione od dołu, w których chowają wino, zwane Chianti, Gdyby to mało wzgórze tego imienia dostarczało tyle wina, ile zapełniają flakonów, oznaczonych jego mianem, musiałoby odbywać zniwa chyba co tydzień!,, Ale to fałszywe Chianti niemniej jest prawdziwem winem, którego za pach nieco ostry przypomina winograd istotnie, a tegość zabarwia cere siedmiu lub ośmiu osób, siedzących przy stole; małżeństwa niemieckiego, które z tej strony Alp odbywa klasyczną podróż poślubną, kupca medjolań skiego, z twaizą zmysłową a przytem przebiegłą, dwóch obywateli liguryjskich, przybyłych w odwiedziny tu w okolicy, którzy się zatrzymali, aby zobaczyć siostrzeńca, oficera konnicy.

Jest on tu przy stole z nami, ów siostrzeniec w mundurze kapitana, elegancki, wesoły, mówiący głośno i gardłowym akcentem z Rivierey. Jego rozmowa, przerywana" głośnym śmieciem, zaznajamia mię z odyseą jego krewnych, która zajęłaby mię więcej, gdyby miss Mary Dobson nie była rozpoczęła opowiadania, które rozbudziły we mnie quatrocentijstę), zakochanego w freskach i obrazach na drzewie z przed OO roku.

) Nazwa włoskich pisarzy z XV wieka. (Przyp. tlóm.).

Jestto więcej ruda z dwóch angielskich, ta sama, której pędzel tak niezręcznie oddawał gruby rysunek prymitywnego mistrza i po długiej rozprawie nad kwestją, czy sławny Tryumf należy przypisywać Bnonamico Buffalmaco, czy też Nardo Daddi, zapytała mnie;

— Był pan w klasztorze na Monte Cldaro?

— W tym, który się znajduje między Piza a Luką, w górach, z drugiej strony Verruci? — odpowiedzieli jej; nie, jeszcze nie byłem. Czytałem w przewodniku, że potrzeba sześciu godzin drogi powozem i to dla dwóch nieszczęśliwych wyrobów z terrakoty Łukasza delia Eobbia, które zaznacza i kilku obrazów ze szkoły bo lońskiej..,

— Z jakiego czasu jest pański przewodnik?—zapytała mnie miss Klara oschle.

— Nie wiem dokładnie,—odpowiedziałem nieco zmieszany szyderstwem, z jakim do mnie przemawiały te usta o długich zębach. Mam pewien przesąd, aby zachowywać zawsze jeden i ten sam od czasu, jak przybyłem do Włoch pierwszy raz. Jest już dość dawno temu, to prawda...

— O! to prawdziwie po francuzku... zaczęła znowu miss Klara.

Poznałem natychmiast, że jej upodobanie w mała rzach przedrafaelowskich było tylko osłoną jej próżności.

Nie zwróciłem jednakże uwagi na ten epigram narodowy, jak to mogłem uczynić, podkreślając poprosili przychylność iście brytańską tej uwagi. Wobec anglików, z rodzaju zaczepnych, mikzenie jest najlepszą bronią, która ich rani do głębi. Pragną oni i łakną oporu przez ten instykt wojowniczości, wrodzonej ich szczepowi, który prowadzi ich rasę do wszystkich zdobyczy, jakoteż do prozelityzmu. Z wspaniałomyślnością

mędrca zatem zniosłem przesywające spojrzenie nie bleskich oczu miss Klary, która w zamkniętych szrau

kach wyzywała do zapasów cały lud gałickoromański, tem więcej, że miss Mary mówiła dalej:

— Odkryto boowiem przed dwoma łaty tak pięktie freski ukochanego pańskiego Banozza, a tak świeże, tak świetne w barwach, jak treski z kaplicy Ekcardi we Florencji... AViedziano dobrze, że pracował w kłasz torze i że tam malował, między innemi, legendę o Św. Tomaszu. Ten oszczerca Vasari to opowiała. Ale z tej pracy, którą mistrz wykonał inuiej więcej w tym samym czasie, co w Pizie, niema ani śladu, i otoż przypadek... Ojciec Griffil, stary benedyktyn, który strzeże pomnika tego od czasu, jak klasztor został narodowym, każe pewnego dnia służącemu okurzać pajęczynę w kącie jednej z cel, które dziś służą do umieszczenia gości... Kawałek tynku odpada od muru pod pierwszem, nieco silniejszym uderzeniem szaotki. Za konnik każe przynieść drabinę, wchodzi na nią pomimo swych lat siedradziesięciu z górą. Należy panu wiedzieć, że ten klasztor jest jego miłością, jego namiętnością. Widział go zaludnionym dwustu zakonnikami i przyjął na siebie zadanie pozostania w nim jako stróż od czasu dekretu, zachowując tę pewność, że go ujrzy znowu w takich samych warunkach jak dawniej. Jego jedyną myślą jest, aby w dniu swego powrotu ojcowie znaleźli starożytny budynek, wolny od wszelkiej skazy. Dla tego to podjął on się przykrego ciężaru przyjmowania w gościnę przejezdnych podróżnych. Lękał on się, aby nie założono oberży u bram. jak na Monte Cassino, i aby ta oberża nie stanęła obok klasztoru, z

amerykanami tańczącymi wieczorem przy odgłosie fortepianu, nie mógł wcale znieść myśli o lem...

— Ale kiedy był u szczytu drabiny?...—odezwałem się, aby przerwać pauegiryk na cześć Dom Griffiego. Lękałem się, aby przez reakcję nie przeszedł w jaką zaczepkę uietołeranckkggo protestantyzmu. Miss Klara nie omieszkała tego uczynić.

— Faktem jest—rzekia, korzystając z przerwy — że nie byłabym nigdy niyśląła, zanim go poznałam, że można być tak inteligentnym pod podobną szatą.

— Kiedy był n szczytn drabiny — zaczęła miss Mary — zaczął bardzo ostrożnie skrobać tynk wokoło. Mógł już rozróżnić czoło i oczy, potetn usta, wreszcie twarz całą Chrystusa. Ci włosi są wszyscy artystami. Jląją to oni w swych żyłach. Zakonnik przekonał się, że pod owym tynkiem znajduje się fresk wielkiej wartości..,

— Mnisi—przerwała znowu miss Klara—nie mają nic śpieszniejszego, jak zamalowywać wapnem wszystkie arcydzieła w wieku, lub zastępować ozdobami w stylu śmiesznym i freskatni z czasów upadku, dekoracje dawnych mistrzów,,,

— Oni to jednak żądali owych dekoracyj—powiedziałem—co dowodzi, że dobry i zły gust nie ma żadnego związku z zasadami, iakie się wyznaje.,,

— Naturalnie—odparła okropua angielfka—pan, jako paryżanin, jesteś sceptykiem.,

— Pozwól mi skończyć moją opowieść — odezwała się miss Mary, która, jak zauważyłem, nietylko była preraphaelitką; była także dobrą, co w

naszycii czasach kometljanctwa estetycznego jest rzeczą dość rzadką. Przykro jej było widocznie, ie jej towarzyszka okazywała wobec mnie tak wojownicze usposobienie,

— Droga miss Roberts, będziesz się sprzeczała później,,,

— Co tu zrobić, pytał dzielny zakonnik sam siebie, aby uwolnić mur od tego pokrycia, nie uszkodziwszy fresku?... Oto jak postąpił: przylepił serwetę na tynku i pozwolił jej schnąć, dopóki płótno nie przyległo silnie do muru, następnie oderwał wszystko i skrobał bardzo delikatnie...

Potrzebował miesięcy całych ten poczciwy staruszek, aby odkryć tym sposobem pierwszą ścianę, na której przedstawiony jest

Św. Tomasz w chwili, kiedy dotyka pakem ratny Zbawiciela, a potem druga, na której widać apostoła, znajdującego się na audjeikji n króla indjan, Gondoforusa...

— A czy pan znasz to podanie? — zapytała nagle miss Klara.

Tyra razem nie sprawiłem jej tej przyjemności, aby stwierdzić mogła zgóry powierczltowność francuzką. Czytałem to opowiadanie — przypadkiem, to prawda, w książce Voraginn, pewnego linia, kiedy szukałem przedmiotu powieści, i to, czy mam się przyznać? do dziennika bulwarowego. Spamiętałem Je z powodu pod nioslego znaczenia jakie zawiera, a zarazem z powodu egzotycznego znamienia, które mu nadaje urok malowniczości. Kiedy Św. Tomasz znajdował się w Cezarei, ukazał mu się Zbawiciel i rozkazał mu udać się do Gondoforusa, ponieważ król ten potrzebował architekta, któryby mu wybudował mie.szkanie wspanialsze od pałacu cesarza rzymskiego. Tomasz usłuchał; przybywa na dwór księcia, ofiaruje swe usługi, zostaje przyjęty Gondoforus wybiera się

właśnie na wojnę w dalekie kraje i daje mu mnóstwo złota i srebra, przeznaczonego na wybudowanie pałacu. Powróciwszy, zapytuje Świętego, jak daleko postąpiła robota. Tomasz rozdał biednym skarby, które mu powierzono, do ostatniego szeląga, z obiecanego pałacu zaś nie było ani kamienia jeszcze. Król rozgniewany każe uwięzić cu dzoziemca i zaczyna rozmyślać nad wyszukanemi tor turami, które przeznacza niegodziwcowi. Ale oto tejże nocy widzi u stóp swego łóża ducha swego brata, zmarłego przed czterema dniami, który mówi do niego: Człowiek, którego chcesz męczyć, jest sługą Bożym. Aniołowie pokazali mi cudowne mieszkanie ze złota, srebra i kosztownych kamieni. które on wybudował dla ciebie w raj... Zatrwożony tem widzeniem i tem oświadczeniem, Gondoforus biegnie do więzienia i rzuca się do nóg Świętemu, który go podnosi, odpo

wiadając: iCzy nie wiedziałeś, królii, że jedyne mieszkania trwale są te, które buduje w niebie nasza wiara i nasza miłość?...

— To jest rzeczą pewną—powiedziałem, przypomniawszy legendę nie bez złośliwej uprzejmości, że jestto, przedmiot wieke zajmujący dla malarza jak Benozzo. lubiącego wspaniałe stroje, skomplikowaną architekturę, krajobrazy z olbrzymią roślinnością, fantastycznymi zwierzętami...

— A! — zawołała miss Dobson, odsuwając w uniesieniu talerz z figami czarnemi i zielonemi, który jej podawał chłopak ze ślalami brody, zapuszczonej przed sześciu dniami, i którego wytatty surdut, otwierając się, ukazywał zadziwiająco piękne guziczki z różowego koralu u koszuli, przetaitej w wielu miejscach. Nie wystawiasz pan sobie wspaniałości

Gondtdorusa, rodzaju maura w szacie z zielonego jedwabiu, zdobione! złotem, w żółtych bulach, z ostrogami również ze złota; a co to za koloryt jasny, jaka świeżość!... Pomyśl pan, że ów tynk musiał być umieszczonym na ścianie w końcu XVI wieku. Ani śladu uszkodzenia, ani odro biny poprawki! W celi, która, jak się zdaje, służy za kaplicę biskupom zwiedzającym klasztor. pozostaje jeszcze wielka ściana do odkrycia i mur nad oknem...

Rozmowa nasza stanęła na tern i poprosiłem miss Mary o kilka szczegółów, dotyczących komunikacji między Pizą a klasztorem— przyciągał on mię już z powodu odkrycia nieznanych utworów ulubionego mego malarza—kiedy otworzyły się drzwi i w nich ukazała się para znajoma, jak się zilawało, obydwóm angielfkom, gdyż widziałem, jak mi.ss Mary zaruniieniła się i spuściła oczy, a miss Klara odezwała się do swej przyjaciółki po angielsku;

— Ależ lo ten francuz i ta kobieta, których spotkałyśmy we Florencji w trattorii. Jak może przyzwoity hotel przyjmować podobne osoby?..

Spojrzałem także i zobaczyłem przy małym stoliku, ustawionym obok głównego stołu parę, której podejrzana powierzchowność zbyt była uderzającą, abym mogł pomawiać sąsiadkę moją o oszczerstwo. Zaprzeczyć naro liowości młodego człowieka również niepodobną dla mnie było rzeczą.

Mógł on mieć około dwudziestu pięciu lat, ale jego rysy przedłużone, cera blada, chude ramiona i widoczna nerwowość całej osoby, nadawały mu wyraz trochę stary, który łagodziło dwoje oczu czarnych bardzo ży wych i bardzo pięknych. Był on ubrany z ową pólele gancją, która oznacza

pretensjonalność i zarazem ma w sobie coś cygańskiego, W jaki sposób? Nie umiałbym odcienia tego oddać słowami, tak samo jak nie umiałbym określić ogólnego charakteru, który stanowił u tego nieznanego typ wyłącznie, niezapreczenie fran luzki, Krój ubrania, ruch, sposób siadania przy stole i brania do ręki karty, aby wybrać potrawę, powiadają ci, że o dwa kroki od ciebie znajduje się twój ziomek. Będę miał odwagę przyznać, choćbym miał dotknąć tego, którego humorysta nazywa; patriotą przedpokojem, że takie spotkanie więcej przestraszy, niż zachwycić może, Zdaje się, że francuz w podróży przedstawia najgorsze swoje wady, zresztą tak samo jak Anglik i nie miec. Tylko wady Anglika są rai obojętne, Niemca bawią mnie, a Francuza sprawiają mi przykrość, ponieważ wiem, w jakim one świetle stawiają nasz ukochany i dzielny kraj. Nie słyszałem nigdy, aby w kawiarni którejkolwiek we Włoszech paryżanin przejezdny mówił głośno i wyśmiewał się z miasta, w którym się znajduje, lub z którego przybywał, w słowach złośliwie po tiiżających, nie myśląc o tęt, że wokoło opowiadającego divadzieścia uszu rozumie jego dowcipy, a przynajmniej znaczenie tych dowcipów. Pięciu bowiem cudzoziemców na dziesięciu rozumie nasz język, a iluż zna ducha jego, chcę powiedzieć niewinność zupełną jogo

żartu? Może jeden na stu. Ileż to niedorzecznych narodowych nieporozumień utrzymuje się i podnieca w ten sposób przez owe nitogłędne gawędy publiczne, tak samo jak przez artykuły, napisane bez ziej intencji w kącie biura redakcyjnego, aby popęnić kompilację? Mój nieznanomy, szczęściem dla moich nerwów, należał do rodzaju, który, dzięki Bogu. istnieje także, do francuzów mikzących. Zresztą towarzysza

jego owego dnia pochłaniała uwagę w sposób, usprawiedliwiający gwałtowny niemal wybuch Miss Koberts.

Owa tajemnicza dama mogła mieć około trzydziestu pięciu lat, a jeżeli on, sądząc z całej powierzchowności, był francuzem ze sfery mieszczańskiej, to ona była włoską od malej główki aż do drobnych stóp, od twa rzy nieco zanadto wyrazistej aż do świecidełek na sukni od ręki obciążonej bransoletami aż do czubka trzewika na trochę wysokim obcasie. Tej bardzo czarne oczy wyrażały ze swej strony, patrząc na młodego człowieka, uczucie, które nie mogło być udaniem. Auł jedno, ani drugie nie zdawało się przypuszczać, aby mogli być przedmiotem jakichkolwiek spostrzeżeń, a chociaż jakiś rys w twarzy jego nadawał mu pewien wyraz przebiegłości i nieufności, ten wyraz podzielanego trzecia odrazu uczynił mi ich dość sympatycznymi, bym nie miał pod jąć ich obrony wobec .Miss Koberts, która na legła:

— Przytem jest ona conajmniej dwadzieścia lat starszą od niego...

— Przypuśćmy dziesięć, przerwałem, śmiejąc się, jest bardzo ładną..

— U nas żaden gentleman nie pokazywałby się z osoba, która tak mało jest lady...

Byłem jej wdzięczny, że wymówiła to zdanie w angielskim języku, którego może mój miody współziomek nie rozumiał, tem więcej, że wypowiedziała je bardzo głośno. Nie mogłem jednakże powstrzymać się od tego, ,

by jej nie odpowiedzieć w tem samym narzeczu. trochę z próżności, przyznaję to.

— Ale zkadże pani wiesz, że to nie jest żadna Lady...

— Zkąd wiem?

A! za tę moją drobną próżność, aby jej pokazać, że mówię jej językiem, zostałem niebawem ukarany, gdyż poprawiła ironicznie moją wymowę, powtając własne moje słowa.

— Ależ spojrzysz pan, jak ona je...

Zmuszony jestem wyznać, że w tej chwili dwa egzemplarze rasy łacińskiej przeiławstawały widok, który nie uwzględniał żadnego przepisu, wpajanego przez guwernantki z tamtej strony kanału. Zanim podano zupeę, on przypuścił szturm do flakonu Chianti i do chleba na stole. Bawił się zanurzaniem chleba w winie, gdy tymczasem ona ssała kawałek cytryny, którą wzięła z talerza! Różnica między córą Albionn—jak się wyrażono w romansach z roku , a temi dziećmi natury była zbyt silną. Obawiałem się mego śmiechu i ponieważ obiad się skończył, wstałem od stołu w tym samym czasie, co niemcy, medjolańczyk, krewni oficera i oficer sam. Miałem nadzieję, że moje sąsiadki wstaną natychmiast po mnie, czego też nie omieszkały uczynić, i że dwoje zakochanych pozostanie sara na sam pod pobłażliwą opieką pokojowca z koralowemi guzikami. Być może, iż to nagłe nieco odejście było trochę moją zasługą, gdyż przeczuwałem mały romans w tem paradoksalnem spotkaniu młodego francuza z włoską, ale umarłbym prędeż, aniżeli bym miał bez wyrzutu sumienia przyjąć lia siebie rolę szpiega, co nowocześni pisarze nazywają poszukiwaniem dokumentu i przechwalają się, jako z przymiotu zawodowego!

Zapomniałem tedy prawie całkiem o owych gościach. aby myśleć jedynie o freskach, odkrytych przez Dom Griffiego i o sposobie udania się do klasztoru na Monte

Chiaro. Poszedłem do biura hotelu, aby pomówić o tej drobnej podróży z sekretarzem, eksgarybaldczykiem, tak dumnym z tego, że nosił na sobie czerwoną bluzę garybaldcę, że był ogłupiony rowolucjonaryzmem najskrajniejszym, co mu nie przeszkadzało zajmować się z pochwałą godną ruchliwością tem, aby pislano ciepłej wody pod N (, albo zamówioną herbatę pod As ii.

— Zbyt się jest pobłażliwym dla tych spiskowców— rzekł, mówiąc do mnie o biednych zakonnikach, zamiast mi odpowiedzieć na pytanie o drogę, o powóz i

o cenę. Moje przyjaciółki angielski korzystały z dyliżansu, potem odbyły część drogi pieszo. Ostatecznie udało mi się wydobyć z kawalera Dante Annibale Cor aachini—tak bowiem nazywał się ten dawny towarzysz wątpliwego bohatera — przyrzeczenie, że woXnica, którego sam wybierze, czekać na mnie będzie z lekkim powozikiem na tocco. Jakie to tadne wyrażenie, godne lego ludu, budzące wrażenie! Oznacza to uderzenie młotka, a także i godzinę pierw.szą z południa, godzinę jednego uderzenia w zegarze! Jakież było moje zdziwienie, kiedy opuszczając biuro, gdzie pod anonsami hotelowemi panował brązowy posążek jenerała w bluzie

i Mazziniego w surducie, spotkałem się z młodzieńcem z dnia poprzedniego. Zdawał się czekać na mnie i zaczepił mię nie bez pewnego wdzięku. Zresztą, któryż pisarz nie będzie pobłażliwym dla nieznajomego, który wypowie mu zdanie w guście następującego:

— Panie, czytałem pańskie nazwisko na liście cudzoziemców, a ponieważ przeczytałem wszystkie dzieła pańskie, pozwalam sobie?...

Wystarczy wstąpić do publicystyki z jakiegobądź tytułu, aby wiedzieć, ile są warte tego rodzaju grzeczności, ale "dziecinna próżność literata jest tak wielką, że zawsze idzie na lep i zrobi to, co ja zrobiłem; przyrzekłszy sobie bowiem, że nie będę psuł sobie wrażeń kochanej i ponurej Pizy przez próżne gawędki i nowe._

znajomości, w dziesięć minut później pizechadzałem się po nadbrzeżu z owym młodym człowiekiem; pół godziny potem jeszcze z nim razem błąkałem się pod sklepieniem Canipo Santo; o godzinie pierwszej skłoniłem go do towarzyszenia mi do klasztoru i wsiedliśmy obydwaj do cnrozzelli jednokonnej, która miała nas zawieźć do MonteChiaro. Młodzieniec ten nazywał się Filip Dubois i był czwartym synem profesora dość wysoko postawionego, lecz niezamożnego. Po świetnie ukończonych naukach w liceum na prowincji, przybył do Paryża jako sty pendjat. Złożył obydwa egzaminy i przez protekcję jednego z przyjaciół swego ojca, uzyskał misję do Włoch w celu dokonania poszukiwań archeologicznych. Misja ta kończyła się w tym miesiącu i miał powrócić do Francji. Zbyt diugo żyłem, aby nie domyśleć się, że warunki, w jakich żył, były bardzo skromne i że posiadał tylko tyle pieniędzy, ile mu było potrzeba na podróż z powrotem.

Główne tło charakteru tego chłopca stanowiła jedna z najgwałtowniejszych ambicji literackich, jakie spotkać mi się zdarzyło od czasu, jak bywam u początkujących pisarzy i to ambicja tem przykrzejsza, że duma jego, połączona z pewną dziką nieśmiałością, nie pozwoliła mu dotąd debiutować. W czasie czterech czy pięciu lat nauk, które go dzieliły od wyjścia z kolgium, hodował w ten sposób potwora literackiego w sobie w całym okrutnym znaczeniu, jakie zawiera ta choroba. Były w nim wyraźnie dwie istoty: jedna urzędowa i uległa, syn profesora w urzędowej misji; druga pisarz i poeta nieznan z wszystkimi dolegliwościami przedwczesnej goryczy, jakie przynosi stłumione powołanie. Ta dwoistość świadczyła o naturze samowolnej, co więcej wyższej z powodu giętkości i siły panowania nad sobą, Ale ta gorycz odsłaniała równocześnie duszę bez uczucia, marzącą przede wszystkim w zawodzie

pisarskim o poziomych przyjemnościach sławy i pieniędzy.

— Ukończyłem już prawie tomik poezyj—mówił— które panu pokażę...

A! mam już do syta tych grobów etruskich, napisów greckich i tej pracy bakalarskiej, na którą się zgodziłem jedynie dla tego, aby mieć zarobek...

Ale skoro tylko otrzymam stopień doktorski, zażadam urlopu i debiutuję...

Mam w głowie cały szereg artykułów. Kilka poilpisanych pseudonimem już posłałem do niektórych dzienników... Nie zamieszczono icii... Wiera dobrze, że zazdrośni je czytali...

— Należy wybaczyć nieszczęśliwym redaktorom, jeśli uie mają czasu sarai wszystkiego przeczytać—odpowiedziałem. Mają oni zobowiązania state, a potem trzeba pomyśleć o danych okolicznościach, o znanych talentach...

— Mówmy o nich—rzekł śmiejąc się gorzko śmiechem, w którym słyhać było głuchy gniew nieznanego pisarza, zatrutego jadem zazdrości, zanim się zmierzył ze swymi rywalami; i zaczął krytykować jednego po drugim pisarzy najgłośniejszych w obecnych czasach. Ten jest tylko gawędziarzem bezmyślnym, ów oprawiającym obrazy dla robotników w Epinalu, tamten zmodernizowanym Pawłem Kockiem, czwarty intrygant salonowym, zręcznym w cukrzeniu Stendhala i Balzac'a dla osłabionych żołądków światowych kobiet... Każdemu z nich przypiął jakąś poziomą aneg dote, jakich tysiące powtarzają w Paryżu, w tyra ma tym, dziecinnie okrutnym światku początkujących lite ratów. Pozwoliłem mu dalej mówić z głębokim smut kiem, nie dla tego, abym przywiązywał wielkie znaczenie do tej surowości nowych przybyszów względem ich star.szej braci, do której i ja jnż należę. Istniała owa surowość po wszystkie czasy i ma ona swą dobroczynną wartość: sarkazm to Mefistofelesa sktonił Fausta do pracy. Ale pod tym rodzajom surowości, przez którą może starał mi się przypodobać, krytykując Moich

współbraci,—biedaczek!—domyślałem się istotnego cierpienia. Widziałem mianowicie nadzwyczajną gwałtowność przedwczesnej pychy, właściwą naszym czasom— mówię tu o świecie tych, co myślą. Ongi surowość ambicji była podobną, tylko srożyła się ona mniej u literatów. Dzisiaj ogólne równouprawnienie daje artyście znanemu światuiejsze stanowisko, przynajmniej z pozoru, literatura wydaje się wielu, jako dobra sposobność do szybkiego zrobienia majątku. Rzucają się na nią zatem, jak inni na grę na giełdzie, zupełnie z tych samych pobudek. Zachodzi jednakże pewna różnica. Zapalenie giełdowy wie, że jest spekulantem, a zapalenie literacki zwykł uważać gorączkę parwenjuszowską za ogień apostolski. To czyni, jeżeli około czterdziestego roku powodzenia się nie ma, duszę zgorzkniałą a najboleśniejsze i najniższe namiętności krwawią się równocześnie. Widziano to aż nadto wśród pewnych pisarzy z czasów komuny. Słuchając rozprawiania tego młodzieńca, czułem w nim zacieklego literata wykolejonego i biednego; ale był to chybiony literat z datą linia i godziny. Miał on środek dopomożenia sobie bądź to zasobem mieszczańskiej przezorności, bądź też upodobaniem w wysokiej cywilizacji, co powinno go było ocalić i ocaliłoby go może. Czyż nie miał dosyć inteligencji i cierpliwości, aby zdobyć mimo gorączko wości chciwego artysty naukę lub rzemiosło ? To mi dawało wyobrażenie o tem, jaką walkę staczać musiał i jaka walka wrzała jeszcze w jego duszy dotąd, — Jesteś pan bardzo surowym dla swych starszych braci, powiedziałem, aby go powstrzymać w wyliczaniu paryzkich oszczerstw. Znam je wszystkie. Są one tak jednostajnie nędzne i nieprawdziwe! — Zobaczysz pan, kiedy będę pisał!—rzekł z próżnością naiwną i zdrożną zarazem—ha, ha, trzeba traktować swoich poprzedników tak, jak obchodzą się ze starcami w Oceanji, Każą im wchodzić na drzewo, któ

rem wstrząsają. Dopóki mają tyle siły, by się utrzymać, wszystko dobrze. Jeśli spadną, wtenczas ich się dobija i zjada...

Nie uwydatniłem wcale młodej dzikości tego paradoksu. Filip Dutiois pobudzał mnie do pozowania, że użyję dobitnego wyrażenia nieco przestarzałego żargonu. Odpowiedziałem mu, pytając o jego prace archeologiczne, co go widocznie wprawiło w dość zły humor; potem dałem mu radę, aby po powrocie do Francji nie rozpoczynało od dziennikarstwa, lecz przyjął miejsce na prowincji, gdzieby był użytecznym i skądby mógł wystąpić z wielkim dziełem. Niestary! i mnie udzielano także rad podobnych, kiedy byłem w jego wieku i nie słuchałem ich. To dowodzi, że ta loteria nędzy i chwały, którą zowią zawodem literackim, kusić będzie zawsze jednak pewne dusze młodzieńcze. Czy mam wyznać? Upatrywałem pewną ironję, niemal hypokryzję w tej roli moralisty, którą odgrywałem wobec niego. To wywołało trochę wyrzutów sumienia, ale potem, ponieważ tło niezadowolenia wewnętrznego, na którym zdawało się rozwijać jego życie, wzbudzało we mnie litość, zaproponowałem mu ostatecznie ową wycieczkę do klasztoru. Miała ona wywołać ów dramat krótki, do objaśnienia którego jednakże potrzebne były wszystkie te przedwstępne przygotowania. Filipowi chodziło tylko o opóźnienie podróży o dwa dni; przyjął propozycję i z uderzeniem godziny pierwszej odjeżdżaliśmy, wedle zapowiedzi eksgarybaldczyka, którego znakomitego określenia niepodobna mi nie przytoczyć tutaj. Odyśmy czekali u woźnicę, pochwycił on sposobność, aby mi zakomunikować swoje pojęcia o obecnym parlamencie franczkiem.

— Stracili oni tradycje rewolucjonistów—powiedział mi po przemówieniu terrorystycznym, którego tu nie llómućę, i zakończył z najkoniicniejszą melancholją— wreszcie uważam ich nawet za kapitalistów!..

Dzięki temu ostatniemu zdaniu, które rozśmieszyło Filipa i mnie, wyjechaliśmy in high spirits, jakby była powiedziała miss Mary Dobson, usposobieni oby ilwaj do rozkoszowania się podróżą. Droga, wiodąca z Pizy do Monte Chiaro, krótka zresztą, wije się wśród najwdzięczniejszego krajobrazu winnic przyczepionych do drzew morwowych. Olbrzymie trzciny skłaniają się za powiewem wiatru, wille otoczone cyprysami ukazują marmurowe iwy na kolumnad! u wejścia, a zawsze w głębi otwierają się paszcze tej góry, o której mówi Dante i która nie pozwala pizańczykom widzieć Luki.

— Oto, czego nam braknie we Francji—odezwałem się do mego towarzysza podróży, przytoczywszy odnośny wiersz Danta—poety, któryby do każdej piędzi ziemi ojczystej dodał jakąś legendę, pełną chwały.

— Tak pan sądzisz? — odpowiedział — co do mnie, z tej strony przewodnik zawsze mi obrzydzał Boską komedję.

Po tej odpowiedzi i widząc, że wesołość jego już przeszła, zacząłem żałować, że go zabrałem. Przewidywałem, że jeżeli zabierał się do paradoksów, to się nie rozbroi, a młody człowiek, tego pokroju, skoro się odda na pastwę próżności, pograża się w niej coraz dalej, choćby miał sobie sam zaszkodzić najwięcej, Zachowa leń zatem mikzenie i usilowatem zagłębić się w przyrodzie, która coraz stawała się dzikszą. Lekki powozik jechał teraz powoli. Wjechaliśmy w okolicę niemal bez

roślinności. Gołe pagórki podnosiły głowę ze wszystkich stron, ogromne nagromadzenie szarej gliny, porwanej przez deszcze. Ani strumienia, ani winnic, ani oliwek, ani śladu willi, lecz prawdziwa zapowiedź pustyni. Woźnica zeszedł ze swego siedzenia. Był to mały człowieczek z kwadratową i przebiegłą twarzą, który nawoływał swą klacz szarą, imieniem Zary, i zamieniał, jak wszyscy toskańczycy, twarde c na początku wyra

zu n z wymówione: Huesta huvalla. mówił, opowiadając o swem zwierzęciu, zamiast qnesta mtalla (ta klacz).

— Kupiłem ją w Liworno, kochany panie, Opowia dał mi, kosztowała mię dwieście franków, ponieważ myślano, że jest kulawą. Pan widzi, czy ona kuleje. He! Zara odwagi! Idzie za mną, drogi panie, jak pies.,; To też ją kocham!... Moja zona jest zazdrosną, ale ja jej odpowiadam: Zara zarabia mi na chleb, a ty mi go zjadasz... Patrz pan na to skały, oto tam o mało nie . został zamordowany Wawrzyniec Medici, po rzezi Pazzi...

— To ciekawa rzecz—powiedziałem do mego towarzysza, ten człowiek jest tylko woźnicą i jednym tchem mówi nam o swej klaczy Żarze i o Wawrzyńcu Medici... A! ci włosi!... Jak oni znają ilzieje swego ukochanego kraju i jak są z niego dumni!...

— Tak, wiem—rzekł Filip, wzruszając ramionami—można zastosować do nich zdanie Alfrerego: Zwie rzę ludzkie przychodzi tutaj na świat mędsze, niż gdzieindziejs... Prawdziwem jest to, że nczą się od dzieciństwa wyzyskiwać cudzoziemców... Uczą ich polowania na piwne. Jeszcze to nie skończyło ssać, a już jest ciceronem... A! napiszę romans o

Włochach nowoczesnych i ich ołbrzymiej mistyfikacji!... Mam wszystkie notatki... Pokażę, co to za naród...

Następnie rozpoczął gwałtowną napaść na ten piękny kraj, w którym brzmi si, i którego niepiestaną nigdy widzieć takim, jak rai się przedstawił w roku po raz pierwszy, jako jedyna ojczyzna piękności! Te wywoily, przypomniały mi jeszcze więcej rozmowy, które słyzałem w pierwszych latach mego zawodu, kiedy to uczęszczałem do miejsc zebrań przyszłych poetów i romansopisarzy. Prawie wszyscy byli urzędnikami w ministerstwie i, straszliwie zagniewani na mierność swego życia, spędzali całe godziny na napawaniu duszy goryczą, obsypując pogardą rzeczy i ludzi z

dzajem cierpkiej wymowy, która w owych czasach kazała mi wąpić o wszystkim i o sobie samym. Nie wiedziałem wtenczas, co poznałem później aż nadto, że ta wymowa jest postacią bezsilnej zazdrości, i która już wie, iż jest taką. Wszelki wielki talent zaczyna i kończy miłością i zapalem. Przedwcześnie zużyci są nieszczęśliwymi, którzy naprzód widzą swą nieplodną przyszłość i już się mszczą za to. Mój Boże! jakbym był pragnął, aby ten chłopiec mi mówił z zachwytem nieco śmiesznym o tej Florencji, gdzie pracował, gdzie był kochany, aby mi mówił o tej miłości zwłaszcza!... Zdawał się zapominać o niej zupełnie, i zamiast tego, zapuści! się, z powodu swej książki o Włochach, w nową kwestję o honorarjach znaczniejszych autorów.

— Czy to prawda, że Jakób Molan otrzymuje franka pięćdziesiąt centymów od tomu? powiadano mi, że Vincy dostaje dwa franki od wiersza... A! nędznik!...

Co rozpoznawałem teraz, po za tą ostrą krytyką i tą nadzwyczajną przykrością rozczarowania, to gwałtowne pragnienie pieniędzy, ale przez niekonsekwencję, wytłómaczoną jednakże, przebaczałem mu to uczucie więcej, niż jego szyderstwo. Żelazna dłoń potrzeby ciąży tak bardzo na głowie, w której fermentuje energią młodości i która, w odrobinie złota, widzi swobodę swej wewnętrznej istoty!

— I powiedzieć—zakończył z nieopisaną goryczą— że mój ojciec nie da mi nawet pierwszych trzech tysięcy franków, którychby mi było potrzeba, aby spędzić sześć miesięcy w Paryżu przed debiutem. Tak, to wystarczyłoby mi, aby zbadać teren i wydać pierwszą bitwę. Trzy tysiące franków! tyle przynosi takiej miernocie jak (nowe nazwisko autora czytowanego dużo) pięćdziesiąt stron kopji!

Zapomniałem powiedzieć, że w przerwach nakreśli! mi mało pochlebny obraz ojca i matki. Jak wytłómaczyć, że pomimo to nie przeatawał ranie zajmować?

Głosił on właśnie idee, których nienawidzę, ułtazywał mi uczucia, litore mi się wydają najprzeciwiejszemi tym, których doznawać powinien młody artysta. Ale czułem, że cierpi i liczyłem na to, że skoro pierwsze wywoła wrażenie, powrócę do rozsądnych rad i naprawię, jeśli można, dwa lub trzy szalone jego zapatrywania, tem więcej, że jego sposób wyrażani.) i wiadomości, zdradzały wysokie wykształcenie i inteligencją więcej niż wytworną—silną i oryginalną. Tymczasem horyzont stał się jeszcze dzikszym. Zostawiliśmy po za sobą daleko ogromną równinę, w której leży Piza. Katedry i pochyła wieża ukazywały się chwilami między dwoma wierzchołkami, jakby wykute na wypukłym tle. Liworno

zarysowywało się tam i morze błękitne całe, wkoło uas otwierały się, jak przepaście, trzy wielkie otwory, wyżłobione w tej kruchej ziemi, które nazywają tam w kraju bałze. Szczyty sterczały nagie i groźne.

Woły, przechodzące rzadziej teraz, nie były to już owe białe zwierzęta z Maremmów, z długimi rogami. Rogi ich były krótkie i zakrzywione, ich barwa szarawa, jak ziemia, Filip Dubois powiedział kilka wyrazów, które zdradzały zajęcie się obecnymi wrażeniami:

— Nie uważasz pan, że to jest krajobraz koloru szarego i stosowny rzeczywiście na wybudowanie klasztoru?

Prawie w tejże samej chwili woźnica wyprostowany na swym siedzeniu, zwrócił się do mnie, by zawołać:

— Panie, oto Monte Chiaro.

Końcem bicia pokazywał nam na skrawku góry dolinę jeszcze bardziej pustą od innych, wśród której, na wzgórzu obsadzone cypisami, wznosił się długi budynek z czerwonej cegły. W tym dniu tak błękitnym, kolor murów odbijał tak żywo od ciemnej barwy liści, że usprawiedliwiał nazwę Monte Chiaro, Widziałem tylko na górze Olivet, pod Sienną, przybytek za

konny, równie dziko umieszczony, zdala od wszelkiego śladu życia ludzkiego. Wedle wskazówek garybaldczyka z Pizy, uzupełnionych przez angielski, widziałem, że opat przyjął na siebie, w najdrobniejszych szczegółach, ciężar przyjmowania odwiedzających klasztor, państwowiony od i r.

— Jaki posiłek podadzą nam w tej teбайдzie?— odezwałem się do mego towarzysza, któremu przedłożyłem warunki, w jakich mieliśmy spędzić ten wieczór i następnego dzień.

— Jeżeli jest taryfa pięciu franków dziennie—odpowiedział—to ksiądz ten nie musiałby pochodzić z tego kraju, jeśli by nie schował trzech do kieszeni.

— Wreszcie! piękny Benozzo Gtozzoli wart złego obiadu—odrzekłem śmiejąc się.

W pół godziny później, kiedy ujrzelśmy z wysokości drogi ten starodawny przybytek benedyktyński, sławny ongi w całej Toskanji, a dziś tak smutno opuszczony, bdała klacz Zara zaczęła piąć się na wzgórze, obsadzono cyprysami. Zsiedliśmy, aby lepiej obejrzeć małe kapliczki, zbudowane co pięćdziesiąt kroków po obu stronach alei, przejęci, tak mój towarzysz jak i ja, posepnym majestatem tego sąsiedztwa klasztoru. W myśli widziałem niezliczone habity z białej wełny, które przesuwały się w tych alejach, ponieważ benedyktyni z MonteChiaro, tak samo jak w MonteOliveto, poświęcili się Pannie Marji. Moja angelka poinformowała mnie i o tym szczególe, odnoszącym się do ubrania. Myślałem o tych duszach prostych, dla których ten horyzont oznaczał koniec świata, o duszach gwałtownych i pożeranych tutaj, jak gdzieindziej, przez zazdrość, ambicję i wszystkie pożądliwości pychy, które apostoł Św. tak słusznie zalicza między sprawy ciała. Moje pograżenie w tych myślach tak stało się głębokiem, że byłem jakby znienacka ze snu zbudzonym, kiedy woźnica, który wchodził u tę ostatnią wyso

kość, trzymając Zare za uzdę, by jej dopomódz, i który przemawiał do uiej zachęcająco, zagaduał mię nagle;

— Kochany panie, oto ojciec opat idzie naprzeciwko nam. Słyszał zapewne turkot powozu.

— Ależ to zmarły Jacenty z Palais Royal! — zawoła! Filip; istotnie też, widziany na progu klasztoru z końca alei, biedny zakonnik przedstawiał się bardzo niepocześnie. Miał na sobie wytartą sutannę, której barwa, pierwotnie czarna, zaczynała być zieloną. Dowiedziałem się później od niego samego, że państwo uznało go za administratora klasztoru skasowanego, pod warunkiem, że wyrzecz się pięknej, białej szaty swego zakonu. Wysoka jego postać, pochylona nieco wiekiem, opierała się na lasce, a w kapeluszu przeświecały nici. Twarz jego, w tej chwili zwrócona ku przybywającym, ogolona, przypominała istotnie trochę fizjonomję komicznego aktora; na niej osiadł nos nieskończenie długi, prawdziwy nos do tabaczki, wydający się jeszcze dłuższym wskutek chudości policzków i fałdy przy ustach, w których brakło przednich zębów. Ale wejrzenie starca natychmiast zmienialo to pierw sze wrażenie. Jakkolwiek oczy jego nie były wielkie i kolor ich był niepewny, płonął w nich blask, który byłby powstrzymał wszelki żart mego towarzysza, gdyby tenże był miał jakieśkolwiek doświadczenie, co znaczy flzjonomja ludzka.

Jego impertyneticki dowcip oburzał mię tem więcej, że wypowiedział go ilonośnyni głosem, wśród witłkiej ciszy owego popołudnia jesiennego. Ale czy Dom Ga brjel Griffi umiał po francuzku, a jeśli umiał, czy wie dział, co miało znaczyć imię bieiltiego aktora, który tak zabawnie oddawał rolę Maraskina w Mężu debiutantki? W jednej chwili, wskutek owego lichego dowcipu, stanęły mi w myśli sceny tej sztuki, w której Jacenty występował z takim powodzeniem.

Tymczasem pustelnik, którego gośćmi mieliśmy zostać, odezwał się nadzwyczajnie czystym i wytwornym językiem włoskim:

— Przybywacie panowie zwiedzić klasztor; ależ trzeba było mię uprzedzić choć słówkiem. Nie powiedziałaś tym panom, że trzeba mi napisać wpierw? — dodał, zwracając się do woźnicy.

— Myślałem, ojczy, że ci panowie to uczynili, skoro sekretarz hotelu powierzył mi ich, bym ich przywiózł tutaj.

— Wreszcie, zjemy co będzie; — a zwracając się do nas z poczciwym uśmiechem i wskazując niebo, rzekł:

— Kiedy sprawy źle idą, należy zamknąć oczy i polecieć się tam u góry... Wybąknąłem dość mierną włoszczyzną wytłómaczenie, które ojciec przerwał gestem.

— Chodźcie panowie najprzód zobaczyć wasze pokoje. Aby wam wynagrodzić obiad, który będziecie zniewoleni spożyć, uczynię was generałamiopatami.

Śmiał się znowu, wymawiając ten niewinny żarcik, którego narazie nie zrozumiałem. Byłem zresztą zbyt przejęty szczególnym widokiem, jaki przedstawiał, przy świetle zachodzącego słońca, ten obszerny budynek czerwony, którego ogrom mogłem zmierzyć, stwierdzając zarazem jego samotność. Klasztor MonteChiaro był budowanym w kilku epokach, od dnia, w którym głowa rodziny delia Gherardesca, wuj tragicznego Ugolina, schronił się w tę ustronną dolinę, aby tam pokutę czynić, wraz z dziewięciu towarzyszami, w i roku. W ostatnim stuleciu mieściło się tam swobodnie przeszło oo zakonników i opactwo wystarczało potrzebom ze swym piecem do chleba, swym stawem rybnym, winnicami, stajniami. Teraz atoli niezliczone okna tego wielkiego gmachu były zamknięte i białawy kolor ich okienic, niegdyś zielonych, świadczył o opuszczeniu,

jako też trawa wybujała u tarasie przed kościołem i zasłona kurzawy, rozciągająca się u ścianach korytarzy, w które weszliśmy za Dom Griffim. Najmniejsze szczegóły ornamentacji głosiły dawną potęgę opactwa, począwszy od wielkiej umywalni marmurowej z łwiemi głowami, umieszczonej przy wejściu do refektarza, aż do trzech ganków, idących po kolei, przyozdobionych we freski. Ale pierwszy rzut oka wystarczał, aby w tych malaczkach poznać smak pedantyczny XVII wieku włoskiego, a może to akademickie zabarwienie kryło inne utajone arcydzieło takiego Grozzolt lub Orcagna. Weszliśmy na stopnie schodów, wzdłuż których wisiały płótna zczerniałe Wickiem, między ionami, prześliczny rycerz Tymoteusza delia Vite, prawdziwego nauczyciela Bafaela, który się tam dostał niewiadomo jakim sposobem. Przeszliśmy potem nowy korytarz na pierwszym piętrze, tym razem poprzerzynany drzwiami cel, z napisami: Visiitor primm, Visitator secndus i t. d., i zatrzymaliśmy się przed drzwiami ostatnimi, nad którymi widniała mitra i infuła. Ojciec, który nie wymówił ani słowa od progu, chyba tylko by nam wskazać jaki utwór Tymoteusza, odezwał się do nas, tym razem po francuzku, z lekkim akcentem włoskim:

— Jestto jedna z kwater, którą daję gościom — i wprowadzając nas, dodał: Oto pokoje, które zajmowali przełożeni przez pięćset lat. Spojrzałem z pod oka na mości Filipa, który przybrał trochę kłopotliwą minę, stwierdzając w naszym przewodniku tak dokładną znajomość języka naszego. Pozwolił on sobie znowu w korytarzu dwóch lub trzech żartów, bardzo wątpliwego rodzaju. Czy zakonnik zauważył je i chciał nas uprzedzić o tem, że rozumie każde nasze słowo? lub może chciał on, w gościnnej uprzejmości, oszczędzić nam kłopotu w szukaniu wyrazów? Niepodobna było odgadnąć tego z nierucho mych rysów jego twarzy. Zdawał się całkiem zatopiony

we wspomnieniach. Jakże budził w nim widok tej obszernej, sklepionej komnaty. Kilka nowożytnych krzeseł, czworograniasty stół i kanapa, staciowity ubogie jej umeldowanic. Drzwi z boku, na pół uchylone, pozwalały dojrzeć ołtarz z opylonym obrusem, zapewne ten, przed którym przełożony odmawiał modlitwy. Inne drzwi naprzeciwko, otwarte naościę, ukazywały dwa inne pokoje w amfiladzie, każdy z łóżkiem żelaznym, z krzesłatni także i miednicami, umieszczonemi na nędznych umywalniach. Ramy nie były nawet pomalowane na czerwono. Szpary rozrywały drzewo u tych drzwi i okien.

Ale ukazał się krajobraz prawdziwie wspaniały. Był to na wywyższeniu folwark z domami blisko siebie zbudowanemi, a z tego folwarku do klasztoru cudowna ciągnęła się roślinność, nie już posepne cyprysy, lecz dęby, których zielone liście gdzieniegdzie barwiły się purpurą. Inne ślady kultury ukazywały się w końcu tej doliny, leżącej ku południowi, gdzie oliwki rosły na przemian z dębami. Tam widocznie skupiły się wszystkie wysiłki zakonników, wygnanych do tej tebaidy. Po za tą oazą puszcza zaczynała się znowu, surowsza jeszcze i opanowana przez najwyższy wierzchołek tych gór pi zańskich, przez Veruccę, gdzie się rozpada zamek w ruinie, schronisko jakiegoś panka, przeciwko któremu musiała być zbudowaną czworograniasta baszta, broniąca klasztoru z tamtej strony. Mała forteczka kwadratowa, ukazywała, także za tym oknem sterczące, wręby z czerwonego kamienia, odbijające na błękicie nieba, posianego różowemi obłokami. Mój towarzysz nie myślał już o żartach, uderzony, jak ja, do głębi swej natury artystycznej, tą wdzięczną surowością widnokregu, na który spoglądać musiały w podobnej godzinie oczy, zamknięte dziś na wieki, tylu zakonników; .jedni byli wyłącznie zajęci sprawami tamtego świata—i ci widzieli w tych różowych obłokach obraz róż rajskich, gdy tymczasem

inni, ambitni i żądni władzy, maizyii na tem miejsca i wśród tej ciszy o kapeluszu kardynalsicim, a może i o tiarze,
Potem wielkie i głęboktie mikzenie śmierci.,. Ten wiersz z tConte.mplations przyszedł mi na myśl, jak zawsze przy każdym zetknięciu się z przeszłością, kiedy odnoszę to wrażenie prawie bolesne, które wywołuje bezpośrednie dotknięcie się tego, co było i co nie będzie już nigdy. To trwało zaledwie minutę, ale w ciągu tej minuty stanęło mi przed oczami dawne życie klasztoru, wcielono w pokory lab pychy pełne marzenia tych, którzy byli jego władcami i których .iedynym spadkobiercą był teraz sędziwy opat w wytartej sutannie, z nieuczernionemi trzewikami, który pierwszy przerywając mikzenie, przemówił do nas:

— Nieprawdaż, że widok ten jest cudowny? Od czterdziestu lat mieszkam w klasztorze, nie wychodząc z niego, a nie sprzykrzył on mi się,,

— Czterdzieści lat! — zawołałem prawie mimowoli, — nie wychodząc!.. Ależ ojciec odbyłeś kilka podróży?

— To prawda, dwie wszystkiego — odpowiedział— każda po sześć dni... Pojechałem do Mediolanu, mego kraju, przed śmiercią mej siostry, która mię prosiła o udzielenie jej sakramentów św. Biedna, święta dusza anielska! Potem liylem w Rzymie, na wręczaniu kardynalskiego kapelusza memu dawnemu mistrzowi, kardynałowi Peloro,,

— Tak—mówił on—patrzac w przestrzeń, ua punkt jakiś imaginacyjny, przybyłem tntaj w roku ii.i. Jak MonteChiario było piękne wówczas, a jakie msze tutaj śpiewano! Widzieć klasztor, jak ja go widziałem, a jak go widzę teraz, lo znaczy odnaleźć ciało bez dnszy lam, gdzie się widziało młodość i życie,.. Ale cierpli irości, cierpliwości!

Multa renascentur quae jam cecidere cadenlque.

Qiae nunc sunt in honore.,.

— Teraz, panowie, opuszczam was, aby zamówić obiad dla was... Lnigi przyniesie wasze walizy. Z nim trzeba mieć cierpliwość... zamknąć oczy i polecić się Bogu!...

Dom Gabrjel Griffi wyszedł, udzieliwszy tej rady i przytoczywszy powyższy cytat. Zaledwie zniknął za drzwiami, gdy Filip rzuciwszy się na jeden z foteli, wybuchnął swoim niegodziwym śmiechem:

— Daję słowo—rzekł—ten dziwak wart by! podróży...

— Nie widzę, co pan upatrujesz śmiesznego w tem, co nam powiedział zakonnik—odpowiedziałem—opowiedział z wielką prostotą dzieje swego klasztoru, które muszą mu sprawiać wielką przykrość, a znosi ją z nadzieją duszy wierzącej prawdziwie. Jestem blisko piętnaście lat starszy od pana, przebiegłem świat, jak pan go przebiegasz obecnie, z pewnością w pogoni za wielu fantazjami, i wiem niestety! że niema nic piękniejszego na ziemi, jak człowiek, który pracuje nad jednym dziełem, z jednym ideałem, w jednym zakątku ziemi...

— Amen — dorzuci! mój miody towarzysz, śmiejąc się jeszcze więcej. Co pan chcesz? Jego piękne msze śpiewane, jego mistrz kardynał, anielska dusza jego siostry, a wśród tego wszystkiego cytaty z Horacego i zajęcia kuchmistrza!... Ostatecznie zapłacimy dobrze tę gościnność; spelunka ta warta lira przez noc, mówił dalej, biorąc mnie za rękę, by mnie wprowadzić do pierwszego z pokoi sypialnych. Ale—zakończył ironicznie—ponieważ ci się to nie podoba, drogi panie...

Dziwny chłopiec! Nie znajduję lepszego porównania ua wrażenie, które na mnie wywarł, jak porównywając je ze skrzypieniem okiennicy za każdym powiewem wiatru. Zdawało się, że za każdym nowem wrażeniem w życiu,

nerwy jego wydawały fułszywe tony. Ale co w nim zbijało z toru, a co nie dość zaznaczyłem, to

promień inteligencji, który przebija! przez wszystkie te wywody dziecka w złym humorze i źle wychowanego. Zapomniałem powiedzieć, że w czasie podróży zadziwi! mnie dwoma lub trzema spostrzeżeniami o geologicznym składzie gruntu, po którym przejeżdżaliśmy, i wyszedłszy na balkon, który łączył dwa nasze pokoje, zaczął, spojrzawszy na małą basztę, strzegącą opactwa, mówić o architekturze florentyńskiej, jak ktoś, co dobrze czytał i dobrze patrzył,—dwie czynności zbyt rzadkie!

Te wiadomości, tak obce tym, które zapisane były w jego dyplomie, dowiodły mi giętkości inteligencji, mnie, który już stwierdziłem wielką jego znajomość literatury współczesnej. Ale ta inteligencja zdawała się należeć do niego jak klejnocik a raczej jak machina. Należała do niego zewnątrz, ale nie była nim. Posiada! on ją, lecz ona go nie posiadała, nie pomagała mu ani do wierzenia, ani do kochania. Mimowoli porównałem go z Dom Gabrielem Griffim, z którego sztychował co dopiero. Bez wątpienia ten biedny zakonnik uie zdawał się błyszczeć subtelnością inteligencji, lecz w tej chwili poznałem, iż był tak wiernym, tak szczerze oddanym swemu posłannictwu, tej opiece nad drogim klasztorem, aż do spodziewanego powrotu braci.

Z tych dwóch, który był młodzińcem a który starcem, jeżeli młodość polega ua pochwyceniu ideału w silny, nierozzerwalny uścisk? Ale pochłonięty przez szyderstwo i nihilizm przedwczesny, miody mój towarzysz miał przynajmniej vłasne swoje zdanie. Jeżeli tworzył sprzeczność z biednym zakonnikiem, skazanym na strzeżenie próżnego

klasztoru, była to antyteza otwarta, opozycja tej połowy wieku przeciw umysłowi prostemu i pobożnemu dawnych czasów. Czyż nie byłem jeszcze nieszcześliwszym ja, który spędziłem życie na rozumieniu zarówno występnego uroku negacji jak blasku głębokiej wiary, nie zatrzymując się ani na jednym ani na drugim biegnie duszy ludzkiej?

Te myśli uasuwały mi się jeszcze silniej, kiedy zasiadłem około godziny siódmej do posiłku, który opat kazał przygotować dla nas w wielkiej sali, służącej niegdyś, jak nam powiadał, za refektarz dla nowicjuszków. Lampa mosiężna o czterech płomieniach i sta roświeckich kształtów przyborami do objaśniania i gaszenia, zawieszonemi na łańcuszku z tego samego metalu, oświecała blaskiem, nieco zakopconym, róg ogromnego stołu, ozdobionego karafkami z liebem klasztoru. Każdy z nas miał ich dwie przed sobą, jedne napełnioną wodą, drugą winem. Były to butelki, które odmierzały zakonnikom skromną ilość płynu, mającego gasić ich pragnienie. Stał tam talerz z świeżemi ligami i talerz z winogronami dla nas na wety. Czekwały na nas talerze z potrawami i ser kozi, Surowa szynka, chleb suchy i pieczone kasztany uzupełniały posiłek, którego skromność wywołała u starego zakonnika cytate łacińską w guście poprzedniej. Odmówił Benedicite, siadając razem z nami.

— *Castanac molles et pressi copia lactis*—odezwał się, wskazując na talerze, do których stosował się wiersz "Wirgila.

— Spodziewałem się tego—szepnął mi Filip, który z największą powagą zaczął rozprawiać z naszym gospodarzem o pożywienia starożytnych. Lękałem się, nie bez przyczyny, aby ta pozorna uprzejmość nie posłużyła do jakiejś mistyfikacji.

— A kiedy niema przejezdnych gości, sam tu jadasz, ojcze?—zapytał.

— Nie—odpowiedział opat—jest jeszcze dwóch innych braci w klasztorze. Zostawiono nas tu siedmiu. Czterech umarło ze zmartwienia, zaraz po zniesieniu klasztoru. Byliśmy wszyscy chorzy i pielęgowaliśmy się, jak mogliśmy... Ale Bóg nie chciał, abyśmy zniknęli wszyscy,...

— A kiedy was i dwóch innych braci nie będzie?— nalegał Filip.

— Con gallo e senza gallo. Dio fa fjiorm — rzekł kapłan po włosku, a na jego czole ukazała się chmurka, która zniknęła natychmiast; to pytanie dotknęło boleśnie naj wrażliwszej części jego istoty. Z kogutem, lub bez niego, Bóg robi dzień, przetłómaczył.

— A w jaki sposób) spędzasz czas swój, ojcze? — zapytałem z kolei, doznając uczucia żywej ciekawości wobec wyrazu tak głębokiej wiary, że zdawało mi się, iż się znajduje w obecności męża z wieków średnich.

— A! nie mam ani chwili wolnej — odpowiedział Dom Grilli.

Zadzierzawilem, jak mię widzicie, klasztor i cała ziemię wokoło.

Zatrudniam piętnaście rodzin wieśniaków do jej uprawy. Od rana samego przychodzą procesje do mnie, do mej celi, nie zostawiając rai ani godziny wolnego czasu; są tam rachunki do uregulowania, spowiedź do wysłuchania, przychodzą także po lekarstwa... Jestem trochę lekarzem, trochę aptekarzem, trochę sędzią i trochę nauczycielem. Daję także lekcje dzieciom. Luigi jest jednym z moich uczniów. Nie przynosi mi zaszczytu, ale to dobry chłopiec... A cyceronowanie, trzeba cudzoziemcom pokazywać klasztor...

— Spotkałem właśnie w Pizzie dwie panie, angielski: miss Dobson i miss Roberts, które wracały z Monte Chiaro, powiedziałem mu.

— O! zawołał, śmiejąc się, to są moje dwie złote rybki. Nazywam je tak z powodu rudych włosów. Są to protestantki, ale poczciwe dusze. Lnschia fara a Dio ch'c Santo acchio. (Pozwókie Bogu działać, jestto najstarszy ze świętych). One jadą do lizymu. Powiedziałem im: Święty Piotr jest rybakiem, oby zabrał w sieć swoją moje dwie złote rybki... Anglja zbliża się do Boga codziennie, mówił dalej, zacierając ręce. Będziecie może mieli to piękne widowisko, wy, co jesteście

młodzi: wszyscy chrześcijanie pod jednym ojcem. Potem przyjdzie antychryst, następnie sąd ostateczny a potem nastąpi wieczny pokój... Oczy jego pałały ogniem natchnienia, gdy wymawiał te wyrazy. Jeden z wiernycii w roku tysiącnym nie był gorliwszym. Spojrzeliśmy na siebie, Filip i ja. Widziałem we wzroku jego złośliwość i ze zdumieniem słuchałem, jak odpowiedział:

— U nas także, mój Ojcze, katolicyzm robi postępy wielkie. Mieliśmy kilka bardzo budujących przykładów świętości. Mianowicie pisarz pewien, p. Baudelaire, i kilku jego uczniów, są tak pokorni, że sami siebie nazywają dekadentami. Piszą oni hymny, które powtarzają wspólnie. Mają dzienniki, które głoszą dobre słowo, a nie ma nic bardziej budującego nad podobną wiarę w tak młodym wieku.,,

— O tem nic nie wiedziałem, odpaił ojciec. Ueka denci, powiedziałaś pan?

— Tak, mówił Filip, ci, którzy zstępują, szukają nizko położonych,..

— Rozumiem, rzekł ojciec, oni żałują za grzechy i słusznie czynią Mamy we Włoszech przysłowie, które powiada; Ne trzeba się lękać niczego prócz grzechu,

— Drogi Ojczy, odezwałem się, aby przerwać niewczesny żart mego młodego towarzysza, a ponieważ skromna nasza kolacja kończyła się, zapytałem;

— Czy nie zobaczymy dzisiaj jeszcze fresków Gozzoli, o których te panie Angielki mówiły?

— Nie osądzicie ich może panowie dobrze przy świetle—odrzekł Dom Griffi, lecz chęć pokazania swego odkrycia widocznie przemogła, gdyż zawołał;

— Ale zobaczycie je panowie jeszcze raz jutro. A! gdy zakonnicy powrócą, jakże będą szczęśliwi z tych pięknych malatur! Mam nadzieję, iż będę miał dość czasu do oczyszczenia ich tej zimy. Luigi, idź po drążek z woskiem do kaplicy, z tyra oto kluczem.

To mówiąc, wyjął z kieszeni pęk ogromnych kluczy.

— Trzeba zamykać dzwi tutaj bardzo pilnie— rzeki—ponieważ tylu wieśniaków przychodzi i wychodzi bezustannie. Dobrzy to ludzie, ale nie należy wystawiać biednego ua pokuszenie.

Luigi powrócił niebawem, przynosząc stoczek, przytwierdzony (lo drążka, służący widocznie do zapalania świec na ołtarzu. Zakonnik wstał i odmówił znowu licnedicitc, następuie wziął lampę, trzymając ją za kółko, umieszczone u góry.

— Idą naprzód — rzekł — śmiejąc się, a ponieważ wejdziemy do prawdziwego labiryntu, możecie panowie powiedzieć wraz z Daniem: Per la impacdata via, retro al mio duca,...

— Znowu Dante! — szepnął mi Filip do ucha, ta istoty nie mogą nic zrobić, ani nawet zjeść kawałka gorgonzoli, swego szkaradnego sera

zielonego, aby im nie przyszedł na myśl jakiś wiersz niemądrego ich tiorentyczyka, który się nazywał Durante, czyli Durand. Ozy pan wiedziałeś o tem? To Valles wyrayślił ten żart dowcipny. Boska komedja, podpisana przez Duranda!... Mam ochotę dowcip ten zaprodukować naszemu gospodarzowi.

— ?le się pan wybrałeś — odpowiedziałem — gdyż wyraziłem już panu moje uwielbienie dla tego wielkiego poety.

Wiem — zauważył — że to jest bałwochwakza strona pana, ale co do mnie, to należę do rodziny iko noklastów i w tem cała różnica między nami...

Podczas, kiedyśmy zamieniali półgłosem te uwagi, sutanna naszego przewodnika, fantastycznie oświetlona lampą, której płomień migotał puwiczem powietrza, posuwała się w głąbi nieskończonej korytarzy.

Wchodziliśmy na jedne schody, zstępowaliśmy z innych, okrążaliśmy sklepienie ganki. Niekiedy ptak nocny zrywał się za naszym zbliżeniem, lub kol przemy

młodzi: wszyscy chrześcijanie pod jednym ojcem. Potem przyjdzie antychryst, następnie sąd ostateczny a potem nastąpi wieczny pokój... Oczy jego palaly ogniem natchnienia, gdy wymawia! te wyrazy. Jeden z wiarynych w roku tysięcznym nie by! gorliwszym. Spojrzeliśmy na siebie. Filip i ja. Widziałem we wzroku jego złośliwość i ze zdumieniem słuchałem, jak odpowiedział:

— U was także, mój Ojcie, katolicyzm robi postępy wielkie. Mieliśmy kilka bardzo budujących przykładów świętości. Mianowicie pi.sarz pewien, p. Baudelaire, i kilku jego uczniów, są tak pokorni, że sami siebie

nazywają dekadentami. Piszą oni hymny, które powtarzają wspólnie. Mają dzienniki, które głoszą dobre słowo, a nie ma nic bardziej budującego nad podobną wiarę w tak młodym wieku...

— O tem nic nie wiedziałem, odparł ojciec. Dekadenci. powiedziałaś pan?

— Tak, mówi! Filip, ci, którzy zstępują, szukają nisko położonych...

— Rozumiem, rzekł ojciec, oni żałują za grzechy i słusznie czynią. Mamy we Włoszech przysłowie, które powiada: Nie trzeba się lękać niczego prócz grzechus.

— Drogi Ojczy, odezwałem się, aby przerwać niewczesny żart mego młodego towarzysza, a ponieważ skromna nasza kolacja kończyła się, zapytałem:

— Czy nie zobaczymy dzisiaj jeszcze fresków Gozzoli, o których te panie Angielki mówiły?

— Nie osądzicie ich może panowie dobrze przy świetle—odrzekł Dom Grffli, lecz chęć pokazania swego odkrycia widocznie przemogła, gdyż zawołał:

— Aie zobaczycie je panowie jeszcze raz jutro. A! gdy zakonnicy powrócą, jakże będą szczęśliwi z tych pięknych malatur! Mam nadzieję, iż będę miał dość czasu do oczyszczenia ich tej zimy. Luigi, idź po drążek z woskiem do kaplicy, z tym oto kluczem. _

To mówiąc, wjął z kieszeni pęk ogromnych kluczy.

— Trzeba zamykać drzwi tutaj bardzo pilnie— rzekł—pouieważ tylu wieśniaków przychodzi i wychodzi bezustannie. Dobrzy to ludzie, ale nie należy wystawiać biednego uapokutek.

Luigi powrócił niebawem, przynosząc stoczek, przytwierdzony do drążka, służący widocznie do zapalania świec na ołtarzu. Zakonnik wstał i odmówił znowu Benedicite, następnie wziął lampę, trzymając ją za kółko, umieszczone u góry.

— Idą naprzód rzekł — śmiejąc się, a ponieważ wejdziemy do prawdziwego labiryntu, możecie panowie powiedzieć wraz z Dantem: Per la impacciata vin, retro al mio duca...

— Znowu Dante! — szepnął mi Filip do ucha, te istoty nie mogą nic zrobić, ani nawet zjeść kawałka gorgonsoli, swego szkaradnego sera zielonego, aby im nie przyszedł na myśl jakiś wiersz niemądrego ich tło rentczykd, który się nazywał Durante, czyli Durand. Czy pan wiedziałeś o tem? To Valles wymyślił ten żart dowcipny. Boska komedia, podpisana przez Duranda!... Mam ochotę dowcip ten zaprodukować naszemu gospodarzowi.

— ?le się pan wybrałeś — odpowiedziałem gdyż wyraziłem już panu moje uwielbienie dla tego wielkiego poety.

— Wiem — zauważył — że to jest bałwochwakza strona pana, ale co do mnie, to należę do rodziny iko noklastów i w tem cała różnica między nami...

Podczas, kiedyśmy zamieniali półgłosem te uwagi, sutanna naszego przewodnika, fantastycznie oświetlona lampą, której płomień migotał za powiewem powietrza, posuwała się w głąb nieskończonycii korytarzy. Wchodziliśmy na jedne schody, zstępowaliśmy z innych, okrążaliśmy sklepienie ganki. Niekiedy ptak nocny zrywał się za naszym zbliżeniem, lub kol przemy

kal się cicho, wystraszony. Gdyby księżyc byt świecił trochę, przechadzka po olbrzymim tym klasztorze byłaby wieke romantyczną. Wywoływałem w myśli zakonników innych stuleci, którzy przechodzili tamtędy o zmroku na wieczorne nabożeństwo. Sam gospodarz nasz ukazywał mi się o czterdzieści lat wstecz, postępujący przez te same korytarze w szeregu braciszków, młody, wierzący, zakochany w regule swego zakonu. Jakie wspomnienia musiały budzić się w nim teraz, kiedy sam jeden prawie pozostał w tym opuszczonym, wielkim gmachu? Ale nie! Był on wesoły wśród tej ruiny. Jowialny prawic, silny wiarą swoją. Cóż to za potęga w tem zjawisku tak tajemniczem, którem jest wiara absolutna, zupełna, niewzruszona!... Ale oto już Dom Griffi zatrzyma! się przed jakimiś drzwiami. Poszukał znowu klucza w pęku, który trzymał w wolnej ręce. Stary zamek zaskrzypiał i weszliśmy do wysokiej komnaty, w której drżące światło czterech płomieni lampy oświetliło niepewno dwie ściauy z freskami i czwartą, która, na pierwszy rzut oka, wydawała mi się jeszcze zupełnie białą od wapna.

— Moje dziecko — odezwał się opat do chłopca — daj mi stoczek, to go zapalę. Ty gotówbyś oblać woskiem moją sutannę, która go nie potrzebuje.

W samej rzeczy, postawił lampę na podłodze i starannie obejrzał stoczek, przywiązany do kija. Zapaliwszy potem mały knotek, posuwał światło wzdłuż pierwszego muru i ujrzeliśmy sączącą ranę, bolesny wzrok Zbawiciela, a na twarzy Tomasza wyraz żalu i ciekawości; aniołowie unosili ku niebu przyrzady Męki, ze łzami na pięknych swych twarzach. Na drugim murze, szczególnó po szczególe, oglądaliśmy złote hafty i zieloną tunikę Gondoforusa; kosztowne kamienie sypały się z czar, ofiarowanych apostołowi, a tymczasem pawie rozpościerały oczkowane swe pióra, papugi na gałęziach drzew, a bogaci panowie polowali w górach,

ciągnąc za sobą lamparty na łańcuchu. Mały płomyk błąkał się dalej, podobny do błędnego ognika. Kiedy posunął się naprzód, kącik, wyrwany z niepewnej ciemności, pograżał się w nią nanowo. Osądzić całość tego dzieła było niepodobieństwem, ale oglądane w ten sposób, miało urok fantastyczności, dziwnie zastosowanej do miejsca i godziny, tem więcej, że Dora Griti, pokazując nam te dwa freski, doznawał dziecinnej przyjemności, jaką mu sprawiało ich oglądanie. Cieszył się ich widokiem, jak skąpiec, który przesypuje djamenty swego skarbcza. Czyż to nie byto jego dziełem, drogocennym skarbem, którym wzbogacił ukochany swój klasztor? Mówił, popierając swe zdania minami swej wyrazistej, pomarszczonej twarzy:

— Patrzcie, oto palec apostoła, jak się waha, a ruch Chrystusa Pana, a jego usta... Tak się robi, gdy kogoś bardzo boli, a lekarz dotknie... A krajobraz w głębi, czy poznajesz pan Veruccę i wzgórze Monte Chiaro?... Tam, na prawo, to pokoje panów, a ci aniołkowie, jakże ich oczki zmały!... Płaczą, ale nie chcą płakać, a ich nosek marszczy się trochę, jak ten oto... A czarny król?... Patrzcie na te kokzyki. Jeden z naszych ojców, który umarł tutaj po zniesieniu klasztoru — Boże świeć nad jego duszą — robił poszukiwania w sąsiedztwie jednego z naszych klasztorów, blisko Voltery. Znalazł grób etruski i zausznice, zupełnie podobne do tych, obok głowy szkieletu... Zachowałem je, pokażę je panu... A to?...

W tej chwili obrócił się i skierował światło do kąta na prawo, do ściany, którą uważałem z początku za całkiem białą. Czarodziejskie światło oświetliło na tej białości najprzód jedno miejsce, wielkości pół ręki. Przypadek zrządził, że rozpoczynając porządkowanie, przerwane natychmiast, stary zakonnik odkrył właśnie połowę twarzy Madonny: brodę, usta, nos i oczy. Ten uśmiech i to spojrzenie, odkryte wśród tego szerokiego

ranni otynkowanego, przejmują, jak naitprzyrodzone zjawisko. Mały płomyczek migotał trochę, przyczepiony (lo kija, trzymanego w drżącej ręce starca, i zdawało się, że nsta .Madonny poruszały się, że policzki oddy chały, że źrenice jej drgały. Rzekłbyś, że była tam istotnie kobieta, która za chwilę otrząśnie z siebie ten całun tynkowy, że się ukaże w całym, blasku młodości, Nasz gospodarz milczał teraz, ale jego fizjonomia wyrażała nabożny podziw, tak głęboki, że zrozumiałem, dlaczego nie spieszył się e uwolnieniem reszty fresku od wapna. .Jego głęboki zmysł artystyczny i gorącość. wiary kazały mu odczuwać poezję tego boskiego uśmiechu i tych boskich oczu, jak gdyby uwięzionych w tej szorstkiej oprawie. Mikzeliśmy. Filipa zmogła teraz siła wrażenia i słyszałem jak szeptał:

— Ależ to Edgar Poe, to Shelley,,,

Ojciec opat, który nio znał z pewnością z imienia ani jednego, ani drugiego z autorów, odpowiedział naiwnie, nie domyślając się, że sformułował zbyt słuszną krytykę o zdaniu i wrażeniu młodego swego sąsiada:

— Ależ nie, to Gozzoli.,. Pokażę panu dowód w Va sarim; a wiesz pan. co jest za tem wapnem? Z pewnością cud z przepaską.

— Jaki cud?—zapytałem.

— Jaktó, nie widziałeś pan w katerze w Pistoii przepaski błogosławionej Dziewdicy, którą rzuciła św, Tomaszowi po swem wniebowzięciu? Był nieobecnym, gdy wstępowała do nieba w obecności innych apostołów. Przybył on po trzech dniach, a kiedy jeszcze wątpił o prawdzie tego, czego nie widział, Najśw, Panna w swej ła.skawości spuściła przed nim tę przepaskę, aby nie wątpił więcej nigdy,

Opowiadał nam tę legendę—która dowodzi, mówiąc nawiasem, że stara religja chrześcijaaska przewidziała analityków i ich zbawienie—gasząc stoczek, który oddał Luigiemu i zamykając znowu drzwi. Prostota prze

konania, z jaką mówił o tym ciulzie, ntwierdziła mię w przekonaniu, iż żył on w świecie nadprzyrodzonym, jak my, dzieci wieku, żyjemy w niepokoju i szyderstwie. Nie mogłem powstrzymać się od porównania go w wyobraźni do drobnego kawałka treska, który nam co dopiero pokazał na trzeciej ścianie. Ten kawałek malatury wystarcza!, aby ożywić ten wielki obszar białego muru, a on sam. Dom Gabryel, wystarczał, aby swą jedyną obecnością ożywić ten ogromny klasztor opuszczony. Był on istotnie jego duszą, czułem to obecnie i to duszą, która reprezentowała, w ścisłym znaczeniu słowa, wszystkie ilusze nieobecnych braci. Widziałem w dzieciństwie oficera wielkiej armji, przechodzącego chodnikiem miasta, w którym wzrastałem. Ten pocziwiec włókł nogę, zranioną pod Lipskiem, by! biedny, a kokarda zdobiła surdut mocno wytarty. Dla mnie jednakże stanowił on całą epopeę cesarstwa, ponieważ wiedziałem, że cesarz własną ręką go udekorował.

Doznawałem teraz podobnego wrażenia, idąc za Dom Griffim. On cały zakon nosił w fałdzie starej sutanny, o którą Luigi dbał tak mało. Taka jest wielkość, którą nam daje zupełne zaparcie się naszej osoby, na korzyść jakiegoś dzieła bardzo wielkiego i podniosłego. Wyrzekamy się siebie i zarazem rośniemy na mocy prawa, które społeczeństwa nowoczesne, przejęte pospolitym indywidualizmem, dziwnie pomijają. Człowieka wartość oblicza się wedle miary jego poświęcenia się dla jednej idei, a czem jest wojsko, czem zakon, jeżeli ule zorganizowaną ideą, która zaszczepiła się wśród tysięcy istnień? Każde z tych istnień uczestniczy z kolei w połączonych sitach wszystkich innych. Czem byłby został Dora Griffi bez klasztoru? Bez wątpienia antykwaryuszem z ciasnyra urayslem, który byłby układał katalogi w jakim muzeum. Skoro bowiem zachwył jego minął i, podczas kiedy wracaliśmy do na

szych pokoi, opowiadał nam jako jeden z tych kolekcjonistów, którzy zapominają o treści dzieła, aby rozprawiać o jego przyległościach, podobieństwie i autentyczności,

— Przedmiot ten Madonny z przepaską i św. Tomaszem traktowano często—odezwał się. Znajdziecie panowie w akSdemji florenckiej prześliczną płaskorzeźbę Łukasza Della Eobbia. na której tadonna, otoczona aniołami, doje przepaskę apostołowi... Francesco Granacci wybrał ten sam przedmiot dwa razy, a Fra Panlino z Pistoji, Taddeo Gaddi, Giovanni Antonio So gliani i Bastiano Mainardi, ten ostatni w Santa Croce.. " Złote rybki" już mi przysłały fotografie tych wszystkich malalur. Sądząc tylko z głowy Najświętszej Dziewicy, pewny jestem, że dzieło naszego Benozzino będzie najlepszem... Ale może zechcecie, panowie, wstąpić do mojej celi, pokażę wam zausznice i mały zbiór Dom Pio Schedone,...

Przyjeliśmy wezwanie, Filip Dubois, może jako w głębi serca archeolog, który tkwił w nim obok przyszłego pisarza, ja zaś z ciekawości zobaczenia flzjonomji przedmiotów, wśród których żył nasz gospodarz. Pierwszy pokój zdradzał swym nieporządkiem niedbalość niemądrego służącego, którego imię było Luigi, Leżały tam stosy książek, których objętość i okładka zdradzały ojców Kościoła. Obok nich obciążki. młotki i pudełko, napelnione śrubami, gwoźdźmi i żelaztweni, świadczyły, że Dom Giiffi wraźić potrzeby umiał obywać się bez rolotników przy naprawie jakiego sprzętu lub zamka. Cytryny zasychały na talerzu; flaszki z poczerniałą i brudną plecionką musiały zawierać próby ostatniego zbioru wina i oliwy. Wazon z brunatnej gliny, który kobiety toskanskie nazywają scaldino i

napelniają za rżącemi węglami, aby ogizać ręce, trzymając za pałąk, stanowił jedyną wygodę w tym kwadratowym pokoju, w którym czarny kot rozciągał się leniwie. Z pewno

cią jaka podróżniczka angielska, przysłała z wdzięczności biednemu zakonnikowi mały przyrząd srebrny do łąerbaty, który był jedyną elegancją tego zaniedbanego laimisa, Ale ponieważ Luigi strzegł się czyścić kruszec imbryczka, a więc i ton drobny sprzęt czerniał na etażerce. Wielki krucyfiks panował nad stołem, na którym piętrzyły się papiery, zapisane wielkiem i pewnem pismem.

— To są kazania mego mistrza, które podjąłem się przepisać—odezwał się Dom Gabryel. Dobry kardynał jest niewidomy i chciałby, aby ukończono druk jego dzieła przed śmiercią jego... Ma ośmdziesiąt siedm lat... A! jego pismo jest bardzo podstępne—doilat z pewnym itałjanizmera—a potetn mam tak mało czasu... Na szczęście sypiam tylko cztery godziny w nocy. Dalej, Nero, zejdz mi zaraz z krzesła, mój micino. mój murzi...

Mówił do swego kota, jak Pascale do swej klaczy i jakby rozumiejąc. Nero skoczył z krzesła na papiery, zawierające tytuły kardynała do sławy, — Dobrze, usiądz pan tam—rzekł do mnie—i pan, signore Filippo, Z?pytał nas o imiona na początku obiadu, aby nas w ten sposób nazywać, z uprzejmą poufałością swego kraju.

— Gdzież jest — mówił dalej — ta szkaradna szkatułka? A! pod tym tomem Ojców, w którym niedawno szukałem cytaty w rozprawie św. Ireneusza przeciwko Onostykom. Chodziło o Bazylidjanów, którzy chcieli uniknąć męczeństwa pod pozorem, że nie powinniśmy objawiać naszych myśli pospółstwu. A! pycha! pycha! Ztiajdziecie ją na dnie wszystkich

herezji i wszystkich solizmatów. A jak to dobrze wierzyć, a przede wszystkim, jak to łatwo... Ale otoż i pudełko. Jest otwarte... Nie zamykam nic z tego, co się znajduje tutaj, ponieważ to należy do mnie, a nie do klasztoru. Gdzie są te pierścienie ?

w ciągu rozmowy w istocie wyjął szlatałkę skórza ną, której zamek musiał być ilość sliomplikowany. Kie dy podniosło się wieko, mogliśmy dojrzeć, Ze wnętrze zawierało znaczną ilość drobnych przedmiotów, starannie owiniętych w papier i zaopatrzonych w napisy. Okrągły kształt większej części z nich świadczył dostatecznie, że zbiór zmarłego Dom Pio Schedone składał się głównie z medaljonów. Ze zdziwieniem stwierdziłem, że robot.i, w zausznicach etritskich, była bardzo delikatną. Wziąłem, na chybił trafił, jeden z małych przedmiotów okrągłych i przeczytałem na papierze: Julii Cacsarius ameus.

Przypatrzwszy się bliżej monecie, przekonałem się, że była autentyczną. Podałem ją Filipowi, który zwrócił rai uwagę na głowę Marka Antonjusza na odwrotnej stronie i powiedział:

— To bardzo piękny pieniądz, nadzwyczaj rzad ki...

Wziąłem drugi do ręki, następnie trzeci i ze zdumieniem napotkałem jeszcze większy z Brutusem, którego wartość przypadkiem mogłem ocenić.

Oto, jakim sposobem. Mając zeszłego roku kilka podarunków do zrobienia na koiendę. powziąłem myśl ofiarowania paniom, u których byłem na obiedzie, medaljonów do zawieszenia u bransoletki, a mój drogi przyjaciel, Gustaw S., jeden z najznakomitszych numizmatyków, towarzyszył mi w tym celu do specjalnego kupca. Tam podziwiałem

nadzwyczajnie ten złoty pieniążek, który z jednej strony nosi głowę Brutusa młodszego, a z drugiej Brutusa Starszego. Mój przyjaciel nie mógł powstrzymać się od tśmiechu na moją niewiadomość, kiedy powiedziałem:

— Chętnie wzięłbym ten pieniąż. Antykwaryusz zaś odpowiedział: Dla pana i ze względu na tego tutaj pana oddam go za tysiąc trzysta franków.

I ten to pieniąż znajdował się tutaj wśród sześćdziesięciu innych w szkatułce Dom Pia.

Nie mogłem powstrzymać się od okrzyku i poltaza łem pieniąż Piłipowi, mówiąc mu, że znam jego cenę.

— Byłbym się domyślił, powiedział do mnie, gdyż studjowałem nieco numizmatykę i uważaj pan, że jest w najlepszym utrzymanym stanie i jeszcze świecący...

— Ależ to cały skarb macie tutaj, mój Ojczy, powiedziałem do Dom Griffiego, który mnie słuchał, nie zdając się brać naserjo słów moich; ja obstawałem przy swoim, tłumacząc mu przyczyny, dla których mogłem stwierdzić wartość jednej przynajmniej z tych mcnet i i zapewnić o znawstwie mego towarzysza.

— To mi toż powtarzał Dom Pio—rzekł—zwolna ustępując. Zebrał on te pieniążki z różnych stron w swoich poszukiwaniach. Kiedy biedny Pio umarł, były to czasy najcięższe, wyrzucano nas, a ja miałem tyle do czynienia, że zapomniałem prosić profesora Marchetti, którego panowie widzieliście w Pizzie, aby zbadał jego zbiory. Zapomniałem o tem zupełnie i gdyby nie król Gondoforus, nie byłbym nigdy pomyślał o tem,

aby na nie spojrzeć nawet... Dopiero przed kilku dniami, kiedy szukałem w tych księgach, przypomniałem sobie, iż widziałem w ręku Dom Pia parę zausznic dość dziwnych. Szukam w szkatułce, znajduję i powiadam o nich panom.

— Doprawdy —dodał—zacierając ręce wesoło, chciałbym bardzo, abyście panowie mieli słusność. .Test tutaj tar,as, który grozi zapadnięciem się przy wieżycy, a rząd odmawia mi pieniędzy; z czterema tysiącami franków możnaby coś zrobić, ale cztery tysiące franków !... Mówiąc to, wstrząsnął głową z niedowierzaniem, i wskazał na szkatułkę. — Mój Boże—odpowiedziałem—na miejscu waszem zapytałbym się istotnie profesora, o którym mówicie,

mój ojczec, gdyż znajduje tutaj jeszcze jeden pieniądz z Domicjanem, mający świątynie na odwrotnej stronie, który także widziałem tniędzy rzadkieini monetami,

— Rarissime—wlewał się Filip—który przypatrywał się numizmatowi zblizka, a ten Didc .Juljusz, także rarissime, a Didia Clara,, Są to wspaniale egzemplarze. Prawdopodobnie wieśniak jakiś znalazł ponro stu kolo Volterry skarb z zapadłych czasów i sprzedał wszystko Dom Piowi...

— Gdyby to było prawdą—powiedział opat —zacierając ręce, dowodziłoby to znowu, że kardynał miał wielką słusność, gdy powtarzał: Dio non manda mai bocca, che non mandi cibo. (Bóg nie zsyła nigdy ust, nie zsyłając także pożywienia). Tak się modliłem o ten taras! Tam to chorzy bracia, przychodząc do sił, wygrzewali się na słońca. Napiszę "więc do pana Mar chetti, aby mnie odwiedził jaknajprędzej. O! to mój przyjaciel i tak mu sio podoba w MonteChiaro!... Jutro rano, w czasie

mszy Św., podziękuję Bogu i pomodłę się także za panów... Ale, byłbym zapomniał uprzedzić Luigi, aby był gotów służyć mi do mszy o szóstej rano, o siódmej matn odwiedziny,,

— Widzi pan—powiedziałem nieco później do Filipa, życząc mu dobrej nocy—jak to pewne okoliczności stają się Opatrzności zrządzeniem, gdy się widzi wypadki, jak len tutaj... Biedny zakonnik potrzebuje pieniędzy dla swego klasztoru. Modli się do Boga z całej duszy i oto dwóch cudzoziemców odkrywa, że posiada te pieniądze pod ręką...

— To zabawka przypadku—odrzekł Filip, wzru zając ramionami;—czy pan kiedy słyszałeś, aby uzdol nion młodzieniec, któremu braknie drobnej sumki, by mógł objawić swe zdolności, znalazł tę sumę? aby wielki pisarz wygra! centyma jednego na lotorji? Znałem bogatych i głupich mieszczan na prowincji, których obhgi na miasto Paryż przyniosły po dwakroć sto ty

sięcy franków. Jeden z moich krewnych zostawi! mi taki oblig.

Sprzedalem go szczęśliwie. Czy pan myślisz, że wyszedł choć raz w ciągu lat dziesięciu? Nie przyniósł mi nawet sześciu tysięcy, dwóch tysięcy, ani tysiąca franków. I to ten mnich będzie je miał, te sześć tysięcy, więcej może i użyje ich—na co? Aby wzjoc nić taras dla zakonników, którzy nigdy nic powrócą... Chamfort mówił, że świat jest dziełem szatana w p.zystępie szalu.

— Tymczasem—rzekłem z udanym humorem, jak gdybym mówił do małego chłopca chorego—idź pan spać i pozwól mi uczynić to samo. Ponieważ powstał wiatr—jesienny, ponury wichur, który jęczał żałośnie wkoło klasztoru, przeto doznałem pewnej trudności w urzeczywistnieniu mego zamiaru i nie mogłem zasnąć w nieco twardem łóżku dawnych

opatów jeneralnych. Słyszałem, jak Filip Dubois chodził po swoim pokoju i pytałem samego siebie, czy pomimo swego szyderstwa, zbyt przesadzonego, by nie było sztucznym, nie czuł się i on wzruszony tym pięknym obrazem życia tak zrezygnowanego, tak pobożnego, które postaciował nasz gospodarz tego wieczora. Przychodziły mi na myśl zdania zakonnika o opatrnościowym charakterze niektórych wydarzeń. Czy podobna myśleć głęboko i szczerze nad losem własnym i bliźniego, nie doznając niejasnego uczucia, że duch unosi się nad nami wszystkimi, prowadzi nas drogami nieraz bardzo krętkimi ku celom, których nie rozumiemy? Ale mianowicie w karaniu błędów naszych ów duch tajemniczy objawia swą obecność, uznawaną przez moralistów wszystkich wieków, począwszy od poetów greckich, którzy opiewali Nemezys, ciemną sprawiedliwość ogólną, aż do Shakespeara i Balzaca, mistrzów sztuki nowoczesnej. Czy ich dziełem nie rządzi to widmo wielkiej sprawiedliwości ostatecznej, ogarniającej istnienie ludzkie? Potem myślałem o tem innem prawie rozkła

du, które wymaga, aby wszystko umierało z najpiękniejszych rzeczy ludzkich, począwszy od moralnych jak klasztor, aż do arcydzieł sztuki. Freski Beozza odkryto po czterystu latach, aby zniknęły znowu w przeciągu kilku innych set lat, zniszczone niepokonaną pracą czasu. Tak. wszystko umiera i wszystko rozpoczyna się na nowo... Dom Gabryel Griffi mówił co dopiero o Bazyliadach, o ich subtelnych teoriach i o pysze, która jest podstawą wszystkich herezji. Przyszło mi na myśl zadziwiające podobieństwo między temi paradoksami a naszymi chorobami moralnymi dzisiejszych czasów, jakie mi się nasunęło, kiedy

studjowałem zasady aleksandryjskie. Mój młody towarzysz czyż nie był tego dowodem, on, który, z okazji stosunku pisarzy i publiczności, wypowiedział zupełnie ten sani sohzmat kłamstwa tak miłego gnostykom? Słyszałem, jak jeszcze chodził—czem był tak wzburzony?—aż wreszcie wśród tych sprzecznych rozumowań zamknąłem oczy, a kiedy obudziłem się rano, ujrzałem przy łóżku pocziwego Luigi, obciążonego tacą, na której przygotowaną była kawa i prawie równocześnie wszedł zakonnik do mego pokoju;

— A! brawo — zawołał z pocziwym swym uśmiechem—mogłeś pan dobrze wypocząć i zadać kłam przysłowiu: Chi dorme non piglia peci. (Kto śpi, nie łowi ryb), bo oto wieśniak przyniósł panu pstrągów świeżu teńkich na śniadanie... Co do pana Filipa, ten już biega po górach. Kiedy powróciłem z mszy świętej o wpół do siódmej, widziałem, jak wdrapywał się na górę od strony wioski, żwawy jak kot... Gdy pan wstaniesz, pójdziemy oglądać Uenozza, przy świetle dziennem. Signor Filippo powróci z pewnością... Zobaczycie panowie także bibliotekę klasztorną... A! gdybyś pan wiedział, jak była bogata przed pierwszym skasowaniem za czasów Napoleona L.. Ale cierpliwości, kiedy, jak się zdaje, będziemy znowu mieli nasz taras. Multa rtnascentur..

w godzinę później byłem ubrany, wypilem kawę bez wielkiego krzywienia się, kawę na cykorji, zrobiona przez Luigi; ojciec i ja, udaliśmy się znowu w odwiedziny do króla Gondoforusa i do uśmiebniętej Madonny. Dora Giifli miał czas pokazać mi wielki i mały refektarz, biblioteki, kaplice, cysterny, wazki ogród, w którym hodował cyprysy, a Filipa zawsze jeszcze nie byto. Czy zabłądził, lub czy też uczuwał do rozmowy i

towarzystwa ojca jedne z tych antypatyj, jakiej podlegają nerwowi jak on ludzie? Byłbym fe pytania postawił sobie obojętnie, przyznając to, tak bardzo mnie irytowało ciągle jego wyszydzanie, gdybym o godzinie jedenastej, powracając z wizyty po klasztorze nie był się przeraził drobnym wypadkiem, całkiem nieprzewidzianym, który wywołałem sara, nie przeczuwając tego. Dom Griffi musiał odejść, zostawiając mnie samego aż do śniadania.

— Gdybym tak obejrzał wczorajsze numizmaty? pomyślałem sobie i poprosiłem ojca o szkatułkę, którą mi sam przyniósł. Zasiadłszy spokojnie w moim pokoju, rozwijam papiery jedne po drugich, podziwiając tutaj profil cesarza uwieńczonego laurem, tam boginię zwy ciężtwa. Niewiem, dla czego przychodzi mi fantazja obejrzenia aureuisa Cezara z popiersiem Antonjnsza. Nie mogę go znaleźć. Biorę monety jedne po drugiej i nie widzę imienia dyktatora na żadnym papierze.

— ?le je, włożyliśmy, mówię sobie i z cierpliwością rozwijam wszystkie. Ani śladu Cezara, ani Brutusa. W życiu mojem nie doznałem takiej trwogi, jak wówczas, kiedy stwierdziłem brak dwóch mouet, które bez wątpienia warte były dwa tysiące franków i które tam były jeszcze poprzedniego wieczoru. Trzymałem je w ręku, sam nawet oznaczyłem ich wartość w przybliżeniu — a one zniknęły. Miałem nadzieję, że ojciec odłożył je na bok, by wysłać do Pizzy natychmiast i jak najprędzej stwierdzić ich autentyczność. Pobiegłem

do jego celi, nie wahając się nawet przeszkodzić mu. Mepodobna mi było sprawdzić zaraz tego przypuszczenia. Dom Griffi był zajęty załatwianiem jakiegoś długu z rudym wieśniakiem, gdyż tenże trzymał portfel skó zany,

z którego ręka jego szorstka wydobywała z komicznym żalem kupony pięcio i sześćiofrankowe. Opat wyczytał z mej twarzy, że miałem ważną wiadomość do zakomunikowania mu.

— Czy przyjaciel pański nie jest przypadkiem chory?—zapytał mię skwapliwie...

— Kie — odpowiedziałem — ale chciałbym sobie pozwolić jedno zadać wam pytanie, mój ojciec. Czyś wyjął, ojciec, ze szkatułki Dom Pia kilka złotych sztuk, które oglądaliśmy wczoraj?

— Żadnej—odpaił zacny człowiek z prostotą—szkatułka tam stała, gdzie ją zostawiliśmy.

— Al mój Boże!—zawołałem z przerażeniem, braknie ich tam najmniej dwóch i to najważniejszych: Cezara i Brutusa.

Zaledwie wypowiedziałem to zdanie, aliści pojąłem wielką jego doniosłość. Nikt, aż do naszego przybycia, nie domyślał się jaką wartość w pieniądzech przedstawiał ten zbiór Dora Pia, Luigi nie mógł ich wybrać wśród innych, ani żaden z wieśniaków, podobnych do tego, którego widziałem w tej chwili, przeliczającego spracowanymi rękami brudne banknoty, Z drugiej strony nie podobna było mnie o to posądzać. Byłem w łóżku w chwili, kiedy ojciec odprawiał mszę św, i kiedy pokój jego był próżny. Od owej chwili byliśmy ciągle razem,

— Nie, nie, to niepodobna,..—powiedziałem głośno.

Widziałem Filipa skuszonego, natychmiast po wczorajszej naszej rozmowie, tak blizkiem sąsiedztwem małego skarbu. Odgłos jego kroków do późnej nocy brzmiał w mej pamięci i tłómaczył mi się w sposób okropny. Tak wiele mi mówił w czasie drogi o potrzebie posia

dania drobnej sumy, któraby mu pozwoliła debiutować w Paryżu. Ujrzał łą sume z tak blizka — wakzył ze sobą... a wreszcie uległ pokusie. Dokonał tej kradzieży tak łatwej, a łąk podwójnie niegodnej, ponieważ biedny sędziwy zakonnik był naszym gospodarzem. Wystarczyło mu wstać nieco przed godziną mszy św. Wyszedł ze swego pokoju i wymknął się do celi ojca. Tam wziął dwa numizmaty, o których wiedział, że są najdrogo cenniejsze, a bez wątpienia i inne jeszcze. Potem udał się na wycieczkę, aby z jednej strony dać pozór swego zniknięcia tak wczesnego a z drugiej także, aby pokryć niepokój, który go musiał przejmować. Między paradoksami najśraielszemi niemoralności umysłowej a haniebnym czynem, jak ten oto, istnieje przepaść ogromna. Wobec tej przygniatającej możliwości czułem się tak silnie wzruszony, że nogi drżały podemną i musiałem usiąść, podczas, kiedy Bom Griffi mówił do wieśniaka ze zwykłą łagodnością:

— Idz, czekaj na mnie w korytarzu, Peppe; zawo łam cię.

Kiedy znaleźliśmy się sami, zaczął do mnie tonem, którego jeszcze u niego nie slyszalem, nie tonem uprzejmego gospodarza, lecz głosem kapłana i biorąc ręce moje, odezwał się do mnie:

— Spojrzyj mi pan prosto w oczy. Pan czujesz dobrze, iż wiem, że to nie pan, nieprawdaż? Nie mów mi nic, nie tłumacz mi nic i złóż rai przyrzeczenie...

— Abym zmusił nieszczęśliwego młodzieńca do oddania... A! mój ojcie, choćbym miał wyrwać mu z rąk i oddać go sam policji...

— Nie odgadłeś mię pan, zaczął znowu, wstrząsając głową, przeciwnie, chcę abyś mi przyrzekł na honor, iż nie wymówisz ani stowa, któreby zdradziło, iż pan odkryłeś zniknięcie mouet.. Ani słówka, czy pan ro zamiesz, ani jednego poruszenia... Mam prawo tego żądać, nie prawdaż?...

— Nie rozumiem — przerwałem.

— Vazknm — rzekł, używając ulubionego wyrazu. Przyrzeknij mi pan tyłko i pozwól mi skończyć z tym okropnym Peppe... A! ci ludzie zamęczą mię na śmierć, zanim zdołam ujrzeć tu znowu naszych braciszków... Sprzeczą się oni o pięć franków przy opłacaniu dzierżawy; ale pan wiesz, należy zamknąć oczy i polecić się Bogu... Mam zatem przyrzeczenie?

— Macie je, ojczy — odparłem zwyciężony pewnym rodzajem powagi, która w tej chwili uderzała w całą jego osobę.

— I zechcesz pan odnieść mi szkatułkę zaraz?

— Idę po nią, mój ojczy.

Mimo danego słowa, trudno mi nad wyraz było powstrzymać się, kiedy w pół godziny po tej rozmowie znalazłem się z Filipem Dubois, który nareszcie powrócił z przechadzki. Muszę przyznać na jego pochwałę, że twarz jego w tej chwili zdradzała wewnętrzną trwożę, któraby mnie była przekonała do reszty, gdybym był miał najdrobniejszą wątpliwość co do jego winy. Musiał jednak uważać się za bezpiecznego, gdyż powtórne moje badanie szkatułki dziwnym było przypadkiem, a oprócz mnie któż mógł stwierdzić brak skradzionych monet?

Zbyt szybko wymienialiśmy Je, aby Dom Griffi miał być czas spamiętać ich nazwy. To też nie obawa przed odkryciem kradzieży kładła na to czoło inteligentne i w oczy, tak jeszcze wesołe dnia poprzedniego, ów ponury wyraz niepokoju. Domyśliłem się, że wyrzuty i wstyd poprostu go dławily. Był taki młody, pomimo maski cynizmu, tak spragniony, mimo intelektualnego zepsucia, ciepłego ogniska swej rodziny, tak jeszcze przejęty uczciwością prowincjonalną! Zauważył smutek w moim spojrzeniu, ale jeżeli przypisał go zrazu istotnej jego przyczynie, to mikzenie, które wedle przyrzeczenia zachowywałem, musiało go uspokoić.

— Odbylem wspaniałą przechadzkę rzekł do mnie, chociaż go nie pytałem o najmniejszy szczegół, odnoszący się do użycia poranku — tylko zabłąkałem się i przybywam zapóźno, by zwiedzić klasztor... Nie żałuję tego, gdyż obawiałbym się zniszczyć wrażenie wczorajsze, oglądając freski przy blasku słońca, O której godzinie wyjeżdżamy?

— Około wpół do trzeciej—odpowiedziałem,

— W takim razie, jeśli pan pozwoli, pójdę zapakować moje rzeczy. Pod tym pozorem przeszedł do swego pokoju. Słyszałem, że biegał po pokoju jak wczoraj wieczorem. Pomimo wszystkiego obecność moja była dla niego nieznośną,

— Co będzie, skoro zobaczy opata?—pomyślałem.

Lękałem się z niepokojem, przechodzącym w boleść, chwili, w której wszyscy trzej siedząc przy stole nowicjuszków, mieliśmy gawędzić, zakonnik i ja wiedząc to, cośmy wiedzieli, a on z ciężarem na sercu. Ciekawość łączyła się z tym niepokojem, Żądając odemnie zupełnego milczenia wobec Filipa, Dom Greffi miał niezawodnie osobne zamiary. Czy chciał wyspowiadać młodzieńca, nie upokarzając go zanadto, w cztery oczy? Albo czy w nieograniczonej dobroci, która się malowała w jego oczach pełnych wiary, postanowił przebaczyć w milczeniu, licząc na to, że reszta skarbu Dom Pia wystarczy na wyrestaurowanie sławnego tarasu? Bądź co bądź, godzina śniadania nadeszła — wszystko nadchodzi — a Dom Gabijel zawołał na nas tym samym głosem wesołym i serdecznym:

— No, i cóż, signor Filippo, petynie pan zgłodniały jesteś po tej przechadzce?

— Nie, mój ojczy—odpisał Filip, którego obie ręce ujął opat serdecznie, lecz którego ten ciepły uścisk zdawał się irytować—lękam się, czy się nie zaziębiłem trochę.

— To się pan napijesz mego vino sanio — zaczął zakonnik znowu—czy wiesz, iliczego tak je nazywamy? Zawieszamy grona winne do suszenia aż do Wielkanocy i wtenczas dopiero wytlaczamy je. Toskańskie przysłowie powiada;

— Nell uva sotw tre vinaccioli, w winogronie są trzy ziarnka — um di sauita, uno di ktizia ec uno di ubriachenzu, jedno zdrowia, jedno wesołości, a jedno pijaństwa. Ale w mojem vino Santo pozostały tylko dwa pierwsze.

W ten to sposób wypowiedział szereg zdań wesołych w czasie śniadania, które tym razem składało się z trzech przyrzeczonych pstrągów, pieczonych kaszta gów, z jaj smażonych i kwdczołów, karmiących się winogronami i jałowcem, które są jesiennym przysmakiem tego zakątku błogosławionych Wioch.

— Nie mogłem nigdy dotknąć żadnego z tych małych ptaszków — rzekł do nas ojciec — widzę je zbyt blisko latające tutaj. Ale nasi wieśniacy chwytają je na lep. Nie widzieliście ich panowie przechodzących z oswojoną sową na ręku ? Wzdłuż winnic kładą oni deseczki napuszczone lepem, następnie na ziemię spuszcza ją sowę przywiązaną także do deseczek. Biega ona tu i tam. Ptaki zbliżają się z ciekawości, dotykają się deseczek i chwytają się na lep. Dziwiłem się, że który poeta nie ułożył bajki z tego ładnego obrazka...

O zniknionych monetach tymczasem ani słówka. Ani słówka także, któreby zdradzało jakąś różnicę w uspo. sobieniu jego wobec mnie i mego towarzysza — może trochę więcej żartobliwości wobec niego, którego widziałem niejako złamanym tym objawem sympatji nie mał czulej naszego gospodarza, tak niegodnie zdradzonego. Ze dwadzieścia razy widziałem łzy na rzesach tego chłopca, który widocznie nic był stworzony do popełnienia złego. Dwadzieścia razy miałem ochotę po

— Przepróś tego świątobliwego kapłana i niech będzie koniec...

Potem Filip marszczył brwi, ogień dumy wysuszał mu źrenice i rozmowa toczyła się dalej, a raczej monologi Dom Griffiego, który porównywał teraz Monte Cldaro z Monte Olivelo i serdecznie wspominał swego przyjaciela, który jest i moim zarazem, kochanego opata N., przeznaczonego do całkiem podobnego zajęcia: stróżowania. Potem opowiadał nam rozmaite anegdotki o klasztorze, niektóre bardzo zajmujące — np, wizyta konetabla burbońskiego w drodze do Rzymu, zamawiającego w tajemnicy u przeora tnszę św, nazajutrz po śmierci; — inne dziecinne i odnoszące się do naiwnych podań... Dopiero po śniadaniu i powróciwszy do naszego salonu, zrozumiałem jego intencję i tnyśl, podsunęta mu przez znajomość serca ludzkiego, jaką posiadać może tylko spowiednik.

Upuściwszy nas na chwilę, powrócił, trzymając w ręku szkatułkę Dom Pia, Spojrzałem na Filipa, Stal si? trupio bladym, A jednak potnarszczona twarz gospodarza naszego nie wyrażała surowego pytania,

Powiedzieliście mi, panowie, cenę tych medalionów, rzekł do nas z prostotą, stawiając szkatułkę na stole. Jest tutaj o wiele za dużo na odbudowanie tego, co zamyślam. Pozwólce, panowie, że poproszę, abyście wybrali z nich dla siebie każdy dwie lub trzy monety, które zachowajcie na pamiątkę po starym zakonniku, który się za was modlił dziś rano,,.

Spojrzał na mnie, wymawiając te wyrazy, spojrze niem, w którym mogłem wyczytać przypomnienie obietnicy, Wszedł, a Filip Dubois i ja pozostaliśmy nieru chomi. Drżałtn, aby się nie domyślił, iż znam jego tajemnicę. Wzniosła pobłażliwość Dom Griffiego, przeznaczona na to, by

wywołać żal nadzwyczajny przez nadmiar wstydu, mogła całe wrażenie wyrzucić na tę

duszę zrozpaczoną tylko wtenczas, jeśli miłość własna dodawała goryczy. — „Takaż to piękna rzecz, dobry kapłan!... — odezwałem się, aby przerwać mój sen. Filip nie odpowiedział nic. Odwrócił się szybko do okna i spoglądał pogrążony w głębokiej zadumie na zielony krajobraz, który podziwialiśmy wieczorom wracając. Otworzyłem szkatułkę i wziąłem jedną z monet, by posłuchać naszego gospodarza, poczem przeszedłem do swego pokoju. Serce moje biło jak młotem; usłyszałem, jak młodzieniec wybiegł i jak kroki jego skierowały się szybko ku celi starego zakonnika.

Pycha została zwyciężoną. Poszedł oddać sztuki przywłaszczone sobie i wyznać swą winę. W jakich słowach przemawiał do tego, którego tak zuchwałe po równywał do zmarłego Tacentego i co mu ten ostatni odpowiedziały Nie dowiem się nigdy. Tylko kiedy wsiedliśmy do powozu, a Pascale odezwał się do swej klaczy:

— Dalej, Zaro, zbieraj nogi... obróciłem się, aby zobaczyć klasztor raz jeszcze i pozdrowić opata, który stanął na progu i ujrzałem w spojrzeniu, które towa. rzysz mój rzucił na prostego zakonnika brząsk innej duszy.

— Nie, czas cudów nie minął, ale potrzeba świętych oni pojawiają się zbyt rzadko!

ROMANS PROFESORA,
ORYGINALNIE PO POLSKU NAPISANA
LUDWIKĘ ROUHER.
PETEBSBUBG.
NAKŁADEM "KRAJU"
SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNI POLSKIEJ BR. RYMOWICZ

POWIEŚĆ
przez

ROMANS PROFESORA.
powieść
ORYGINALNIE PO POLSKU NAPISANA
przez
LUDWIKĘ ROUHER
I.

Głęboka cisza panuje w małym, skromnym gabinecie profesora Marceliego Schraube, Płomienie stuńca. wdzierając się przez zamknięte okienice. rozlewają światło na liczne książki i papiery i rozjaśniają chmurne czoło młodego uczonego, który siedzi nieruchomy przy stole i rozmyśla. Jest to jedna z rzadkich chwil w jego życiu, kiedy myśl, wyrwana z właściwego sobie kierunku, przestaje ścigać ciekawe wynalazki na polu historii i filozoficzne problemy, aby zwrócić uwagę na prozaiczne strony bytu.

) Podając do druku niniejszą opowieść, podpisana głosem francuzkiem nazwiskiem, winniśmy dodać do niej objaśnienie dla zaspokojenia słusznej ciekawości czytelników, zdziwionych zapewne zjawiskiem tak niezwykłym. Autorka, pani Ludwika de Baulny

Obecnie w wyobraźni jego nie przesuwają się uroczyste sądowe posiedzenia królów Francji, ani krwawe walki uwielbianych przez niego bohaterów, krzyżowców. Nie nawet miody uczone, bujający zawsze w najwyższych sferach nauki, czasami jest zmuszony dotknąć ziemi i przypomnieć sobie, że należy do owej biednej, wzgardzonej ludzkości i podlega tym samym co ona potrzebom i wymaganiom; a Marceli, który ciężkie miał początki, nie mógł jeszcze zapomnieć o trudnościach życia. Syn ubogich wieśniaków, był on aizaczykiem, jak jego nazwisko dowodzi; został sierotą, mając zaledwie lat dziesięć, wraz z młodszą o siebie o parę lat siostrą. Oboje przygarnął poczciwy wiejski proboszcz, a brat ich matki. Zaczyn staruszek miał pretensję do naukowości, studjował pilnie autorów łacińskich i cytował Wirgiljusza naoslep we wszystkich swoich kazaniach. Nie mając żadnych osobistych pragnień, marzył dla swego siostrzeńca o świetnym losie, a chociaż z ambony lubił powtarzać

znane wiersze poety: O for tunatus timiums, w praktyce był zupełnie innego zdania i nie zachęcał wcale Marcelego do cichego wiejskiego życia. Zresztą, byłyby to daremne nsirow. i nia. młodzieniaszka bowiem pożerała ambicja. Małomówny, nieśmiały, rzadko obcował z dziećmi swego wieku; czuł się instynktownie wyższym od wszystkich córka Eugenjusza Rouher, ministra Napoleona III, a po upadku cesarstwa głowy jego stronników we Francji, ubdarzona rzadką zdolnością do języków, oprócz wielu innych, nauczyła się i polskiego, i tak go sobie upodobała, że chciała spróbować, czy włada nim dostatecznie, by pisać Owocem tych usiłowań jest Romans Profesora, w którym umyślnie nie zmieniamy niektórych zwrotów francuskich. Autorka, o ile wiemy, ogłaszała parę prac swoich francuskich, ale bezimiennie. Powieść niniejszą, podpisała swoim nazwiskiem panięńskim. z powodu, że pisała ja jeszcze przed swoim zamęciem. (Przyp. Red).

otaczających go osób i wcześniej już zrozumieli, że tylko praca, niezmordowana praca, wraz z siłą woli, mogła go doprowadzić do właściwego na świecie miejsca. Przysiągł sobie dopiąć celu i dotrzymał słowa—kosztem jednak jakich walk i trudności, jakich ofiar złożonych z pragnień ducha i wymagań młodości, o tem jeden tylko Marcelego wiedział. Często też, przechodząc w myśli te ciężkie chwile, zapytywał siebie z bolesnym uśmiechem, czy, rozważywszy rzecz dobrze, nie przerachował się i czy rzeczywiście szczęście człowieka polega na zdaniu Spinozy: Pogardzaj śmiechem i Izami, odpychaj rozkosze serca, a przywiązuaj się tylko do rozkoszy umysłu. Rzadkie jednak bywały te chwile zniechęcenia, dziś zwłaszcza, gdy droga, tak mozolna z początku, zaczęła wyrównywać

się i Marceli stał się potęgą w Szkole Normalnej, Oryginalne jego pisma o historii pruskiej zwróciły nań ogólną uwagę, a w przyszłości widział już otwierające się przed nim podwoje akademji; byłby zatem niewdzięcznym względem Opatrzności, nie przyznając, że był jednym z wybranych Iego biednego świata.

Pomimo to, w chwili kiedy go widzimy, ciężka chmura zaćmiewa mu czoło, i widać, że nie przez różową pryzmę spogląda na świat Boży, Powód zmartwienia nader prozaiczny, kwestją czy.sto finansowa, zupełnie wstrętna dla jego niepraktycznej natury. Jednym słowem, potrzebuje pieniędzy, a jedyny środek, możliwy do zdobycia takowych, przeraża go. Bez najmniejszego wahania odrzuciłby ten środek, gdyby o niego samego chodziło; płaca bowiem w szkole i do chód z prac literackich wystarczają mu najzupełniej. Lecz, podczas kiedy on w Paryżu, wdzierał się z tru. dem na pierwsze szczeble swej kariery, mała siostra jego, pozostawiona u wuja proboszcza, wyrosła na dorodną pannę, znacznie wyżej wykształconą, niż zwyczajnie na wsi, i równie jak brat, marzącą o świetnej

przyszłości. Doszedłszy do lat dwudziestu, otrzymała dyplomy skończonych nauk i natychmiast znalazła miejsce nauczycielki. Niestety, Gertruda Schraube, dumna i niezależna z natury, nie posiadała żadnej zalety, potrzebnej do swego powołania; jeżeli wszakże zaniedbywała obowiązek i uczennice, natomiast odgadła szybko, jak potężny talizman dostał się jej w udziale. Była cudnie piękna, a ogólnie obudzane uwielbienie wskazało jej, jaką korzyść mogła wyciągnąć z tak wielkiego kapitału, jakim jest młodość i uroda. Nadzieje jej nie zawiodły. Stary i lautentyczuys baron. mający podług powszechnej opinji ośmdziesiąt

tysięcy dochodu, złożył swoją koronę, swój majątek i swoje siedmdziesiąt lat u stp skromnej nauczycielki. Młoda dziewczyna przyjęła wszystko z radością, i trzeba przyznać, że starzec nigdy nie miał powodu żałować popełnionego szaleństwa. Niestety, każdy medal ma swoją odwrotną stronę. Zostawszy wdową po dwóch latach, Gertruda znalazła się wobec najsmutniejszych zawodów. Nieład w majątku barona był taki, że po likwidacji młoda kobieta została zaledwie w posiadaniu kilku tysięcy franków. W tem smutnem położeniu zwróciła się do brata, zapomnianego zupełnie w chwilach szczęścia i fortuny. Do niego udawała się obecnie, czerpiąc z jego dochodów potrzebne pieniądze. Marceli, z naiwną wspaniałością uczonego, chętnie oddawał siostrze wszystko, co zarabiał; lecz środki jego były więcej ograniczone, jak dobra wola, i obecnie znalazł się bez grosza, czego możeby i nie spostrzegł, gdyby nowa prośba Gertrudy nie postawiła go wobec przykrej rzeczywistości. Dać to, czego się nie ma, oto problemat, którego rozwiązanie w tej chwili w najstraszniejszy wprawia go kłopot. Zwrócił oczy na dwa otwarte listy, leżące przed nim na stole, machinalnie wziął jeden z nich i po raz dziesiąty czytał powoli, rozważając każde słowo. List brzmiał jak następuje:

Yaudrpuil d. lipca.

Raz jeszcze, kochany Marceli, udaję się do twej nieograniczonej dobroci. Bądź pewny, że tylko konieczność zmusza mnie do tego. Dzięki tobie, ostatnie moje długi są zapłacone, i sądziłam, że tego roku wydatki moje nie przewyższą dochodów; ale otoż i nowa a nieprzewidziana trudność. Od kilku miesięcy czułam. Ze zdrowie moje słabnie, cierpiałam

nieustanne migreny i apetytu brakło mi zupełnie. Pocieszałam się jednak tem, że stan ów zmieni się wraz z cieplejszą porą; lecz przeciwnie, pogorszył się w tak gwałtowny sposób, że wezwałam mojego lekarza; ten, pomimo wrodzonego optymizmu, potwierdził to, o czym wiedziałam zgóry, a mianowicie, że jestem ciężko chora. Aby mi ulżyć, doktor sądzi, że kuracja u wód jest nieodzowną. Na nieszczęście, nie mogę ponieść kosztów tej podróży. Czy chcesz, a raczej czy możesz mi dopomóc. Marceli? Nie wątpię o twojej dobrej woli, ale czy już nie wyczerpałam ostatnich twoich oszczędności? Czekam na odpowiedź, która bez przesady będzie dla mnie wyrokiem życia lub śmierci.

Twoja nazawsze

Zuiechęconym ruchem .Marceli rzucił małą her bowną kartkę na stronę i wziął drugi otwarty list na siole.

Baclair, p. PlessisCliemai, Seine et Oise d. lipca.

Szanowny Panie!

Chciej pan mi przebaczyć, że udaję się do niego z trochę niezwykłą prośbą. Wprawdzie nie mam zaszczytu znać pana osobiście, ale. czytając dzieła pańskie i słuchając wykładu jego. mogłem się przekonać, jak słusznie zasługujesz na ogólne uznanie.

Powód, zachęcający mnie do wezwania pańskiej pomocy, jest następujący: z nastaniem rządu rzeczypospolitej, dyplomatyczna moja karjera zostaią przerwana. Poświęcam zatem dziś wolne chwile pracom literackim i historycznym, nieśmialemi krokami wstępując w ślady pańskie, gdyż głównie historja Niemiec jest celem moich badań. Obecnie jestem zajęty pracą, przeznaczoną do Przeglądu Współczesnego; obejmuje

ona wszystkie przejścia walk zakonu krzyżackiego od Christburga aż do Tannenberga. Po długich i cierpliwych poszukiwaniach zebrałem liczne dokumenty; lecz teraz, kiedy trzeba uporządkować nagromadzone materiały, wyznaję, że trudność ta przeraża mnie, i czuję, jak drogocenną byłaby mi pomoc światłego przewodnika. Przewodnikiem owym, sądziłem, że zechcesz być pan. Pod pańskim kierownictwem mógłbym doprowadzić do końca rozpoczęte dzieło i odkryć światu niektóre nowe poglądy o tej epoce historii, niedosyć jeszcze u nas znanej, pomimo starannych i pilnych badań. Ośmielam się więc zapytać pana, czybyś nie chciał poświęcić roi swoich wakacyi. Jeżeli projekt mój zyska uznanie, w takim razie będę cię prosić o łaskawe zamieszkanie u mnie na wsi aż do początków października, epoki, w której zdaje mi się, zaczyna się wykłady Normalnej Szkoły; jesteśmy obecnie w połowie lipca; przypuszczając, że zechcesz pan przyjechać bez zwłoki, przez całe dwa miesiące mógłbym korzystać z rad pańskich, i oddać słabe moje prace pod światły sąd człowieka, którego wyższość uznaję z prawdziwą przyjemnością.

A teraz jestem zmuszony dotknąć kwestji bardzo delikatnej, którą jednak pomiędzy sobą musimy rozjaśnić. Jest zawsze niewypowiedzianie przykro mówić o pieniądzach, wiedząc zwłaszcza, że żadne pieniężne wynagrodzenie nie może stanąć narówni z przysługą, jakiej żądam od pana. Jednakże, nie widząc innego

sposobu wyrażenia mojej wdzięczności, jeżeli zechcesz pan przychylić się do mojej prośby, upraszam o naznaczenie mi swoich warunków, na które,

rozumie się. zgóry przystaje. Oczekując prędkiej odpowiedzi, proszę o przyjęcie zapewnienia wysokiego szacunku, z jakim pozostaje "Urabia de StReal.

Po przeczytaniu, wyraz niezadowolenia i gniewn błysnął w oczach Marcelego. Gdyby chciał usłuchać pierwszego popędu, odmówiłby natychmiast. Nieprzyszto by mu nawet na myśl sprzedać swoją wolność i przyjąć upokarzającą rolę poprawiacza pism drugih, bo trzeba wyznać, że Marcelego nie oddychał bezkarnie powietrzem Szkoły Normalnej i podzielał panujące tam demokratyczne przesady. Kozdrażniony przeciw wszystkim spo lecznym przewagom, nie sądził, aby szlachcic, właśnie dlatego, że pochodzi z arystokratycznego rodu, mógł mieć chociażby najmniejszy talent, i sama myśl zostania współpracownikiem miernego umysłu człowieka, obudziła w nim wstręt niewypowiedziany. Lecz z drugiej strony, czyż mógł pozostać głuchym na prośby Gertrudy? zwłaszcza kiedy szło o zdrowie, a nawet o życie siostry. Czy miał prawo wahać się? Wiedział dobrze, że to niemożliwe i że, odmawiając, popełniłby naganny uczynek; ale ofiara była niemniej przeto bolesną, i drżącą nerwowo ręką skreślił kilka wyrazów, któremi przyjmował propozycję pana de StReal. Wyczerpując zaś do dna kielich goryczy, przystąpił Itez ogródki do drażliwej kwestji pieniężnej, mówiąc otwarcie, ile chce zarobić, i wymagając nawet (o zgrozo!), aby połowa sumy była mu przystaną zgóry, lio wszakże był to jedyny sposób, aby dopomódz Gertrudzie w oznaczonym czasie. Przedstawił więc jasno i pozytywnie wszystkie warunki, jak kupiec—rzekł sam do siebie,—sprzedający towarya, i kiedy podpisał ten

dziwny dokument, z gorączkowym pośpiechem złożył go i zapieczętował, nie chcąc nawet odczytać — czuł bowiem, że przeczytawszy, podarłby go w kawałki. Aby więc uniknąć tej niebezpiecznej pokusy, schwycił i kapelusz i pośpieszył na pocztę.

II.

W ośm dni później, popołudniu, Jlarceli był na kolei Lyonskiej w drodze do PlessisOhnay. „Tak wszyscy ludzie, rzadko podróżujący, przybył zawczasie. Pociąg jednak JUŻ był gotów, i mógł zaraz zająć miejsce w jednym z Wagonów. Jako człowiek, znający wartość czasu, dobył z kieszeni niemiecką broszurkę, traktującą o rozwoju potęgi pruskiej, i zatopił się w czytaniu. Świst lokomotywy da! się słyszeć, i pociąg ruszał już z miejsca, kiedy dwóch młodych ludzi, rozmawiając i śmiejąc się wesoło, wskoczyło do wagonu. Marceli spojrzał roztargnionym wzrokiem na swoich towarzyszy. Jeden z nich, wysoki, dobrze zbudowany, z jasnymi włosami i otwartym obliczem, wzbudzał odrazu sympatje; drugi, mały, delikatny i wąty, bardzo elegancko ubrany, przedstawiałby prawdziwy typ tak zwanych gommeux, gdyby dowcipny wyraz twarzy nie dowolził, że pod tą słabą napozór powierzchownością ukrywa się silny i bystry umysł. Obydwaj rzucili się na poduszki, oddychając swobodnie. — Doprawiły — rzekł mały, ocierając czoło batystową chustką, silnie woniejącą heljotropem — doprawdy, o mały włos, że nie zostaliśmy na miejscu. Widzę ztąd zmarszczone nieukontentowaniem czoło pani de Marisy, gdybyśmy byli nie dotrzymali słowa! Ba, zasługiwałyby na to — odpowiedział drugi, lekko wzruszając ramionami — jest zanadto wymagająca. Co za dziwna myśl zapraszać nas na wieś, w chwili

kiedy polowanie już zamknięte, połowa sąsiedztwa bawi u wód lub morskich kąpiel, a jako jedyna rozrywka czekają nas historyczne rozprawy wuja StReal. Nieprawdaż, Gaetanie, że to czysta zasadzka. Słyszając wymówione nazwisko pana de StReal, Ilarceli podniósł głowę, lecz młodzi ludzie nie zwracali na niego uwagi.

— Czy nie sądzisz — rzekł ten, którego towarzysz nazywał Gaetanemczy ule sądzisz, że to wcale nie wesołe życie dla panny de StReal, przebywać zawsze w towarzystwie swojej ciotki? Mówią, że księżna nie ma wcale łagodnego charakteru.

To jest potwarz, mój drogi! Wszyscy są niesprawiedliwi względem ciotki Ireny, która nie ma innej wady, jak tylko przrsady dawniejszych czasów: uwielbia szlachectwo, wierzy w cnotę kobiet i nie chce przyjmować żydów, Ale wszystko to nie może być wstrętnem dla Baetryxy, ulegającej tym samym słabościom. Nigdy nic; spotkałem równie zaciętej antysemitki, a co do niebieskiej krwi, pomimo że o tem nie mówi, wie do skonałe, jaka płynie w jej żyłach. Nie ubolewam więc nad nią... zgadza się wybornie z ciotką, a ojciec uwielbia swoją córkę; zresztą, gdyby jarzmo wydawało się jej za ciężkie, bardzo łatwo mogłaby się z niego uwolnić.

— Ach tak, mówiono mi; więc to pewne?

— Niestety! obawiam się, że tak, chociaż nigdy nie wspominają o tem. nie wiem dlaczego? Obecnie on jest w Londynie; bawi się, używa świata, młode piwo jeszcze nie wyszniało; co, mówiąc otwarcie, mocno ranie cieszy, ponieważ nie spotkamy go w Baclair,

— Cóż to ,Terzy? jesteś złośliwym! Ale to dowód zazdrości!

— Zazdrosny, ja zazdrosny! Co za szalona myśl! — rzekł młodzieniec. Czy nie wiesz, mój drogi, że zazdrość zupełnie już wyszła z mody. A względem Bea

tryx!... Widać zaraz, że nie znasz jej. Bądź przekonany, że nigdy nie ośmieliłbym się wystąpić do tej walki. Straciłbym spokój, bez żadnego rezultatu.

Z wlepionymi oczyma w swoją broszurę, Marceli słuchał pomimowolnie, a chociaż koniec rozmowy prowadzono półgłosem, nie stracił z nie ani słowa. To też, zbliżając się do celu podróży, wydało mu się, że już zna ludzi, z którymi miał obcować przez parę mie "sięcy.

Pociąg zatrzymał się w PlessisChenay.

Młodzi ludzie wysiedli, a podczas gdy Marceli udał się po swoje rzeczy, oni skinęli na oczekującego lokaja w liberji domu de StReal.

— Cóż to, Stefanie, nie widzisz nas?

— Przepraszam pana hrabiego—rzekł służący, zbliżając się do młodego człowieka, którego towarzysz na zywał Jerzym — księżna przysłała landau, ponieważ tym samym pociągiem miał przybyć pewien pan, którego oczekują w zamku. Szukałem go właśnie, kiedy pan hrabia na mnie zawołał.

— Pewien pan, ach, tak, przypominam sobie—mówił Jerzy de Kerven, zwracając się do przyjaciela. Musi to być zapewne ten uczony, ten pan Schraube, wezwany przez wuja do pomocy w napisaniu historii pruskiej. Zapewne to on siedział z nami w wagonie. Zdaje mi się, że widziałem go wysiadającego. Do licha, jeżeli ma słuch delikatny, to zapoznany jest z moją familją.

W tejże chwili Marceli ukazał się, niosąc swój kuferek. Pan de Kerven pośpieszył ku niemu i, zdjawszy kapelusz, rzekł z wykwinną uprzejmością:

— Zdaje mi się, że zdążamy do tego samego celu. Wszak oczekują pana w Baclair u pana de StReal?

Marceli skinął giową potwierdzająco.

— Zatem bądź pan łaskaw towarzyszyć nam—mówił dalej młody człowiek. Oto jest powóz mego wuja..

służący zajmie się rzeczami. Wszakże mam honor mówić z panem Schraube? Jesteś pan niecierpliwie ..oczekiwanym w Baclair, a sława już poprzedziła go.

Jerzy wyrażał się z tą elegancką grzecznością, właściwą ludziom dobrego świata. Marceli, pod wpływem nieśmiałości, nic nie odpowiedział. Nie czuł się na swoim polu. W Szkole bowiem Normalnej, gdzie wykładają tyle poważnych nauk, nieznaną jest sztuka zamieniania czczych wyrazów. Zbliżywszy się do powozu, pan de Keryeu zapozna! dwóch młodych ludzi, mówiąc:

— Pan Schraube, mój przyjaciel hrabia Gaetan de Selyes — i poprosił obydwóch, aby przed nim wsiedli. Proszę bardzo, panie Schranbe, zabrać miejsce na prawo, jestem jak u siebie w powozie mego wuja.

Rozmowę prowadzono bardzo żywo przez cały przeciąg drogi, chociaż Marceli mały brał w niej udział.

— Z pewnością przeraziłeś się pan naszym gadulstwem — rzekł Jerzy, śmiejąc się na wspomnienie swej rozmowy z Gaetanem. Spodziewam się iednak, że wrazie, jeżeliś nas pan usłyszał, nie dało to panu złego wyobrażenia o życiu, jakie prowadzą w Baclair. Pani de Marisy nie jest tak nieprzystępną, jak twierdzi mój przyjaciel. Co zaś do pana de St.Real, jestto najprzyjemniejszy człowiek w świecie. Zresztą znajdziesz pan zapewne inne żywioły, które go zajmą dostatecznie; ale nie spytałem się jeszcze, czy będziemy mieć obce towarzystwo, Norton — rzekł, obracając się do stangreta—czy są goście w zamku?

— Tak, panie hrabio, — odpowiedział woźnica. Pan margrabia i pani margrabina de Segondey wraz z pannami przybyli wczoraj, a zdaje mi się, ie jutro oczekują na inne osoby,

— Państwo de Segondey!—zawołał Jerzy, zwracając się do Gaetena z tak zabawnym wyrazem rozpaczy, że Marceli nawet parsknął śmiechem.

Państwo

de Segondey! Ach! teraz rozumiem, dlaczego ciotka Irena zapraszała was do siebie. To rzecz jasna: po to potrzebowała nieszczęśliwych ofiar. A my, jak istne dudki, z całą naiwnością wpadliśmy w sidła. Niestety, obecnie jest już zapóźno, aby wrócić na pociąg. W tej chwili powóz wjechał w bramę parka i znalazł się w długiej lipowej alei. Wdali świeciła biała fasada zamku, zbudowanego w stylu zeszłego stulecia; środkowy pawilon z dwiema wieżyczkami po bokach; naokoło, jak daleko okiem było można sięgnąć, rozciągał się wielki, cienisty park, o wąskich, wijących się alejach, o zielonych trawnikach, obsadzonych starymi drzewami; tu i owdzie, pomiędzy zielenią, błyszcząca woda stawu rzucała jakby iskry na szmaragd murawy. Całość, nieco melancholijna, obudziła wrażenie spokoju; patrząc nań, można było przypuścić, że świat jest gdzieś daleko, bardzo daleko, a wszystkie jego burze musiały zamilknąć na progu tego cichego ustronia. Cywilizacja jednak przeniknęła i tutaj. Cztery lokale wspaniałej liberji stały rzędem na schodach terasy. Wszyscy pośpieszyli do drzwiczek powozu, a jeden rzekł do Marcelego:

— Może pan będzie łaskaw udać się ze mną, pan hrabia czeka na pana w swoim gabinecie.

W tejże chwili pan de St Real ukazał się w drzwiach przedpokoju. Przyjaznym skinieniem głowy powitał Jerzego i jego przyjaciela i z twarzą namiętną pośpieszył ku Marcelemu, podając mu rękę.

— Cieszę się bardzo, że widzę pana w moim domu. Bądź pan przekonany, że umiem ocenić jego poświęcenie.

Biedny Marceli zmieszał się znowu. Wobec wykwintnego obejścia starego arystokraty, skromny wieśniak z Woź *) czuł się nieco upokorzonym. Zdaleka, pracn Wogezy {Les Yosgefi).

jąc w swoim cichym gabinecie, wakząc z trudnemi problemami ludzkiej myśli, z pewnego rodzaju pogardą spoglądał na wymagania i zasady eleganckiego świata. Tutaj krępowały go one, narzucały mu się, mając prawo obywatelstwa. Od pierwszej więc chwili niechęć, z jaką już tu przyjeżdżał, rozbudziła się w mm żywo.

— Jeżeli nie jesteś pan zmęczonym — mówił dalej hrabia — mogę cię przedstawić natychmiast mojej się strze i córce. Dostrzegłszy jednak pewne walenie w twarzy Marcelego, dodał: Albo może lepiej odłożyć to do godziny obiadowej. Zapewne życzysz pan siebie wypocząć po podróży. Piotrze—zawołał, zwracając się do służącego—zaprowadź pana Schraube do jegu apartamentu i pozostań na rozkazy. Dowidzenia, kochany panie!

Marceli wybąkał kilka słów podziękowania i, udawszy się za służącym przez labirynt schodów i korytarzy, znalazł się w przygotowanym dla niego mieszkaniu. Mały salonik poprzedzał wielki pokój sypialny, oświetlony trzema szerokimi oknami, po za którym znajdowała się łazienka; a wszystko to wesołe, umeblowane z elegancką prostotą, bez żadnego przesadzonego prze pychu. oznaczało ludzi dobrego tonu. Pomimo całego uprzedzenia, Marceli zmuszonym był przyznać, że z wielkim taktem obmyślano wszystko, aby mu sprawić przyjrmność. W saloniku wielka biblijoteka, widocznie postawiona tymczasowo, zawierała rozmaite dzieła

niemieckie i francuzkie, tak trafnie wybrane, że czytając tyłu, wzrok Marcelegu rozjaśnił się, zdradzając żywe zadowolenie. W każdym razie — rzekł do siebie — znajdę tu wszelkie warunki do pracy.

Odesławszy lokaja, który cofnął się, oznajmując, że obiad podają o ósmej godzinie, Marcelli zatopił się w myślach. Rozważając wszystkie szczegóły swojego przybycia, nie mógł zaprzeczyć, że przyjęto go z prawą dziwą uprzejmością, a jednak, pomimo milej poufałości

Jerzego de Kerven i serdecznej grzeczności pana de StÉeal, konieczność dłuższej bytności w tym obcym zupełnie świecie była mu nad wszelki wyraz wstrętną. Prawda, że miał zamiar o ile możliwości trzymania się na uboczu od towarzystwa; przybywszy tu z wytkniętym celem, było mu łośyć łatwo pozostać we właściwej roli, lecz chwilami, naprzykład w godzinach obiadowych, trzeba byto koniecznie zetknąć się z tymi powierzchownymi ludźmi, którym niedowierzał, nie mówiąc ich językiem. Marcelli nie był wolnym od miłości własnej i obawa jakiegoś mimowolnego wykroczenia przeciw etykiecie obejmowała go.

— Ba, rzekł w końcu do siebie, potrząsając głową z rozdrażnieniem — to doprawdy śmieszność zajmować się takimi dzieciństwami. W każdym razie mam więcej wartości od tych ludzi... a jednak... jednak, jakżebym już chciał być starszym o dwa miesiące!

Pierwszy odgłos dzwonu oznajmił Marcelemu, że czas było ubierać się na obiad. W chwili, kiedy skończył toaletę, dokładając niezwykłego starania, aby poprawnie zawiązać krawatkę, zapukano lekko do drzwi. Był to Jerzy de Kerven.

— Przebacz pan — rzekł — że przychodzę tak bez ceremonji, ale przypuszczałem, że mógłbyś pan zablądzić w tem wielkiem zamczysku... zresztą jest zawsze bardzo nieprzyjemnie przedstawiać się samemu obcym ludziom. Będąc we dwóch, to mniej uroczyście wygląda.

Marceli ocenił całą wartość tej usługi, znalazłszy się na progu salonów, gdzie gospodarze i goście już byli zebrani, kobiety w nader eleganckich wygorsowanych sukniach, mężczyźni w wieczorowym ubraniu, mając podług angielskiej mody, zatknięty krawat u fraka.

Mało ożywiona rozmowa nagle ustała, kiedy ukazał się młodzi ludzie, co odśmiało do reszty Marcelego. Widząc to, pan de StReal zbliżył się żywo ki

niemu i wzięwszy go pod rękę, zaprowadził do księżnej de Marisy. Była to kobieta lat pięćdziesięciu, brurietka. okazałej postawy. Delikatne, wychudzone jej rysy, czarne, głębokie, ale bez żadnego blasku oczy, wąskie usta, boleśnie zaciśnięte, nadawałyby tej fizjonomji wyraz jakiejś pogardliwej goryczy, gdyby nie aureola śnieżnych włosów, opromieniająca całą twarz niewypowiedzianą słodyczą.

Dziwna ta sprzeczność obudzata ciekawość i przyciągała jak zagadka. Odrazu można było wyczytać, że jakiś smutny dramat zburzył życie tej kobiety, że jakaś głęboka boleść więcej jeszcze, aniżeli lata, osrebrzyła jej włosy i pomarszczyła czoło. Lecz u tym punkcie świat robił tylko przypuszczenia. Księżna umiała ukryć swoją tajemnicę. Wiedziano tylko, że wyszła już dosyć późno za człowieka znacznie od siebie starszego, i że, zostawszy wdową, odrzuciła stanowczo licznych wielbicieli, przynęcanych jej pięknnością i majątkiem. Po owdowieniu

zamieszkała w domu brata i nie opuściła go już nigdy, poświęcając się wyłącznie wychowaniu siostrzenicy, ponieważ hrabina de StReal umarła w kilka dni po urodzeniu córki,

— Pozwól mi, panie Schraube, przedstawić cię mojej siostrze, pani de Marisy,

Marceli ukłonił się z uszanowaniem. Księżna schyliła głowę z bladym uśmiechem,

— Pan de StReal czekał niecierpliwie na pana — rzekła powolnym głosem, który nie był bez wdzięku — uprzedzam tylko, że trzeba będzie powstrzymać zapal mego brata; jestto niezmordowany pracownik, mogący w końcu wyczerpać cierpliwość pana, gdybyś się nie miał na baczności,

— Na Boga, Ireno! — przerwał pan de StReal, uśmiechając się, — nie obmawiaj mnie za wczasu. Pan

Schraube zapozna się prędko ze wszystkimi moimi wadami. Ale muszę pana zaprezentować innym osobom,

Z kolei Marceli skłonił się przed margrabiną de Segondey, zwiędłą blondynką z wyrazem ptasim, która oddała mu ukłon. nie przerywając rozmowy z Gaida nem de Selves. następnie przed córkami jej, pannami Marją i Janiną de Segondey. rywalizującymi chudością i oryginalnością uczesania; dwie te młode osoby zaledwie tez raczyły nań spojrzeć.

Przyjęcie było daleko serdeczniejsze ze strony mężczyzn. Pan de StReal zaprosił tego wieczora kilku ludzi bardzo wykształconych, mieszkających w sąsiedztwie. Wszyscy znali z nazwiska młodego profesora i powitali go pochlebniemi wyrazami, co mimowolnie ujęło Marcelego. Ów świat

arystokratyczny, tak przerażający zdaleka, wydał mu się mniej próżnym. Drzwi sali jadalnej otworzyły się i oznajmiono o obiad.

— Nie czekamy na Beatryx—rzekła księżna, podając rękę panu de Segondey. Biedaczka ma migrenę i nie może dzisiaj być z nami.

III.

Pan de StReal prosił Marcelego, aby przyszedł do niego nazajutrz rano, gdyż chciał mu przedstawić ogólny plan swojego dzieła.

— Wstajesz pan zapewne wcześniej, tak jak ja rzekł—ale jutro chciej pan przyjść dopiero o dziesiątej, ponieważ nie skończyłem jeszcze poprawiać. Marceli spał niespokojnie. W gorączkowym śnie słyszał szmer wczorajszych rozmów, męczące paplaniny pani de Segondey, wymuszone tyrady panny Janiny, sarkastyczne uwagi Gaetana de Selves, przerywane chwilami wesołym i sympatycznym śmiechem Jerzego de Kerven; czasami przesuwała się przed nim blada.

tajemnicza twarz księżnej de Marisy, uwieńczona korona srebrnych wstosów, ze swoim bolesnym nśmiechem i zagadkowym wzrokiem; to znowu dziwne marzenie zamieniało się w dręczącą zmore: widział księżnę rozgniewaną, groźną, wymawiającą bezładne słowa, których znaczenia nie mógł pochwycić, i złudzenie było tak silne, że, otwierając oczy, zdawało się, iż jeszcze słyszy te ostre wyrazy, Lecz Marceli nie był człowiekiem, mogącym pozostać długo pod wpływem przykrego wrażenia.

Godzina, o której zwykle wstawał, już dawno minęła. Lubił bowiem nade wszystko te spokojne chwile poranka, kiedy, nie obawiając się żadnej przerwy, czuł się sam na sam z przedsięwziętą pracą; lecz dziś niepojęte

jakieś lenistwo opanowało go, głowa była ciężka, myśli niejasne; oczywiście nie był w stanie pracować. Lepiej było nie wysilać się daremnie. Ubrawszy się, zbliżył się do okna. Ogród, odświeżony i skąpany rosa poranną, cichy i przyciągający, wyglądał cudownie. Ciemna zieloność drzew rzucała cień na jasne trawniki; promienie wschodzącego słońca, przedzierające się przez [iście, błyszczały na różnobarwnych skrzydłach motyli i padały, jak drobny złoty deszcz na powierzchnię uśpionych wód. W gałęziach ptaki nuciły śpiew miłosny, wdali igrały jelenie. Po za olirębem parku czerniały gęste i szumiące lasy — nic piękniej szego jak ta oaza zieloności. Osma godzina wybiła. Marceli miał jeszcze dosyć czasu, aby iść na przechadzkę przed udaniem się do pana de StReal. Wyszedł więc z pokoju, tłumiąc szmer swoich kroków, gdyż zapewne cały zamek był jeszcze uśpiony; prześledłszy korytarz, po kilkochwilowym szukaniu trafił nareszcie na schody, prowadzące do wyjścia. Znalazłszy się na dworze, udał się drogą, wiodącą do lasu. Szedł wolnym, leniwym krokiem, oddychając swobodnie orzeźwiającym powietrzem) tak uroczenL

zwłaszcza po długim pobycie w wielkim, niezdrowym mieście. Pierś jego rozszerzała się, silna postać, za często i za uporczywie schylona nad książkami, wyproślowała się z całą giętkością młodości—gdyż może zapomniałam powiedzieć, że uczony ten człowiek był zarazem bardzo przystojnym mężczyzną; ale czyż piękność u mężczyzny nie jest tem, co Niemcy nazywają eine Nebensuche? Jednakże ten dar natury, stosownie do pojęcia drogocenny lub nic nie znaczący, dostał się Marcelemu w udziale, i to nie w pospolitem znaczeniu wyrazu. Więcej niż średniego wzrostu, we

wszystkich iuchach zdradzał siłę. Na szerokim czole można było odgadnąć energiczną woję i twórczy umysł; głównym jednak wdziękiem fizjonomji Marcelego były oczy, głębokie, niebieskie, z tęsknym wyrazem, oświecone chwilami błyskawicą namiętności. Usta zaś surowe, jakby nieprzywykłe do uśmiechu, zdawały się zaprzeczać słodczy wejrzenia. Cała walka moralna ukrywała się pod tą fizyczną sprzeczością; widać było naturę w wieczystej z sobą rozterce, wdzierającą się na wyżyny i wysilającą w poszukiwaniu drogi, która do nich prowadzi. Niepokojnej tej duszy widocznie brak było równowagi, Marceli zagłębił się w lesie, w którym splecione gałęzie drzew tworzyły nieprzeniknione promieniom słońca sklepienie. Panował tu orzeźwiający chłód i uroczysta cisza, przerywana tylko czasami szybkim ruchem uciekającej sarny, przestraszonej tem wtargnięciem w dziedzinę jej królestwa, — Co za cudowne miejsce!—rzekł do siebie Marceli, nie uważając, że mówi głośno.

Nagle cofnął się z okrzykiem podziwienia. O kilka kroków od niego, na pniu drzewa, siedziała młoda dziewczyna, z twarzą okrytą szerokim, słomianym kapeluszem, i rysowała w otwartym na jej kolanach albumie. Usłyszawszy głos Marcelego, podniosła głowę; wyraz zdziwienia"przesunął się po jej twarzy; widocznie

nie pojmowała obecności tego obcego człowieka, i to u tak rannej godzinie. Marceli rzekł nieśmiało:

— Przypuszczam, że mam honor mówić do panny de .StReal. Chciej mi pani przebaczyć, jeżeli jej przeszkodziłem.. Nie sądziłem bowiem, że spotkam tu kogo.

Młoda panna odgadła obecnie, z kim miała do czynienia.

— Pan Schraube, nieprawdaż?—odpowiedziała z lekkiem skinieniem głowy. Chciej pan, proszę, nie przerywać przechadzki.

I zamknąwszy album, powstała. Marceli, nie czując, że popełnia niezręczność, rzekł znowu:

— Spodziewam się, że to nie ja wyganiając ząd panią. Nieznaczny uśmiech ukazał się na ustach panny de StReal.

— Wcale nie — odpowiedziała ironicznym tonem. Przeciwnie, oddał mi pan przysługę, gdyż zapomniałam, że oddawna czas już wrócić do domu. I z dumniejszym jeszcze od pierwszego ukłonem oddaliła się i znikła w bocznej alei. Już była daleko, kiedy Marceli stał jeszcze nieruchomy na tem samym miejscu. To niespodziane spotkanie, .szybkie jak zjawisko, obudziłO w nim niemile wrażenie. Pomimo to, zauważył jednak, że panna ile StKeal była bardzo piękną. Widział ciągle przed sobą jasne, złote włosy, spadające w ciężkich warkoczach na ramiona, wielkie fioletowe oczy, ocienione długimi rzęsami, przezroczystą pleć, i giętką, wysmukłą kibić młodej bogini. A jednak, pomimo tych wszystkich wdzięków, niepodobała nui się. Zjawieniem swoim zatarta nawet spokojny urok rannej przechadzki; zraniło go dumne jej obejście i szyderczy uśmiech. Ale, wszakże było to jego własną winą. Dlaczego .bowiem, z takim brakiem taktu chciał ją zatrzymać?Z pewnością,—rzekł do siebie z gniewem — osądziła, że ma do czynienia z jakimś źle wychowanym pedantem, i może nawet miała słizsaność. ...

Powoli Marceli powrócił do zamku. Na dziś miał dosyć wycieczek; zresztą, dziesiąta godzina zbliżała się i pragnął już niecierpliwie rozpocząć pracę z panem de StReal. Na tem polu czuł się na właściwym sobie gruncie, nie mogąc być upokorzonym, tak jak przed chwilą, poczuciem zupełnej swojej nieznajomości świata. I rzeczywiście, w kilka chwil później przykre wrażenie ulotniło się pod wpływem gorącej historycznej rozprawy; zapomniał o wszystkim, odzyskał przytomność umysłu i, porwany ulubionym przedmiotem, rozwijał takowy z cechującą go energją i dokładnością, które zrobiły z niego jednego z najbardziej cenionych profesorów Normalnej Szkoły. Pan de StKeal był zachwycony wymową i oryginalnym poglądem swego młodego współpracownika. W czasie śniadania przedstawiono Marcelego pannie de StReal. Zapewne ranne spotkanie nie zatrzymało się w pamięci młodej panny, gdyż nie wspomniała o niem, a Marceli naturalnie naśladował jej przykład. Zresztą, otrzymał tylko ukłon ścisłej grzeczności, w którym wrażliwa jego wyobraźnia wyczytała ukryte lekceważenie. —Bezwątpienia, jestto tylko próżna i wcale powierzchowna osoba — pomyślał sobie znów rozgniewany—szkoda, że taka piękna!

W samej rzeczy, najzaciętszy nieprzyjaciel panny de StReal, nie mógł zaprzeczyć doskonałej jej piękności. Aby mógł ją krytykować, trzeba by wpaść w paradoks i dowodzić, że piękność bez wady jest ckliwą; ale i któż obstawałby przy takim zdaniu, wobec tej zachwycającej twarzy, której idealny wyraz zdawał się nie należeć do tej ziemi. A jednakże Beatryx nie uosobiała znanego typu Madonny; przypominała raczej poetyczne utwory greckiej fantazji, owe promieniejące boginie, które zszedłszy z Olimpu, błądziły pomiędzy biedną ludzkością, zachowując zawsze na czole piętno nieśmiertelności.

śniadaniu, Marceli, wierny swemu postanowieniu, zamknął się w swoim pokoju i pracował całe popołudnie. „Tak w dniu poprzednim, Jerzy de Kerven przyszedł do niego na chwil kilka przed obiadem.

— Dziś nie potrzebujemy się śpieszyć — rzekł, pa dając na fotel. Pani de Prule przyjechała zaledwie przed godziną, a ponieważ jej toaleta jest zawsze dłu giem i mozoliłem posiedzeniem malarstwa, obiad podają zwykle później. Wszak mówiłem panu wczoraj, że ciotka Irena nielitościwie chwyciła nas w zasadzkę. Me dosyć było państwa Segondey... narzucają nam jeszcze starą baronowę i caty zbiór śmiesznych i nudnych ludzi. Ale, impros, przychodzę do pana z wymówką w imieniu całej mojej rodziny. Dlaczego zamykasz się między czterema ścianami i nie chcesz się ukazać w czasie podwieczorku? Spodziewam się, że nie zostawisz pan na moich i Gaetana barkach całego ciężaru dnia, to jest gry w krokieta, lawntennis'a i rozmowy z panną de Segondey. Do djabła, trzeba być litościwym i wspierać się wzajemnie na tym padole płaczu!

— Ależ rzekł Marceli, śmiejąc się—zdaje mi się, że uie jestem tutaj od tego, aby zabawiać panny i grać w wolanta, lub tyra podobne gry niewinne! Pan de St.Real wezwał mnie, abym mu ułatwił pewne historyczne poszukiwania i...

— Ach, tak! wieczna ta Historja Pruska! Biedny wuj... to prawdziwa namiętność; ale ma tę dobrą stronę przynajmniej, że go zajmuje i rozrywa. Wszakże nie jest to dostatecznym powodem, abyś się pan miał więzić od rana do wieczora. Chciej wyznać otwarcie, że to tylko wymówka, czysty egoizm, któremu zaradzę. Od dzisiaj skazuję pana na towarzystwo panny Janiny. Młoda ta osoba pisze wiersze i zgłębia obce języki, aby się obeznać z poezją, jak to sama głosi. Wczoraj, znając jej słabość, zapytałem ją, czy mówi

po niemiecku, i nigdy nie zgadniesz pan. co mi odpowiedziała: o! to zależy, jeśli idzie o uczczenie wschodu słońca, lub też śpiewu słowika, mówię po niemiecku; lecz gdybym była zmuszoną odbierać kufry na kolei żelaznej, nie byłabym w stanie powiedzieć ani słowa. Doprawdy, nic nie dodaję... Albo może wolisz pan panią de Prule, starą kokietkę, która, straciwszy młodość, zachorowała na rozum; prawdziwy typ Świata nudów!,, Będziepanu prawieć wspaniale filozoficzne ustępy, i zapewniam, że zabawisz się wybornie. Ale nie dowierzaj jej pan zbyt, gdyż jest złośliwą i obgaduje wszystkich, zwłaszcza Beatryx. której znieść nie może. Prawda, że wogóle kobiety nie lubią mojej kuzynki, co łatwo zresztą pojąć można.

— Panna de StReal jest rzeczywiście bardzo piękną rzekł Marcelli z odcieniem niechęci.

— Piękną! Ach, gdyby tylko była piękną! Ale ona posiada więcej jak urodę... trzeba ją bliżej poznać. Jest mało udzielającą się, i są ludzie, którzy nazywają ją dumną, a w rzeczywistości nie są w stanie jej zrozumieć. Ale już czas zejść na dół — dodał młody człowiek, patrząc na zegarek—rozgadałem się bez końca, a otóż i wpół do dziewiątej. Przypuszczam, że baronowa skończyła już malować swoje ostatnie zmarszczki!

Tego wieczora Marcelli mógł się przekonać, że .Te rzy nic nie przesadzał. Pani de Prule, dla której znajomość uczonego profesora była nader szczęśliwym trafem, porwała go zaraz po obiedzie i zmusiła do wysłuchania całego wykładu porównawczej filozofji. Kozmowa, a raczej monolog baronowej, trwał już od godziny i roztargniona uwaga Marcelego chwyciła tylko od czasu do czasu słowa bez związku: Leibnits, Kant. Hegel, umysłowe dążenia szkockiej szkoły, i t. d.. kiedy ruch dał się słyszeć w głębi .salonu. Beatrys po. wstała i zbliżyła się do fortepianu. ...

— I znowu muzyka!—rzekła baronowa rozgniewana—niepodobna tu prowadzić spokojnej rozmowy. Ach! i zawsze pan de Serves akompanjuje pannie Beatryx. Nakoniec, skompromituje ją tem wiecznem mnzykalnem współpracownictwem.

— Panie Schraube! — zawołał Jerzy de Keiven — chciej mi pan dopomódz. Nie mogę zamknąć tego okna!

Marceli zbliżył się śpiesznie do niego.

— Przyznaj pan, że jestem pocziwym—mówił Jerzy półgłosem. Aby uwolnić pana, wymogłem na Bea trys, że nam zaśpiewa. Nie miała ochoty, ale rzeczywiście zasługujesz pan na wynagrodzenie.

Nagle zrobiła się cisza i dźwięczny, uroczy głos Bea tryxy zabrzmiał w powietrzu, śpiewając: *Voi che sa pefe*. Z całego wyrazu twarzy i oczu widać było, że młoda dziewczyna zapomniała zupełnie o słuchaczach; dusza jej utonęła w nieśmiertelnej harmonji, którą oddała z zapałem wielkiej artystki; wszyscy powstrzymywali oddech, aby nie stracić ani jednego dźwięku tej cudownej melodji, a powoli potężne, niewypowiedziane wzruszenie opanowało Marcelego. Nie widział już on młodej osoby, której zimna, dumna piękność pozostawiła go obojętnym. Nie, teraz byt wobec kobiety pełnej życia, opromienionej jakimś genjuszem; słuchał więc cały drżący, z sercem ściśnionem, zapytując siebie, z jakiej głębi wydobywała te dźwięki bolesne, te rozdzierające łkania, kiedy powtarzała: **Donne, vedete sio l'ho nel cor*. Po skończeniu wszyscy otoczyli Bea tryx, dziękując jej i przyklaskując. Marceli jeden pozostał ua miejscu. Nawet, gdyby się byt ośmielił zbliżyć, jakież słowa byłyby zdolne wyrazić podobne wzruszenie i zachwyty?

Lekkie uderzenie po ramieniu obudziło go z marzenia.

— No, i cóż pan tak dumasz? — zapytał Jerzy z uśmiechem zadowolenia. Widzę, że jesteś pan cesarowanym Chodźże zatem powiedzieć jej to osobiście.

I pociągając go za sobą ku Bealryx;

— Kuzynko,— rzeki — olo poważny i uczony człowiek, klórego podbiłaś zupełnie. Tryumfy twoje są niezliczone, ale tym możesz się poszczycić.

Panna de StEeal podniosła głowę.

— Pan Schraube lubi muzykę?rzekła jakby z roztargnieniem.

Marceli zmieszał się.

— .Testem wprawdzie wielkim profanem w dziedzi nie sztuki —rzekł— ale...

Beatlryx przerwała mu wesołym śmiechem.

— Awięc może to jest powodem podziwu pana! Jerzy, — dodała, powstając — czy nie chcesz wyjść ze mną na terasę? Upał jest nieznośny w salonie.

Marceli pozostał rozczarowany. Po raz drugi w tym samym dniu popełnił niezręczność. fożna było powiedzieć, że panna de StReal przynosiła mu nieszczęście.

IV.

Krótko trwało niemile uczucie przymusu, tak silnie męczące Marcelego w pierwszych dniach pobytu w Baclair; powoli oswoił się ze swoim nowem życiem i znalazł je nawet przyjemnem. Praca z panem de StReal zajmowała go; prawda, że stary szlachcic nie był głęboko uczony, ale natomiast posiadał wielką bystrość umysłu, subtelność i oryginalność w spostrzeżeniach, przytem styl łatwy i poprawny. Wszystko to zdumiewało młodego profesora, nie pojmującego dotąd, żeby utalentowany pisarz mógł istnieć po za Szkołą Normalną. Przyjemnie mu więc było wyznać, że się omylił, i lo współpracownictwo, tak przykre w początkach i przedsięwzięte jedynie w celu matetjalnym, stało się dla niego źródłem

prawdziwych rozkoszy umysłowych Zrobił także postępy w stosunkach towarzyskich, bo

rzeczywiście trudno było trzymać się na uboczu, kiedy wszyscy tak uprzejmie zwracali się ku niemu i starali się go ośmielić; gospodarz obsypywał go dowodami sympatji; Jerzy i Graetan, a zwłaszcza też Jerzy, byli dla niego nader miłymi towarzyszami; uprzejmość pani de Marisy nie zmniejszyła się; pani de Prule, której nudnych kwestyj Marceli słubal cierpliwie, ogłosiła go ; jako człowieka pełnego talentu, ale umiającego zarazem ocenić zasługę drugich. Nawet panna Janina de Segondey, idąc za ogólnym przykładem, raczyła łaskawie kokietować go u polu literackim, powierzając mu tom niewydanych swoich poezyj! Marceli więc przestał się zamykać, a jednak w gruncie serca był niezadowolony. Dlaczego ? Nie był w stanie sam odpowiedzieć, albo raczej nie chciał wyznać przed sobą prawdy,—niebardzo lubimy bowiem zgłębiać tajemnice własnego uczucia. Gdyby ktoś ośmielił się być powiedzieć Marcelemu, że przyczyną jego niezadowolenia było chłodne obejście panny de StReal, z pewnością wzruszyłby ramionami. Dna wcale nie istniała dla niego, równie jak on dla niej; zresztą nie miał jej nic do zarzucenia. Prawda, że oprócz wyrazów grzeczności, uświęconych zwyczajem, nie zamieniła z nim ani słowa; ale z drugiej strony widoczna było, że nie miała zamiaru go obrazić. Nie stety, ten brak intencji upokarza! go wUśnie; byłby nawet wolał otwarte oznaki niechęci. Beatryx nie zwracała na niego uwagi, i to boleśnie raniło jego miłość własną. Gdyby był przynajmniej mógł się pocieszyć, płacąc jej obojętnością za obojętność! Ale nie— gdyż niepodobna było zaliczyć Beatryxy do rzędu

osób, których opinia mogła być wzgardzoną. i; zęsto mimowolnie przychodziły rau na myśl słowa Jerzego de Keryen; Piękna, ach gdyby tylko była piękną!...) Nie, królewska jej uroda była rzeczywiście najmniejszym z otrzymanych darów natury. Co czyniło ją nad wszelki wyraz niebezpieczną, to niewymowny urok umysłowy.

który codzień silniej rozciągał nad Marcelim swą władzę. Badał ją ciągle i uporczywie, wstydząc się prawie tego, że z Iaką chciwością chwycił najmniejsze jej słówko, Jestto tyłko ciekawość umysłu—mawiał sobie, aby się uspokoić—kiedy się spotyka kobietę tak nadzwyczajnie obdarzoną, bardzo prosta rzecz, że każdy stara się zbliżyć do niej, Tymizassem ta ciekawość pochłaniała go, czas upływał, a przepaść, która od pierwszej chwili dzieliła go od panny de StReal, pozostała nieprzebytą. Pewnego popołudnia Marcelli udał się do biblijoleki, aby wyszukać potrzebne mu dzieło; znalazłszy takowe, zbliżył się do okna, usiadł we framudze i zaczął naznaczać ustępy, użyteczne do jego pracy. Zatopiony w czytaniu, nie usłyszał otwierających się drzwi w drugim końcu sali, kiedy nagle zadrżał, usłyszawszy głos panny de StReal.

Oto iest. Jerzy,—mówiła — trzeci tom na lewo; ty możesz go dosięgnąć, ja nie jestem dosyc wysoka.

— Ba, to już zawiuelka skromność — odpowiedział Jerzy, patrząc z zachwytem na wysmukłą postać młodej panny—jesteś prawie tego wzrostu, co ja. Ozy to to dzieło?—mówił dalej, podając jej książkę. Wielki Boże! Kritik der reinen Vertnft! I to po niemiecku, jeśli się nie mylę. Nie sądziłem, że jesteś tak uczoną, kuzynko,

— I miałaś słusność — zawołała Beatrix, śmiejąc się. Zkąd bowiem wiesz, że książkę tę biorę dla siebie? Nie.,, poprostu obiecałam przetłumaczyć kilka stron i zgóry jestem przekonana, że tłómacząc, nie zrozumie ani słowa treści.

— A czy wolno zapytać, dla kogo to tłómaczenie? Może dla pana Schraube? A propos, nie powiedziałaś mi jeszcze, co myślisz o panu Schraube?

— Wyznam ci szczerze, że nic zwróciłam bardzo na niego uwagi. ,,,

— Spodziewam się jednak, że słuchalaś co mówi. Nie posiada on wprawdzie sztuki rozprawiania o niczem, ale wszakże dla ciebie nie jest to wada; a jest bez zaprzeczenia bardzo zajmującym, kiedy rozbiera ważne kwestje. Czy słyszałaś go wczoraj, mówiącego o panu de Bismarek?

— O, tak, ma pewien rodzaj krasomówstwa, trochę dogmatycznego, podług mego zdania; ale to już wada profesorska. Mówiąc otwarcie, nie mam dla niego sympatji.

— Doprawdy? Cóż mu zarzucasz?

— O, pojmttjesz, że nie badałam go tak dalece, ale zdaje mi się, że ma bardzo korzystne wyobrażenie o własnej wartości, a nader słabe o drugich, i jestem pewną, że z wysokości swojej wiedzy z pewnego rodzaju litością spogląda na ludzi naszego świata.

— Gdzież znów zagalopowała twoja wyobraźnia, Beatrix; słuchając cię, możnaby przypuścić, że ten poczciwy chłopiec jest jakimś niebezpiecznym ludożercą arystokracji.

— Nie mówię tego, ale zakładam się, że jest republikaninem.

— Gotowaś powiedzieć, że czerwony komunista zawołał Jerzy, śmiejąc się serdecznie. Kuzyneczko. widzę, że upierasz się przy swoim zdaniu, a ja nigdy nie staram się zwakzyć fałszywego przekonania, skoro takowe zagnieździ się w ładnej główce, Ale chodźmy już. Wiesz, że czekają na nas z lawntennisem.

— Przyjdę zaraz—rzekła Beatryx—przepiszę tylko jedną stronę.

— Spiesz się—dodał Jerzy, wychodząc. Jak ciebie nie będzie, aby powstrzymać zapał panny de Segondey. zacznie nam zaraz deklamować Noc majową Czaję lo w powietrzu.

trlęboka cisza zapanowała w biblijotece. Beatryx przewracała karty w książce; Marceli, ukryty za tiran kami okna, starał się odzyskać przytomność umysłu.

Tak niespodzianie i gwałtownie zaskoczony, nie miał czasu pomyśleć o ucieczce, A potem było już zapóźno; słuchał więc mimowolnie, nie czując nawet, że popełnia niedelikatność, a każde słowo panny de StReal łotkncło go do głębi serca. Taką więc o nim miała opinię? Widziała w nim tylko nieznośnego i nاپuszonego swoją wiedzą pedanta, zarozumiaka, zbuntowanego przeciwko wszelkim towarzyskim wymaganiom? Ach: była to okrutna niesprawiedliwość! Dusza jego burzyła się na taki stronny sąd. a jednak, jednak... czyż nie był zmu szonym wyznać sam sobie, że Beatryx nie omyliła się zupełnie, że z zadziwiającą bystrością umysłu odgadła słabe strony jego charateru. O tak, bo i wieleż to razy przenosił siebie nad innych, wieleż razy powstawał przeciw dawnym przesądom, które szanują stan i urodzenie, nie sądząc wcale, że osobista wartość jest jedyną przewagą na tyra świecie. Sama jego nieśmiałość czyż nie

pochodziła ze zbytnej dumy ? Rzeczywiście panna de StReal nic nie przesadziła; słuchając jej, wydało mu się, że była nielitościwą, a jednak nie miał do niej żalu, nie czuł gniewu, ani goryczy, nie, tylko bolesne rozdarcie serca, jak gdyby naraz odebrano mu wszelkie złudzenia i nadzieje.

Ukryty za firankami, drżał z obawy, aby Beatryx nie spostrzegła jego obecności. Wszakże mówiła, że pozostanie, aby przepisać pewien ustęp książki; chcąc znaleźć pióro i papier, zmuszoną będzie zbliżyć się do stoła, stojącego we framudze okna i, naturalnie, spostrzedz go musi.

Wszystko się stało, jak przewidział. Beatryx, nie przerywając czytania, przystąpiła do stołu, następnie spojrzała wokoło siebie, szukając krzesła, aby usiąść; w tejże chwili wzrok jej padł na Marcelego, i lekki okrzyk wyrwał się z jej ust. Marcelego, silniej jeszcze zmieszany, powstał nagle, i oboje przez kilka sekund pozostali w mikzeniu. Nakoniec Beatryx odezwała się pierwszą:

— Byłeś pan tutaj, panie Schniaube! rzekła niepewnym głosem.

— Przysięgam pani, że to nie moja wina — odpo wiedział Marcelego, walcząc jak mógł przeciw głębokiemu wzruszeniu. Czy nie raczy mi pani przeliaczyć mimowolną niedyskrecję, za którą jestem już dostatecznie ukarany.

Beatryx zdumiona podniosła oczy. Widocznie Marcelego nie był obrażonym. głos jego zdradzał tylko głęboki szloch i zarazem jakiś smutek, pełen godności. W gruncie duszy zrozumiała, że piękna rola była po jego stronie i jednocześnie pożałowała surowych słów swoich,

— ,Także mi jest przykro — rzekła cichym głosem.

— Niech pani niczego nie żałuje przerwał Marceli — nie wiesz bowiem, jak wielką oddałaś mi przysługę, Jeżeli cierpiałem, słysząc wyrazy pani, to dla tego, że prawda jest czasami ciężką do zniesienia; ale trzeba umieć odważnie spojrzeć jej w oczy, nieprawdaż? A teraz, czy pozwoli mi pani powiedzieć jedno tylko słówko na moją obronę; nie jestem godzien zwrócić uwagi pani, wiem o tem. Jednakże, czy nie chciałabyś choć w części zmienić swojego zdania i nie uważać mnie jako istotę, napełnioną śraiesznerai pretensjami? Czy nie zechce pani uwierzyć przynajmniej w to, że pomimo całego mego zaślepienia, umiem odczuć i ocenić wyższość i zasługę i, spotkawszy takowe, uchylić przed niemi głowę z głęboką pokorą.

Jeszcze nie skończył, kiedy Beatryx serdecznym ruchem, wyciągnęła doń rękę:

— Proszę o przebaczenie, panie Schraube—rzekła. głosem miękim, jak pieszczota. Zapomnij pan o lekkomyślnym sądzie, którego niesprawiedliwość zapóźno zrozumiałam.

Marceli drgnął mimowolnie. i akłonił się;

— Nic nie mam pani do przebaczenia; proszę tylko, nie żądaj, abym zapomniał. Nie chciej mnie pani pozbawić wspomnienia, które, pomimo wszystkiego, zaliczę do najlepszych w mojem Życiu.

Oczy ich spotkały się i zatrzymały na sobie przez chwilę, a potem powoli, jakby z żalem, panna de St Real oddaliła się

Od tego dnia pewna zmiana zaszła w postępowaniu Beatryxy; zmiana ta nie uderzyłaby może powierzchownego badacza, gdyż młoda panna była zawsze równie zimną, jak przed rozmową w biblijotece; a jednak Marceli

nie mylił się; w uśmiechu panny de St Real, w uścisku ręki, którego nigdy teraz nie zanieczyściła, witając go zrana i żegnając wieczorem, w najraniej znaczących jej słowach odgadł tajemne współczucie, tem słodsze, że tak długo było mu odmówione. Teraz nie był już onieśmielonym w obecności Bea tryxy; oddychał swobodnie, a kiedy, szukając wzroku jej, wyczytał w nim zachętę lub pochwałę, serce jego rozweselało się. czuł się młodszym, silniejszym, pragnął gorąco spełnić jakiś wielki, wzniosły czyn — nie wiedząc dlaczego, był szczęśliwy, pełen zaufania w przyszłość, odczuwał życie w całej jego pełni i kochał je jak nigdy dojad Pora polowania zbliżała się, i zamek Baclair ożywił się i zaludnił. Sąsiedztwo wracało z wód lub z kąpieli morskich, i rozpoczęły się ciągłe wizyty i rozrywki próżnujących ludzi. Marcelli, trochę odurzony tym gwarem eleganckiego świata, poddał mu się jednak bez wstępu, a wzrok jego często zatrzymywał się na Beatryx, podziwiając ten urok, ten wdzięk swobodny prawdziwie wielkiej damy; z tajemną radością widział, jak mato ten ogólny ruch wywierał na nią wpływ, jak spokojną była wobec tego próżnego szalu i zamętu, z jaką obojętnością przyjmowała uwielbienia i otaczające ją hołdy Wprawdzie nie wynurzała

się ze swoją obojętnością, ale Marcelli zgadywał ją. Pozna! obecnie całą delikatność tej wyjątkowej natury i studjował ją z namiętną uwagą; może mimowolnie sądzi! ją tylko sercem, ale niech mówią co chcą, sąd serca bywa często przenikliwszym, jak sąd rozumu. Czy Beatryi zauważyła, co się działo w jego duszy? Chwilami zdawało mu się, że tak. Bo czyż głos młodej panny nie brzmiał łagodniej, przemawiając do niego, niż do drugich? Czy nie istniał pomiędzy nimi pewien prąd magnetyczny? Czyż

nie spotykały się ich myśli, zanim usta wypowiedziały takowe? W każdej chwili, w wyrazie twarzy, w zamienionym wzroku, Marceli czuł, że jakaś spójnia zbliżyła ich dusze. Byłże to sen, czy marzenie? W każdym razie sen był cudowny. Nie chciał się z niego obudzić.

Każdego prawie wieczora tańczono w Baclair. Marceli, będąc pod względem tańca bardzo niedoświadczonym, uciekał zawsze, skoro usłyszał pierwsze akordy orkiestry, i szukał przytułku w alei lipowej; tam, w cieniu i ciszy było mu tak błogo! I jeżeli wówczas myślał o czymś innym jak o początku potęgi pruskiej, to zapewne dla tego, że wiedza traci swoje prawa wobec pięknej letniej nocy, pod błękitem gwiazdzistego nieba.

Pewnego wieczora, kiedy, jak zwykle, wysunął się z sali balowej i, przechodząc przez puste salony, kierował się ku wyjściu, nagle znalazł się naprzeciw panny de StEeal. Zatrzymała go z nśmiechem:

— Już nas pan opuszcza? Masz więc tak wielki wstręt do tańca?

— Lubiłbym może tańcować, gdybym umiał — odpowiedział Marceli.

Ale niestety, ani w wiosce, gdzie się urodziłem, ani na ławkach szkolnych nie miałem sposobności nauczyć się tej sztuki,

— Tu jednak może pan skorzystać ze zręczności — zawołała młoda panna; patrząc na drugich, nau

czy się pan piędko, a czasem dobize jest robić tali, jalt wszyscy.

— Czy pani sądzi, że pozuję na oryginalność? przerwał żywo Marceli.

Niech mnie Bóg broni, ale wyznam otwarcie, że byłoby mi przykro być śmiesznym wobec... tylu osób... Czyż nie mam słuszności?

— Ależ i ja nie chcę, aby pan był śmiesznym. Jak może pan przypuszczać coś podobnego! Nie, tylko jestem przekonana, że obawa pańska jest zbyt dużą. Wszak prawda, że mógłbyś przetańczyć jednego waka?

— Być może, że nie zapomniałem zupełnie. Niegdyś siostra uioja zaczęła mnie uczyć, lecz byłem tak niepojętym uczniem, że przerwała lekcje.

— Czy zechce pan wziąć jedną odemnie? — zapytała Beatryx nawpół serjo, nawpół z uśmiechem. Pomyśl pan tylko, jak będę dumną, mogąc cię czegoś nauczyć!

— Będzie to wielka próba dla cierpliwości pani — odpowiedział Marcelli drżącym głosem.

— A jeżeli poproszę pana o to?

Błysk radości opromienił twarz Marcelego. Nic nie odpowiadając, podał jej rękę. Beatryx oparta się na ramieniu młodego człowieka i oboje tak weszli do sali balowej.

— Widzisz pan — rzekła — walc już rozpoczęty. Nikt nie zwróci na nas uwagi.

Marcelli obmówił siebie, tańcował bowiem wcale nie źle, a nieśmiałość jego wkrótce znikła. Wzamięn, pewien rodzaj upojenia opanował go; oddychał delikatną wonią włosów młodej panny, widział tuż obok białe jej ramiona, czuł przyśpieszone bicie jej serca, a tęskna muzyka wiedeńskiego waka powiększała jeszcze czarowne wrażenia, które i Beatryx zdawała się podzielać. Przytuleni do siebie, wirowali szybko, kołysani namiętną melodją, opanowani silnem wzruszeniem; ostatni dopiero akord przywrócił ich do rzeczy wustości.

Batryx była stasznie bladą, oczy jej błyszczały g. jączkowo, chciała coś powiedzieć, lecz słowa zatrzymały się u drżących wargach.

— Boże mój! — zawołał Marceli przerażony. Czy pani nie zmęczyła się za dużo! Nie przerwałem na czas, i jesteś pani ukarana za swój dobry uczynek.

— To przejdzie — odpowiedziała Beatryx. Potrzebuję tylko świeżego powietrza.

i nie opuszczając ramienia Marceliego, zbliżyła się do otwartego okna.

— Co za piękna noc! — rzekła półgłosem. Nagle, podnosząc oczy na młodego człowieka: — Widzisz pan, że nie byłeś śmiesznym.

— Nie wiem — rzekł Marceli smutno, i przyciszonym głosem dodał, jakby mówiąc do siebie samego: Lepszą jest może śmieszność, jak szaleństwo!

V.

W kilka dni później, Marceli, schodząc do salonu w godzinie podwieczorka, spotkał się z Jerzym de Kerven w przedpokoju.

— Mój drogi — mówił Jerzy, — pozwól mi dać ci dobrą radę; nie wchodź do salonu, bo wpailniesz w kółko radzących kobiet, które na wyścigi piawią niedorzeczności, Zostawiłem panią de Prule. wykładającą szeroko, że cała przyroda istnieje tylko w błoncy siatkowej oka, a panna de Segondey zapytała mnie, czy woję Soloklesa czy Kurypida? Uciekam więc. Idźmy wypalić cygaro pod lipami: to uspokoi rozdrażnione moje nerwy,

Marceli zawahał się, myśląc, że może panna de StKeal zauważy jego nieobecność. .Terzy, iakby zga dując tę obawę, dodał:

— Nawet Beatrix straciła cierpliwość i wymyśliła migrenę, aby mózgi się usunąć. Lituję się nad ciotką Ireną, walczącą bez żadnej pomocy przeciw wszystkim. Ale do licha! musi sobie dać radę.

— Nie poznaję cię — rzekł Marceli, śmiejąc się i idąc za Jerzym. Tak wiele masz zwykle poświęcenia dla drugich.

— Może być, ale dziś jestem zdenerwowany i właśnie dlatego chcę pogawędzić z tobą.

Młodzi ludzie weszli do alei lipowej. Jerzy wszedł wolno; na zachmurzonym jego czole i w niespokojnym wzroku widać było walkę wewnętrzną i ciężkie zmartwienie. Marceli patrzył nań ciekawie, po raz pierwszy widząc go w takim stanie.

— Tak — rzekł Jerzy na koniec, — jestem wzburzony; to może śmieszne, ale i cóż robić. Dowiedziałem się przed chwilą, że Wojciech de StReal przybędzie tu w przyszłym tygodniu.

— Ach! — zawołał Marceli, tak dotknięty, jakby tajemnym przecuciem. Ale któż to jest Wojciech de StReal?

— Wojciech, mój kuzyn Wojciech... wiesz już zapewne, a właściwie nic nie wiesz. Ale obecnie, kiedy uważam cię jako przyjaciela, opowiem ci wszystko.

— Jednakże... jeżeli jest to tajemnicą rodzinną — zaprotestował Marceli.

— Tajemnicą... ach, wkrótce nie będzie tajemnicą dla nikogo — przerwał Jerzy z goryczą. Do dziś dnia nie chciałem w to wierzyć; zdawało mi się koniecznie, że jakaś niespodziana przeszkoda, jakiś nadzwyczajny wypadek musi zerwać to straszne postanowienie. Niestety, omyliłem się. Rzecz jest taka; Wuj de StReal, oprócz dwóch sióstr, pani de Marisy i mojej matki, miał starszego brata, margrabiego de StReal, który, mówiąc nawiasem, chociaż był głową naszej rodziny, niewiele był wart.

Straciwszy majątek, umarł, bardzo

szczęśliwie dla honoru nazwiska, pozostawiając wdowę, prędko pocieszoną, ponieważ wyszła powtórnie za mąż w ośmnaście miesięcy, i małego, siedmioletniego synka, właśnie tego Wojciecha, o którym mówię. Przypuszczam, że będąc dzieckiem, by! już tak nieznośnym, jak obecnie, albowiem rodzona matka nic mogła go cierpieć, i kiedy wuj de StReal zażądał go wziąć do siebie, zezwoliła z wielką radością. Było to w tym czasie, kiedy wuj stracił żonę; umarła, dając życie Beatrysie. Zgadujesz już, jaki rzeczy obrót wzięły. P. de StKeal, pod pozorem największej prostoty, ukrywa głęboką dumę względem wszystkiego, co dotyczy jego rodu. Projekt połączenia w przyszłości Beatryxy z synowcem powstał w jego myśli, i stał się odtąd jedynym celem. Samo bowiem przypuszczenie, że Wojciech, nie posiadający nic, oprócz próżnego tytułu, mógłby, dla ozłocenia herbu, poniżyć się, zawierając niestosowne małżeństwo, przerażało wnja. Na nieszczęście, Beatryx jest bardzo bogatą ze strony matki, i dlatego czarująca moja kuzynka jest zaręczoną z człowiekiem zarozumiałym, bez serca, bez sumienia, którego jednak wuj uważa jako doskonałość, dla tej jedynie przyczyny, że czysta krew Realów płynie w jego żyłach, to wota bezwątpienia o pomstę do nieba!

— A czy panna de StReal podziela złudzenia ojca co do swego kuzyna?— zapytał Marceli.

Głus jego był tak zmieniony, że za ledwie można było go poznać, lecz Jerzy, zatopiony w swoim smutku, nie zwrócił na to uwagi.

— Beatryx! rzekł. O nie, z pewnością... biedne dziewczę widzi aż nadto jasno, co ją czeka w przyszłości, ale poświęca się... uwielbia tak swego ojca, że woli raczej być nieszczęśliwą całe życie, aniżeli uczynić mu zawód. I dlatego wściekam się. Szanuję miłość dla rodziców, a Je ta już granice przechodzi.

Zamilkł na chwilę, a potem, podnosząc głowę:

Nie sądz przynajmniej, że bronię własnej sprawy—rzekł smutnie. Gdyby nawet Beatryx była wolną... nigdy a nigdy nie pokochałaby swego kuzyna Jerzego. Dla niej trzebaby kogoś wyższego, idealniejszego. ale z pewnością nie Wojciecha.

Marceli nic nie odpowiedział; jakiś spokój ogarnął jego duszę, jak w pierwszych chwilach niezmiernego bólu, którego ogromu nie możemy zgłębić. Później zapewne cierpieć będzie strasznie: obecnie był jakby odrętwiały. A jednak... czyż mógł mieć jakąś nadzieję? Czyż od owej pierwszej rozmowy, usłyszanej w wagonie, nie dymyślił się tego, co dziś napewno usłyszał? W jaki sposób zresztą przyszłość panny de StKeal mogła z nim mieć coś wspólnego? On. biedny pracownik, syn wieśniaków, nie posiadający nic na świecie, nic. oprócz swojej miłości... O, tak, kochał ją... obecnie czytał jasno we własnym sercu, kochał ją namiętnie. rozpaczliwie. aż do śmierci... Może ta miłość zabije go. ale i cóż ztąd? Byłoby to nawet lepiej, ponieważ przepaść pomiędzy nimi jest tak głęboką, że nic nie może jej zapełnić.

— Nie jesteśmy wcale szczęśliwi w naszej rodzinie—rzekł znowu Jerzy, po chwili mikzenia,—a duma jest zawsze przyczyną naszej niedoli. Patrz na ciotkę Irekę.

— Pani de Marisy?

— Tak, to długa historia, której nie znasz, ale ponieważ jestem w trakcie wynurzania się... słuchaj więc Swiat sądzi surowo ciotkę Irekę. Znajduje ją chłodną, dumną; biedna istota ma poprostu zdruzgotane serce. Trudno być ujmującą w takich warunkach. Dziwi mnie tylko, że nie jest więcej skwaszoną po tylu cierpieniach.

— I ona także!—zawołał Marceli z westchnieniem.

— Ach. to cały dramat, który starano się zagłu szyć. Wszyscy obecnie zapomnieli już o tem... oprócz.

niej, gdyż sącizę, te ona nic nie zapomniała. Będąc młoda panną, zakochała się szalenie w nauczycielu jednego ze swych kuzynów. Szaleństwo, nieprawdaż? kto wie! Mówią zresztą, że zasługiwał na tę miłość. Słowem, z obydwóch stron było to uczucie wielkie, głębokie, i romans rozwijał się aż do dnia, kiedy rodzina dowiedziała się o wszystkim. Pojmujesz, że nader prędko postarano się temu zaradzić. Odprawiono grzecznie nauczyciela, a kiedy ciotka Irena nie chciała poddać się, zamknięto ją w klasztorze. Po długim oporze, nie mogąc znieść jednostajnego klasztornego życia, uległa i wyszła za księcia de Marisy, o trzydzieści lat od niej starszego, Niestety, koniec romansu był najsmutniejszy, Nauczyciel bowiem zwarjował i w dzień ślubu zastrzelił się. Pani de Marisy dowiedziała się o tem, odbierając list pożegnalny, który biedak napisał do niej przed śmiercią. Co wycierpiała, pozostało tajemnicą po między Bogiem a jej duszą; tylko od tego dnia, podług zdania wszystkich, którzy znali ją młodą, stała się taką, jaką jest obecnie, z tą samą martwą, marmurową twarzą i wzrokiem bez żadnego blasku. W końcu alei mignęła biała suknia.

— Ach! to Beatryx—zawołał Jerzy, rzucając cygaro i pośpieszając naprzeciw kuzynki.

Marceli dobrowolnie pozostał w tyle.

— Ojciec cię woła, Jerzy — rzekła młoda panna.— potrzebuje adresu pana de Landressy; zdaje mi się, że go posiadasz.

— Tak, pójdę go natychmiast udzielić. Ozy zechcesz na mnie poczekać, kuzynko. Zostań także, Marceli, będziemy mogli jeszcze przejść się przed obiadem.

Oddalił się śpiesznie, nie czekając na odpowiedź, Beatryx i Marceli pozostali sami.

Pewien rodzaj wahania odbił się na twarzy panny de St. Real. Zbliżyła się jednak do Marcelego i z przymuszoną wesołością zawołała:

— Kuzyn mój narzuca panu moje towarzystwo, a ja uprzedzam, że musisz mnie sam bawić, ponieważ głowa tak strasznie mnie boli, że nie jestem w stanie prowadzić rozmowy,

I rzeczywiście, widać było, że cierpiała; ale byłże to ból moralny lub fizyczny? Usta jej zaciśnięte były gorzko, a smutek malował się w wielkich oczach, okrążonych czarną obwódka.

— Czy nie zmęczy się pani, chodząc? — zapytał Marceli niespokojnie.

— I owszem, jest mi lepiej, kiedy się ruszam,

— Ale przynajmniej,.. — zawahał się przez chwilę — przynajmniej nie odmówi mi pani oprzeć się na mojem ramieniu.

— Bardzo chętnie.

Oparła drżącą rączkę aa ramieniu profesora i postąpili kilka kroków w milzeniu.

— No — rzekła nareszcie Beatryx z nerwowym śmiechem,—uprzedziłam pana, że masz mnie bawić.

— Wszak wie pani. że jestem trochę dziki—odpowiedział Marceli łagodnie. Nie umiem być zabawnym, prowadzi lekkiej i wesołej rozmowy. Dawniej, kilka dni temu jeszcze, było mi to obojętne. Miałem tak dobrą opinię o własnej wartości... Pani przypomina sobie. Ale dziś, kiedy otworzyły mi się oczy...

— Panie Schraube! to wymówka.. sądziłam, że przebaczył mi pan,

— Przebaczyć! ach, tak, gdyby podobne słowo mogło być zastosowane pomiędzy nami! Mówiąc szczerze, czy .sądzi pani. że choć na chwilę miałem urazę do niej?

Beatryi schyliła głowę.

— Nie, nie sądziłam; ale wie pan także, jak żałuję mego niesprawiedliwego sądu, a z czasem przekonasz się, że jak raz kogo uszanuję i uważam za przyjaciela, to już na całe życie.

Marceli zadrżał.

— Ach!—zawotat—gdyby mogła pani pojąć, czym są dla mnie jej słowa! Aż dotąd nie zaznałem nigdy szczęścia; a teraz mniej niż kiedykolwiek spodziewać się go mogę. Przyszłość widzę smutną i samotną; a jednak, obecnie, nie mogę się skarżyć, unosząc z sobą obietnicę, która mi doda siły we wszystkich trudnościach życia. Z takim wspomnieniem nie mogę być zupełnie nieszczęśliwym.

Zdradzał się, uniesiony gwałtownym wzruszeniem, silniejszym, niż jego wola. Beatryx nie usiłowała go zatrzymać.

— Dlaczego masz być uieszczęśliwymy—mówiła łagodnym głosem. Dlaczego wątpisz o przyszłości, której sam jesteś panem? Wszak Bóg dał ci coś więcej w udziale od znikomego daru majątku, coś lepszego niż nazwiska, wsławione przez przodków. trzy nie czujesz w sobie potęgi, dającej ci możliwość wzniesienia się własnymi siłami: a kiedy osobistą zasługą dojdiesz do wielkiego celu, czy będziesz miał prawo oskarżać los i życie? Wierz mi, wyraz onieszczęścien został wynaleziony tylko dla kobiet; one nie mogą wakzyć przeciw przeznaczeniu, kiedy ich serce zabłąka się ua fałszywej drodze. Nie mają prawa rzucić się w objęcie ambicji, aby tam znaleźć spokój i zapomnienie!

Sława, zaszczyty! zawołał z goryczą Marceli. Nędzne mary! A jednak, kiedyś wierzyłem w nie — dodał z rozpaczliwym ruchem, —wyobrażałem sobie, że sława może wystarczyć, aby zapełnić duszę; dziś zrozumiałem

szaleństwo moich złudzeń! Szczęście, jedyne, prawdziwe szczęście ukazało mi się w cndownem marzeniu. Niestety, obudziłem się zawczasie, a dziś nic mi nie pozostaje, oprócz cierpienia i strasznej, bolesnej próżni w sercu—próżni, której nic nie jest już w stanie zapemnić!

Zatrzyma! się osłupiały, przerażony swoją śmiało ścią. .Tali mógł odważyć się odkryć tajemnicę swojej duszy przed Beatryxą? Czy takie wyznanie nie zgorszy, nie obrazi młodej panny? Ale nie; Reatryx nie wydawała się ani obrażoną, ani pogardliwą—nie starała się mu przerwać. .Szła zawsze oparta na jego ra mieniu. Nakoniec podniosła głowę i spojrzała na niego, Łzy błyszczały w jej oczach.

— Płacze pani — rzekł Marceli namiętnie. — pła cze?...

W tej chwili po za nitu dał się słyszeć glos Jerzego.

— .Ieszcze tu jesteście! Obawiałem się, że was już wcale tu nie zastanę. Musiałem cały list napisać dla wuja. A migrena czy lepiej kuzyneczko? Wiesz, że zadzwoniono już na obiad.

I.

Wojciech de StReal przybył w następnym tygodniu. Był to znany ogólnie dzisiejszy typ francuza, naśladowującego we wszystkim anglików. Nie zajmowało go nic, oprócz koni; przepędzał pół życia w stajniach, i starał się mówić zawsze cudzoziemskim akcentem, widocznie wymuszonym, bo czasem zapominał o uim i mówił jak wszyscy; zresztą mało się mieszał do ogólnej rozmowy. Obejście jego względem Beatryxy było szczytem wykwintnej grzeczności, bez żadnego zapachu, a od czasu do czasu w tonie czuć już było przewagę przyszłego władzcy.

Zaręczyny były już ogłoszone, i wielkie wieczorne przyjęcie miało uświęcić ważny ten wypadek familijny Aby urozmaicić uroczystość, zdecydowano, że wieczór zakończy się przedstawieniem żywych obrazów, które rych, naturalnie. Jerzy de Kerveu został zawiadowcą,

Zaproszenia rozesłano na wrzesnia, w ilję odjazdu Marcelego. Czas, który unosi nasze radości i troski, uciekał szybko, a serce młodego profesora ścisnęło się, czując, że już wkrótce musi opuścić to życie, bolesne i upajające zarazem, aby wpaść znowu w ciężką prozę rzeczywistości. Ach, z pewnością każda chwila tej męczącej egzystencji była napiętnowaną cierpieniem; a jednak pragnąłby cierpieć faktycznie! Widział Beatryxę i o wszytym zapomniał, patrząc na tę uwielbianą istotę. Później, zapewne, wróciwszy do samotnego życia, zrozumie całą gorzkość swego szaleństwa. Dziś czuł i tylko czar i upojenie. ;
Od czasu rozmowy w parku, Marceli raz już tylko znalazł się sam na sam z panną de StReal. nazajutrz po przybyciu margrabiego. W kilku przerywanych słowach młoda panna oznajmiła mu o swoim małżeństwie; ale w chwili, kiedy chciał wyjąkać coś podobnego do powinszowania, nie pozwoliła mu skończyć.

— O, nie, nie chcę. byś mi pan powinszował. Od ciebie nie mogę przyjąć nic banalnego.

Ogromne ożywienie panowało w zamku. Przygotowywano żywe obrazy, a Jerzy kierował wszystkim . gorączkowym zapalem, pod którym może ukrywała się tajona troska. Obowiązki, które spełniał, wcale nie były łatwe: wybór przedmiotów, kostiumów i t. d. przedstawiał wielkie trudności: ale trudność dochodziła do szczytu, kiedy trzeba było walczyć z

orygiualnemi wymaganiami i oszczędzać rywalizujące strony, słowem zadowolnić wszystkich. Sto razy dziennie Jerzy de Ker ven oświadczał wszystkim, że chce się wyrzec zaszczytu dyrektorstwa; na domiar nieszczęścia. Beatryx. odmówiwszy stanowczo wzięcia udziału w przedstawieniu, pozbawiła go najpewniejszego środka tryumfu. Powoli jednakże zgoda zapanowała, a ułożony program zawierał cudne obietnice. Panna de Segondey miała ukar

zać się. jako Muza. rozbudzająca natchnienie poety. Gae tan ile .Selves niezbyt chętnie przyjął rolę poety. P. de Prule miała przedstawiać; Światło, wakzące z nocą, uosobioną przez panią de Segondey. .Jerzy sani wystąpił jako Komeo pod balkonem. t!zarująca pięknnością amerykanka przyjęła rolę Julji. Na zakończenie kilka ogólnych grup, w których Wojciech de StKeal obiecywał wziąć udział. Co do Marcelego, ten, pomimo naglących próśb Jerzego, pozostał na uboczu.

Wpóśród tego gorączkowego zajęcia nikt nie zwracał uwagi na dziwną zmianę panny de StKeal. Marceli jeden zaniepokoił się. Co znaczyła ta nierówność w jej obejściu; czasem posępne przygnębienie, nerwowa niecierpliwość wobec panującego radosnego gwaru; to znów jakaś niby to wesołość, ale wesołość sztuczna, stokroć smutniejsza, aniżeli łyzy. Były to widocznie oznaki wewnętrznej walki, ogólnej równowagi, gwałtownie zerwanej: ule i jakaż walka mogła się w niej staczać? .Iakie wstrząśnienie moralne zerwało harmo nję duszy? Marceli zadawał sobie to pytanie i nie śmiał go rozstrzygnąć.

Nadszedł nareszcie dzień uroczystości. Wszyscy przyjaciele rodziny nie omieszkali pośpieszyć do Baclair i około dziesiątej godziny salony

zaczynały się zapęłniać. Na progu drzwi hrabia de StReal witał swych gości z nieporównanym, właściwym mu wdziękiem. Twarz jego promieniała, bo wszakże marzenie, pieszczone od lat dwudziestu, miało zamienić się w rzeczywistość. Obok ojca Beatryx, bardzo błada, przyjmowała powinszowania ogólne" Nie tak świetnie wyglądała, jak zwykle, ale wyraz smutnej słodyczy, chociaż mniej olśniewał, lecz więcej przyciągał. Nie była dziś wcale podobną do imponującej panny de StReal, która tak onieśmieliła Marcelego, gdy zobaczył ją po raz pierwszy. Ten pamiętny poranek! ach, jakże żywo wspomnienie jego utkwilo w sercu Marcelego! Zjawiała się

nagle przed nim, jak młoda bogini, zstępująca z wyższych, dla biednej ludzkości niedościgłych sfer. Dziś, i niestety, możnaby powiedzieć, że cierpienie po raz pierwszy dotknęło ją, i że, poznawszy gorzyc życia, bogini stała się kobietą.

Wszystko to Marceli myślał sobie, ukryty w kącie pierwszego salonu. Nie znał nikogo w tym tłumie, i zaledwie niezrozumiały gwar rozmowy dochodził jego USZU. Raz jednak zaczął słuchać uważnie. Obok niego, dwie młode kobiety zamieniały pod wachlarzem swoje spostrzeżenia.

— Jak znajdujesz dzisiejszą heroinę — rzekła jedna. Nie tak piękna, jak zwykle, nieprawdaż? Nie wiem, czy to wina koloru sukni, czy też wzruszenia. Dśmiecha się tak boleśnie, jakby była u uabożeństwie żalobnem.

— Rzeczywiście — rzekła druga, — nie ma wcale miny tryumfującej. Zresztą, mówiąc pomiędzy nami, nie wróżą nic dobrego o tem małżeństwie.

— Dlaczego? cóż im pozostaje do życzenia! Wszak mają wszystko: ogromny majątek, świetne imię i Bea tryx piękną jest jak anioł! Nie widzę doprawdy, co im tnoże brakować.

— Tak, mają wszystkie warunki do szczęścia, ale znam ich... nie są dla siebie stworzeni. Heatryx, ze swoją dumną, samowładną naturą, mającą zastarzałe wyobrażenia, a Wojciech, nie posiadający żadnej zasady moralnej. Po sześciu miesiącach pogardzi nim, jeżeli już nie zaczęła. On zaś znajdzie pociechę w Anglii; mówią nawet, że już ją ma na pogotowiu.

— Czy tak, doprawdy?—przypuszczam, że Beatryx nic nie wie o tem.

— Ba, gdyby nawet wiedziała, toby uie zerwała małżeństwa. Wola ojca jest świętą dla córki. Przytem Wojciech jest ubogi; jestto kwestją delikatności. A zresztą, co to jej szkodzi. Ten, albo drugi, wszystko

jedno, ponieważ niekocdia niliogo. Zdaje mi się, że, we właściwym znaczeniu tego wyrazu, nie jest w stanie się zaicochać. I jest to właśnie może powodem wielkich namiętności, jakie obudza.

— Czyz tali liczne obudziła?

— Ach, nie możesz nawet sobie wyobrazić! To do prowadzi do wściekłości. A ona spogląda na wszystkich swoich wielbicieli z taką obojętnością! i rzeczywiście, wcale nie udaje; jestto obojętność zupełnie uaturalna. Znasz mojego kuzyna, hrabiego d'Espel. Był tak szalenie głupio w niej zakochanym, że o mały włos życiem tego nie przypłacił. Biedny chłopiec! Litowałam się nad nim, chociaż był tak komicznym w swojej rozpaczycy! Powtarzał ciągle: Mam nadzieję, że znajdzie się ktoś, co mnie pomści, i że ona będzie cierpieć, tak jak ja cierpię obecnie.. Ach,

wielki Boże! bardzobym była ciekawą poznać tego, który ma ożywić ten marmurowy posąg!

Kuch w salonie przerwał tę paplaninę. Wszyscy pospieszyli do sali balowej, zanaenionej w teatr żywych obrazów. Machinalnie Marceli szedł za drugimi. Większa część krzeseł już była zajęta. Upóźnieni starali się wsunąć na wolne miejsca, rozmawiając na prawo i ua lewo, śmiejąc się, przeszkadzając jedni drugim, popychając wszystkich. Za kulisami słyhać było ruch i tłumione śmiechy. Na przodzie .sceny orkiestra stroiła instrumenty, mające towarzyszyć przedstawieniu. Wszędzie gwar radosny, żywa wesołość, pewien rodzaj nerwowego podniesienia, udzielającego się ogólnie. A wobec tego hałasu, światła, woni, tego szumiącego nazewnątrz życia, Marcelego naraz opanował śmiertelny smutek. Co on tu robił pomiędzy tym nieznanym tłumem, którego radosne ożywienie raniło go, jak fałszywa nuta? Rzucił okiem nu pierwsze rzędy krzeseł, gdzie kobiety tworzyły różnobarwną grupę. Beatryx była tam zapewne. Byłby może pozostał, aby

patrzyć na nią choć zdalełta, ale nie udało mu się jej odkryć. Nie waliaja.c się już dłużej, przysuuat się do drzwi i przeszedł puste salony właśnie w chwili, kiedy huczne oklaski oznajmiły, że przeitstawienie rozpoczęto się. Noc była cudna, ciepła i spokojna, jak noc lipcowa. Przez otwarte okna ukazywała się aleja lipowa, jak ciemna plama pod gwiaździstem sklepieniem, .Swobodniej tam zapewne można oddychać, pomyślał Marceli, i wyszedł. Pod wielkimi drzewami, zdała od tego lia lasu, od tych światowych rozmów, któie drażniły go, chociaż sam nie wiedział dlaczego, może uspokoi się jego dusza, może ulotni się dźwięk tych

ostatnich wyrazów, boleśnie go prześladujących: chciałabym poznać tego, który ożywi ten marmurowy posąg! Postąpił kilka kroków, kiedy nagle, w głębokiej ciszy, zdawało mu się słyszeć jęk. Pod wpływem tajemnego przeczucia, podniósł oczy. Kżeczywiscie nie był sam... tam dalej, w środku alei, na ławce, pochylona biała postać rysowała się pod niepewnym blaskiem nieba. Serce jego odgadło Beatryx:

— Mój Boże!—zawołał zbliżając się—nie omyliłem się, to panna de StReal,

Zwróciła się do niego, drżąc pod lekkim koronko wym szalem, okrywającym jej ramiona.

— Ach! —rzekła jakby w obłąkaniu — nie mogłam pozostać w salonie. Cierpiałam zanadto. Nikt nie zauważa mojej nieobecności. Później, jak będę miała siły, powrócę... ale teraz nie, to niepodobna. Przysięgam ci, że nie moge!

— Zatrzymała się wycieńczona.

— Co pani jest? — rzekł Marceli, chwytając małe jej rączki, które oddała bez oporu. Czy nie chcesz rai powiedzieć, co cię martwi? Czy nie ma pani zan tania w mojem przywiązaniu?

Mówił cicho, jak do dziecka, które się chce pocieszyć. Ona zaś, zdawało się, że straciła władzę nad so

ba; konwulsyjne drganie wstrząsało cała jej islotą. Łkała boleśnie, nie mogąc się powstrzymać, Marceli zrozumiał, że byto to gwałtowne przesilenie, którego lepiej byio nie przerywać; czekał więc, nic nie mówiąc, lecz trzymając ciągle w swoich dłoniach rączki młodej

dziewczyny. Powoli paroksyzm uspokoi! się. Łzy Bea tryxy płynęły spokojniej; nakoniec przestała płakać.

— Wstydzę się samej siebie — rzekła, starając się uśmiechnąć, — bardzo rzadko tak ule umiem zapanować nad sobą. Ale proszę pana, nie sądź mnie z tego, co widzisz obecnie. Od kilku dni czuję się rozstrojoną, źle usposobioną, a w do dodatku ten dzisiejszy wieczór, ten przymus.,, wszystko to razem przeszło moje siły. Ale to przejdzie... w życiu bywają chwilę trudne, bolesne...

Zapłatała się we własnych wyrazach, wpadając znowu w gorączkowe wzruszenie.

Nie mów pani więcej — rzek! Marceli, obejmując ją namiętym wzrokiem. .Ta nie chcę wnikać w twoje tajemnice... a jednak, gdybyś wyczytać mogła, co się dzieje w moim sercu, z pewnością uważałabyś mnie, jako prawdziwego przyjaciela. Wiem. niestety, że jestto szalona zarozumiałość; stoimy tak daleko od siebie,, tak daleko,, ale chwilami,, niech Bóg mnie przebaczy, zapominam o wszystkim, nie widzę już przestrzeni, która nas rozdziela... czuję tylko, że nikt nigdy cię nie kocha! i nie będzie kochać, jak ja cię Kocham!

Beatrys uśmiechnęła się smutnie,

— Po co ta pokora? — rzekła — czyż nie czujesz, że ten wyraz przesłrzeń już nie istnieje pomiędzy nami? A czy możesz przypuścić, że cię nie uważam za przyjaciela? Ale na cóż mam ci powierzyć moją tajemnicę? Na co, kiedy na takie nieszczęście niema już ratunku!

— Boże mój! wyjąkał Marceli — Boże mój! miej litość nademną! Nie dozwól, abym zrozumiał!

— I ja także usnułam piękne marzenie, — mówiła dalej Beatryi. A jeżeli mnie widzisz dziś tak znękaną

i zropaczoną, to Dlatego, że marzenie moje ulata, i nigdy, ach! nigdy, nie da się urzeczywistnić. Nie jestem w stanie zwakzyć przeszkód, które stały przedemną... nie mogę zagłuszyć głosu sumienia... głosu honoru, nakazującego dotrzymać raz danego słowa, nawet kiedy mam to opłacić szczęściem całego życia. Ale co pragnę, abyś wiedział, co mi jest słodko wyznać tobie, to, że obecnie przeczułam, rozumiałam lepsze, wznioślejsze życie, w którym byłabym najszczęśliwszą i najdumniejszą z kobiet. Dziś już nie należę do siebie, ale w ciężkiej pielgrzymce żywota serce moje zwracać się będzie ku temu marzeniu mojej młodości, i to błogosławione ; wspomnienie doda mi siłę, aby dalej walczyć, i cierpieć, Teraz Marceli płakał. Łkanie rozdzierało jego piersi, to głębokie łkanie mężczyzny, które druzgocze całą istotę. Nie będąc w stanie mówić, padł u stóp Bea tryxy. całując brzeg jej sukni, jakby tą niemą pokorą chciał postawić siebie na właściwym miejscu. Ona zaś, jak gdyby w tym nroczyście wyznaniu odzyskała przytomność, pochyliła się ku niemu, podnosząc go.

— Nie odbieć mi ostatecznej odwagi—rzekła, powstając, — nie daj mi powodu, abym żałowała mojej szczerości. Może powinnam była milczeć, ale kłamstwo nie mogło istnieć pomiędzy nami.

Marceli patrzył na nią z uwielbieniem.

— Ach!—zawołał—jakaż boleść może ranie dotknąć obecnie? Wiem, że w przyszłości niema dla mnie żadnej nadziei. I cóż ztąd? Nie zamieniłbym jednak mojego przeznaczenia, bo czyż jedna taka chwila, jak obecna, nie zawiera w sobie całego życia szczęścia!

Przestał mówić, ale stał ciągle przed Beatryszą, obejmując ją ognistym wzrokiem. Promienie księżyca, wciskając się przez gałęzie, oblewały bladym światłem postać młodej panny, igrając na białych ramionach, rzucając fantastyczne blaski na złote włosy i nadając całej piękności jakiś nadziejski charakter.

— Adi! jęknął Marceli— dlaczego bóg na to no zwala.

Beatryx zadrżała.

— Trzeba pożegnać się— rzekła stłumionym głosem wyciągając doń drżące dłonie.

On zrobił ruch, jak gdyby chciał ją pochwydzić w ramiona, lecz nagle odwrócił się i zagłębił w ciemności parku.

VII.

Powróciwszy do siebie, Marceli doznał uczucia, jakiego zapewne doznaje wygnaniec, dotykając po raz pierwszy stopą obcej ziemi. Dawniej, kiedy po skończonych wakacjach wracał do Paryża, z prawdziwą radością, czuł się znowu w swoim żywiole, pomiędzy swojemi książkami i papierami, i od pierwszych zaraz dni zabierał się do pracy z zapalem, odświeżonym dwumiesięcznym wypoczynkiem; zanurzał się z rozkoszą w czynnem życiu szkolnem. Dla każdego z uczniów, śpieszących, aby go powitać, znajdował zachęcające i serdeczne słówko, był bowiem nie tylko ich nauczycielem, ale i przyjacielem zarazem. A pocziwy jego uśmiech dodawał odwagi słabym, zachęcał nieśmiałych, pobudzał leniwych. Słusznie więc głoszono, że był najwięcej kochanym ze wszystkich profesorów. A dziś!, ach dziś nie interesował się już nikim i niczem; z roz-targnieniem słuchał młodych ludzi, garnących się do niego z zaufaniem, uradowanych, że mogą pracować pod jego kierunkiem. A sama myśl powrotu do prze-rwanego zajęcia, budziła w nim wstręt niezwykły. Wszak jednak jak mógł przeciw wewnętrznemu cierpieniu, opracować mowę, którą miał zagać rozpoczęcie swoich wykładów. Niestety! w mowie tej, po raz pierwszy, czuć było brak natchnienia, tego świętego

ognia, którym dawniej przenikał swoich słuchaczy. Ba, i cóż to znaczy? Na co trudzić się i pracować. Wszak nie było już dla niego żadnego celu na świecie, ani piagnienia w duszy! Wszystko to, jak powiedział Beatrixie, zamarło nazawsze; chciałby był tylko uciec ?dzieś daleko, bardzo daleko od tych męczących obowiązków, odrywających go od drogich wspomnień; byłoby to pewnego rodzaju rozkoszą zatopić się w swoim żalu i nie być zmuszonym wracać do wstrętnej prozy żywota.

Opuszczając Baclair, nie spotkał Beatryxy; w ostatniej chwili nie ukazała się—zrozumiał dlaczego—i był jej za to wdzięcznym. Czyż bowiem banalne pożegnanie było pomiędzy nimi możliwym, po tem, które zamienili, mając jedynie Boga za świadka? Obecnie, kiedy sto razy w jednej godzinie wywoływał jej obraz, przedstawiała mu się taką, jaką ją widział po raz ostatni, w bladych promieniach księżyca, jakby w aureoli męczeńskiej, szczytną pod wpływem boleści! o tak, miała słusność, dając mu unieść w duszy, jako skarb najdroższy, to niezatarte wspomnienie!

Oprócz Beatryxy, wszyscy byli obecni w chwili odjazdu profesora.

Księżna raczyła podać mu rękę, zaszczyt, który nader rzadko udzielała komu. Pan de StReal dziękował mu gorąco, powtarzając po kilka razy, jak żywo pragnie utrzymać z nim nadał stosunki. Jerzy de Kerven i Gaetan de Selves odwieźli go do kolei żelaznej, obydwaj obiecując swoje odwiedziny, skoro tylko powrócą do Paryża. Widocznem było, że Jerzy żałował go szczerze, a chociaż Marceli zostawał pod wpływem .samolubnego bólu. mitym ran był jednak ten dowód życzliwości. Pewien myśliciel, pan Cousin, zdaje mi się, powiedział: Tylko w niewidzialnej głębi naszej duszy odbywają się wypadki szczęśliwe lub nieszczęśliwe życia*. Z czasem Marceli mógł się przekonać o prawdzie tych słów. Wszakże nic się nie zmie

nilo w warunkach jego istnienia. Nie, tylko sprężyny, poruszające takowe, zostały zdruzgotane, Machinalnie. każdego dnia wypełnia! swoje obowiązki, ale gdzież był dawniejszy zapał, zwyciężający wszelkie słabości, gdzie silna wiara w wielkość swego powołania? Wszystko to stracone, zniszczone... A jednak rozumiał, że dłużej w tym stanie nie mógł pozostać, że trzeba było koniecznie zwyciężyć lo sparaliżowanie wszystkich władz moralnych; szczęście jego stracone nazawsze, ale czyż nie mógł w ogólnej powodzi wyratować przynajmniej talentu? Winien to był Beatryxie. tak silnie wierzącej w niego. Dla niej więcej, dla niej jedynie zapragnął zdobyć wielkie imię, osiągnąć do szczytu sławy. I tak powoli, powoli wydarł się z objęć śmiertelnego odrętwienia i wrócił do pracy z gorączkowym uporem. Wstając z pierwszym blaskiem jutrzeńki, pracował bez ustanku, często po całych nocach, zużywając siły i zdrowie z szaloną obojętnością. Przyjaciele Marcelego zaniepokoiли się, widząc ten zapał chorób liwy i straszną w nim zmianę fizyczną; ale młody człowiek na wszystkie przestrogi odpowiadał niezmiennie: Chcę dojść do celu, a kiedy nalegano, wruszał ra mionami: Mówicie, że się zabijam, i cóż lo szkodzi, jeśli tylko odżyję w moich dziełach; będę mieć stawę pośmiertną, wszak to nie do pogardzenia.

Pewnego poranku, w połowie listopada, Jerzy de Keryen przyszedł go odwiedzić. Młodzi ludzie nie widzieli się od czasu wyjazdu Marcellego z Baclair

— Wielki Boże! Kochany Schraube, co się z tobą dzieje?—zawołał .Jerzy, wchodząc. Wyglądasz, jak gdybyś powstał z ciężkiej choroby!

— Ależ nie, nie jestem wcale chory.—odpowiedział Marcelli lekko zmieszany. Profesorowie nie zajmują się nigdy swoim zdrowiem, nie mają na to czasu.

— Jestem pewien, że pracujesz zawiele, rzekł Jerzy, potrząsając głową. Doprawdy to wcale nie lo

giczne dla takiego, jak ty. filozola. Czy istnieje jakikolwiek cel na świecie, wart zachodu? Słuchaj, mój drogi, najlepiej jest być obojętnym na wszystko! Zdumiewam cię — dodał, spostrzegając zdziwiony wzrok Marcelego — nie jestem jednak wcale zwolennikiem Schopenhauera i nie czuję w sobie żadnego objawu Weltsckmrz'u, ale powietrze w Baclair było dla mnie szkodliwym, a i może być, że towarzystwo Wojciecha de StKeal wpłynęło na ten napad hypochondrji.

Zapytanie drżało na ustach Marcelego, nie mógł go powstrzymać:

— Czy naznaczony już dzień ślubu?

— Od wczoraj—odpowiedział Jerzy. Ma się odbyć igo przyszłego miesiąca. Roztrząsano tę kwestję bez końca. Wuj życzył sobie, aby uroczystość odbyła się w Paryżu, z wielką okazałością, zapraszając wszystkich przyjaciół i znajomych. Beatryx zaś ani słyszeć o tem nie chciała i tak energicznie obstawała przy swoim, że trzeba jej było ustąpić, wiedząc zwłaszcza, jak wielką tnedne dziewczę robi z siebie ofiarę. Ślub zatem odbędzie się przy zamkniętych drzwiach; troche to oryginalnie, ale cóż robić, kiedy nie można zwyciężyć uporu kuzynki. Jerzy zamilkł na chwilę.

— A propos.—mówił dalej lekkim tonem—zapomniałem ci powiedzieć, że zrobiłem ważne postanowienie. Wyjeżdżam do Tonkinu w przyszłym miesiącu.

— Do Tonkinu! — powtórzył Iarceli, przerażony niespodziewaną wiadomością. do Tonkinu! Dlaczego? W jakim celu!

— Aby się bić. przypuszczam — rzekł Jerzy, patrząc z uśmiechem na zdumioną twarz Marcelego. Wiesz, że tam nie będę jeden. A mówiąc otwarcie, jestem już zmęczony tem próżnem, jednostajnem, a tak

nieużytecznym życiem. Tam przynajmniej będzie coś nowego, będę się bić za ojczyznę, bo przecież Francja, chociaż

pod panowaniem republiki. jest zawsze naszą ojczyzną. A jeżeli, prędzej lub później. Irati mnie kula, nie będzie to znów tak wielką stratą dla ludzkości.

— W miarę, jak mówił, w głowie Marcelego rozjaśniało się; po kilka razy już lekkie podejrzenie przesunęło się w jego myśli; obecnie podejrzenie stało się pewnością. Także mógł nie zrozumieć tego wcześniej, że serce Jerzego rozdarło toż samo co i jego cierpienie!

— Ach,—pomyślał z goryczą — nieszczęście zatem dotyka wszystkich na tym biednym świecie!

— Moje zwierzenie zasmuciło cię—mówił dalej Jerzy wesoło. Jakto, Marceli? Ty przynajmniej powinieneś mnie pochwalić. Jadę bronić sprawy twojej i. zeczypospolitej. Mówię twojej. bo wyznaj, że w głębi serca jesteś zaciętym republikaninem.

— Jeżeli nim byłem kiedy, to dziś już nie jestem, przysięgam ci!— zawołał żywo Marceli. A nad wszelki wyraz jest mi bolesną myśl. że życie takiego jak ty człowieka będzie narażeniem w tak szalonej sprawie.

Tłważasz mnie jako przyjaciela. Jerzy, błagam cię zatem, nie postanawdaj nic jeszcze: wyznajesz sam, że jesteś pod wpływem złego uspo.sobienia. ale ono przejdzie.. poczekaj trochę. Czas—jestto wielki i potężny lekarz!

— Czy masz zaufanie w jego środkach? — zapytał Jerzy z łagodną ironją. Mój biedny Marceli, każdy leczy się jak może. a ja, niestety, nie umiem tworzyć arcydzieł... Ale uciekam już, — dodał, powstając — nie żegnam

cię, ponieważ wkrótce mnie zobaczysz. Nie oddawaj mi. proszę, wizyty... nie trzeba żadnej ceremonji pomiędzy przyjaciółmi. Widzisz, kochany, nie lubię się rozczulać, ale rzeczywiście jesteś z rzędu niewielkiej liczby osób. do których zdaleka serce moje zatęskni.

Młodzi ludzie zamienili spojrzenie i długi uścisk połączył ich dłonie. Nie było już tajemnicy między nimi— odgadli siebie nawzajem.

Jerzy dotrzymał słowa i przychodził często. Od nie go Ilarceli wiedział o wszystkim. co się działo w Baclair. Panna de Stlleal nie dała się przekonać, i, oprócz i najbliższej rodziny, nikogo nie zaproszono na ślub, ma jacy się odbyć w kaplicy zamkowej o godzinie Kl zrana; wieczorem państwo młodzi mieli wyjechać do Hiszpa nji, a powróciwszy do Paryża, zamieszkać w starym pałacu StRealów przy ulicy de Varennes. Księżna de Marisy i brat jej postanowili przepędzić zimę we Wło szech.

Na drugi dzień po ślubie Jerzy zjawił się u Marcelego.

— Dziś przychodzę cię pożegnać—zawołał. Opóźniłem mój wyjazd, nie chcąc uciekać przed smutną wczorajszą nieczystością. Na honor, nigdy jeszcze nie byłem świadkiem czegoś podobnie rozdzierającego serce.

Biedna moja kuzynka! Nie uroniła ani jednej łzy, ale wyraz jej twarzy będzie mnie prześladować aż do ostatniej chwili życia... Doprawdy, byłbym lepiej zrobił, wyjechawszy wcześniej, ale mniemałem, że byłoby to tchórzostwem z mojej strony. Jesteśmy zawsze ofiarami naszych pocziwych uczuć...

Młody człowiek uśmiechnął się boleśnie, dodając z niecierpliwym ruchom:

— Ot, nie mówmy już o Baclair,,. przedmiot to dla uas niewłaściwy.

Jerzy długo zabawiał u Marcelego. Była to ostatnia jego wizyta i przedłużał ją, rozgadawszy się szeroko o wszystkim z pewną wymuszoną wesołością, zdradzającą wewnętrzne cierpienie. Kiedy powstał, łzy błyszczały w jego oczach,

— Drogi przyjacielu—rzekł,—nie jestem zabobonny, ale zdaje mi się, że nigdy już nie zobaczymy się u tym świecie. Wspomnisz o mnie życzliwie, nieprawdaż, dowiedziawszy się, że mnio tam zabito.

— Powrócisz, jestem pewny—zawotał Marceli, patrząc nań z rzewnym uczuciem, — powrócisz. Mnie, to już może nie zastaniesz; ale to nic nie szkodzi... życie jest mi zupełnie obojętne.

— Nie mów tego—rzekł Jerzy poważnie,—tylko łodzie nieużyteczni tak jak ja, mają prawo umierać.

Uścisnęli się serdecznie, przeczuwając, że to po raz ostatni.

Smutnie bardzo przepędził zimę Marceli. Nieustająca praca, w której się pogrążył, męczyła go, nie rozrywając wcale. Zawsze i wszędzie czuł w sobie roztwartą i nieuleczalną ranę. Był jednak szczerym zupełnie, przysięgając niegdyś Beatryxie, że sama myśl o niej wystarczy, aby go wzmocnić we wszystkich próbach i trudnościach, aby go pogodzić z przyszłością wiecznej samotności i żalu. Pełen był dobrej wiary, sądząc, że potrafi wznieść się tak wysoko; ale w praktyce przekonał się, że jest inaczej. Egzaltacja ochłodła, rezygnacja opuściła go, i literalnie upadał pod ciężarem życia.

Moralna ta męczarnia musiała ostatecznie oddziaływać i na siły fizyczne. Marceli, oddawna opierając się życzliwym radom przyjaciół, poczuł nareszcie gwałtowną zmianę w swoim zdrowiu; przez długi czas nie

chciał zwracać uwagi na liczne i niepokojące objawy, jak noce bezsenne, brak apetytu, codzienne napady gorączki, po których następowało śmiertelne osłabienie. Ale pewnego dnia zmęczony mózg odmówił stanowczo pomocy; z oczytna, uporczywie wlepionemi w książkę, czytał, nic nie rozumiejąc.

— Jestem dziś w nienormalnym stanie—pomyślał— i albo staję się niedołącznym, albo jakaś ciężka grozi mi choroba. Lepiej będzie dowiedzieć się naserjo, co mi jest; napiszę do Delsarta.

Doktor Delsart urodził się w tej samej wiosce, co Marceli, i. również jak on, samemu sobie wszystko zawdzięczał. Piętnaście lat temu przybył do Paryża, nie

mając innej rekomendacji, oprócz sity woli i niepospolitego umysłu, a dziś był jednym z najznakomitszych i i najslawniejszych lekarzy. Szczęście jednak nie upoiło go. Chętnie wspominał o trudnych swoich początkach, i pozostał wiernym dla dawniejszych przyjaciół. Zwłaszcza też z prawdziwą wdzięcznością przypominał sobie wuja Marcelego, starego, poczciwego księdza, który, odgadując jego zdolności, namówił go do osiedlenia się w wielkiem mieście, Kiedy z kolei Marceli przyjechał szukać szczęścia w Paryżu, doktor Delsart przyjął go z otwartemi rękoma, jako siostrzeńca swego starego przyjaciela, i od tej chwili serdeczny pomiędzy nimi zawiązał się stosunek. Widywali się wprawdzie rzadko, jak to zwykle bywa pomiędzy ludźmi bardzo zajętymi, ale wiedzieli obydwaj, że w każdej chwili mogą rachować na siebie. Naturalnie więc, Marceli, czując się cierpiącym, natychmiast pomyślał o Delsarcie i napisał kilka słów do niego:

Potrzebuję zasięgnąć twojej rady; czy mogę przyjść do ciebie
We dwie godziny później, powóz sławnego lekarza zatrzymał się przed domem Marcelego, i uczony doktor wszedł zwawo na czwarte piętro.

— A to co nowego? Co ci jest? — rzekł, zbliżając się do młodego człowieka, powstającego z widocznym wysiłkiem na jego spotkanie, i uśmiechnięta życzliwie twarz doktora zachmurzyła się,

— Drogi mój, fatalnie wyglądasz; trzeba było wezwać mnie wcześniej.
Wziął za puls Marcelego i zadał mu kilka pytań.

— No, no, poradzimy na to—rzekł, ale czoło nie rozjaśniło się. Widocznie nadużyłeś twoich sił; uczeni są zawsze niedorzeczni; pierwsza rzecz, jaką ci nakazuję, jest położyć się do łóżka, niema żadnego sensu trzymać się na nogach z taką gorączką.

Marceli nie był w stanie opierać się. Nazajutrz oznajmiono w szkole, że miody profesor zapadł na zapalenie mózgu.

VIII.

Przez cały miesiąc Marceli walczył pomiędzy życiem a śmiercią. Gorączka wybuchła tak gwałtownie, że w pierwszych chwilach lekarz stracił wszelką nadzieję i chciał już zawiadomić jego siostrę, panią de Vau dreuil; ale Marceli sprzeciwił się temu,

— Nie .sprowadzaj jej, aż chyba w ostateczności — prosił.

Doktor przychylił się do jego życzenia; sam za to przychodził dwa razy dziennie, zaniedbując bogatszych swoich pacjentów, wyczerpując wszystkie środki wiedzy i przyjaznego poświęcenia, walcząc uporczywie z fatalną chorobą, która coraz silniej rozwijała się. W miarę jednak, jak czas upływał, nie sprowadzając ostatecznego rozwiązania, dr. Delsart zaczął

swobodniej oddychać, gdy nowy niepokój, z którego sam sobie nie ośmielił się zdać sprawy, zagnieździł się w jego myśli. Może być, że uda mu się uratować życie chorego, ale czyż zdoła ocalić jego władze umystowej? I serce poczciwego człowieka ścisnęło się na myśl, że tak niepospolita in teligencja może zgasnąć nazawsze. W takim razie — mówił sam do siebie—depiejby było dla niego umrzeć.

Ale nie. Marceli wyszedł zwycięzko z tej próby. Powoli młodość jego i silna organizacja wzięły górę nad chorobą; paroksyzmy zmiejszyły się, gorączka ustała; wrócił do przytomności i zrozumiał, że nie skończył jeszcze walki z trudnościami życia.

Owej słodczy powrotu do zdrowia, tak ogólnie cenionej, nie doznał Marceli; przeciwnie, silniej jeszcze, niż przed chorobą, wpadł pod jarzmo uporczywej myśli;

iagodna, melaiicholja, bez goryczy, ale niczem nie prze rwana, opanowała go, i wszystkie .serdeczne wymówki dra Delsart nie mogły go wyrwać z tego stanu.

— Do djałda, mój drogi—mówił lekarz—wyratowałeś się jakby cudem z podwójnego niebezpieczeństwa, śmierć lub warjacja groziły ci, i w taki to sposób objawiasz swoją radość. Niewdzięczny. Powinienłiys na kolanach podziękować Opatrzności.

— i tobie, kochany doktorze odpowiadał wzruszony Marceli. Nie sądź, że jestem niewdzięczny; wiem dobrze, że tobie winienem życie... tylko... drogi mój przyjacielu, nie przypuszczasz nawet, jak fatalną oddałeś mi przysługę!

— Wszystko to niema sensu—mruzczał doktor z kądem Iaka rozpacz w twoim wieku? Może miłosne troski? Ależ, drogi mój, naśladowcy Werthera oddawna już wyszli z mody. Trzeba zacząć żyć rozsądnie, rozpędziwszy mrzonki, dobre dla zdenerwowanych kobiet, ale nie dla silnego, w pełni życia mężczyzny! Wychodź zatem, szukaj rozrywki, baw się, a nadewszystko unikaj książek, wykładów, słowem wszelkiego rodzaju umysłowej pracy, Na przyszłą zimę rozpoczniesz znowu, a tymczasem potrzebujesz wypoczynku. Nie rób więc nic. Nie myśl nawet, a żyj według prawa natury, jak mówi Montaigne, czy Da Fontaine, niewiem, który tam z nich.

Niestety, Marceli nie usłuchał życzliwych rad poczciwego doktora. Prawda, że przerwał wykłady, i że książki leżały zamknięte na stole, ale podczas długich godzin bezczynności zatapiał się w niebezpiecznych wspomnieniach, które go upajały i męczyły zarazem, Beatryx stała mu zawsze przed oczyma, jak mara niepokojąca, do której daremnie wyciągał ramiona. Gdzież ona była obecnie? Jeżeli go kochała, dlaczego miłość nie obudziła w niej przeczucia, nie przyciągnęła do jego łóża w chwili niebezpieczeństwa? O, jakże chętnie

zrobiłby ofiarę z tego życia, za ledwie odzyskanego, aby ją zobaczyć choć na jedną chwilę, tę drogą, ukochaną, z jej pięknym, tkliwym wzrokiem i ponętym uśmiechem, aby uczuć na gorącym czole matę, białą jej rączkę! Co za rozkosz byłaby umrzeć w jej objęciach, przytulonym do jej serca ! Zbliżał się koniec wiosny. Marceli wyzdrowiał zupełnie, i pan Delsart odwiedzał go już tylko jako przyjaciel.

— Muszę cię jeszcze pilnować—mówił, śmiejąc się. Gdybym nie czuwał nad tobą, pośpieszyłbyś się zaraz szperać w swoich papierach, na co pozwolić nie mogę.

Czasami przychodził wieczorem, a mając wolną godzinę, zabierał Marcelego na spacer w swoim powozie. Codzień więcej przywiązywał się do tego oryginalnego młodego człowieka, który, mając wszystkie warunki do szczęścia, tak znenawidził życie. Ten nienaturalny stan rzeczy dawał mu do myślenia; przeczuwał jakąś psychologiczną tajemnicę, którą rad byłby zgłębić.

Pewnego wieczora zjawił się mniej, jak zwykle, wesoły.

— Chciałem cię wyciągnąć na przechadzkę,—rzekł wchodząc. Niestety, czasu mi brakuje. Ale, będąc tuż obok, wszedłem zobaczyć, jak się miewasz. Z tobą trzeba się zawsze mieć na baczności.

— Ależ, doktorze mój kochany—rzekł Marceli, śmiejąc się mimowolnie. Dlaczego chcesz koniecznie traktować mnie, jak inwalidę? Czy nie widzisz, że nigdy nie byłem tak zdrow, jak obecnie! Jestem za silny, śmierć nie podoła mojej osobie.

— Nie żartuj ze śmiercią, Marceli—rzekł doktor smutnie. Byłeś jej bardzo blizkim, i powtarzam ci raz jeszcze, że potrzebujesz się oszczędzać. Nie jesteś przecię dzieckiem; mogę mówić z tobą otwarcie, nieprawdaż? Otóż mózg twój był bardzo silnie zaatakowany,

nartewszystko obecnie należy unikać nowego wstrząśnienia. Czy wiesz, że w stanie roznerwowania, w jakim się znajdujesz, najmniejsze zmartwienie mogłoby spowodować napad gorączki. A w takim razie... nie chcę cię przerażać, ale nie mógłbym już zaręczyć za twoje zdrowie. Bądź

zatem rozsądnym, Marceli, L nie pogardzaj tak życiem. Gdybyś był zmuszonym, tak jak ja. patrzeć codziennie na tę smutną walkę ludzkości ze śmiercią, musiałbyś przyznać, że koniec końcem, życie ma swoją wartość...

Potarł ręką czoło, jakby odpędzając jakąś myśl niemiłą.

— Będąc nawet bardzo zahartowanym w naszym zawodzie—mówił dalej—zdarzają się wypadki, na które nie można patrzeć z zimną krwią. Ot i dzisiaj, wyszedłszy od ciebie, pójdę odwiedzić biedną istotę... jest .skazaną na śmierć. wiem dobrze, że niema dla niej żadnego ratunku, a jednak nie mogę poddać się... walczę ciągle. Jestto tak dziwny wypadek. z początku wywiązała się dyfterja tak gwałtowna, że myślałem, iż odrazu ją zabije. Ocaliłem ją jednak; ale i na cóż się to zdało, kiedy potem nadeszło takie osłabienie, taka niemoc, że wszystkie pobudzające środki nic nie pomagają. A przytem... taki silny i zdrowy organizm! To doprawdy nie do pojęcia.

— Czy młoda kobieta?—zapytał Marceli, słuchając z roztargnieniem.

— O, bardzo młoda... dwadzieścia lub dwadzieścia dwa lat. zameżna od .sześciu miesięcy, piękna, majątna, słowem, jedna z wybranych tego świata... i pomimo tego umiera samotnie, opuszczona. Nikt z rodziny nie czuwa przy niej. Niebezpieczeństwo spadło tak niespodzianie. Wystąpiłem depesze na wszystkie strony, ale... ojciec we Włoszech... mąż w Anglii... przybędą za późno.

Straszne podejrzenie obudowało się w umyśle Marcelego.

— Jak się nazywa?—zapytał z wysiłkiem.

— Może i znasz nazwisko — odpowiedział doktor, nie spostrzegając jego wzruszenia—jedna z najpiękniej szych naszych rodzin, margrabina de .\"StReal. Ojciec

rozdzierającY krzyk wyrwał się z piersi Marcelego

— Ona! ona!—zawołał, chwytając doktora za ramiona i wstrząsając nim silnie. Ona! Beatryx! Mogła by umrzeć! Ależ to niepodobna. Bóg nie może na to zezwolić... Powiedz, że omyliłeś się, doktorze! że to druga, inna...

Zatrzymał się, duszony łzami. Doktor oniemiały nie przerywał mu, sądząc, że to napad gorączki.

— Ach, nie rozumiesz, patrzysz na mnie, jak na warjata—zaczął znowu Marceli, zwracając do doktora strasznie zmienione oblicze. Byłoby zadużo tłumaczyć ci, ale słuchaj. Ja kochałem Beatryx de StReal, Czy rozumiesz, kochałem ją... O! ty nie możesz wystawić sobie... nikt nigdy nie będzie wiedział, czym ona była dla mnie, moje marzenie, moja radość, mój ideał, jedyny cel mojego życia. Wiem, że wszystko nas rozdzieliło... i cóż ztąd? kochaliśmy się! Czy słyszysz? kocha liśmy się... A teraz mówisz, że ona ma umrzeć, że nigdy już jej nie zobaczę! Zabij mnie więc natychmiast... to będzie mniej okrutnie! Co mi po życiu obecnie!

Zamilkł wyczerpany; łkania rozdzierały pierś jego. Drogi, kochany Marceli—rzekł doktor, schylając się ku niemu i ściskając jego dłonie. Nie rozpaczaj, na Boga, miej odwagę, bądź mężczyzną. W biednym naszym życiu podobne ciosy dotykają wszystkich. W pierwszej chwili zdaje nam się, że rana jest śmiertelną, a jednak goi się powoli, goi się... Wielki Boże! Po co ja opowiedziałem ci to! Ale któż mógł przewidzieć!

Niespokojny wzrok wlepił w Marcelego; tenże zdawał się uspokajać. Nakoniec podniósł głowę; wszystkie siady rozdrażnienia znikły z jego twarzy.

Doktorze — rzekł pewnym głosem — chcę ją zobaczyć .

— Zobaczyć, zobaczyć kogo?—zapytał doktor. Nie rozumiem cię, Marceli,

— Chcę zobaczyć Beatryx de StReal. Chcę ją widzieć po raz ostatni!

— Ależ to niemożliwe, biedny mój Marceli, to czyste szaleństwo!

Zaklinam cię, bądź rozsądny, oprzy tomnij!

— O, jestem zupełnie przytomny, i dla tego właśnie czuję, że nie możesz, nie powinienes mi odmówić. Czy nie widzisz, że masz przed sobą zropaczonego człowieka? Przed chwilą mówiłeś, że trzeba mnie oszczędzać, a obecnie nie obawiasz się fatalnych następstw, pozostawiając mnie pod wpływem rozpaczy. Czegóż ja zresztą żądam od ciebie? Mói Boże! rzeczy nader prostej! Ona jest sama, nikt z rodziny nie czuwa przy uleju. Cóż to szkodzi, chociażby który ze służących ranie zobaczył. Powiesz, że przyprowadziłeś kole. gę. Widzisz, znalazłem odpowiedź na wszystko; a później, przysięgam ci, pożałowałbyś, dobiwszy mnie ostatecznie.

— Ależ to zaraźliwa choroba, Marceli, ty jeszcze tak jesteś osłabiony. Nie moge cię narażać na pewne niebezpieczeństwo; nie moge wziąć tego na siebie.

— Co dla mnie znaczy niebezpieczeństwo! —zawołał Marceli z wybuchem rozpaczy. Czy sądzisz, że nie zabijesz mnie, opierając się? Wczoraj jeszcze obawiałeś się dla mnie warjacji, strzeż się zatem... Jeżeli stracę zmysły, na ciebie, słyszysz, na ciebie tylko spadnie odpowiedzialność.

Podniósł się, gwałtownie uwalniając się z ramion doktora.

— Marceli! na Boga! nspokój się. Przysięgam ci. że ja nie mam wcale chęci być okrutnym. Być może, że popełnię zbrodnię, ustępując ci, ale wszystko jest

dla ciebie lepsze, niż takie podniecenie. Niechaj Bóg mi przebaczy, jeżeli błędę, chodź!... zaprowadzę cię!... Marceli rzucił się w objęcia przyjaciela.

— Zabiłbym się — zawoła! — gdybyś mi był odmówił !

Droga na ulicę de Varennes odbyła się w mikzeniu. Marceli pogrążony był w żalu; doktor zamyślił się boleśnie.

— Musiałem wybierać między dwiema trudnościami—mówił do siebie. W obecnym stanie opór spowodowałby nieuchronne udrzenie na mózg; lepiej jest stawić czoło zarazie.

Pałac StRealów ponury i opuszczony przedstawiał widok; dziedziniec był ciemny, przedpokój pusty. Dr. Delsart, poprzedzając Marcelego, wszedł na schody, prowadzące na pierwsze piętro. Znalazłszy się przed drzwiami apartamentu chorej, zwrócił się do młodego człowieka;

— Przysięgasz mi, że będziesz panować nad sobą... Zastukał lekko; zakonnica otworzyła drzwi.

— .Także się ma nasza chora, moja siostrze?—zapytał doktor przyciszonym głosem.

— Zawsze to samo, panie doktorze.

— Przyproceedziłem kolegę, — mówił, walając się p. Delsart. A potem, jakby wstydząc się kłamstwa wobec śmierci—raczej przyjaciela pani de Real, który chce ją zobaczyć po raz ostatni.

Zakonnica (była młodą jeszcze) wzrok pełen współczucia zatrzymała na bladej twarzy Marcelego.

— Obawiam się, że nie pozna już pana, uie ma wcale przytomności — a potem, zwracając się do pana Delsart—otrzymałam dziś depesze z Londynu i z Florencji.

— Ach, nakoniec! czy mogę przeczytać?

Zakonnica wyciągnęła je z kieszeni. Podczas kiedy doktor czytał, Marceli postąpił kilka kroków w słabo oświetlonym pokoju.

Blask nocnej lampy rzucał drżące światło na łóżko, na którym spoczywała Beatryx. Beatryx tak, to ona! Choroba i cierpienie nie zdołały zniweczyć idealnej tej piękności. Widząc ją tak spoczywającą, jak dziecię uśpione, jej usta różowe nawpót otwarte, złote włosy w bogatych splotach rozpuszczone na poduszce, kto mógłby przypuścić, że nad tem młodocianem czołem bezlitosna śmierć już krążyła?

Szalona nadzieja zadrżała w duszy Marcelego.

— Doktor się myli,—pomyślał—ona nie umrze, nie może umrzeć.

I on, który nie umiał już modlić się, wzniósł do nieba gorącą modlitwę: Boże sprawiedliwy! Boże wielki w swej dobroci! ocal ją, ulituj się nad naszą miłością!

I jak gdyby niebo wysłuchało tej namiętnej prośby, iak gdyby cienie śmierci rozproszyły się, Beatryx się poruszyła i otworzyła oczy. Słaby odgłos wyrwał się z jej ust:

— Marceli!

— Beatryx! moja ukochana!

I zanim doktor mógł go powstrzymać, pochylił się nad łóżkiem, chwytając ją w objęcia i łącząc usta swe z jej ustami, w długim, uroczystym pocałunku. Ona, z rozpromienioną twarzą pozostając w jego uścisku:

— Jestem szczęśliwa,—wyszeptała—o tak, szczęśliwa! Wszystko jest dobrze obecnie. Marceli, jestem twoją... kociłam cię!...

W dziesięć dni później w dzienniku Figaro czytano następującą wiadomość:

Panująca obecnie dyfterja straszne robi spustoszenia. W przeszłym tygodniu donosiliśmy o śmierci

młodej, pełnej wdzięku kobiety, należącej do wyższych sfior towarzystwa, margrabiny de StReal, wyrwanej z grona kochającej ją rodziny przez tę fatalną chorobę. Dziś zaznaczamy nową ofiarę. Epidemja zabija znakomitego i sympatycznego profesora, pana Marcelego Schraube, którego niepospolita praca o Historji Pru skiej, wydana w zeszłym roku, zwróciła ogólną uwagę w uczonym świecie. Świetna przyszłość czekała na pana Schraude, Przedwczesny jego zgon obudził głęboki żal w Szkole Normalnej, gdzie tak prawość i słodycz jego charakteru, jak wyższość umysłu, zjednały mu szacunek i uwielbienie powszechnej.

PETERSBURG.

NAKŁADEM „KRAJU” SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNI POLSKIEJ

NR. RYMOWICZ

Z WŁASNEJ WINY.

POWIEŚĆ

Po silnej ulewie, w pewien wieczór lipcowy 1917., słońce jasno zachodziło za pagórki po za Wolą Justowską i, żegnając się z miastem, rzucało nań garście czerwonych promieni. Wpadały one ukośnie w dwurażne okna starej biblioteki jagiellońskiej i blaskiem swym zdawały się budzić zakurzone księgi na półkach, a ceglany mur nadawały prawdziwie krwawe cienie, przechodzące w fioletową barwę na ciemnym łupkowy dachu. Deszcz, którego ostatnie krople wisiały jeszcze u szerokich liści kasztanów, przywracał plantacjom całą ich świeżość. Zieloność gdzieś w świetle zachodzącego słońca nabierała czerwonych tonów jesiennych, ale wnet wietrzyk, przechodząc po drzewach chłodnym dreszczem otrząsał je z wilgoci i zdobił prawie wiosenną barwą. Róże, rozsiane po trawnikach, podnosiły z wolna swe głowy, ciężkie od deszczu, i obracały się ku słońcu, jak gdyby uśmiechem żegnać je chciały. Nawet siwozielone mchy na skarpach starych kościołów i zczerniałe dachówki na domach Kanonnej ulicy, odświeżone i z kurzu opłukane, stanowiły niejako przejście pomiędzy jasną zielonością pierścienia, okalającego siwe mury starego Krakowa, a jego wnętrzem z szarych kamieni.

Z ulicy Św. Anny wyszło właśnie trzech młodych ludzi, którzy, niebawem skręciwszy w szeroką ścieżkę po pod mury zrujnowanego jeszcze biskupiego pałacu.

I.

podążyli ku Zamkowi długim i szybkim krokiem. Tu, pod gęstemi drzewami, posępne mury dawnego frau ciszkańskiego klasztoru, rzucały cień coraz zupełniej szy, którego słońce, zachodu blizkie, rozproszyć już nie umiało, a tchnienie zielonej pleśni, na kamieniach rozsiadłej, wakzyło zwycięzko z bujnym zapachem ziemi, którą deszcz przez ostatnią godzinę sownie napoił. (Jdy trzej idący mężczyźni zatrzymali się u końca alei i mikząc oczy zwrócili na zamkową górę. wdali nad miastem już nie było słonecznego światła; migotało tylko w długich oknach katedry i krwawym żarem paliło się na czerwonym dachu zamkowym. (Chwila jeszcze—i różowe promienie spoczęły tylko na wysokim dachu świątyni, — błysnęły po raz ostatni w złotej Nałęczu i zgasły, zostawiając za sobą jeszcze jedną smugę na zielonawym szczycie starego kościoła.

Młodzi ludzie zawrócili wtedy i wolniejszym krokiem szli z powrotem tą samą drogą, rozmawiając widocznie z zajęciem i dosyć głośno. Po prawej stronie szedł chłopiec wysoki i silnej budowy; sądząc na pierwszy rzut oka, mógł zaledwie liczyć lat dwadzieścia Płowy meszek bowiem, który mu się siał nad górną wargą, znacznie mniej był wyraźnym od jasnych ale gęstych brwi. Nadzwyczaj zaś gładko zaczesane włosy, ubranie o wyraźnym angielskim kroju w swej niezupełnej obcisłości, i w ogóle staranność, jaką młody człowiek widocznie swoją osobę otaczał, obok wielkiego a umyślnego zaniedbania w ruchach, zdradzały odrazu bardzo młodego akademika, syna zamożnych niezawodnie rodziców. Szedł on długimi krokami, kiwając się trochę i laską o srebrnej gałce zakręcając w powietrzu tak obszerne koła, że bony i niańki z dziećmi idące i wogóle wszystkie kobiety starały się trzymać w bezpiecznej a znacznej od niego odległości.

Młodzieniec, idący przy nim na lewo, równie byt wysoki jak jego towarzysz, który tylko, wyraźnie odeń

młodszy. obiecywał, że za niewiele lat prześcignie go wzrostem i szerokością pleców. Na malej i zgrabnej głowie, o ile dojrzeć było można z pod czarnego kapelusza, rosły mu włosy gęste i kręcone, a schodzić musiały nisko na silne czoło, zapadnięte nieco w połowie i występujące zbyt mocno nad oczy; jasno zaś nakreślone i złamane a wąskie brwi głowie całej dawały wyraz siły i powagi po nad wiek człowieka. Tylko ciemne oczy, patrząc łagodnie z pod długich rzęsów, osłabiały surowe wrażenie tego zbyt silnego czoła.

Mężczyzna, idący w środku, wzrostem znacznie był mniejszy od swych towarzyszy, ale rysy jego, wcale niepiękne, uderzały wyrazem i ruchliwością. W miarę jak mówił, jak się do swego przedmiotu zapalał, twarz jego jaśniała światłem i ciepłem, które z duszy na nią się wylewały, a z gwałtownych ruchów jego chudych rąk łatwo było poznać w wysokim stopniu nerwowe usposobienie. Rzadkie na skroniach włosy i przedwczesne jakieś zmęczenie w wyrazie, gdy go coś innego, wybitniejszego nie zacierało, czyniły młodzieńca nad wiek dojrzałym, choć był młodszym od swego towarzysza z lewej strony i ledwo liczył lat dwadzieścia dwa.

Obydwaj właśnie dnia tego zdali byli doktorat filozofji; trzeci—Zygmunt Rowiński, chodził dopiero na pierwszy rok prawa.

Gdy ostatnie promienie słońca zgasły na górze zamkowej, dwaj z młodych ludzi, zawróciwszy zaraz, poczęli zwolna wracać tą samą ścieżką, a tylko ów trzeci, najstarszy, stał jeszcze, jak gdyby oderwać nie mógł oczów od dawnej królewskiej siedziby, nad którą w tej chwili zawisła wieczorna cisza, nie rażąc ucha żadnym głosem, mogącym zamącić spokój tak jej koniecznie potrzebny. Rzadkich przechodniów, żołnierzy, dążących pod górę do swoich kwater, zakrywały gęste konary drzew pod murami rosnących a zamknięte okna Zamku

dawały mu ten jakiś wyraz uśpienia, który jedynie licować może z jego stanem dzisiejszym. Patrzący widać pragnął skorzystać nieco dłużej z też rzadkiej chwili, ale ów szczupły towarzysz wołał już nań niecierpliwie. — Krzysztofie, chodźże już raz, ho pomówić przecież musimy o naszych zamiarach i planach,—a gdy zagadnięty w ten sposób ku nim się odwrócił, dodał prawie z gniewem — Doprawdy, że mnie grubo niecierpliwie zaczynasz swoją obojętnością; zdałeś egzamin świetnie, i tak ci to wszystko jedno, jak gdyby codziennie ci się to zdarzało. Nic się go nie bałeś i dla tego pewnie zrobił na tobie tak małe wrażenie; ale przyznać też trzeba, że nie sztuka nie stchórzyć z twoją pamięcią.

— Całkiem się mylisz,—odparł, śmiejąc się z tego napadu, Krzysztof Sieniński,—bo kontent jestem bardzo z egzaminu i w nagrodę chciałem sobie dowoli u końca tej ścieżki posiedzieć.

— Ot! tak właśnie, — mówił pierwszy. Naturalnie, aby jaknajprędzej zapomnieć o tem, coś robił dzisiaj, o tem, co jutro będzie, a myśleć sobie, żebyś wolał być giermkim jednego z panów tego zamku, temu trzy wieki, niż teraz doktorem filozofji. Tu mówiący strzelił chudemi pakami na znak zniecierpliwienia. — A ja właśnie nie chcę tego i zaręczam, że ci spokoju nie dam pod tym względem. Na cóż cię profesorowie rano tak ostro pytali, a tyś się ani razu nie zająknął? Chyba nie na to, abyś teraz do Chronowio poszedł siać pszenicę i wódkę robić.

Sieniński dobrze wdedział, do czego zmierzała ta mowa, i z uśmiechem umyślnie odparł wymijająco:

— Do siewu i pędzenia wódki nieprędko będę się mógł zabrać, bo, choć filozofja ma być nauką wszechrzeczy, żleby się działo mojej kieszeni, gdybym teraz rządy w Chronowicach rozpoczął.

— Wiem, wiem — odparł kolega, Teraz mamy przed sobą trzy Wanderjahre, ty naprzemian w Halli i na praktyce—, ja włączę po niemieckich uniwersytetach, Ale potem, jak wrócę wyklądać w naszej Alma Mater dla trzech kotów starego bedła, to obiecuję, że długo nie pozwolę ci siedzieć spokojnie na próżniaczem gospodarstwie. Chronowice przez dziesięć lat bez pami stały, to i później bez ciebie czasem się obejdą. Zygmunt Rowiński, zatrzymawszy się na chwilę, wbił swą łaskę w trawnik i, opierając się na niej. przerwał mówiącemu:

— Lepiejbyście zrobili, myśląc o tem, co ze mną będzie, jak wyjedziecie? bo to jedno jest pewnem, że ja bez was nic dobrego nie zrobię. Będę się nudził, gniewał, na wykłady nie pójdę, bo nie będzie komu mnie z domu wyganiać. Na dobitkę zaś, nawet niczem się dziś nie pocieszę, kiedy ten brzydki skąpiec—tu wskazał na Sienińskiego—nie chce nam dać biby,,. Ja wiem, że jeżeli kiedyś zdam doktorat, to chyba na to, aby się z wami po nim nrznąć jak biał. Pamiętajcie sobie proszę, że oba przyjechać musicie—a nie puszczę żadnego, aż z profesorskiej powagi Hieronima i obywatelskiej godności Krzysztofa nie zostanie znaku!—i śmiał się serdecznie na myśl tej przyszłej uciechy.

— I owszem, — odparł Krzysztof,—ale ty tymczasem nie zapominaj, że czekać mamy nie więcej, jak trzy lata, i że cię wkrótce potem w Chronowicach przyjmę jedynie pod warunkiem, że przyjedziesz w urzędniczej czapeczce, przed którą będę z całym respektem, Zygmunt trochę się skrzywił na te słowa, ale nic nie odpowiedział, a Hieronim Olszowski wziął Sienińskiego pod ramię i rzekł, wracając uporczywie do swej pierwszej myśli:

— Krzysztofie, wiem dobrze, że ty całe życie będziesz potrzebował kogoś, któryby cię z domu wyga

uiał... Jak Zygmunta na wykłady. Kienadarmo jednak dostałeś głowę, w której pomieścisz co zechcesz; nie na to uczyłeś się często lepiej odemnie, aby się w Chronowicach zakopać. Jesteś w wyjątkowem położeniu, które ci pozwala pracować... nie wyłącznie dla siebie. Takich u nas mało, a potrzeba ich wielu. Ja cię muszę w tej pracy poganiać, bo do niej skory nie będziesz, niestety,, przestanę zaś tylko wtedy, kiedy się ożenisz i żona moje miejsce zajmie,

— Ho! ho! z tego pięknego projektu chyba już nic nie będzie, bo musiałbyś ze mnie innego człowieka zrobić,—zaśmiał się Krzysztof tak, że mu aż z pod ciemnych wąsów błysnęły białe zęby, Prędzejby Zygmunt mógł zostać starym kawalerem, niż jabym się zdecydował ożenić.

I rozmawiali tak jeszcze długo, chodząc po ścieżkach plantacyj, wśród których zmrok zapadał zupełny. Latarnie poczęto wkrótce zapalać pod zielonem sklepieniem, wyglądającym w swych misternych, prawie zupełnie ciemnych zagięciach, jak niezmierna nawa kościoła o nieskończenie rozgałęzionych żebrach, wspartych na stnukłych a licznych słupach pni drzewnych. Zdaleka latarnie błyskały żółtem światłem, jak świeczniki u stropu zawieszzone — a złudzenie znikało tylko tam, gdzie ulica drzew się urywała i po nad jej sklepieniem zaczynały migotać niebieskawe światelka gwiazd na tle ciemnego nieba.

Trzech młodzieńców, rozmawiających pod cieniem długich alei, łączyła przyjaźń od pierwszych lat szkolnych. Średni wiekiem pomiędzy nimi, a znacznie niż szy wzrostem—i majątkiem, Hieronim Olszowski, miał niezawodnie najgorętszą głowę i duszę; najwięcej mówił o tem, co robić i czego dokonać powinni, a widocznie posiadał wielką nad kolegami

powagę. On jeden bowiem umiał być Zygmunta otrząsnąć z wpływu młodzieży, najmniej pracującej a najbardziej do róż

nych wybryków pochopnej, do której natura i zwyczaj ciągnęły wesołego chłopca. Z moralnie zaś i umysłowo silnej duszy Krzysztofa krzesał on ogień, który sam przebić się nie mógł przez gładką aż do obojętności zewnętrzną powłokę.

Hieronim Olszowski pochodził z rodziny, w sieradzkim województwie od wieków osiadłej. Był synem niezamożnych rodziców, którzy, siedząc na niewielkiej wiosce pod Wieluniem, długami obarczonej, dostarczali synowi zawsze bardzo skąpych zasiłków pieniężnych. Gdy ojciec umarł wkrótce po maturze syna, wieś sprzedaną być musiała, a matka, wydawszy córki zamąż, osiadła w Krakowie obok Hieronima, w mieszkaniu nadzwyczaj skromnym. Biedy i nieszczęścia, przez jakie przechodził, wcześniej wyrobiły charakter chłopca; dały mu trzeźwy i dosyć surowy pogląd na świat i ludzi, którego naprawdę nie było w jego wyjątkowo na dzisiejsze czasy zapalnej naturze. Tkwiły w nim zdolności i materiały na człowieka, mogącego swym słowem wiele uczyć i działać zbawiennie, ale pod warunkiem pewnego powodzenia w życiu. Bez niego wrażliwe i od wesołości dalekie usposobienie mogło się spaczyć i ubezwładnić całego człowieka. Szkoły odbył on świetnie, a historii, obranej przez siebie za zawód, tak się oddał, że był jednym z tych niewielu, którzy rozumieli i czuli doniosłość każdego słowa meża, który uczył właśnie wtedy, że historia prawdziwa powinna być mistrzynią życia, fałszywa zaś, że jest i fałszywej polityki mistrzynią. Młodzieniec chodził na te wykłady z uczuciem, że idzie na nie uczyć się, jak żyć, jak sądzić złe

i dobre w chwilach niepewnych a sprawach nie swoich, kiedy człowiek na własnym sumieniu polegać się boi.

Krzysztof Sieniński atoli chyba jeszcze więcej zawdzięczał tej niezrównanej nauce mistrza i jeszcze skwapliwiej jej słuchał. W bogatej bowiem duszy jedynaka, który matki nie znał wcale, a surowego ojca

stracił dorastając, zbudziła ona wszystkie szlachetne uczucia, wszystkie mądre i szerokie myśli, do jakich zdolną była silna, ale sobie samej zostawiona natura. Tylko przyjaźń Hieronima, zmuszając Krzysztofa do powrotu ku teraźniejszości, broniła go od niebezpieczeństwa, jakim było zatopienie się w obrazach przeszłości dla rozbudzonej niezmiernie wyobraźni. Braterskie uczucie, wiążące go z przyjacielem, stanowiło jedyną bliższą spójnię z otaczającymi go ludźmi i poniekąd w życiu Sienińskiego zastępowało zarazem obcy mu zupełnie wpływ kobiety. Atoli wystarczyć nie mogło na wszystko. Nie zastąpiło zupełnie braku niewieściej dłoni i opieki w dzieciństwie i pierwszej młodości, braku kobiecego towarzystwa, które, obok samotności i wynikającej z niej niezależności, złożyły się na ukształtowanie charakteru, dosyć w Polsce niezwykłego. Rygor ojcowski w dzieciństwie i sama natura dały mu powierzchowność tak gładką, że najwybredniejszy lądziśman byłby mu jej zazdrościł i narzekał na los, który takie dary zostawia człowiekowi, nie umiającemu z nich korzystać. Z konieczności w samotnym domu rodzinnym nauczył się on wcześniej dzielić czas między czytanie i fizyczne ćwiczenia, wskutek czego za szkolnych lat doszedł już byt do takiej znajomości literatury i historii, że w gimnazjum profesorowie często ostrożnie go omijali, aby się

przypadkiem nie wystawić na pytania, na któreby zapewne odpowiedzi nie byli znaleźli, Krzysztof natomiast, licząc na nadzwyczajną pamięć, która go nigdy nie zawodziła, bynajmniej się pracą nie obarczał i mógł swobodnie godzić egzaminy z długimi godzinami polowania i jazdy konnej, lub z czytaniem, wcale nie należącem do przedsięwziętych nauk. Kilka podróży zagranicę uzupełniły jeszcze z wolna wielkie to jego wykształcenie. Choć pod względem nauki mógł być być postrachem młodzieży, był jednak wogóle dosyć od ko-

legów lubiany za wielką usłużność i równość usposobienia, za to, że się nie obrażał nigdy, że miał najlepiej wydrwić, gdy był zaczepiony, a obić, gdy o drugiego chodziło, był bowiem twardszy od wszystkich kolegów, gdy raz do rozprawy przyszło. Ale te zalety często starczyły za ledwie, aby wobec młodzieży okupić jego unikanie bliższych stosunków, jego chłód i trzymanie się z daleka; przebaczyć mu już zaś koledzy nie mogli jego mizantropizmu, pod którym czuli sąd, nieraz ostry, a czasem nawet może lekceważący. Takie jednak usposobienie młodego człowieka stanąć musiało na przeszkodzie bliższym stosunkom z wieloma, a przyjaźń z Olszowicą nawet zaczęła się tylko od tego, że Sieniński, którego pięści były nadzwyczaj twarde, a kieszeń dostatecznie pełna, z poczciwości bronił nieraz przeciw wściznym wątpliwemu chłopcu w wytartej kurtce i przez pierwsze lata szkolne miał go zupełnie w swojej opiece. Później stosunek ich zmienił się zupełnie, żywy bowiem a nadzwyczaj w przyjaźni serdeczny Hieronim, zdobył wpływ wielki na Krzysztofa; przemawiając do delikatniejszych stron jego natury, rozgrzewać ją umiał; ułamał, choć czasem, niechęć do mówienia o sobie i przygotował w nim

grunt pod zasiew nauki, jaką mu dały trzy lata wykładów historii i filozofji. Te zaś dopiero wprowadziły w grę wszystkie myśli i uczucia tej tęgiej głowy, dla której owa strawa nigdy zbyt silną uie t)yla.

Najmłodszy z trzech towarzyszy, Zygmunt Koniński, był drugim synem bardzo zamożnego właściciela pięknych dóbr we wschodniej Galicji, a oprócz nadzoru prywatnego nauczyciela, jako daleki krewny, poruczony był opiece Olszowskiego, znanego na uniwersytecie z wzorowego zachowania. Pomimo bardzo wyraźnego lenistwa, dosyć znacznej lekkomyślności i umysłu, którego wszystko łatwiej od nauki się czepiało, Zygmunt. trzymany w gimnazjum bardzo ostro przez ojca, prze

był je dosyć szczęśliwie. Po maturze natomiast, ujęty przechyłem tej pierwszej przkszkody. pan Rowiński, pewny odtąd swego syna, licząc, że tenże pójdzie już dalej drogą dwóch znakomicie uczących się przyjaciół, zmieni! całkowicie swoje względem niego postępowanie i rzuci! mu niejako cugle na szyję od pierwszych nni wersyteckich wakacyi. Zygmunt, z natury chłopiec dobry i jeszcze wcale nie zepsuty, w pierwszym roku nie pozna! się na swojej nowej wolności i zanadto był je. szcze pod wpływem dwóch starszych kolegów, aby uważaćienne wizyty i wieczory, stojące i ziewające albo Tańczące, za główny i najcięższy obowiązek słuchacza prawa. Przebrał się wprawdzie od stóp do głów i trawi! kilka godzin dziennie na graniu w bilard; ale na kursy chodzi! jeszcze dosyć często i tylko gniewał się na dwóch przyjaciół za to, że mu się nie dali wciągnąć w światowe życie wyższego towarzystwa, do którego cała duszą należał. Oni znowu blizkim doktoratem i koniecznością nie odrywania się od pracy bronili się przeciw jego namowom. W rzeczywistości nie była to dla nich

żadna przeszkoda, bo obaj mało przygotowywać się potrzebowali, nie straciwszy prawie nic z trzech lat uniwersyteckich; ale Krzysztof tak był nieprzyzwyczajony do bywania w większym gronie i w towarzystwie kobiecem, że czuł doń nawet pewien wstręt, ze strachem graniczący, — podczas gdy Olszowski, którego usposobienie dosyć do życia światowego ciągnęło, bał się zapewne własnej nieśmiałości, a może więcej jeszcze uroku, jaki życie takie mogłoby mieć dla niego, lidy atoli w kilku wypadkach zaczyna! już był Zygmuntovi ustępować, Krzysztof spokojnym uporem wnet szalę na swą stronę przeważył. Teraz nareszcie, po świetnie zdanych egzaminach, rozjeżdżali się na długo: Zygmunt na wakacje do rodziców, Sieniński na praktykę gospodarską na Szlązku,

Olszowski w góry na chwilowy wypoczynek, przed rozpoczęciem nauk przygotowawczych, potrzebnych mu do słuchania najslawniejszych profesorów w Niemczech. Chwile ostatnie mącił kolegom wprawdzie żal wspólnej pracy i lat szkolnych. Żal im było też szczerze wesołości Zygmunta, która nieraz orzeźwiająco działała na obydwóch. Ale doszedłszy do miejsca, gdzie drogi ich musiały się rozejść, żegnali się z dobrą otuchą spotkania się znowu za lat parę, gdy już każdy o własnych siłach orać zacznie zagon sobie przeznaczony, Olszowski szedł ku temu celowi z największym zapałem, z poczuciem, że wrodzone zdolności czyniły go całkiem zdatnym do zawodu, jaki sobie obrał; Sienińskiemu zaś malowało się ognistemi barwy szerokie pole działania, do jakiego urodzenie pod każdym względem go przeznaczyło. On atoli brał się do zadania swego życia zwolna, bez wielkich planów, nie mówiąc wiele o

sobie, ani o swoich zamysłach, jak gdyby ich nie miał wcale; lecz łatwość pracy i zamiłowanie do niej, jakich dał tyle od dzieciństwa dowodów, obiecywały pomimo tego, że zdoła nie zatrzymać się w połowie drogi i że chętnie weźmie na siebie ciężar, jaki mógł mu być przeznaczony.

II.

Wśród płaskiej galicyjskiej okolicy dawnego woje wództwa sandomierskiego, w trójkącie pomiędzy Wisłą i Sanem, a bliżej tej pierwszej już żyto w połowie lipca leżało pożęte na wązkich chłopskich zagonadi pod lasami, pańska pszenica chwiała zaś jeszcze swe złote kłosa na wielkich lanach nad rzeką; oddzielały je od niej wązkie pasma kęp z zislonym obronnym wałom, nad którym piętrzyły się jakby mur ochronny stare topole, rzędy wiklin, wierzb i młodych olszyn, Z wysokości piaskowych pagórków, porośniętych zło.

tym i siwym mchero i rzadkimi biednymi sosenkami, u brzegu ciemnego lasu szpilkowego, woniejącego zapachem żywicy i macierzanki, roztaczał się widok szeroki, wesoły, jednostajnością bynajmniej oka nie nużący. Tuż za piaskami bowiem zaczynała się ziemia bogata i wdzięczna, pokryta bujnera zbożem na ogromnej przestrzeni, zasianej niezbyt gęsto pięknymi, zamożnymi wsiami, które wśród swych sąsiadów wyglądały jak wy. sepki ciemnej zieleni na morzu złotych zbóż. Poważna rzeka, tocząca cicho i zwolna swe wody, mętne pomimo posuchy, wielki krąg zaginała od zachodu na północ, a za nią oko spocząć mogło na łańcuchu niewysokich wzgórz, zamykających widnokrąg zupełnie. Na północ oddalały się one wraz z rzeką, a kraj z tego brzegu zniżał się ku niej zwolna. Licha ta ziemia zawdzięczała swej niezdatności przywilej, iż jedna w całym kraju

nie została przez pług rozpruta i sama jedna pozostała pamiątką czasów, gdy miejsca jeszcze było tyle, że pan i chłop roli aż do zbytku mieli. Dzień był nadzwyczaj ciepły i słońce, mające jeszcze dwie godzin do zachodu, słało garściami na całą okolicę fale gorącego światła; ani jedna chmurka nie zakrywała nieba, tylko przejrzysta niebieskawa mgła osiadła nad Wisłą, nad ciemnozielonymi jej brzegami i dal szemi wzgórzami, przysłaniając nieco wyrazistość linii i w dali łącząc różne barwy powolnym przejściem miękkich pośrednich cieni. Świerszcze w zbożach, jeszcze na pniu stojących, świerkały z zaciekłością. Skowronki, śpiewając, wznosiły się wprost ku niebu od złotych zbóż, jak gdyby oznajmić chciały głośno ich bogactwa, a przepiórki, po latując z zagonu na zagon, zwoływały z pośpiechem swe dzieci, wychowane w tem schronieniu. Zapach świeżo zżętego żyta i zmieszanych z niem traw, usychających prędko pod piekącym słońcem, nappełniał powietrze, a najmniejszy wietrzyk nie poruszał starych wierzb przydrożnych. Stały one nieruchomie, jeżąc swe korony

młodych latorośli, któremi na starość ubrały się jeszcze pnie, wiekiem prawie już do samej swej korony wydrażone. Wśród tej okolicy, na rozległej ścierni, nad drogą, wiodącą z południa na północ, pomiędzy gęstymi snopkami żyta, stojącymi kłosem do góry, na dużym i silnym jasnokasztanowatym angielskim koniu stał Krzysztof Sieniński i patrzył na żniwiarzy. Od lat trzech niewiele się był zmienił; twarz mu tylko słońce osma liło. a czarne ubranie eleganckiego doktora filozofji zastąpiła obcisła popielata kurtka i wysokie buty

Żeńcy opodal wiązali już zboże, a ogromny chłop w białej koszuli i szerokim pasie ćwiekami nabitym, stał obok pańskiego konia, trzymając w ręku słomiany kapelusz o szerokich brzegach, prawie już od słońca bniatny. Włos niemiernie gęsty sięgał mu nisko do szyi i na czole był równo obcięty, a płowe wąsy spadały nisko, gdy zaś przemówił, błyskały z pod nich zęby, białe jak perły. Twarz, zorana bruzdami, wyschła od pracy i niepogody, spalona od słońca, wydawała się prawie brunatną, przy białości koszuli. Karbowy był to widocznie stary i śmiało z panem rozmawiał, ale otrzymane rozkazy uważnie sam sobie powtarzał, aby jednego słowa z nich nie zapomnieć. Gdy Sieniński skończywszy, co miał do mówienia, odwrócił konia i ruszył szybkim kłusem, chłop stał jeszcze przez chwilę, patrząc za nim, i dopiero wtedy, włożywszy na głowę szeroki kapelusz, do robotników się odwrócił, podejmując z ziemi wielką laskę, zakrzywioną od góry jak dziób sępa. a zdobną w tysiące znaków, czy hieroglifów raczej, czytelnych tylko dla jej właściciela. Ponieważ ścierń kończyła się pod lasem, Sieniński przejechał niebawem szeroki, płytki rów przydrożny i ruszył dalej szybko, tak iż chłopiec stojący, jadący za nim, dziwić się musiał, że pan wbrew swemu zwyczajowi, twardym gościńcem tak prędko do domu idzie.

Widocznie śpieszy! się on z powrotem niewiedzieć dlaczego, bo daleko jeszcze było do wieczora i kolacji, na którą podczas żniw zwykle ledwo zdążał. Wjechali po chwili w las, którego uśpione echa miarowy tentenl końskich kroków zbudził donośnym głosem; powietrze, niosące zapach żywicy i wrzosu, i tę nieokreśloną woń szpilek i liści, usychających u stóp młodych sosen, otoczyło ich zaraz rozkosznym chłodem, skoro padł na

nich cień gęstych drzew. Sieniński silnie do płuc je pociągnął, bo to rodzinne powietrze, do którego od niezbyt dawna znowu przywykał, było dla niego prawie upajające, jakąś nową nieznaną siłę wlewało mu w żyły, budziło może uśpioną miłość do tej ziemi bogatej, do tych lasów ciemnych i błoń wodami przerywanych, które stały się teraz jego jedynymi towarzyszami, Przy pomińmu mu się znowu jedno z najsilniejszych uczuć lat dziecinnych, kiedy, jadąc lub wracając do domu z wakacyj, małe jeszcze ręce rozkrzyżowywał i patrząc naokół siebie, byłby chciał całą sita do piersi przycisnąć tę ziemię kochaną, tę rzekę mętłą i zielone jej brzegi, i srebrne nad niemi topole, dom ojca samotny i cichy, stary kościół drewniany i czarny.

Koń, jak gdyby teraz dzielił uczucia pana, wyciągnął długą, lśniąca od potu szyję i turknął głęboko, jak gdyby mu ciężar spadł z serca. Sieniński pochylił się nad nim, poklepał po boku i nie zwalniając z górki, wyjechał z lasu i przez wieś zdażał wprost naprzód.

Wieś Chronowicka rozsiadła się po obu stronach drogi rzędem chałup, stojących bokiem do traktu, a których równe belki nabrały od deszczu i słońca całkiem brunatnego koloru. Podwórka przed nimi były uklepane jak boiska, a naprzeciw każdej chaty stała niska stodoła, o dachu wysokim i ślicznie równo poszytym, w głębi stajenka, z przodu zaś brama lub furta zamykała kwadrat. Sad otaczał każde domostwo, a wśród bujnej trawy, stare pogarbione grusze i jabłonie,

opasane wigilijnem powrósłem, stały, ubrane gęsto w białe lub czerwieniejące już jabłta; młode natomiast śliwy opierały się o chałupę i owocami, obsypanemi niebieskim puszkciem, zaglądały czasem do niskich

okien. Zamożne domy i małe stajenki pootwierane byty i puste, bo bydło na błoniach paśli chłopaki, a ludzie wszyscy poszli do żniwa. Gospodynie tylko we drzwiach swych siedziały, skrobiąc młode ziemniaki na wieczkę, i spoglądały naprzemian na świeże gomółki, suszące się na przybitych do belek półeczkach i na małe dzieci, biące się na podwórkach lub staczające bitwy w białym kurzu na drodze.

Krzysztof musiał nieraz gwałtownie skręcać konia, aby którego z nich nie rozjechać, bo starsze siostry nigdy na czas nie byłyby zdążyły, by zabrać małych braci, tarzających się prawie pod nogami wielkiego wierzchowca, kobiety zaś, siedzące na przyzbach lub zbierające bieliznę na płotach rozwieszoną, kłaniały się wszystkim młodemu dziedzicowi, sięgając ręką ku ziemi, tym starym ruchem, wyrażającym w sposób tak prosty poszanowania pełne pozdrowienie.

Zaraz za wsią murowana droga skręcała na lewo, a szeroka ulica starych lip wiodła wprost do dworu. Na miękiej drodze, gdzie, wyjąwszy czasów posuchy, wieczne stały błota, ustał głośny teatent. Sieniński, pochylając się naprzód, pchnął konia do wolnego galopu i przez otwartą szeroką bramę z drewnianych sztachet wjechał na obszerny dziedziniec, wkoło dużego okrągłego trawnika, aż stanął przed domem, gdzie u wejścia niewysoki człowiek w podróznym ubraniu widocznie nań wyglądał. O parę kroków dalej służący z wózka zdejmował kuferek. Sieniński zeskoczył z siodła i witając, mówił do Olszowskiego

Mam nadzieję, żeś niedługo czekał? Wyjechałem zawczasu, abyś mnie nie wyprzedził; ale i tak mi się nie udało, i

— Przed chwilą dopiero przyjechałem—brzmiała odpowiedź—i szkoda, żeś się spieszy! na takie gorąco, o którym i ja coś wiem, sądząc z tego, jak mnie na wózku wypiekło.

Sieniński głaska! lśniąca szyję konia, na której wystąpiła siatka drobnych żyłek pod włosiem, świecącym w słońcu jak atlas, i rzekł;

— Spieszyłem się naprawdę dobrze, skoro Golden flower musiał pewno po raz pierwszy w życiu iść szybko po twardej drodze... Piękny koń, nieprawdaż? Kupiłem go w Wiedniu po wyścigach, bo tu same stare araby znalazłem, zdalne tylko do stadniny. Ałe... widzisz, jak w gospodarstwie muszę po nszy siedzieć, skoro już zaczynam z tobą o kou iach gadać... Lepiej zrobimy, idąc zaraz do domu, bo pewno pragniesz kąpień, po przywitaniu jakie ci dały nasze nadwiślańskie piaski. A potem będzie kołacja, którą chyba żaden z nas uie pogardzi. I znikli w szerokich drzwiach obszernego domn.

Dwór w Chronowicach i całe jego otoczenie nosiły ślady znacznej zamożności, pomimo powierzchownego zaniedbania, z którego od niedawna dopiero młoda ręka zaczęła je dźwigać. Naokół domu i po za nim na północ i zachód, ciągnął się ogród wielki i gęsty, roje młodych krzewów, grabów i leszczyny, rosnących w dzikiej gęstwinie, której przez długie lata nie tykały nożyce ogrodnika obsiadły stare świerki, lipy, dęby i jawory. Stare, pokrzywione jabłonie i kilka rozłożystych, poważnych grusz zatrzymały po staroświecku władzę swą na niektórych trawnikach, a tylko ścieżki, widocznie świeżo w nich wycięte, byty jedyną wskazówką, że ktoś zamierza! ująć w karby tę wybujałą roślinność traw i krzewów. Na prawo wielkie kląby starych bzów i czeremchy, z pomiędzy których wystrzeliwały w górę wysokie włoskie topole, zasłaniały od dziedzińca kuchnię, długą starą stajnię i wszystkie liczne, a za

sobne zabudowania folwarczne, kończące się od pól dwiema ogromnymi stodołami o silnych słupach murowanych. Żywy plot, okalający ogród, zapuszczony od lat wielu, zaczęto znowu strzyżać po obu stronach odnowionej bramy, lecz dalej wznosił on jeszcze ogromne kokzaste różgi, które mogłyby być bronić tajemniczego ogrodu jakiejś zaklętej wróżki.

Dom obszerny był i długi, o wysokim dachu i miał tylko pięterko o trzech oknach. Dzikie wino osłoniło go było tak szczelnie swymi tysiącnymi ramionami, że tylko rząd dużych i wysokich okien, naosieież otwartych, pozostał od nich wolny, Muru nie dostrzegł. Iles nawet najmniej. szego kawałka, a wybujała roślinność, chwytając się każdej najsłabszej podpory, wygiąwszy się pod szerokim okapem, śmiało nawet gdzieś wystrzeliwała na stary dach i odbijała na nim młodą swą zielonością. Wszystkie okna schodziły tak nisko, że wysoki człowiek mógł je przestąpić, jak próg. Tylko na zachodniej części domu ciemne wino ustępowało nieco miejsca delikatniejszej barwie glicy nji, o misternie wykrawanych liściach, która zwieszała swe liljowe kwiaty, jak winne grona, a zapewne od niedawna oswobodzoną została od duszących już ją uści sków wszędzie zwyciężkiego sąsiada. Dom stał na miejscu rozległym i wolnym od kłębów i drzew. Od zachodu jedynie trzy stare nadwiślańskie topole zwieszały prawie tuż nad nim swe silne konary, i z okien po pod ich cieniem szeroki widok rozpościerał się na złotą równinę, poważną Wisłę i zielone jej brzegi, a wdali na pagórki, zamykające widnokrąg. Komnaty we dworze były wysokie, prawie wszystkie obszerne i bardzo jasne, dzięki dużym oknom, które na południe i wschód patrzyły na wielki dziedziniec i na starą lipową aleję.

Na wewnętrzne urządzenie, jakim go zastał Krzysztof Sieniński liczne składały się pokolenia, a choć

jednych piętna zacierają ślady poprzednich, po wszystkich jednak resztki ich pozostały. Z najdawniejszych niewiele, bo z XVI wieku tylko jedna żelazem okuta szkatuła i trochę broni ocalało; z następnych szklany włoski pajak i gdańskie szafy na książki; z późniejszych czasów za to przechowano tak wiele, że obszerny salon, na północ wychodzący, który mógł być prawie służyć za salę balową, zachował nietkniętym swój styl empire, swe marmurowe konsole z urnami, swe kosze na kwiaty, spoczywające na barkach trzech Gracyj z brązu, swe proste i sztywne, ale bynajmniej wdzięku nie pozbawione, krzeselka i kanapy, pokryte atlasem, spłowiałym do niepoznania. Choć Sieniński zajmował tylko cztery pokoje w zachodniej części domu, wszystkie inne tak były napełnione sprzętami i życiem dawnych właścicieli, że bynajmniej nie raziły pustką, zniszczeniem lub ogołoceniem. Ściany ożywiały nieskończony szereg portretów przodków młodego dziedzica. Można panowie z Sienna, naprzemian zbrojni, lub ze statutem w ręku, z infułą i pastorałem, ich matki, żony i siostry, w rozbiorach lub zakonnej szacie, nieprzerwanym łańcuchem żywo przed oczami roztaczali historię swego rodu. Mądre głowy i silne postacie tych mężów stanu, wojewodów i kasztelanów sandomierskich, biskupów kujawskich i arcybiskupów gnieźnieńskich, przeciągały się w chude twarze z XV wieku, świeciły zapalem walki religijnej wojowników XVI stulecia, aby dalej rozpaść się i zgnuśnić umysłowo i fizycznie w coraz cięższych domatorach dwóch wieków następnych. Olszowski znał doskonale ich dzieje i, wiele razy spojrzawszy na portrety w Chronowicach, utwierdzał się w przekonaniu, że ród ten, który przez dwa stulecia dał ojczyźnie długi poczet sług dobrych i mądrych, potem . znikną! bez śladu z kart historii, dlatego że popadł wraz z wielu innymi w ciężki grzech tych ludzi, co... dozwolą na wiele złego w politycznym kształtowaniu

niu ojczyzny, a paka między drzwi nie włożą, rusza iąc ramionami, z przysłowiem: Ja nu bocian, abym świat rzyściłr, Sicińscy tak szczelnie zamknęli się wtedy w swych majątkach, że o świecie zapomnieli, a on też o nich jeszcze zupełnie. Chodząc około roli, żeniąc się ze szlachciankami z okolicy, zeszli byli tak nizko w politycznem znaczeniu, iż do czasów ojca Krzysztofa, przebudzenie ich zdało się niemożliwym. Dawne, rozległe dobra ograniczały się już wtedy dojednych Chro nowic, a niegdyś liczebnie silny ród—do jednego pana Jakóba. Teu ostatni ożenił się późno z młodziutką i podobno bardzo ładną szlachcianką z Lubelskiego, panną Elżbietą Zegocką, która umarła po kilku zaledwie latach pożycia, zostawiając tylko jedyne .syna, nie umiejącego jeszcze prawie mówić.

Pan Jakób, który przedtem mało kogo znał i widywał, a przyjacioł nie posiadał żadnych, po śmierci żony nio wyglądał już wcale z domu, tak iż prócz ekonoma, który przychodził mu zdawać sprawę ze stanu majątku, lisiędza proboszcza i chłopów, którzy go w niedzielę i święta zdaleka w kościele widzieli, nikt go nie spotykał nigdzie. Dzieciństwo, a później za lat szkolnych wakacje Krzysztofa, spędzane w starym dworze pod okiem surowego ojca, wpłynęły na ukształtowanie charakteru chłopca, na wyrobienie w nim powierzchownej obojętności i chłodu. Ztąd wynikała u niego ta trudność do bratania się i nawet zbliżania do ludzi, do udzielania swego zdania, a natomiast zamiłowanie samotności i możność wystarczania sobie, bez których życie byłoby się dlań stało nieznośnem. Olszowski dopiero odkrył w nim tę raiększą i cieplejszą część duszy, zapewne po matce odziedziczoną. Wszystkie władze umysłu i serca, drzemiące w poprzednich pokoleniach, rozbudzone tym nowym ogniem, teraz mogły wrócić do życia w ostatnim

młodym Sienińskim. Hieronim też, znając doskonale jego zdolności, wierzył niewzruszenie, że krew dziadów przemówiła w nim nareszcie, i przyrzekał sobie święcie użyć całego swego wpływu, aby Krzysztof poszedł za nimi, zerwał z tradycją samolubstwa ostatnich pokoleń, i użył niepospolitych sił swoich do pracy, szerszej niż uprawianie ojczystego zagonu. W obszernej jadalnej sali stół który mógł być służyć dla trzydziestu biesiadników, teraz ściągnięty zupełnie, nakryty był na dwie osoby. Okna komnaty, jednej z niewielu przez Krzysztofa zajmowanych, wychodziły na dziedziniec, a wysokie jej ściany, jak zresztą we wszystkich pokojach, zdobiły portrety panów Sienińskich, z tym tylko dodatkiem, że pod nimi ciągnął się szereg wielkich jelenich rogów, przerywany w kilku miejscach wikzą lub dziczą głową, błyskającą białymi kłami. Odwieczne, ciemne dębowe szafy, pełne sreber i starej saskiej porcelany, i rząd krzeseł skórzanych, o wysokich drewnianych poręczach, pięknie, może w Gdańsku przed wiekiem rzeźbionych, uzupełniały umeblowanie całego pokoju, pomimo ich liczby, wcale sprzętami nie przepelnionego.

Młody gospodarz, zmieniwszy naprędce ubranie do konia, które na letni wieczór zaciężkiem mu byto, pobiegł na piętro, gdzie Olszowski kończył się ubierać, i po chwili ciemnymi i wązkimi schodami sprowadził go do jadalnej sali, gdzie ich suta czekała kolacja.

— Sądząc po początkach,—rzekł Krzysztof, gdy siędli do stołu,—mnie moja robota bardziej służy, niż twoja tobie. Strasznie się zmizerowałem w ostatnich kilku miesiącach. Podczas twego wykładu temu tydzień chowałem się za moją ławkę, jak mogłem najlepiej, abys mnie nie widział; ale ukradkiem co chwila spoglądałem, czy nie spadniesz z katedry, bo bardziej byłeś do ducha, niż do siebie podobny!

— A tyś się tymczasem opalił, jak parobek i gruby się robisz!—otłpart Hieronim.

— Nie wywołuj...—śmiał się Sienitiski,—bo twoje słowa mogłyby się sprawdzić, a tego Golden flower bardzoby nie lubił. Ale za karę przestrzoam, że cię ztąd nie puszcze, póki się nie upasiesz, jak ten stary profesor z Halli, któregom ci w Lipska rok temu pokazywał. Uobra tusza, decrait aller a tre le im metier, i byłoby tak z pewnością, gdyby nie pozerająca ambicja, która, zjadłszy twą duszę, rzuciła się teraz na ciało — mówił Krzysztof, spoglądając ze śmiechem w oczach na wy chudzone członki towarzysza.

— Co do tego—zawoła! Hieronim,—zareczyć moge, że gdybym jej miał choć troche, zaraz ustąpiłbym ci ją całą, bo gwałtownie ci jej potrzeba,.., choćby nawet i ilo zgrabności ligury.

— Ho! ho ! jak zawsze, te same wielkie morały! Świec mi pierwej przykładem, mój kochany profesorze, napisz wielkie dzieło, a gdy cię za nie osmarują dzienniki i gdy zatrzesiesz opinja łych, co cię czytać nie będą, wtedy pójdę na pewne pod twoje rozkazy, jak prkorny baranek. Nateraz ci przyznaję, że idziesz prędko i śmiało swą drogą, i że ci się wszystko dotąd udaje... wyjąwszy może... utrzymania w ryzach Zygnunta. Ale, propos tego bałamuta, kiedyż on przyjeżdża i co robi?

— Co robi? naturalnie nic, tylko się nudzi. Ej!..— i tu Olszowski ręką machnął. Wiedziałem ja, że tak będzie, jak jego pierwszy prawniczy egzamin szedł tak oporem. Puścili go... choć nie umiał prawie nic.

— Ale potem—przerwał Krzysztof,—wojskowy zdał nieźle,

— Jeszczeby też tego był nie dokazał! Każdy oficer ci powie, że to rzecz prawie niepodobna. Chyba... W wojsku by! nawet bardzo lubiany, jadł dobrze, pił jeszcze lepiej; na koniu śmiały i zręczny, pobrata się

z każdym, a w sprawach kart i pieniędzy... jak zawsze nest que tron nmlant. W przeszłym roku, jak wróciłem z Niemiec, a jemu się właśnie służba wojskowa kończyła, namawiałem go, żeby w niej został. Liche życie i zajęcie być lejtnantem i górali musztrować... ale lepsze to, jak nic. A teraz....

— Mówił mi, że nie mógł się douczyć do egzaminu przed wakacjami i że go zda w październiku—wtrącił Krzysztof.

— Aha! właśnie... jeżeli będzie gotów na drugi październik, to będę bardzo kontent. Z nauki od roku wie on tyle, że korepetytora do niej grubo płaci. W mieście wstaje popołudniu... bo kiedyżby spał, kładąc się najczęściej między czwartą i szóstą. Potem bilard i wizyty, wieczór, raut. herbata albo bal; kiedyż można znaleźć czas, aby bębnić prawo? Po wakacjach zaś zaczynają się polowania, na których musi zostać; potem niewarto wracać przed świętami Bożego narodzenia, a po nich najlepsze polowania na śniegu i... karnawał z postem znowu za pasem!

Olszowski mówił to wszystko z wzrastającą ironją i prawie z gniewem, bo lubił Zygmunta; daremnie się starał nakłonić go napowrót do pracy i gryzł się tem więcej, niż ci, których chłopiec bliżej obchodził.

Krzysztof zaśmiał się krótko, widząc zapał Hieronima, lecz wnet odrzekł poważnie:

— Ach! lo źle. bo u nas jak chłopiec przez rok odwyknie od pracy, to już się do niej nie weźmie. W innych krajach więcej i gorzej młodzież hula, ale po paru latach zwykle człowiek, wyszumiawszy się, wraca do jarzma. Tu, naprawdę, tak wiele złego nie robią, ale też wkrótce nie są już w stanie nic robić... Trzeba jednak mieć nadzieję, że Zygmunt jeszcze z tego wyjdzie.

— Dałby Bóg, ale nie wiem, — odparł Olszowski. Tyś go prawie od trzech lat nie widział, a tu nie zo

baczysz zmiany, bo chłopiec zawsze dobry, ucieszy się do twego towarzystwa, którego dawno nie miał, będzie się zaś bawił końmi i polowaniem. Ale w codziennem życiu już on nie zawsze taki; nudzi się, niekontent, narzeka na ojca, że mu nie pozwolił uczyć się gospodarstwa, do którego, utrzymuje, że ma zdolności... choć mnie się zdaje, że ma tylko ochotę do polowania i do jazdy konnej.

— Ależ ty strasznie czarno się na niego zapatrujesz—przerwał Krzysztof. Zaczę się bać. że mnie także zaraz krytykować będziesz i powiesz, że ze mnie nic już być nie może,

— O nie! przeciwnie. Myślę i mam nadzieję, że z ciebie będzie bardzo dużo!—odparł Hieronim,

Sienińskiemu oczy się znowu zaśmiały, lecz nie rzekł nic i obaj, skończywszy kolację, wyszli do przyległej komnaty, gdzie była biblioteka, a teraz główne mieszkanie młodego pana domu.

Wszystkie ściany zajęte tutaj były wysokimi szafami, pełnymi książek, z których oprawa wielu świadczyła już o ich niemałej starości. W środkowej natomiast szacie. nieco od innych szerszej, pozawieszane były bronie z XV

i XVI wieku. Nad starem biurze przy oknie, na jedynej wolnej ścianie wisiał duży portret naturalnej wielkości, nieźle malowany, pędzla Winterhaltera, a przedstawiający młodą kobietę w białej, lekkiej sukni, o figurze drobnej i niewysokiej, której prawdziwie piękne, ciemne oczy miały spojrzenie pełne życia i ciepła, w sprzeczności będące ze smutnym wjazem twarzy i zmęczeniem jakimś, rozłanem w całej postaci. Zachodzące słońce, rzucając ukośnie swe czerwone światło przez szeroko otwarte okno, mieniło się różowym cieniem w fałdach białej szaty i dawało jakby iskrę życia smutnej kobiecej twarzy, Olszowski, stanąwszy przed portretem, wpatrywał się weń uważnie i rzekł po chwili.

— z oczu poznałbym zaraz, Ze to twoja matka. Tylko... w twoich rzadko bywa ten wyraz, a często nawet są one tak chłodne, że mnie od nich aż zimno się robi.

Krzysztof stanął obok przyjaciela i patrzył także, a jakby na zaprzeczenie słów Hieronima, purpurowe światło słońca ogniście odbijało się w ciemnych jego źrenicach.

— Nie miałem lat dwóch, jak umarła,—rzekł z wolna. Długo bardzo myślałem, że jej nie pamiętam wcale... ale teraz, kiedy tak często i długo na nią patrzę, zdaje mi się, że przypominam sobie chwilę, kiedy te oczy na mnie patrzyły... choć... chyba musi to być tylko złudzeniem!

Dziwny był sposób, w jaki Krzysztof mówił o matce—bez żalu, bez bóleści, z jaką się wspomina nad wszystko kochaną osobę — ale z tem poszanowaniem miłości, której byłby był tak zaznać pragnął, z tęsknotą za tem szczęściem pierwszym, które mu nie było danem, a które każdy

niemal człowiek posiada w młodości. W chłopięcych latach nie mógł przelać na ojca serdeczności, która pomimo wszystkiego pozostała mu w spuściznie po matce, bo p. Jakób trzymał zdaleka od siebie syna, który instynktownie czuł w nim brak przywiązania i wielkie samolubstwo. Dom i ziemia rodzinna stała mu za wszystko, dopóki przyjaźń Olszowskiego i głos mistrzahistoryka na katedrze uniwersyteckiej, który po raz pierwszy wstrząsnął do głębi jego duszę, nie zapaliły w nim nowej pochodni. Po słowach ostatnich Sienińskiego obaj umilkli i po chwili, zapaliwszy cygara, usiedli przy biurze w wygodnych, starych skórzanych fotelach o wysokich oparciach. Przez otwarte okna z dalekich pól dolatywały głosy żniwiarzy, kończących dzienną robotę, a świergot ptaków, jakby zmęczonych całodziennym upałem cicho odzywał się wśród gałęzi pobliskich drzew ogrodu

Olszowski pierwszy przerwał milczenie:

— Niebardzo dawno tu jesteś, ale jednak dosyć już długo, aby wiedzieć, czy taka samotność nie zanadto ci ciąży? Zawsze byłeś dzikim, ale od lat przeszło dwunastu musiałeś żyć między ludźmi, i powinno ci ich teraz brakować.

— Cbyba nie... — odparł młody gospodarz. Często, wieczorami zwłaszcza, gdy zimno i słotno, przychodzi życzenie, abym cię mógł mieć tutaj... ale tak samo byto na .Szlązku i w Halli, często nawet dużo gorzej. Wesolo mi nie jest, ależ i być nie może; mara zaś to czego chciałem: roboty dosyć, czytania nie mniej, przyjemność siedzenia tam, gdzie się być powinno; koni tylko jeszcze mało, lecz będzie ich więcej. Gospodarstwo było dość zaniedbane, ale majątek lepszy niż myślałem, i jak w niego

trochę pracy włożę, to mnie będzie stać coroku na podróż do Anglii lub Włoch Wszystko bowiem z dawnych czasów dobre: budynki konie i chłopci; tylko starych ekonomów trzeba poga niać. na czym też cała moja robota polega.

Olszowski przerwał:

— Dobrze to teraz, na początek. Lecz na ciebie to o wiele zamało i wkrótce mógłbyś pomyśleć o czymś

— Ach prawda, ale o czym? — odparł Krzysztof i urwał, podnosząc wazkie brwi, a wstawszy, jednym wielkim krokiem wyszedł przez okno z cygarem w ręku.

Olszowski za nim stanął w oknie na murze i zawołał :

— Widzisz, o ileś ty większy odemnie; dla ciebie jeden krok tam, gdzie ja mozolnio wydrapać się muszę, i potem złazić jakby z drabiny

Krzysztof podał mu rękę do zejścia, mówiąc:

— No, chodź, moja panno!

W ruchu zaś jego tyle było zgrabnej uprzejmości, że Olszowski się zaśmiał i odrzekł:

— Oj! żeby ja był panna, zarazbym na ciebie sidła zastawił.

— Zareczam, że ci teraz łatwiej, — wtrącił Krzysztof z uśmiechem.

— No. iio, jeszcze nie wiem o tem i mam nadzieje, że nie.

— Więc rozkazuj, a zobaczysz. Czegóż teraz chcesz odemnie? Aby z mieszczanami sąsiedniego grodu i z izraelskimi dziedzicami z okolicy a mymi sąsiadami, zasiadał w radzie powiatowej? lia! trudno — pankaże, sługa musi. Ale wolałbym, żeby mi moja pani powiedziała: .Krokodyla daj mi luby.

— Krzysztofie, mówże o tem raz bez żartów — przerwa! Hieronim, — bo zawsze wszystko w śmiech obracasz, tak, iż niedługo myśleć zacznę, że unikasz tej rozmowy, albo... że ci się w głowie pomieszało przez ostatnie trzy lata.

— Już, już więcej nie będę! — odparł Sieniński i obrócił się wprost ku słońcu, którego czerwona tarcza stanęła w tej chwili na szczycie pagórków za Wisłą i krwawym wzrokiem zegnała okolice, złocąc już tylko rzadkie jej wzgórza.

Słońca już tylko rąbek połyskał. Chwilka jeszcze— i znikło, a za niem, jak cień ostatniego płomienia, strzeliła w górę długa, czerwona smuga, gubiąca się na środku jasnego nieba w ciemnofioletowych barwach. W tej chwili lekki wietrzyk powiał od Wisły po twarzach dwóch młodzieńców, zaszeleścił w srebrnych liściach topoli i zginął cicho w miękiej zieleni, okrywającej dom po za niemi stojący, Hieronim mikzał, a towarzysz jego mówił:

— Pamiętam, jak przez mgłę, czas, kiedy miałem lat kilka. Ojciec zupełnie już nikogo nie widywał, mnie samego nawet rzadko, bo chory był już ciągle. Słyszałem tylko, jak ludzie w cichości się zbierali, broń przygotowywali i konie ujeżdżali po dworach. Dziec

kiem byłem, aJe przytem tak dziki, że sobie z rzeczy sprawy nie zdawałem, Lecz czułem, że chmura wisiała nad nami i nad okolicą. Uciekać za innymi nie mogłem, a ojca też bałem się srogo. Zrozumiałem wszystko dopiero później, gdy paro razy spotkałem kilku, wracających wpraw przez rzekę...

— Teraz nas inna, spokojna, ale nie mniejsza czeka robota, a tobie łatwiej do niej się zaprzędz niż innemu— rzekł Hieronim. Za pięć lat musisz pójść do sejmku z mniejszej własności.

Sieniński zdaniu przyjaciela przyznawał rację, lecz mikzał w głębokim zamyśleniu. Po chwili zaś rzeki:

— Przejdźmy się teraz wkoło ogrodu, a wrócimy przez folwark, gdzie mam powiedzieć kilka rzeczy ludziom na jutro.

Poszli przed siebie, rozmawiając ciągle, po pod stare jawory i lipy, ścieżką, która, zakręcając miękie koło, gubiła się w gęstych kłębach bżów i leszczyny. One, łącząc się nad głowami niskim sklepieniem, tworzyły już prawie nocną ciemność, choć wokoło zmierzch dopiero zapadł i zaiedwo zaczynał przysłaniać kształty dalszych pól i drzew mgłą białawą, wstającą od rzeki.

Nazajutrz rano, nim Olszowski, który rzeczywiście potrzebował wynagrodzić sobie wiele niedospanych nocy, zdołał się zebrać, Sieniński już z ranntego objazdu ro bót w polu powrócił i wolał o śniadanie, które wkrótce podano w jadalnej sali, silnie ranucm słońcein oświeconej. W tem świetle stary dom, jego zamożność, widna na każdym kroku — wszystko mówiło o dawnej sile i znaczeniu rodu i mogło być teraz stać się niewzruszoną podstawą równie wielkiej przyszłości.

— Jak odeśpisz się trochę — rzekł do wchodzącego Olszowskiego,—to cię wcześniej z łóżka wyciągać będę, bo rano najlepsza pora do jazdy konnej, a chcę też tylko doczekać się Zygmunta, aby próbować podjaz

dów. Rogaczy wiele niema, bo nie byio w tych rzeczach porządku, więc sobie we dwóch będziecie strzelać, dla mnie bowiem dosyć przyjemności być w lesie

o tych godzinach, Ale kiedyż Zygmunt obieca! przyjechać?

— Dziś, albo jutro—odparł Hieronim, Ale z takim bałamutem nigdy niema nic pewnego,

— W takim razie po śniadaniu pójdziemy dziś do kościoła, bo chcę, abyś zobaczył stare nagrobki

i powiedział mi swoje zdanie o tym, który teraz postawiłem.

Skończywszy po chwili śniadanie, wyszli obydwaj i przez szeroki dziedziniec, na który słońce prawie już prostopadle wylewało potoki swych gorących promieni, ruszyli dalej długą lipową aleją, której stare drzewa rzucały cień w letniej porze błogosławiony, Biały an gielski wyżeł w żółte plamy, korzystając z pozwolenia Sienińskiego, szedł za panem krok w krok, a choć tak poważnie musiał się zachowywać, złajał ciągle i różowy język wywiesił do połowy. Czasem tylko stara! się nim zagarnąć w lot blisko przelatującą muchę, lub podnosząc głowę, ruchliwym nosem silniej pociągał powietrze za każdym razem, kiedy chłodniejszy wietrzyk po pod gałęzie lip przyniósł ran z pól zapach ptaszków, wśród zbóż schowanych.

Przekraczając z południa na północ wiodącą murowaną drogę, minawszy porządny dom proboszcza i dostatnie gospodarstwo, otoczone bogatym wielkim sadem, aleja rozszerzała się nagle i tworzyła wielkie półkole, na środku którego stał czarny, drewniany kościół, porośły mchem, tak ciemnym prawie jak patyna, którą wieki pokryły kamienie gotyckich katedr. Żółtym lub siwawyni cieniem powlókł on zczerniałe deski, pamiętające pewnie pierwsze szwedzkie wojny, a rozwiłmoż nił się najwięcej we wszystkich zagięciach, w obramieniach okien i na starym spiczastym dachu. Wiekowa

dzwonnica, stanowiąca główne wejście, wyższa nieco od reszty kościoła, ale trzymająca się go, jak czworokątna wieża, rozszerzała się ku dołowi, a gontem kryty krużganek, oparty na niskich drewnianych słupach, obiegający wokoło kościół, dawał mu w całości kształt, gwałtownie ku górze się zwężający, w miarę jak wzno sił się od ziemi ku lipom, nad nim nachylonym. Do północnej ściany kościoła przystawioną była murowana kaplica, a jej poszarzałe, od wilgoci zzieleniałe mury nakrywał świecący dach mosiężny. Stary, zgrzybiały kościół zdawał się niejako znajdować oparcie w silnych murowanych skarpach kaplicy, ona zaś szukać jego opieki i błogosławieństwa.

Kanne nabożeństwo już było skończone, gdy Sieniński z Hieronimem weszli do kościoła. Od żółtych woskowych świec wznosiły się jeszcze w górę sznureczki dymu; dopiero je właśnie pogasić musiał stary kościelnik w szarawej płótniance, który, stukając głośno, buta mi i mruczając coś z niezadowolenia pod nosem, kończył zwykle codzienne sprzątanie, ograniczające się na gaszeniu bocznych lampek i nakryciu ołtarza kawałkiem starej, litej, dziś zczerniałej materji, która pewnie niegdyś za aniepedjum służyła. Zapach stopionego wosku nappełniał powietrze; kilka kobiet wiejskich klęczało jeszcze, kończąc półgłosnym szeptem zaczęte podczas mszy pacierze, a suchie, czarne ich twarze i czoiw Mie chustki, ciasno z tyłu głowy związane, odbijały barwnie od białych koszul i jasnych perkalowych spódnic. Na ciemnym tle kościoła, w świetle złotobrunatnera, które drżało w powietrzu, wpadając kliku smugami przez droline szybki niewysokich okien, białe klęczące postacie stanowiły .iedyne jasne punkty; chude zaś ich aż do ostrości twarze, z wzrokiem wlepionym w stary, całkowicie zczerniały obraz Matki Bozkiej z głównego ołtarza, suche, spracowane ręce. złożone teraz do modlitwy. typem swym i wyrazem, wcześniejszym niż

Odrodzenie. mimowoli przenosiły myśl w czasy, kiedy panowie z Sienna, śpiący teraz obok w murowanej kaplicy, zasiadali w radzie koronnej, lub wiedli hufce do bitwy.

Szczupła, zniszczona ornamentacja całego kościoła, nosiła wyraźne ślady XVII wieku, poczęści tylko zatarte przez późniejsze dodatki, lub przez niewięcej barbarzyński ząb czasu. Główny ołtarz, drewniany, o dwóch wcale zgrabnych kolumnach, równie był ciemny, .iako wszystko co go otaczało, a starośij, położywszy wszędzie swe piętno, uśmierzyła jaskrawość kolorów i nadała wszystkiemu swój jednostajny ton, w braku jednolitego stylu. W prezbiterium, przy wielkiej, złitym iierbetn ozdobionej kolatorskiej ławce, stała zatkidęta srebrem pysztie wyszywana chorągiew, ale, choć jej aksamit .spłowiały był do niepoznania, a srebrne nitki prawie całkiem zczerniały, chwilami, gdy potriew wiatru uchylał gałęzie lip, rzucające cień na okno, promień słońca, padając naprzeciw, tysiącem jasnych świa te! połyskiwał jeszcze na bogatym hafcie. Wtedy także pod chórem na czarnej, w kącie schowanej chorągwi, wyłaniały się pokrzywione twarze potępieńców i czerwienił się ogień, buchający pod ich stopami.

Grube mury przyległej kaplicy nie zdradzały także prawie żadnego stylu, a tylko dwa niewysokie okna miękim swym łukiem przypominały późny renesans. Nad piękną arkadą wchodową błyszczą! wiekiem już poszczerbiony, w roślinny ornament ujęty herb wspólny rodu panów z Sienna i z Oleśnicy, starożytne Dębno. Ołtarz z ciemnego marmuru i nagrobki, ciasno zaległy wszystkie ściany, Ale tylko jedna płaskorzeźba, większa i prawdziwie piękna, zwracała uwagę, a przedstawiała Jana Sienińskiego, kasztelana halickiego, towarzysza wojen króla Stefana, pochowanego jeszcze w murze kapliczynyra, podczas gdy zwłoki późniejszych

dziedziców spoczywały już wszystkie pod kamienną posadzką w obszernym, sklepionym grobowcu.

Zmówiwszy krótki pacierz przed wielkim ołtarzem, dwaj młodzi ludzie weszli do kaplicy, a Sieniński, schylając się do marmurowych lub spiżowych płyt nagrobków, mówił zcicha do Hieronima:

— Dawniejszych mało tu leży, pochowali się w Siennie, z tamtej strony Wisły; najwcześniejszy jest ten prześliczny rycerz w zbroi.

Olszowski, dosyć dobry znawca i wielki wielbiciel starej sztuki, uważnie przypatrywał się nagrobkowi, tchnącemu jeszcze całą pięknnością Odrodzenia, u nas wówczas jeszcze nie całkiem przekwitłego, a Krzysztof szeptał dalej:

— Zdaje mi się, że ten był ostatnim, który czemś był i Coś robił... nie dla siebie wyłącznie.

Tu Hieronim się obrócił i spojrzał na Sienińskiego, bo w głosie jego czuł więcej niż zwykle wspomnienie pradziada z przed ośmiu pokoleń. Po chwili zaś rzekł: Tak: wiem o nim i znajduję, że on powinien być twoim patronem.

— Żebym był się urodził jego .synem... za Zygmunta III.. jeszcze był czas. Ale dziś... strasznie jam od niego daleki!—odparł Sieniński.

— Może bliższy niż ci, co byli pomiędzy wami— wtrącił jakby .o siebie Hieronim i odwrócił się do innych nagrobków.

Sieniński dawał mu jeszcze różne objaśnienia i na stopnie wyszedł.

Olszowski dopiero po dobrej chwili, obejrzawszy wszystko dokładnie, przez kościół, pusty już teraz zupełnie, za nim podążył. Lecz wyszedłszy przez szerokie środkowe stare drzwi, u których wisiał jeszcze pęk ogromnych kluczy, patrząc przed siebie, nie widział nikogo, i dopiero obejrzawszy się na lewo, spostrzegł Krzysztofa, który stał pod kaplicą, oparty o żelazne ogrodzenie, odwrócony tyłem, a z głową na

przód pochyloną i odkrytą pod żurem palącego słońca. Olszowski, zbliżywszy się doń, po raz pierwszy dopiero zauważył, że pod murem kaplicznym stało jeszcze kilka nagrobków, a jeden z nich białym marmurem lśnił się cały w tym potopie południowego światła. Krzyż, dosyć wysoki, wznosił się na nadzwyczaj lekkim, renesansowym cokole, na środku którego wyrzeźbionem było popiersie młodej kobiety, ubranej w zwoje winnych gron i liści. Podobieństwo jej do portretu z bibljoleki w Chronowicach, choć może nieco dowolne, bo przedstawiające rysy bardziej regularne. zaraz przy pierwszym spojrzeniu nie zostawiało wątpliwości, czyja to była pamiątka. Żelazna, przejrzysta i lekka krata okalała nagrobek, który na tle czarnego kościoła i siwych murów kaplicy nęcił oko dziwnym blaskiem, niezgodnym może z tem, co go otaczało. Na miękiej murawie kroków Olszowskiego wcale słyhać nie było, i dopiero, gdy stanąwszy przy grobowcu, także się przez balustradę nachylił, Krzysztof odwrócił ku niemu swe ciemne, jakby drzemiące źrenice, które, choć szeroko otwarte, patrzyły przed siebie jakby mgłą zakryte, a widzieć chyba musiały tylko daleką przeszłość.

Teraz mikząc, stali obydwaj przez chwilę; wreszcie Hieronim się odezwał:

— Znać na tym krzyżu, żeś był we Włoszech.

— Tak—odparł Krzysztof zwolna—myślałem, że dla niej trzeba coś jasnego, takiego, jakim jej życie było być powinno... Tn urwał i po chwili dodał:

— Ale czas nam teraz iść do domu. bo słońce prawdziwie po włosku dopieka, a kiedy mówisz, że krzyż Włochy przypomina, to kontent jestem, bo właśnie takim go mieć chciałem,

I przez cieniastą aleję poszli ku dworowi, za nimi zaś cierpliwy wyżeł, który przez cały czas leżał posłusznie i cicho w cieniu lip rozłożystych.

Zygmunt pizyjechał do Chronowic dopiero we dwa dni później, jak zrazu miał zamiar, i jak to Hieronim przepowiadał. Wesół był i kontent ze wszystkiego. Mówił o swoich światowych zabawach, troche o swych sukcesach u mężatek i panien, a widocznie więcej się niemi cie.szył, niż w pierwszym roku bywania w świecie. Powierzchnownie zmienił się bardzo od lat trzech, więcej niż dwaj starsi koledzy. Na wysokość i w szerokości pleców prześcignął już teraz Sienińskiego znacznie; rysy straciły nieco z dziecinnej świeżości, ale, ku wielkiemu zmartwieniu ich właściciela, wąsy pozostały krótkie i nic zakryły trochę grubych warg. uderzających dziś nieniekością wyrazu, nie licującego z postacią iuż prawie dojrzałą. Ubrany był, jak zawsze, według najnowszej mody, tylko kraty na rannych surdutach bywały mniejsze i mniej jasne, krawaty mniej jaskrawe i w oko wpadające.

Wieczorem, po jego przyjeździe, nim podano kolację, Sieniński rzekł do Zygmunta:

— Mamy jeszcze chwilę czasu i, jeżeli chcesz, mo gę ci moje konie i gospodarstwo przedstawić.

Drogą pomiędzy gęste kłąby i wysokie topole poszli ku folwarkowi, zostawiwszy Hieronima w bibliotece. Sieniński, wskazując na grubą, więcej niż szesnastej miary gniadą klacz, która się swobodnie obracała w pierwszej dużej przegrodzie, rzekł do Rowińskiego:

— Będąc w Wiedniu na wiosnę, kopilem tę kuckę, abyś miał na co siadać, jak prz.yjedziesz. Chodzi i skacze doskonale, ałe jak na błoniach i kębach

radośnie przypomni sobie zieloną Erin, rodzoną swą ziemię, lo można z tej uciechy spotkać się łatwo z naszą nadwiślańską grudą. Za tą pierwszą ciągną! się długi szereg przegród, w których niepowiązanych stało kilkanaście białych jak mleko klaczy, o ciemnych grzywach, czasem różową hreczką przysypanych. Maleńkie, zawsze postawie

ne uszy. czarne, wypukłe, mocno roztwarte oczy, krzyże do zbylku długie i cienkie, jedwabiste ogony na pierwszy rzut oka mówiły o dawnym, ale czysto wschodniem pochodzeniu tych koni.

W końcu stajni dopiero z po za krat żelaznych wyglądała złota głowa miejscowego pana, o długiej wąskiej łysinie, ciemnych stulonych chrapach i drze miącem długiem oku.

Sieniński, otwierając klatkę, dodał:

— To jest goldenFlower, który byłby pewnie został ein Derby Sieger, ale, rodząc się o grudnia, zamkną! sobie drogę do sławy. Wygrał więc tylko kilka steeplechasów w Inglji i w Wiedniu, aby następnie temu dwa miesiące tu przywędrować. Nie wiem, o ile mn się u mnie podoba, choć pewien jestem, że. jak na siebie, wy.sypałeni za niego... bardzo dużo pieniędzy; mam jednak nadzieję, że rai je odpłaci.

Koń, jak gdyby w odpowiedzi na słowa pana, wyciągnął ku niemu atlasową szyję i cienkim nosem szukał cukru w jego rękach.

Sieniński pokazywał dalej Zygmuntowi wszystkie swe bogactwa: bydło, woły i konie robocze, szereg próżnych jeszcze, ogromnych stodół i nowe pługi, jakite oprowadził, bo Kowiński mówił, że go to bardzo zajmuje; wzdychał i zazdrościł, iż nie może sam oddać się pracy, która właśnie

jedna tylko mu się uśmiechała. Wkrótce jednak rozmowa zesłała na polowanie, i dwaj młodzi ludzie skierowali się z powrotem do domu, gdzie czekała już i stygła suta kolacja, do której musieli Hieronima gwałtem od książek odrywać.

I tak w Chronowicach dni i tygodnie płynęły szybko stęsknionym do siebie przyjaciółom: Hieronimowi na wertowaniu bogatej biblioteki i nowych książek, których już tam było pod dostatkiem, na rozmowach z Krzysztofem i wesołych godzinach, spędzanych wspólnie, — Zygmuntowi na jeździe konno i rozkosznym

próżnowaniu, — Krzysztofowi zaś na zwykłej, ostrej spodarskiej pracy.

III.

Minął rok jeden i drugi, nie przynosząc w życiu trzech przyjaciół żadnej znacznej zmiany. Olszowski, jako docent, wykładał sumiennie, a umiał o tyle natchnąć życiem swoje słowa, że mu dziwnym trafem słuchaczy nigdy nie zabrakło. Pracował prócz tego wiele w domu; przygotowywał z wolna jakąś większą rozprawę, a część wakacyj zwykle spędzał w Chronowicach. Matka, mieszkając z nim w mieście, wyjeżdżała wtedy do krewnych w Królestwie; pamiętając zaś o jego wygodzie i wszystkich potrzebach, umiała tak z każdego grosza korzystać, że, pomimo bardzo szczupłego dochodu, życie ich, choć skromne, kłopotliwym nie było.

W Chronowicach tymczasem gospodarstwo, pod naciskiem sprężystej ręki młodego pana, przynosiło coraz więcej dochodów; ziemia bogata, niewyczerpana dotąd bynajmniej, nie obciążona długami wcale, wkrótce tak suto zaczęła wydawać, że Sieniński mógł według swego życzenia co roku do Włoch albo do Anglii wyjechać. Zwykle w połowie zimy w świat

się wybierał i wracał na siewy, a brakowało mu wtedy tylko w domu towarzystwa Hieronima. Ten pojechał z nim raz do Włoch i potem uparcie a mozolnie przez dwa lata spłacał mu koszta podróży, nie chcąc ich przyjąć od niego. Wskutek też tego Sieniński nie śmiał go już więcej na coś podobnego namawiać, choć bez niego nikła dlań połowa każdej przyjemności. W Krakowie zatrzymywał się tylko w przejeździe. Swiai rautów i bali nie widywał go wtedy wcale, ale znały go za to jeszcze czasem ławki sali, gdzie wielki mistrz zamierającym już głosem wykladał polską bistorję, bo nieraz za studen

tami wsuwał się na nie. aby zaczerpnąć powietrza, które umiało coraz wyżej go dźwigać Widywał wtedy ciągle Hieronima, Zygmunta zaś tylko chwilami. Keszczę roku spędzał stale w Chronowicach. Poznali go tam natomiast mieszczanie z powiatowego grodu i wraz z sąsiadami o .semickim typie nauczyli się go bać po trochu. Z tymi ostatnimi nie gadał on wcale, kilku chłopów obronił od lichwy, nakłonił do zaniechania między sobą procesów; sam zaś płacił wszystko na termin i pięknie młynkowaną pszenicę sprzedawał drożej niż inni.

Zygmunt przez ten czas ciągle się do egzaminów przygotowywał. Po dwóch latach, naciśnięty chwilowo przez o.ica, zdał najłatwiejszy, ten, którym kończy się zwykle nauka prawa. Zresztą zawsze ośm miesięcy spędzał w mieście, w ciężkiej światowej pracy, której nudy przerywał wycieczkami do Wiednia lub Ostendy.— te ostatnie tylko wtedy miały miejsce, kiedy mu się w kwindeczku potviiodło, — lub urozmaicał sobie dnie emocjami, jakie mu jeszcze sprawiała gra nad możność, Graczem z natury przecież nie był i grał bardzo rzadko, li tylko z próżniactwa.

Polowania zajmowały mu cztery najpoważniejsze miesiące w roku, ale pomimo tego, dzięki miłemu usposobieniu i pozycji ojca, reputacji nie potrafił sobie jeszcze zepsuć, ani majątku nadszarpać. bo nie miał dotąd nic na własność oddanego.

Wśród tak biegnących kolei ich życia, pewnej wiosny Sieniński, wracając po sześciotygodniowym pobycie z Anglii, gdzie za pośrednictwem dawnego uniwersyteckiego kolegi, a wtedy już attache ambasady austriackiej w Londynie, porobił byt dosyć znajomości, zwiedził kilka starych zamków i parę pięknych gospodarstw, i gdzie, jeżdżąc za foxhoundami, o mało parę razy karku nie nakręcił, zatrzymał się w Krakowie wedle zwyczaju i mierzony został zmianą, jaką spostrzegł w Olszowskim.

Hieronim już od lat dwóch dużo bywał w wielkim świecie, i nie było dla Sienińskiego nowością, że w obcowaniu towarzyskiem znajdował rozrywkę coraz większą i bardzo pożądaną, przy pracy dosyć ciężkiej i wogóle niewesołych myślach. Ludzie rozumniejsi poznali się już byli dawno na jego rozbudzonym umyśle i zdrowym zdaniu i cenili jego towarzystwo. Młodzi wprawdzie nieco się go bali, stronili od niego i niekiedy nawet z przekąsem o nim się odzywali, w odwet za jego ostre sądy i niepochiebne wyobrażenia o świecie wogóle, które nieostrożnie, choć bezwątpienia nie bezpodstawnie, czasem objawiał. Wpływ tych szerszych stosunków działał jednak dotąd na niego podniecająco i wesoło i samemu cieszył Sienińskiego, który tylko sam dla siebie stawał oporem, ile razy próbowano go wciągnąć do tego życia.

Tym razem atoli od pierwszego spotkania zauważył, że Hieronim stracił był zwykłą równowagę, że na przemian dziwnie był wesół i smutny, a o

sobie i swojej przyszłości mówił dużo. wbrew zwyczajowi. Krzysztof czuł coś dziwnego w jego słowach, ale, nie znając się aa tego rodzaju wewnętrznych zamętach. nic umiał sobie odrazu zdać sprawy z tego, co się z przyjacielem działo. Chcąc przecież koniecznie rozwiązać zagadkę, bez pytania wprost, na które i tak pewno otrzymałby był wymijające odpowiedzi, a widząc, że przy spóźnionej wiośnie musiało być jeszcze daleko do siewów w Chronowicach, uległ "namowom Olszowskiego i dał mu się po raz pierwszy zaciągnąć na wieczór. Wielkopostny, ogromny raut. owo znakomite pole do popisu sił w rozmowie, przyjął nowicjusza tym gwarem i właściwem sobie salouowem ciepłem, unosząc się nad głowami licznych gości, zapelniających szczelnie wielką sale, której skąpo meble schroniły się pod ścianami. Dziwną. rzec można, wyłącznie obserwacyjną, była ta pierwsza próba światowego życia dla Sienińskiego. Oa

który, gdyby chciał choć; cząstkę z siebie udzielić, bytby się mógł stać świetnym i miłym elementem to warzyskim, który o każdej kwestji, jaka poruszana być mogła, miałby zawsze coś do powiedzenia, który mógłby ze swoją ujmującą powierzchownością i stanowiskiem stać się niezawodnie jednym z nielicznych Indzi, najbardziej w kraju poszukiwanych na zięcia.— stał wśród tych tłumów całkiem na uboczu. Zachęty od najwięcej interesowanych do rozmowy nie byłoby mu z pewnością brakowało. On atoli, instynktownie obawiając się tego wiru, trzymał się uparcie w sobie zamknięty, prawie ciągle milcząc ściany podpierał, lub ze starszymi znajomymi mówił trochę o sprawach gospodarskich i krajowych.

Wśród tego jednak ustawicznie obserwował Hieronima, Grdy ten ostatni na owym pierwszym zaraz wieczorze przedstawił go niezmiernej liczbie pań i panien, których twarze i nazwiska w zwykłej znakomitej pamięci zaraz mu się mieszały w nieskończonym chaosie, spostrzegł odrazu, że Olszowski rozmawiał dużo i swobodnie, a że wiele z najświetniejszych w towarzystwie mężatek pierwsze z nim rozmowę zaczynały. Niebawem jednak w tłumie zgubił go z oczów. Po chwili dopiero, w drugim, mniejszym salonie odnalazł go znowu. Stał on teraz obok dorodnej, białą ubranej panny, która w swej jasnej sukni, ślicznie uwydatniającej piękną kibić, wydawała się nawet wyższą od swego interlokutora. Rozmowa między nimi toczyła się tak żywo, że nikt trzeci nie próbował w niej wziąć udziału, a prowadzoną była tym półgłosem, który nigdy żadnej nie ściągnie uwagi. Oboje widocznie mówili tak bardzo poważnie, że Krzysztof, uderzony tem spostrzeżeniem, jął szukać Zygmunta i, złapawszy go z wielkim trudem po jakimś czasie, rzucił mu tylko cicho krótkie pytanie;
— Czy to zansze tak bywa?

Rowiński się zaśmiał, zrozumiałszy odrazu, o co chodzi, i rzekł:

— A tak, zawsze, od początku zimy — i wyśliznął mu się, aby dalsze] szukać zaliawy,

Sieniński widział następnie, jak panna zbyt przeciągającą się rozmowę z tilszowskim nagle przerwała, a jak on potem już z nikim nie mówił, i że wychodząc z wieczoru podała mu rękę, wyróżniając go tem od innych, obok stojących młodych ludzi. Hieronim wówczas zaraz począł szukać Krzysztofa i chmurny, nie rzekłszy słowa, szedł z nim prosto do domu,

wbrew zwyczajowi, wedle którego zwykli byli nieraz, nawet gdy było zimno i ślota, chodzić po pustych ulicach aż w późną noc, wśród rozmowy zapominając o godzinach.

Nazajutrz popołudniu, podczas gdy Olszowski wyszedł na wykład jeszcze do starego Collegium Minus, Sieniński wybrał się do Zygmunta, tudy wszedł do wykwintnego kawalerskiego mieszkania, w pierwszym saloniku cisza panowała zupełna. Na stole leżały nieprzebrane rzędy cygarniczek i faje czek wszelkiego koloru i kształtu, a na biurku ciasno stały w pięknych i nawet kosztownych ramkach fotografie najprzeróżniejszych pań, uwielbianych przez Zygmunta, albo jego wielbicielek. Krzysztof przeszedł nie zatrzymując się i drzwi otworzył do następnego pokoju. Tu na ogromnym łóżku Zygmunt spał w najlepsze, ubrania porozrzucane były po wszystkich meblach, a piękna, prawie damska toaleta i wszystkie szaty przystrojone w nieprzeliczone kokardki i orderki kotyłjonowe, jako trofea ostatniej kampanji. Omijając lakierowane trzewiki, leżące na środku pokoju, Krzysztof począł budzić śpiącego, który, ziewając i przeciągając się zwolna, po chwili niecierpliwie się odezwał:

— Klóraż tam godzina u licha? Jeszcze się nic nie wyspałem!
Sieniński stanął nad nim i śmiejąc się, rzekł:

Dopiero druga ! Widzę, że wskutek mojej dzikości pojęcia nie mam, jak wczesna jest ta godzina i może chyba wrócić później, o przyzwoitszej porze, aby z tobą pomówić.

— Ależ nie. nie! zostań — odpart Zygmunt. Tylko zawołaj tego próżniaka Józefa, aby mi do ubrania przygotował, bo widzę, że wczorajszych rzeczy

jeszcze nie pozbierał. A my sobie tymczasem pogadać możemy. Ta nie może zaraz wstawać po obudzeniu, bo wieczór głowahy mnie z tego bolała...

Gdy po kilkakrotnem za ledwie wołaniu zapewne dopiero zbudzony służący, w.szedłszy w przepisanych mu pantoflach, aby snu pańskiego nie przerywać, pozbierał leniwie ubrania i zabrał je nareszcie ze sobą, Sieniński rzekł do Zygmunta:

— Chciałem z tobą o Hieronimie pomówić i dowiedzieć się, co z tej sprawy tyć może?

— At!—odparł zagadnięty—stara historja! Nie gadał z pannami, nie kochał się w żadnej, aż łysiec zaczął. Ale teraz... trafiła kosa na kamień. Gorszy naturalnie od innego, bo sensat, wszystko bierze na serjol —i kiwnął ręką ita znak, jak zgubnem być musi takie usposobienie, Krzysztof tymczasem mówił dalej:

— Ze Hieronim się zakochał i że się stara, o tem wiem dobrze, Ale co z tego będzie? Jakaż jest ta panna?

— Stara się? — wtrącił zdziwiony Zygmunt. Ale przecież chyba nie! Myślę, że nie taki głupi... On tylko tak, ot... w zaloty idzie dla przyjemności!

— Mylisz się. On chce się z nią żenić. — odparł Krzysztof. Zygmunt skrzywił się i zawołał:

— Ożenić? Winszuję ran w takim razie. Panna mądra, tak że z nas żaden z nią gadać nie chce; rządzić nim będzie, jak szara gęś. Ale jeżeli ma ochotę, lo dobrze... ubędzie choć jedna z naszego jarmarku!

Krzysztof znowu pytał dalej :

— A rodzice i majątek?

— Rodzice podobno całkiem są dobrze, mają duży majątek w Królestwie. Corok prawie jeżdżą do Włoch i sprawiają córce śliczne suknie. Zresztą nie wiem nit. Ale posag pewnie będzie dobry, zwłaszcza po śmierci starego, który podobno nie jest tęgi.

Takie wiadomości nie mogły zadowolić Krzysztofa. Postanowił więc szukać dokładniejszych i dowiedział się niebawem, że majątek rodziców panny był rzeczywiście bardzo znaczny, ona świetnie wychowana, ale też że i wymagania były tam niemałe. Mówili mu atoli wszyscy, że Hieronima tak przyjmowano od kilku tygodni, iż ludzie zaczęli przypuszczać możliwość tego małżeństwa. Sieniński na to wszystko zdecydował się pobyt swój w Krakowie przedłużyć, ale też w miarę tego nabierał coraz więcej przeciwnego przekonania, im bliżej zwłaszcza wszystkiemu się przypatrywał. Zaczynał się nawet bać o przyjaciela, bo, znając jego stałość w r;iz powziętych uczuciach, wiedział, że po nim żadne bezkarnie prześliznąć się nie zdoła.

Na kilka następnych wieczorów poszedł jnż z własnego popędu, Zbliżył się nawet parę razy do panny Zbąskiej, i rozmowa z nią łatwo mu poszła, ku jego własnemu niezmiernemu zdziwieniu. Dziewczyna rze czywiście byta rozumną i prostą, a przyzwyczajoną do przeciętnego światowego poziomu, umiała wyzyskać każdego, który był nieco po nad nim.

Niebawem też panna Aniela zagadnęła go pierwsza:

— Cóż pana mogło skłonić do powtórzenia ostatniej próby naszego światowego życia?

Krzysztof uczuł dziwną do śmiechu ochotę, gdy pomyślał o tem, coby się było stano, żeby jej prawdę był odpowiedział. Lecz nie stać go było na tego rodzaju odwagę, więc rzekł:

— Chciałem po angielskiej mgle użyć Irochę naszej miejskiej. jako przejścia do wiejskiej marcowej zawiei. A przyznać tylko muszę, że ją dla wzroku gęstszą jeszcze od tamtej znalazłem.

Panna Zbąska. z pewnym połyskiem żartu w ja suchych źrenicach, odparła:

— To już chyba przypisać trzeba właściwości oczów. W idąc, że panu trzeba przejrzystości włoskiego powietrza, bez którego każdemu z nas obejść się tak trudno, gdy go raz zakosztuje. Dlatego nie rozumiem naprzykład, jak można, wymknąwszy się z pod naszego zimowego całunu, zatopić się, jak pan to robi, w angielskiej chłodnej wilgoci.

— Czerwone fraki w świetle zimowego poranku mogłyby z niejednym iść w zawody co do żywości i siły kolorytu,—zauważył Sieniński.

— Jaodrzekła dziewczyna i wyglądała, jak gdyby po niej przeszedł zimny dreszcz,—za jeden ciepły powiew . Neapolu, za jeden promień słońca, rzucony na białozłoty kościół św. Marka, oddałabym...zatrzymała się tu widocznie, by zawiele nie powiedzieć, — nawet najładniejszy wieczór karnawału.

— A wielkiego postu? tembardziej! — wtrącił pytająco Sieniński. i z pod ciemnych rzęsów rzucił na nią długie, badawcze spojrzenie, którem ją zadziwił i zaciekawił, tak było odmiennem od jego zwykle chłodnego wzroku.

— Być może — brzmiała spokojna odpowiedź, nie (tająca nic po za solia do poznania.

— Nie próbowałem ich dotąd wcale, więc trudno mi sądzić o rozmiarach poświęcenia,—odparł Krzysztof, a uśmiech znowu przeleciał mu po wargach. Ale o tamtym wiem, co warte, ho je znam nieźle i mam przekonanie, że dziwić się nigdy nie można, iż wędrówki lodów na południe nie ustają. Boć w świetle tego słońca nic nie jest zimnem, ani nawet śmiertelnem Taki Gui

darello GuidarelIli naprzykład, który na swym grobowcu w Rawennie śpi z wyrazem spokojnego smutku, wzbudza podziw dla człowieka, który tak po śmierci mógł wyglądać, i dla tego drugiego, co go takim uwiecznił. Na północy grozą śmieici psuły on równowagę każdego, a u nas w dodatku tem jeszcze niezawodnie, żeby swą twarzą białą wyrzucił naszemu sumieniu winy narodu w bistorji.

Tym razem panna Zbąska spojrziała uważniej, choć zawsze krótko, i rzekła:

— Więc pan przyznaje, że, aby sobie troche życie rozweselić, trzeba czasem przebyć ten górski mur. dzielący nas od południa. Widok pierwszego małego białego campanile w ChiusaForte przecież więcej neci i raduje oko, niż wszystkie nasze siwe lub czerwono-czarne, nieba sięgające katedry, choć swoją drogą każdy kochać je i podziwiać musi.

— Temu nie przeczyłbym nigdy, bo przyznaję, że tam nas ciągnie swym urokiem pogoda harmonji i równowagi, którą w domu mamy sobie za ciężar, jak każde inne prawo, a która tam panuje nad wszystkim. Póki ona kierowała pędzlem i dłutem prostych rzemieślników, stawali się pierwszymi arty.stami świata. U na. przeciwnie, taki ideał piękna i sity niewieściej, jakim jest naprzykład św. Barbara Palmy w weneckim kościele Santa Maria Formosa, nietylko się nie urodzi nigdy, ale i znaleźć nie może człowieka, któryby go odtworzył, bo się sam pierwej skrzywi i oszpeci.

— Więc tem chętniej trzeba tej pogody szukać tam, gdzie ją znaleźć najłatwiej,—odparła dziewczyna,

— Niewielu jej szukać umie, wtrącił na to zamyślony jnż Sieniński, i chciał jeszcze dalej rozmowę na więcej subiektywne wprowadzić tory, gdy dwie młode panienki zbliżyły się do panny Zbąskiej i wezwały ją ze sobą do sąsiedniego salonu.

Przekona! się wprawilzie Krzysztof po tej próbie, że rozmawiać; w świecie potrafi, ale swoją drogą tego rodzaju rozmowa bynajmniej w tym wypadku niezdala ran się być celem. Wdał się w nią, w myśli, Ze może potrafi się przekonać, czy posażna panna była zdolną wyjść za wcale niemającego człowieka i nie stać mu się kulą u nogi. Lecz on, który tak w światowem, jak w codziennem życiu, nie miał jeszcze nigdy z panną z wielkiego świata ilo czynienia, nie zdołał w tym krótkim czasie dowiedzieć się niczego, Czując lo dobrze odrazu, po chwili skorzystał z zamieszania, jakie się w salonie zrobiło po wejściu kilku spóźnionych osób, aby narazie dać pokój bezowocnym próbom, i poszedł do hotelu, iak zły, jak nigdy nie bywał.

Nie umiejąc tak w owej trudnej sprawie w niczem poradzić przyjacielowi, poczał po kilku dniach przypuszczać, że może przez brak doświadczenia zbyt poważnie osądzi! uczucia Olszowskiego. Wszczął więc z nim rozmitwę o przy.szłych wakacjach, dodając, że liczy, jak zwykle, na jego przyjazd. Hieronim atoli znikzał na to zrazu. Następnie wymijajaco wspomniał o jakichś nieprzewidzianych przeszkodach, poczem od tej chwili zaczął nawet unikać każdej dłuższej z Krzysz tofem rozmowy. Szukając daremnie wyjścia z tej ciężającej mn już niepewności, nazajutrz popołudniu, koło godziny czwartej, Sieniński postanowił raz jeszcze popróbować szczęścia. Włożył czarny surdut, wziął rzadko noszony, z Londynu przywieziony cylinder i z niesłychaną na siebie determinacją, sam z niej się śmiejąc, poszedł lta popołudniową recepcję do pani Zbąskiej,

Ody wchodził do niewielkiego saloniku, z po za kotary, którą służący dla niego uchylił, doleciał go zmieszany gwar kilkunastu głosów. Na kilku kanapkach najróżnorodniejszego kształtu i obicia, w sinym półcieniu marcowego zmierzchu kilka dam w ciemnych kapeluszach siedziało wkoło pani domu, do której dosłęp

prawdziwie utrudniały filigranowe stułki i stoliczki, porozrzucane we wszystkich kierunkach po całym pokoju.

Panna Aniela nieco na boku rozmawiała pociebu z drugą panną, której karnawały liczyły się już może chyba na dziesiątki. Ciemnoszafirowy sukienny angielski kostium, niezawodnie prosto od pierwszorzędnego krawca, jeszcze lepiej przypadła do twarzy i figury dorodnej dziewczyny, a towarzystwo, które ją otaczało, służyło za korzystne tło dla jej świeżej i pięknej młodości. Gdy Sieniński wchodził, nie rozpoznając zrazu w zmierzchu prawie nikogo, ruch wszczął się zaraz w salonie; lecz panna Zbąska tylko lekko skłoniła mu się głową i jeszcze żywiej poczęła ze swoją sąsiadką rozmawiać. Matka jej wstała natomiast i zaczęła go witać z taką uprzejmością, że Krzysztof po raz pierwszy w życiu, nie zdając sobie nawet z tego sprawy, czuł się dziwnie podrażniony przez te wdzięczne salonowe słowa.

— Niechże pan usiądzie—mówiła pani Zbąska. do Sienińskiego, wskazując mu niski fotel obok siebie. Także pan dobrze zrobił, zatrzymując się nieco dłużej między nami. Na wsi jeszcze zima, więc może pan poświęcić trochę czasu naszemu światowemu życiu, które przecież warto poznać.

Sienińskiemu jak z kamienia szła odpowiedź, więc rzekł tylko:

Pani ma zupełną słuszność, bo rzeczywiście ciekawy jestem lej dla mnie całkowitej term incognita.

—Oh, panu nie powinna ona być nieznaną. My przecież zawsze wszyscy tacy sami. czy mieszkamy w mieście, czy na wsi; ja zaś z moją córką ledwie pa rę zimowych miesięcy tu spędzamy i wtedy nawet obie do domu

tęsknimy. Pan zaś mieszka niedaleko Wisły... w Chronowicach, nieprawdaż?

— Tak jest. Ale ztąd o dobry dzień drogi—odparł Krzysztof krótko.

— To śliczny kraj podobno. Jakież musi być miło mieszkać w ładnej okolicy i wdzięczną ziemię uprawiać. My nie możemy się tem pochwalić, a pomimo tego wyjeżdżamy z domn tylko z konieczności, dla zdrowia mego męża.

— A czy to dla pań tak straszną jest przykrością dla zdrowia co wiosnę jeździć na południe?—wtrącił Krzysztof i gryzł sobie zlekka wargi, aby uśmiech na nich nie stał się widocznym.

— O tak.!—odparła pani Zbąska. Pan pewnie Włochy lepiej poznał od nas, bo my tak mało ruszać się możemy, że moja córka niewiele w tych podróżach używa przyjemności. Pan zaś podobno tak zna każde miasteczko i ruinę tamtejszą, jak swoje własne liczne folwarki i lasy. Sieniński, mimowoli marszcząc brwi, odparł:

— Tych na nieszczęście niema tak wiele, aby czas cały zabierały. Żeby zaś Włochy dobrze poznać, na to trzebaby mieć parę lat całkiem wolnych przed sobą— dodał, próbując rozmowę odwrócić od siebie i spraw jego dotyczących.

Pani Zbąska zrozumiała widocznie odrazu to życzenie i rzekła:

— Sa to zaś nikt z nas nie jest dosyć majątkowo niezależnym, a moralnie nim się być nie godzi. Najprzyjemniej i najlepiej byłoby dzielić swój czas na nierówne części, poświęcając pierwszą i większą pracy w domu, drugą zaś, mniejszą rozrywce zagranicą, a także i w kraju.

— Taki sprawiedliwy wymiar — odrzekł już obojętnie Krzysztof, — o tyle jest pożądanym, o ile trudny do wykonania.

— Nie dla wszystkich podobno — ostrożnie dodała pani Zbąska i tak samo dalej, pracowicie i uprzejmie starała się rozgadać swego gościa, rzucając chwilami okiem na córkę, całkiem obojętną dla nowoprzybyłego.

Inne damy tymczasem wszczęły także między sobą rozmowę, ale co chwila rzucały również na Sienińskiego wzrokiem z powściąganą ledwie ciekawością, która Jego też wkrótce nieco już dziwić i niecierpliwie poczęta. Po chwili, jak gdyby na uzupełnienie wzrastającego w nim rozdrażnienia, wszedł do salonu Hieronim. Po poważnej twarzy pani ilomu przebiegł cień niezadowolenia. Panna Aniela, chłodno i nic nie mówiąc, podała rękę przybyłemu, a matka jej skwapliwie zatrzymała go przy sobie. Do Sienińskiego zaś, odwracając się z uśmiechem, rzekła wesoło:

— Znudziwszy się tak ze staremi, niech pan pójdzie może zabawić się z młodzieżą, — i wskazała mu oczami wolne miejsce obok córki.

Krzysztof na to przejrzał nareszcie, i on, którego przyjaciele przezywali *Vimpassible*, ledwie na ustach zatrzymał twardy wyraz, jaki mu się cisnął na język. Gryząc wściekle wargi, podszedł jednak ku pannie Anieli, przez chwilę z nią dla przyzwoitości rozmawiał, poczem wkrótce uciekł copędzej na dół, korzystając z pieiwszej sposobności.

Gdy wyszedł na ulicę, tylko jeden wyraz: *Prze zorna opieka!* wyrwał mu się przez zaciśnięte zęby. któremi aż zgrzytał z niezwykłej u siebie złości. Nit znał on wprawdzie kobiet z miejskich salonów i ich zwyczajów, ale zbytnia uprzejmość pani Zbąskiej, w przeciągu dziesięciu minut

wytłómaczyła mu nareszcie wszystko, co chciał wiedzieć. Nie myślał nawet zrazu o tem, jak jemu osobiście ona sama była nad wyraz niemiłą i wstrętną, bo przedewszystkiem stała mu się dostatecznym dowodem, że panna Aniela nie jest przeznaczoną człowiekowi bez majątku i pozycji. Kóżnica, jaką tam uczuł w przyjęciu swoim, choć znany był Zbąskim od dwóch dni dopiero, a w powi taniu Hieronima, przyjaciela ich od lat paru. i tego, z którym panna domu, według zdania wszystkich, bez

porównania najwięcej i najchętniej rozmawiała, nie potrzebowała komentarzy. Od tej chwili był już przekonany, że koniec starania się Hieronima o jej rękę, musi być niefortunny, i żał mu się go zrobiło dotkliwie, W głębi zaś duszy, z tego pierwszego z salonami zetknięcia, powstała w nim pierwsza prawdziwa do nich niechęć, jedna przeszkoda dlań więcej do ożenienia się kiedyś, o której przecież sam wtedy nie wiedział, bo tak nigdy o tem nie myślał, iż pozostała w nim odtąd tylko, jako głęboko zakorzenione, prawie instynktowe uczucie, O Hieronima, o całą jego przyszłość, począł się obawiać; znał go bowiem dobrze i wiedział, że zawód w sprawie, którą tak wziął do serca, musiał być dla niego fatalnym, zniechęcić do wszystkiego wrażliwą, delikatną jego naturę i odjąć siłę i odwagę do życia na długo, jeżeli nie nazawsze. Zlewając na niego prawie całe przywiązanie, do jakiego był zdolny, Sieniński byłby wszystko uczynił, aby przyjacielowi szczęście zapewnić, Ale wiedział dobrze, że w tym wypadku najmniejszej pomocy wyświadczyć mu nie może. Nie próbując więc nawet oderwać go od miejsca, do którego byt teraz przykuty, gdyż niezawodnie byłoby to tylko bolesne, a daremne z nim wywołało szarpanie, postanowił wyjechać do

Ochronowic, leń więcej, że od kilku dni wiejący wiatr południowozachodni zwiastował już blizką wiosnę. Popołudniu jednak, dniem przed wyjazdem, poszukał jeszcze Zygmunta, i odrywając go gwałtem w klubie od dziesiątej partji bilardu, rzekł do niego:

— Chodź ze mną na chwilę, bo jutro wyjeżdżam, a muszę z tobą pierwej trochę o ważnej sprawie pomówić.

Gdy wyszli na ulicę, powietrze, szalejące wichrami od kilku dni, uciszyło się było zupełnie i pierwsze ciepłe tchnienie, przygnane z południa, mięką wilgo

cia oblało ich twarze. Miasto przybrało siwawy cień odwilży; nawet czerwone mury kościoła Panny Marji całkiem poszarzały. Czarna woda z rynn starych domów coraz szerszymi potokami płynęła obok chodników, ze szmerem, zwiastującym wiosnę, a latarnie, które już zapalać zaczęto, przyćmionem żółtawem światłem słabo migotały wśród wcześniej zapadającego zmierzchu, podczas gdy ciemne chmury, zwiastuny pierwszego deszczu, zawisły ciężko nad miastem, pełnem błota i mgły.

Zygmunt wziął Sienińskiego pod rękę i, idąc szybko, rzekł:

— Przelećmyż się przynajmniej po dawnemu, bo prawdziwie zdrewniałem nad tym bilardem, a tu wilgoć włazi mi aż do szpiku kości. Ale... powiedz mi tymczasem, czego odemnie chciałeś? Pewno pojąć nie możesz, krytykujesz i wazysz, jak mógł człowiek taki, jak Hieronim, zakochać się w ten sposób w wesołym świecie. At... wy nowicjusze! Starzyście obydwu, a uie wiecie, że na to raz spojrzeć wystarczy... Ja ci mówię. Krzysztofie, że ciebie Pan Bóg skarze w ten sposób, iż będziesz kiedyś szalał za jakąś boginią, której nigdy nie widziałeś! Życzę ci nawet tego za

karę... byle tylko potem, przy pierwszym spotkaniu, rozczarowania nie było!

— Ha! może—odparł Sieniński zamyślony. Gdybym jej nigdy nie widział, to... możebym się i zakochał... Ale jak tylko tę wybraną zobaczę, to pewno zaraz po całej będzie komedji!... Lecz nie gadajmy tak o niczem. Teraz nie o ranie idzie, ani o moje zdziwienie nad tem, co się stało i nie odstanie, ale o to, że Hieronim pauny nie dostanie, i że będzie wtedy z niego skończony desperat.

— Toż dopiero głupstwo! — zawołał Zygmunt. Czy to jedna jest panna na świecie? Ale zresztą, jeszcze wcale powiedziauem nie jest, żeby twoje prognostyki spełnić się musiały. Juk kruk, kraczosz nad tą sprawą.

bo ci się wierzyć nie chce, aby ktoś tobie blizki porywał się na małżeństwo, i dlatego widzisz łosza tam, gdzie go może nie będzie.

— Nie, nie. Ja się wprawdzie nie znam na wielkich damach, ani na światowych zwyczajach, ale ci mówię, że panna Aniela za ubożego profesora nie pójdzie... może nawet i wtedy, gdyby się w nim dziesięć razy Kochała, co jest zresztą tylko mojem dodatliowem, osobistem przekonaniem. A jako skutek tego, ręczyć ci tyko moge, że biedny Hieronim pójdzie z rozdar tem sercem w odstawkę, jak się czas zabawy skończy..., to jest wtedy, kiedy ją będzie chciał na dobre zakończyć czem innym! Smutne to bardzo, wam bowiem obydwóm trzeba się ożenić, i będę też prawdziwie uradowanym, gdy kiedyś do tego przyjdzie, choć mi wasze żony pewno życia weselszem nie zrobią... Ale tym razem pewien jestem, że moje życzenia nie zdadzą się na nic, bo panna Aniela, ani jej rodzice, nie zgodzą się na życie, jakieby ona z Hieronimem mieć musiała,

— I nie dziwię się jej! — wtrącił Zygmunt, Le dwieby może rocznie mieli 10,000 złr. Za to powozu, sukien od porządnego krawca, ani ładnego salonu nie będzie, nie mówiąc już nawet o podróżach. Une pietre eXistance que cellela

Krzysztof się skrzywił, tak mu nie w smak była ta mowa; ale nie rzekł nic. Po chwili zaś, wracając do celu rozmowy, dodał:

— Hieronim w takim jest dziś usposobieniu, że najlepiej go narazie nie tykać. Matka jego zaczyna się wszystkiego domyślać, lecz ja mówić z nią nie chcę, bo po co ją martwić naprzód. Olszowskiemu tłumaczyć, aby dał pokój staraniu się—niewarto, bo nie uwierzy; a gdyby nawet posłuchał,, to byłoby jeszcze gorzej, bo później wyrzucałby sobie zawsze, że nie próbował szczęścia. Zresztą, ja w tych rzeczach niedoświadczony,

mogę się i mylić, ludzie zaś podobno mówią, że ona za niego może i pójdzie.

— Ale tak, być to całkiem może—wtrącił Zygmunt. Przecież jeszcze nie wszyscy zapomnieli, że: liaum ist in der kleinsten Mitte...

Krzysztofowi w uśmiechu zęby błysnęły.

— lia, może! — dodał. Jam nie stary, ale jeszcze tego nie widziałem u nas... Gdyby się zaś tym razem udać miało, to Hieronim bezemnie najlepiej się obejdzie. Obciąłem cię tylko piosić, abyś w przeciwnym razie słowo do mnie napisał. Zapewne, że może przez to zbyt wiele wymagam, znając niezwykłą twą pochopność do pióra, ale przez wspomnienie dawnych czasów, proszę, zrób to dla mnie. jeżeli będzie trzeba.

— Napiszę, napiszę z pewnością, w każdym razie— odparł Zygmunt. Ależbo doprawdy, mogłoby to być ślicznie! My dwaj prowadzilibyśmy

pannę do ołtarza, gdyż Hieronim nie ma bliskich krewnych, a o dalekich nie dba... Starzy Zbąscy daliby pewnie dobre śniadanie,, a potem, następnego roku, możeby byt u młodej paiy choć jeden dom w tem zakazanem mieście, gdzieby można zjeść dobry obiad.

Dałby Bóg, aby tak byto... ale trudno mi wierzyć!—odparł Sieniński. Tymczasem zaś skorzystam jeszcze ze sposobności, aby przejść do innej kwestji i zapytać, czemu się ty nie żenisz? Wszak mógłbyś już doskonale. Zygmunt skrzywił się wymownie i odparł:

— Ell! mnie jeszcze szkoda, Cóż jabym teraz z balią robił? Zresztą, z kimże się mam żenić?

— Panna Sługocka podobała ci się w pieszłym roku; młodziutka i ładna dziewczyna, a rodzice podobno bardzo dobrzy—przerwał Sieniński.

— Oh! tożbym się miał z pyszna,—zawoła! Zygmunt. Po najdłuższem życiu rodziców, mtodych i silnych, jak dęby, o.000 d. posagu, a panna jak kurczę, albo jak

majowa żabka. Dziękuję pięknie za taką! Przecież ja się mam teraz uczyć do egzaminów, po których chciałbym pójść do dyplomacji, dostać się do Paryża, albo do Londynu. Stary Sowiński wprawdzie boi się tego! — dodał, śmiejąc się z pewnym odcieniem gniewu w głosie. Mówi, że muszę wstąpić do urzędu. Ale to, to już za wielkie wymagania.

Tym ostatnim słowom Zygmunta towarzyszył pewien ton lekceważenia zdania ojca, a pewności siebie samego, na który Krzysztof nic nie odpowiedział, tylko nieznacznie podniósł ramiona i brwi.

Tymczasem na ulicach ciemno już się całkiem zrobiło. Mgła zaczęła opadać, zrazu drobnym, potem coraz grubszym i gęstszym deszczem, z

tym miękim i monotonnym odgłosem, który po zimowej ciszy, z jaką śnieg ziemię pokrywa, budzi wiejskiego gospodarza po raz pierwszy ze snu. Pożegnawszy się we drzwiach hotelu, dwaj dawni koledzy rozdzielili się, bo Zygmunt szedł kończyć partje bilardu, jeść obiad i ubierać się na raut, Sieniński zaś nazajutrz pierwszym pociągiem do Chronowic miał wyjechać,

I rzeczywiście opuścił Kraków, a nie wiedział tylko wcale o tem, że równocześnie ze sprawą uczucia rozegrać się miała dla Hieronima i druga, conajmniej równie ważna, a stanowiąca o jego przyszłości chyba jeszcze prawie doniosłej,

W uzupełniającym się coraz więcej nowemi katedrami uniwersytecie lwowskim, od kilku właśnie miesięcy szukano zdolnego młodego człowieka, któryby zrazu, jako docent, historję literatur romańskich mógł wykładać, z czasem zaś, jako zwyczajny profesor, tę uowostwarzaną katedrę mógł objąć. Jeden z tamtejszych profesorów, przysłany do Krakowa dla zasiągnięcia rady co do wybrania na tę katedrę którego z młodych polskich uczonych zwrócił odrazu uwagę na dzielnego badacza, jakim był Olszowski. Postanowił też zaraz

udać się do niego, a na wstępie poprosi! jednego a krakowskich kolegów Hieronima, by go wybadał i zapytał, czy przyjąłby w danym razie naprzód te ciężką pracę, a w przyszłości posadę, o którą właśnie chodziło.

Podjął się tej misji ówczesny dziekan filozoficznego wydziału, któremu się zdawało, że to jeszcze wczoraj było, jak Hieronim po raz pierwszy słuchał jego lekcyj z najciemniejszego kąta jego sali starego Níllegium Minus, a pamiętał, jak się wtedy chłopcu gdyby węgle oczy świeciły, gdy

on mówił do studentów o minionych ludziach i wiekach rzeczy, które mu usta paliły, a sumienie mówić kazało. Teraz, czekając w swej kance larji na przybycie Olszowskiego, zacierał ręce i myślał o tem nowem cywilizacyjnem polu działania, które się jego uczniowi otwierało, o tem. że on i do innej szkoły zanieść potrafi i hodować to ziarno, które sam siał w serca słuchaczy.

— Materjalnie będziesz miał życie zapewnione, a pracy starczy w tem na życie dziesięciu!—mówił już do niego po chwili, patrząc na zmienioną odrazu twarz Olszowskiego temi wielkimi jasnemi oczyma, w których łagodność filozofa zdawała się wszystkiemu pobłażać i każdego rozumieć, a przenikliwość historyka w głębi sumienia umiała ważyć wartość i siłę duszy, do dna przejranej.

Hieronim po tej apostrofie poręcz krzesła, o którą byt oparty, ścisnął tak, że, gdyby mu ręce nie były drżały, byłby ja. niezawodnie złamał, a na jasne, krótkie pytanie, odpowiedział jednym, głuchem słowem:

— Nie, teraz nie mogę... nie potrafię

Odrazu jednak nie mógł wytrzymać pytającego spojrzenia tych jasnych, błękitnych oczów mędrca, które zdawały się wdzierać w jego duszę, i głowę odwrócił.

— Ależ powinieneś przyjąć!—brzmiał już bez pytania, jak dźwięk kulej stali, głos ostry, który dreszczem przeszedł po nerwach Hieronima. Druga sposób

ność się nie trafi. Bierz na siebie ciężar, bo czas, byś już coś dźwigał,,
Nas zawsze zamalo, codzień liogoś ubywa, a pracy coraz więcej. idź,, idź

tam koniecznie, ho innego niema. Kogoś dać potrzeba, i ty podołasz przedmiotowi z pewnością.

— Nie teraz!... Później... może... Za miesiąc lub dwa! — z niema rozpaczą w głosie odparł Olszowski i nagle wyszedł, bo znieść nie mógł dłużej tej rozmów, a ostatnie słowa dziekana: Wtedy już nie będzie pora! — dzwoniły mu długo w uszach tym samym głosem, jakim słyszał je przed laty, mówione nieraz z katedry z ust tego samego człowieka, gdy piętnował dawne samolubstwo narodowe, wiodące ludzi do marnowania siebie i drugich i niszczące wszelkie minionych epok zwycięstwa, I miał słuszną, czując owe wyrzuty sumienia. Nie mogąc czekać ani zwlekać z ważną sprawą, profesor ze ławowa wyjechał zaraz do Niemiec, by szukać tego, czego w Krakowie nie znalazł, a choć ten, który pośredniczył między nim i Olszowskim, do nikogo o tem ust nie otworzył, wkrótce jednak rozeszła się wiadomość, że młody docent bez majątku odmówił ofiarowanej mu posady i że w jego miejsce znajdzie się niezawodnie inny, może mniej zdolny, ale z większą odwagą i inicjatywą w charakterze. Opinia też o tej odmowie zaraz naturalnie się podzieliła; więcej było tych, którzy się Hieronimowi nie dziwili, mówiąc, że ide mógł inaczej zrobić, jak tych, którzy w jego decyzji ganili nowy przykład zwlekania do jutra i słabości usposobień. Skutek zaś tego był jeden. Olszowski, czując się przedmiotem różnych sądów, nie znosił, aby mu je objawiano i zaczął wkrótce stronić od ludzi, co po jego niebawem całkiem nieudanej kampanji matrymonialnej w świecie jeszcze nań więcej uwagę zwróciło.

Na wsi tymczasem zrobiła się wkrótce wiosna; orać zaczęto i siał. Krzysztof Sieniński, trawiąc cały dzień w polu, myślą ciągle gonił Olszowskiego i napisał do

niego dwa razy. Ale po niezwykle długim czekaniu, dostał odpowiedź, która go mocno zaniepokoiła. Wbrew zwyczajowi piszącego, była tak suchą i obiektywną, że nie pozwalała na jedno spojrzenie w głębię serca przyjaciela. Sieniński, odebrawszy ją, byłby pojechał zaraz do Krakowa, ale trzymały go w domu terminy rady powiatowej w sprawach, przez niego podjętych. Klnąc więc te przeszkody, napisał tylko o wyjaśnienia do Zygmunta, choć niewiele miał nadziei, aby się ten na odpowiedź prędką zdobył. Przyszła jednak, i nawet wcześniej, niż się można było spodziewać: Olszowski kosza nie dostał, bo nie dopuszczono do niego; dano mu zawczasu ilo zrozumienia, aby odstąpi! od starania, nie życzone sobie bowiem, aby panna odmówiła rozum nemu i porządnemu człowiekowi, dla tego tylko, że byt bez żadnego majątku, Panna Aniela wygląda znu dzoną—pisał dalej Zygmunt—i nie ma teraz z kim rozmawiać, bo ja całą młodzież strąbiłem, aby się do niej nie zbliżała, co zresztą łatwo przyszło, gdyż prócz Hieronima, nie miała żadnego konkurenta; a choć pewnie znajdzie się jaki następca, który niezadługo będzie się koło niej kręcił, to dla niej żadnej nie będzie zabawy z bylekim rozmawiać. NB, Stara Zbąska taka zła, że ludzi po salonach kąsa. Mnie tylko dwa razy zaczęła o ciebie, pytając, czyś wyjechał? i czemu? Czego ta baba może chcieć od nas?

O Olszowskim nie było więcej i słowa, więc Sieniński opuścił zaraz radę powiatową i pojechał do niego. Zastał Hieronima zapracowanego tak, jak bywał dawniej przed egzaminami, a wyglądającego, jak gdyby go głodem morzono. Mikzący, jakby był mowę stracił, niecierpliwił się on tylko i zżymał, gdy najmniejszą na niego zwracano uwagę; uciekał przed najlepszymi na wet znajomymi, których od ostatnich lat miał wielu; zamykał się u siebie i samemu Sienińskiemu nie rzekł słowa o tem, co się stało. Krzysztof nie chciał go pytać;

ale przynajmniej spróbował odeń się dowiedzieć, czyby nie wolał wyjechać z miasta, bał się dlań bowiem zbyt ciężkiej pracy w takim naprężeniu wszystkich sił i nerwów, i chciał go koniecznie zabrać ze sobą. Ale usiłowania były dajemne. Ani jego nalegania, ani prośby matki, która się trwożyła o zdrowie syna, nic nie pomogły. Zgniewał się tylko Hieronim na Sienińskiego i powiedział mu, by wracał do domu pilnować przyszłych wyborów do sejmu, bo on sam ma zawieść zaległe roboty. Krzysztof na to, przekonany o bezowocności wszelkich narazie argumentów, odjechał na wieś; ale też i coraz jaśniej zdawał sobie sprawę z tego, jak prawdziwie fatalnym był ów nieszczęsny światowy epizod w życiu przyjaciela.

I nie omylił się wcale. Każdy, znający bliżej Olszowskiego, musiał niezadługo dostrzedz, że sprężyna, poruszająca gorącą i wrażliwą duszę tego człowieka, nie była narazie dosyć silną, aby znieść bez szwanku głębszy zawód. Sprężystości nic w nim nie było, oporu przeciw nieszczęściom mało, zdolności zaś odczuwania tak wiele, że charakter jego, wobec ciężkiego życia, potęgu rodzaju ciosów musiał stać się całkiem bezsilnym. Do końca wykładów wytrwał on w niezwykłej pracy, zamknięty w sobie, mizyczny, czasem tylko wybuchający zniecierpliwieniem lub gniewem nad sobą samym, na próżniacze życie niektórych i na głupotę ludzi wogóle. Gdy zaś półrocze letnie się skończyło, pojechał do Olironowic i tam rozchorował się naprawdę. Sieniński strzegł go jak brata; matce donosił o postępach choroby, a potem o polepszeniu i dopiero po sześciu tygodniach z radością patrzył na jego wolny powrót do zdrowia.

Pod jesień Olszowski wrócił do swej pracy, powierzchownie ten sam. Ale brał się już do niej leniwiej niż dawniej i nie odzyskał równości humoru. Bystra inteligencja, jak gdyby uśpiona, czy sparaliżowana, w kierunku własnej przyszłości, w której dawniej ciągle pra

cowala, zwróciła się teraz głównie do obserwacji otoczenia, śledząc przeważnie wszystkie jego złe, słabe lub śmieszne strony. W sądzie o ludziach i krajowych stosunkach dziesięćkroć surowszy, za głupotę i bezsilność smagał on i siekł językiem niemiłosiernie, do czego zresztą zawsze miał wielką, a tylko dawniej poskramianą, skłonność. W życiu towarzyskiem brał też coraz mniejszy udział i, jak gdyby rozdrażniony uczuciem, że sam popełnił błąd, dla całej swej kariery zgubny, nie umiał już zawsze, tak jak dawniej, hamować oburzenia i gniewu na próżniacze życie Zygmunta, jego brak wszelkiego celu i pewność siebie. Wskutek tego, wpływ jego na przyjaciela, który, acz coraz słabiej, czasem dotąd jeszcze zbawiennie na niego działał, zginął bezpowrotnie, a Rowiński nieraz odzywał się o dawnym koledze, jak o skwaszonym, zgryźliwym pedancie. Zarzut ten był co prawda z jego strony najniesprawie dliwszy, widok bowiem Zygmunta, marnującego najpiękniejsze lata życia, zawsze prawdziwym żalem przejmował Hieronima.

Zwątpiwszy w ten sposób w młodszego, na starszym przyjacielu złożył odtąd Olszowski wszystkie swe nadzieje i oczekiwania, a dotychczas Sieniński spełniał je ciągle, zwolna, ale bez zawodu. Hieronimowi zdawało się, że, w przeciwieństwie do niego samego, sprężyna, człowiekiem tym poruszająca, z silnej, cienkiej, najlepszej stali była ukutą, zdolną wytrzymać ciosy i burze, z których jedna zaledwo wystarczyła, aby zwichnąć jego własne życie. Temperament Krzysztofa rzeczywiście nie wystawiał go wcale na przejścia, jakich Olszowski sam doznał, a okoliczności i wszystkie stosunki składały się na to, aby życie jego płynęło tak spokojnie, jak to rzadko bywa ludziom na świecie danem. Bez krewnych, wpływu kobiecego od początku życia pozbawiony i nie łaknący go nigdy, posiadając majątek, wystarczający dla dwóch, silnego umysłu i

zdolny fizycznie znieść każdą pracę, od dzieciństwa przyzwyczajony sobie samemu wystarczać, był to w rozumieniu Olszowskiego człowiek, ze wszystkich względów stworzony do pracy dla kraju. Sie brakowało mu nigdy uczuć i przekonań, wiodących go do niej, a on też sam pracował nad rozwinięciem w przyjacielu poczucia tego obowiązku, którego ziarno posiała była w jego duszy nauka, powtarzająca im nieraz z uniwersyteckiej katedry przez młodzieńcze lata, aby nie odpychać niczego, co ludzkie, a poddać się temu, co Bożo.

IV.

Na starych fundamentach rodu. w chodzeniu około ojcowskiego majątku, życie płynęło tymczasem Krzysztofowi tak spokojnie, tak pewnie i cicho, że bezwiednie przywiązywał się on już doń całą duszą, nie mającą na świecie wiele do kochania. Przez te lat kilku władze jej bynajmniej się nie uśpiły, bo wytrawiały je ciągle myśli o tem, co go otaczało, pilne czytanie, pracowite działanie i mądre w podróżach poznawanie obcych krajów i ludzi. Do tego czasu Sieniński powinien był tedy być już narzędziem, gotowem do próby, człowiekiem, zdolnym do czynu, W Anglii, przy takich siłach i stosunkach, byłby już z niego wyrósł znamienity mąż status—myślał nieraz Olszowski i mówił sobie, że u nas będzie z niego przynajmniej jeden z tych rzadkich, mądrych i silnych pracowników, w sprawie, która ich ina tak mało, a potrzebuje tak wielu.

Zamków na lodzie Hieronim dla przyjaciela nie budował, bo rzeczywiście Sieniński przez lat kilka swego pobytu na wsi, nie starając się wcale o mir w okolicy, zyskał był naokół uznanie i poważanie wszystkich. Sam majątek dawał mu już pewną podstawę i stanowisko. Praca, ostre i otwarte postępowanie, zrobiły resztę, tak

iż przed wyborami do sejmu, mającemi się właśnie odbyć na wiosnę r. i, włościanie i obywatele okoliczni uznali go za jedyne go kandydata z mniejszej własności, przyczem tylko kilka głosów mieszczańskich sprzyjało dawnemu posłowi z poblizkiego miasteczka. Olszowski, któremu chwilowo robota szła bardzo opornie, a zdrowie wymagało spoczynku, zaprzestał właśnie owej wiosny wykładów na drugie półrocze i pojechał z pienińskim do Choronowic na nieco dłuższy pobyt, mający poprzedzić, wrazie powodzenia w wyborach, ewentualne udanie się Krzysztofa do Lwowa na jego pierwszą kadencję sejmową. Zygmunt, który, pomimo codziennych rautów kończącego się wielkiego postu, nudził się już przecież coraz więcej i coraz to nowiej szukał rozrywki, obiecał także przyjechać do nich po Wielkiejnocy, choć Sieniński zabawy mu nie obiecywał i przysięgał, że na odbywającą się wtedy właśnie przedwyborczą agitację pakem nie ruszy i ruszyć mu nie pozwoli. Gdy dwaj, już trzydziestoletni, przyjaciele w kwietniu r. na wieś zjechali, pierwsza zaczynała się wiosna. Drogi w oczach podsychały, a tylko w lipowej alei, wiodącej do dworu, czarne błoto sięgało koniom po kolana, bo piasek, wożony nań latem, jak zawsze, bez śladu zginął był w tych grzązkich głębinach. We dworze chronowickim ostatnie kilka lat nie zrobiły różnic żadnych, bo w jego wieku znaczyły tyle, co chwila, a troskliwa ręka dbała teraz o całość każdego gonta na starym dachu, o zdrowie każdego drzewa w gęstym ogrodzie. Książek za to przybywało w bibliotece co roku więcej, bo wszystko, co z druku wychodziło znakomitszego w dziedzinie historii i filozofij, znalazło się niebawem na półkach starych szat dębowych. Po ostatnich dwóch urodzajnych latach

Sieniński pozwolił sobie nawet na dużo większy zbytek; przywiózł z ostatniej podróży do Włoch dwa stare, male obrazki.

z których jedną Madonnę, o wyrazie nie wysłowionej powagi i majestatu, widać ze szkoły Francesco Francii. jeżeli nawet nie oryginał jego pędzla powiesił u siebie nad łóżkiem. aby mu, jak mówił Hieronimowi, dobre myśli od rana nasyłała*.

Dwa tygodnie przed późną Wielkanocą zleciały przyjaciółom jak jedna chwila. Hieronim, nieco zniechęcony ilo własnej obowiązkowej pracy, przeglądał i porządkował papiery i dokumenty, jakie znajdował w coraz nowych dlań schowkach starego domu, część nawet w zapomnianych pakach na poddaszu. Sieniński zajmował się swoją pracą o wiele więcej, niż pizedwyborczemi sprawami, i cieszył się już jej owocem, patrząc na piękne oziminy, na śliczne w lasach zagaje i na młode konie, które pod jego okiem ujeżdżano. Gdy na dobre rozpoczęły się siewy, długie godziny spędzał w polu, a GoldenFlower, który z wiekiem tracił trochę lekkości, ale nic nie uronił siły i śmiałego serca swego wysokiego rodu, niósł go zawsze po ciemnej ziemi, jak łódź, gnana wiatrem na jeziorze. Wiosenny zapach roli upajał Krzysztofa, bardziej niż wino, i rozpoczynające się wtedy znowu przebudzenie natury, a z niem jego własne życie na szerokich łąkach, budziły w nim nieraz uśpioną chęć do działania, do czynu, tak iż wtedy czasem, wbrew zwyczajowi, głowę do góry podnosił i całymi płucami wciągał do piersi powietrze, serce zaś biło mu gwałtowniej i raźniej. A w chwilach tych tylko, x gdy oczy spotkały się z pagórkami zarzeka, wnet nizkie czoło zniżało się ponuro i ostre brwi zbiegały się na środku grubą poprzeczną kresą. Wówczas niekiedy konia

aż szarpnął cuglami i rogową rączką laski ude rzył po długiej, zgiętej złotej szyi, a przez zaciśnięte zęby szeptał cicho:
Czemu mnie fatum trzymało ciszy Za dui hetmańskich Jana z Tarnowa,
Albo Czarnego Zawiszy,..

i spiesznie się odwracał ku długiemu ukośnemu szeregowi bron, ciągnionych przez piękne robocze konie o lśniącym włosie, za króremi poważnieniu krokami stapały siwoczarne wrony, polatując i kracząc wesoło, wiele razy cieranemi oczami dojrzały robaka lub ziarno, odkryte przez odwróconą skibę.

Gdy tak Sieniński pewnego pięknego dnia w pole przyjechał, stary karbowy zaraz zbliżył się do pana, czapką dotknął jego buta i rzekł: i — Dobrze, że jaśnie pan tu zajechał, bo sam zobaczy, że prawdę mówiłem, jakem od początku gadał, że z tego nowoprzybyłego lasowca nic nigdy nie będzie. Próżniak bestja, patrzy tylko za skowronkami; nie moge go jeszcze nauczyć, jak w bronach nawracać. a kiedy z początku konie zaczęły mn brykać, ciarki mnie aż przechodziły, że będzie pewne nieszczęście. Wszystko wina tego gapia, który patrzy, jakby nie widział, a gorszy od dziada... butów nawet nie ma.

i tu wskazał grubą łaską na ostatniego w rzędzie parobka. Wszyscy idący przed nim, tędzy chłopci z Powiśla, o olbrzymich barach, ubrani w ciemnobrunatne gunie i baranie czapki, szli rażno, pogwizdując lub wołając na konie, posłuszne ich gio.sowi, jak dzieci. Ostatni natomiast, ten, który wywoływał gniew karbowego, był od nich jeszcze wyższy i znacznie chudszy; twarz miał mniej ogorzałą, rysy cieńsze, a oczy, zamiast żywe] i wesołej determinacji, miały wyraz jakiś mglisty i

powłóczysty. On jeden z pomiędzy parobków nie miał butów na nogach, koszulę z płótna zgrzebnego, a na głowie, zamiast baraniej czapki, wysoką brunatną batorówkę, czerwonymi sznurkami obszywaną i zdobną w trzyczerwone pęki włóczki, mocno już od deszczu i słońca sptowiałej. W jego śmigłej postaci, a zwłaszcza w chodzie powoł nym i cichym, było dużo więcej sprężystości, a o wiele raniej energii, niż w silnych wieśniakach, idących przodem.

Sieniński, patrząc za nim, milczał, ale nie mógł się powstrzymać od podziwu dla nieco dzikiej szlachetności fizycznej lasowca i po chwili dopiero rzekł do karbowego :

— Może się jeszcze poprawi, bo on taki zgrabny, że powinienby doskonale z końmi sobie radzić.

— Eh. jaśnie panie, gdzież on zgrabny? Taki prosty, jak świerk. . A zresztą, co za parobek z niego być może, kiedy on ani kozucha ani butów nic ma? Bestji robić się nie chce i dlatego nijakiego ubleczenia nie ma, Na leśnego, toby się może zdał. Ta łąziłby w chodakach po lesie i słuchał, jak rogacze beczą albo ptaki się wabiają.

— Zobaczmy później—odparł Sieniński. Jeżeli się do Św. Jana nie poprawi, to wezmę go na leśnego. Ale trzeba jeszcze próbować, bo szkoda młodego chłopca do tak malej pracy, i, rozmówiwszy się dokładnie o jutrzejszej robocie, jechał stępo ku domowi, a myślał o lasowcu, może dlatego, że go właśnie sam tak dobrze rozumiał, pomimo dzielącej ich społecznej przestrzeni.

Chłopcu nie chciało się chodzić za pługiem, albo za bronami, podobnie jak jemu ujadać się i rozprawiać w radzi powiatowej, czyli innemi słowy, brać

się do tego życia, do tej pracy mrówczej, której owoców obawiał się, że może prawnuki nie zobaczą. Jak ten człowiek wzdychał do cienia i wilgoci ciemnego boru, do jego głosów i dzikiego życia, tak on z niechęcią, ze wstrętem prawie myślał o chwili, kiedy od ziemi rodzinnej, od marzeń o przeszłości i od zatapiania się w jej tragedji trzeba mu będzie się oderwać, aby pójść pracować z innymi, zacząć służbę w tem wojsku bez karności i bez wodza, broniącym ostatniej piędzi ziemi bez stałego planu i bez jedności. Czuł się więcej obowiązany, niż ktokolwiek, do zajęcia miejsca w szeregach, a bał się nie walki, tylko towarzyszy, i z gniewem prawie odsuwał przypuszczenie, aby mu

kiedyś nawet przyjść mogło innych prowadzić. Sam muszę w tem chomencie chodzić, ale wozić w danym razie zoarowionemi końmi, bez lejców i bata, nie po trafię, myślał dalej—i jak kruki obsiadały go wspomnienia tych, którzy musieli ster złamany trzymać. Patrzył wtedy przed siebie, nie widząc nic—jak ten la sowiec przy pługu—i dopiero po długiej chwili otrząsał się z takich rozmyślań gwałtem, aż go wszystko w duszy zabolalo, a Golden Flower wtedy dopiero długim klusem poniosł go do domu.

ilieronim tego dnia przywitał przyjaciela ilepeszą od Zygmunta, zapowiadającą jego przyjazd do Chronowic na dzień następny. Gdy obaj zasiedli w wygodnych Iblelach starej biblijoteki, Sieniński, wbiew zwyczajowi, ponury i mikzący, patrzył w ziemię, na swe błotem obryzgane buty, bo troska nad tem. co robić powinien, a może nie zdoła, lub co zrobi nadaremnie, zaczynaia gnieść go coraz ciężej. Olszowski, przeglądając tymczasem stare rękopisy, spozierał na niego badawczo raz i

drugi, a nie chcąc się o nic pytać, zwrócił rozmowę do innej kwestji i rzekł:

— Teraz, kiedy wiemy napewno, że Zygmunt przyjeżdża, mogę ci mówić już o tera, co zrobił w ostatnich czasach, bo widać, że rzecz skończona, i że młodość jeszcze jednego człowieka więcej zmarnowana na wieczne czasy. Już teraz nie będziesz mógł utrzymywać, że, jak na wszystko, tak i na niego zbyt surowo i czarno się zapatruję.

— A cóż nowego?—przerwał Sieniński, podnosząc spuszczoną nisko głowę. Egzaminu nie zdał ? czy się może zgrał?

Hieronim się zaśmiał.

— Tyś dopiero jest ł..twowieruy I Przecież on już od dwóch lat egzaminu żadnego zdawać nie ma prawa, bo się pierwej na cztery półrocza nie zapisał... nie miał naturalnie czasu, a potem zapomniał!... i już mu dawno

termin minął. Odtąd nawet nie trzyma dalej korepe lytora do bębnienia kodeksów, tale iż i temu biedakowi spaliło na panewce, bo skończył się tatwy zarobek, gdy przez parę lat z rzędu brał pieniądze za kilka spacerów do mieszkania Zygmunta i za zaszczyt budzenia go czasem z pierwszego snu

— Przeszłej wiosny mówił mi przecież jeszcze, że ma zamiar zdawać rygoroza i pójść do dyplomacji — odparł zdziwiony Krzy.sztof.

— I ty rau dobrodusznie uwierzyłeś, z czego widać, jak ludzi nie znasz i jak sam do dyplomacji stworzony byłeś. Zygmunt zrobił wprawdzie podanie, aby mu jeszcze pozwolono zdawać egzaminy, i wydawało mu się, że wszystko otrzyma, ale o tem wtedy nawet już mowy być nie mogło.

— Ależ ty powiedz tymczasem, co on teraz nowego znalazł?

— Oh! nic złego; zdaniem wielu porządnych ludzi, zrobi! nawet bardzo dobrze... Ale ciekawym, co ty na to powiesz? Znasz go przecież doskonale, i dziś, kiedy wiesz, że praca już kończyć nie może, że do służby rządowej nie wejdzie nigdy... do czego sądzisz go zdolnym po siedmiu latach, to jest od czasu, jak wyszedł z wojska, życia takiego, jakie prowadził?

Krzysztof podniósł trochę ramiona, uśmiechnął się i rzekł:

— Chyba do tego, by się ożenił z pewnym majątkiem.

— Tak jest, niezawodnie!... Tylko, że on i tego zrobić już nie potrafi.

— Ale cóż ty mówisz? Jeszcze wielki czas po temu, dwadzieścia ośm lat ma dopiero.

— Prawda... tylko że jego ostatnie siedm lat powinny się liczyć nie podwójnie, jak lata wojny, lecz potrójnie, jako czas ubezwładnienia moralnego. Bo ty nawet wiedzieć nie możesz, Jak bardzo on się odmienił

Gazety już czytać nie jest w stanie, nudzi się wiecznie, robi się niechety dla każdego i zły. Gra go bawi. lecz tylko wysoka, więc stroni jeszcze od niej, dzięki zachowawczemu instynktowi, który mu dotąd pozostał. Nawet przestał już wzdychać do gospodarstwa, bo czuje, że na wsi krótko tylko wytrzymać zdoła, że bez tego miastowego ruchu żyć nie potrafi.

Natomiast latem wzdycha coraz więcej do Ostendy... i tam patrzy, jak w stronę raję.

— Jakże się skończyło jego staranie o pannę Zuzannę Obrembską?— spytał znowu Sieniński.

— Właśnie o nią dziś mi chodzi—odparł Hieronim. Zdaje mi się, że cię kiedyś nawet przedstawiałem sam tej panience, ale, naturalnie, twoim

chwalebny zwyczajem z pewnością nie pamiętasz, czy jest brzydką jak czarownica, lub piękną jak bogini. Otóż jest całkiem przystojną, ma nadzwyczaj miłego i porządnego ojca; wcale dobrze musiała być wychowaną, a przez ostatnie dwa lata, to jest od czasu, kiedy bywa w świecie, z dziecka wyrosła na bardzo przyjemną dziewczynę. Straciwszy matkę, gdy była jeszcze podlotkiem, zajmnie się sama domem ojca; ma samodzielności, rozsądku i poczucia odpowiedzialności więcej, niż ich panny nasze dziś wogóle mają. Przytem przeciętnie. IO znaczy nie nadto, jest wykształcona, a ma w dodatku małe wymagania i bardzo wiele wrodzonego sprytu; wesoła też i ruchliwa, z początku lubiła Zygmunta za jego znakomite tańcowanie. Sama zdawała się wtedy mieć skrzydła Terpsychory. i ja też. widząc ich nieraz przelatujących przedemną w szalonym wirze waka lub w pędzie mazura i patrząc na dwie uśmiechnięte ich twarze, myślałem, że zabawa powinna się tym razem i na coś więcej przydać. Od początku ostatniej zimy rzecz posunęła się nawet znacznie, bo nie tylko tańcowali, jak dawniej, ale ciągle ze sobą rozmawiali. Dziewczyna zapewne zakochała się pierw

sza w wesołym chłopcu, który jej nie odstępował. Jemu też coraz więcej się podobała, a miłość własna zrobiła resztę. Zaczął się o nią starać tak ostro i wyraźnie że wszyscy już w świecie o tem mówili. Ale niestety, wówczas znany ci nieproszony kojarzycie! małżeństw, chcąc przyśpieszyć rozwiązanie sprawy, przestrzegł Zygmunta, aby dał pokój staraniom, jeżeli nie ma zamiaru z panną się żenić. Rowiński z początku nie uważał na to, lecz po kilku dniach przystanął jak wryty i zaczął się wywiadywać o majątkowe stosunki Obrembskich. Dowiedział się wtedy wkrótce całej

prawdy: że ujciec ma ładną, ale obdtużoną wieś, synów młodszych kilku i ze córce z biedą płacićby mógł tylko maty procent. Zygmunt wpadł przed miesiącem do mnie z tą wiadomością, w strasznej pogrążony desperacji, wyrzekając na zawistny los co go prześladowuje, co mu we wszystkim przeszkadza i życie zwichnie, a na ojca się skarżył, mówiąc, że pensją, jaką mu daje, i majątkiem, który chce mu zostawić, czyni niemożliwym jego małżeństwo z panną Obrembską.

— O ile pamiętam — przerwał Krzysztof. — to pan Rowiński zapisał na imię Zygmunta tę wieś Satanówkę, z której dzierżawy płacą rau wcale ładną sumę?

— Tak. Jest tam nawet w dodatku dom nieduży, ale wygodny, w którym przy miernych dochodach, jakieby mieli na spółkę, mogliby zdaje mi się żyć doskonale, bo panna gospodarna i bardzo skromnie wychowana potrafiłaby wybornie wydatki do dochodów zastosować.

— Tembardziej, że te urosną kiedyś z pewnością, bo dzierżawa dziś puszczone nadzwyczaj nisko.

— Zapewne. Ale Zygmunt, obliczywszy wtedy po raz pierwszy, że tem. co ma teraz, nie wystarcza nigdy na kawalerskie życie, powiedział zaraz, że z małym procentem żony byłaby to nędza, na którą się nie chce wystawiać przez niby nadzwyczajny rozsądek, i

potem przez trzy dni do panny się nie zbliżył. Wyobrazisz sobie łatwo, że ja nań naciska nie wywierał żadnego, nie chcąc niczego brać na swą odpowiedzialność. Widziałem tylko, że ojciec i panna byli mocno zadziwieni... ona pewno więcej, niż to okazywać chciała. Po tych trzech dniach jednak Zygmunt zaczął znowu z nią rozmawiać, a ja wtedy

pytałem go. co myśli nadal robić. Nie wiem — mówi!,—żał mi jej, bo się we mnie kocha, a i ja ją bardzo lubię. Żeby miała więcej,, choćby tylko 1,000 złr, dochodu, zgodziłbym się na tę biedę,, byle z nią! Ale tak, jak się rzeczy mają... to przecież nędza. Cały rok na wsi trzebaby żyć i z księdzem proboszczem się bawić. OJ tej chwili pewny byłem, że wszystko skończone. Radziłem mu wtedy, prosiłem, aby szczerze dał poznać, że się żenić ille myśli, bo ludzie o tem gadają i jego później winić będą. Ale on mnie na to ofuknął... i dalej robił swoje. Wyjechaliśmy wtedy obaj z Krakowa, więc nie wiedziałem, co się w końcu stało; ale dzisiejsza depe sza dosyć jest wyraźną. Nie stało i nie stanie się nic, bo już wszystko się rozlało.

— Jakaż to szkoda—rzekł Sieniński,—bo zona możeby go jeszcze potrafiła zmienić, i możeby był wyszedł z tego zaklętego koła, w którym chodzi dotąd bez celu i bez przyszłości.

— Teraz już z niego nic nie będzie—odparł Hieronim. Chyba, że złapie jaką milionową jedynaczkę! Ale wtedy winszuję obojgu.

— Nie. złapie, bo takiej nie znajdzie, bo u nas już ich niema. A choćby i była, to za Zygmunta, próżniaka, bez stanowiska, bez kariery i przyszłości, nie pójdzie nigdy,—wtrącił Krzysztof.

— Zkądże się u ciebie wzięła taka znajomość pa nieńskiego świata?— spytał Hieronim, troche zdziwiony. Ale masz rację—ciągnął dalej. Panna Obrembską była. zdaje mi się, ostatniem dla niego wyjściem, bo poszłaby

była za niego chctnie i byłaby go może na pochyłości zatrzymała, zrobiłaby go przynajmniej nieszkodliwym dla samego siebie. A zresztą— kończył wolno i cicho, głowę opierając na ręku, tak że sobie oczy zakrył i

zapelnię. — może ja znowu się mylę? Czasem zdaje mi się teraz, że nie umiem już rozróżnić możliwości od niepodobieństwa. Ba! nawet więcej — tu przerwa! na chwilę. — bo może i złego od dobrego!...Może i Zygmunt nie byłby już w stanie znieść życia skromnego, na jakie małżeństwo z panną Obrembską skazałoby go. Ona kocha go dosyć na to, aby je wytrzymać z radością... ale on jej... nie... Po siedmiu latach takiego, jakim było jego życie, człowiek już na tyle kochać nie potrafi, aby cokolwiek z siebie poświęcić..Dziewczyna zmarnowałaby się daremnie... a on.. wkrótce straciłby resztę majątku!

— Straci ją i tak. skoro tylko ojca nie stanie, aby mu w tym jeszcze przeszkadzać — wtrącił Sieniński. Swoją drogą, jeszcze zawczasie nam mówić tak o człowieku, który graczem z natury nie jest, a lat trzydziestu nie ma; zawczasie twierdzić, że już nic z niego być nie może..

— Wcześniej, to prawda; ale nie zawczasu—odparł Olszowski. Jeżeli ten człowiek trzecią część swego życia już zmarnował, jeśli karierę, do której się sposobił, ma nazawsze zamkniętą, a jest już tak rozpróżniaczony i rozgrymaszony, że egoizm wziął w nim górę nad wszystkim i nie da mu się nawet ożenić z panną, w której się niby kocha, wyłącznie ze strachu przed jakimkolwiek przymusem... to z takim już koniec! Jedyłą treścią, nadzieją całą, jedynym wyjściem w życiu dalszym: małżeństwo z bogatą dziedziczką! Jego pozycją socjalną: szukanie posagu!,,. Sam zaś dobrze mówiłeś o prawdopodobieństwie znalezienia go.

Ha! masz słuszość — rzekł Sieniński. Szkoda chłopca, bo umiał być miłym, i było w nim wiele ma:

teriału dobrego... Ale Zygmunt łączy w sobie wady.

o których długo myślałem, że nie mogą iść w parze ze sobą, to jest; lekkomyślność z egoizmem. Ja sam np. jestem egoistą... wiem o tem dobrze. Ale lekkomyślności... tej chyba we mnie niema, i może dlatego właśnie do tego stopnia jej nienawidzę, że, widząc, co się przez nią u nas stało i dzieje, patrząc na człowieka takiego, jak Zygmunt, nie moge się powstrzymać od uczucia, iżby prawie lepiej było, aby się tacy nie rodzili. Ty. Hieronimie, jeden z nas jesteś coś wart, bo w tobie egoizmn niema. Na ten zwrot Sieniriskiego ku niemu Olszowskiemu usta się skrzywiły; ręką machnął i przez zęby mruknął

— I cóż ze mnie będzie, mimo to?

W ruchu tym i w słowach jego był wyraz, który zatrzymał pytanie na ustach .Sienińskiego.

Obaj ci ludzie bowiem, przy całej swojej zażyłości, pomimo, że wierzyli sobie nawzajem, jak nikomu innemu na świecie, przecież nigdy jeden drugiego o nic się nie pytali. Jeżeli który z nich w jakim przedmiocie lub okoliczności stawał się niemy i chętnie odrazu swego uczucia nie wyrażał, mógł być pewnym, że dru gi nawet zdala nie zbliży się do tych spraw. Mogł on nieraz odgadnąć tę myśl nkrytą, ale słowem jej nie dotknął nigdy, i na tem też poszanowaniu, na tym chłodzie pozornym stat trwale sto.sunek dwóch tych ludzi, których przyjaźń złączyła jak braci, a którzy od nikogo nie byliby znieśli wdzierania się do tajników swych dusz. Dlatego to Krzysztof nie spytał się nigdy Hieronima o przyczynę jego ubezwładnienia moralnego, nie wspomniał mu nigdy o sprawie owej odmowy katedry w lwowskim uniwersytecie, o której z pewnością i on się dowiedział, gdyż wszyscy o niej przez jakiś czas w kraju mówili. Dotknięty do żywego tym obrotem, jaki wtedy wzięło życie przyjaciela, starał się w siebie wmówić nadzieję, że czas, który wszystko za

ciera, i tę ranę zabliznić potrafi. Nie mógł atoli pozbyć się przekonania, że jak drzewo, któremu wielki konar odetną, korą ranę swą wprawdzie zablizni, ale skrzywi się przecież trochę i nazawsze zachowa chore miejsce, tak i człowiek, raz dotknięty głęboko, spaczy się często i skrzywi, a wtedy zestatmie i stanie się już niezdolnym do czynu, jeśli w tej rozstrzygającej chwili nie wzniesie się własną silną wolą po nad samego siebie i w życiu nazawsze o sobie nie zapomni. Krzysztof tak już od roku Hieronima śledził z niepokojem i. choć zawsze głęboko cenił przyjaciela, wątpić przecież zaczynał w jego siłę i bał się, że wrażliwa, do pesymizmu skłonna natura nie zdoła się nanowo dźwignąć. Patrząc nań teraz od kilku tygodni, widząc, że stan zniechęcenia, osłabienia woli, zupełnego zwątpienia we własną przyszłość, staje się u niego chronicznym, nieraz może miałby ochotę kłać losom nagłos, a wśród tego ciągle powtarzał sobie samemu, że chyba ocean żelaza trzeba by wlać w naszą krew, aby z nas coś dzielnego być mogło—i żał go ścisnął na myśl o prawdopodobnie zmarnowanym życiu drogiego ran. przyja ciela

W trzy dni po powyższej rozmowie, nie zaś nazajutrz, jak był donosił, Zygmunt Eowiński przyjechał do Chronowic. Zaraz po pierwszych kilku godzinach jego pobytu Sieniński przyznać musiał słusność słowom Hieronima. bo nigdy przedtem nie widział dawnego kolegi w u.sposobienin równie złowrogim. Wesołość, dobry humor odleciały go snadź nazawsze; za niemi znikła także dawna przychylność dla ludzi i uprzejmość, które miał wrodzone; nawet serdeczność względem dwóch przyjaciół osłabła, a natomiast opanowała go obca mu dawniej zgryźliwość i obraźliwość, z której kiedyś sam na wyścigi z Sienińskim wyśmiewał się przy każdej sposobności. Z całym swoim silnym uporem odpychał on jeszcze myśl o nicości swego życia i przyszłości

ale wracała mu ona coraz uporczywiej, zwłaszcza gdy go ruch światowy nie pochłaniał.

Wkrótce też przekonał się, że pracowita cichość i jednostajność dui w Chronowicach będzie dla niego z tego względu nieznośną. Agitacja wyborcza, na którą zrazu rachował jako na nową rozrywkę, była wprawdzie w pełnym toku, ale przyjaciel, sam w niej z zasady nieczynny, nie pozwoliłby mu z pewnością brać w niej udziału.

W pięć dni po przyjeździe Rowińskiego wybrali się raz obydwaj konno na najdalszy folwark cbrono wieki, Gaworlinem zwany, leżący ku północy, tuż nad Wisłą. Wiosenne błoto zaschło już było w twardą grudę na drodze, wiodącej przez środek bogatych łąnów, i nie pozwalało przez jakie półtory mili na szybką jazdę, tembardziej, że irlandzka klacz Zygmunta potrzebowała dobrego terenu do swobodnych ruchów. Niebo od rana było jasne, a powietrze tak przejrzyste i wszel kiej mgły pozbawione, że dobrym wzrokiem w odległości mili policzyć było można grube sosny, u krańca lasu stojące, wsie zaś na przeciwległym brzegu rysowały się tak wyraźnie wśród młodej zieleni swych sadów, że istnienie ciężkiej do przebycia zapory pomiędzy dwoma brzegami zdawało się znikać. W tej cieplej, nieruchomej ciszy, zalegającej w powietrzu, dolatywały czasem aż ztamtąd głosy, nawołujące ludzi i bydło do pośpiechu w pracy, a echa kęp nadwodnych przeciągały je w coraz cichszym i żalośniejszym brzmieniu. Podczas drogi rozmowa szła wesoło dwóm towarzyszom, jak to często przy wolnej jeździe bywa; mówili zaś naprzemian: o sprawach wyborczych, o Wiedniu i o wyścigach, zaczynających się właśnie w tej porze roku. Zygmunt bowiem, wyjątkowo sobą nie zaięty, był tem samym w lepszym humorze. Gdy atoli, zajechawszy na folwark, Sieniński zajął się tam ogląda

niem bydła, stodoły i spichlerza. niebo poczęło się powoli zaciągać coraz grubszymi warstwami chmur, idą cycti z zachodu, a Zygmunt tymczasem, zostawiony sobie samemu. równie szybko sposepniał. Wkrótce też można już było ręczyć, że cierpliwość jego nie wytrzyma dalszej próby, na jaką wystawiała ją dokładność przyjaciela w zarządzie gospodarskim, Gdy Sieniński po długiej zwłoce wyszedł nareszcie ze spichlerza, dając ostatnie rozkazy staremu gospodarzowi, którego siwe włosy pamiętały pewnie jego dziada, spojrzął na niebo i siadł coprędzej na konia, wołając do Rowińskiego, stojącego opodal:

— Trzeba nam się śpieszyć, bo nas deszcz skropi. Zygmunt, w dosyć już złym humorze. odparł:

— Dopiero teraz widzisz, żeś całą godzinę bałamucił. Ta. samą drogą wracać nie możemy, bo nigdy na czas nie potrafimy uciec, a zresztą ona i tak okropnie nudna,

Sieniński chwilę się namyślał:

— Moglibyśmy jechać kępami,, ale jak deszcz lunie, zaraz się ślizko zrobi, wielkie zaś zagrodzenie na woły pod Nadolinem nie jest fraszką do przeskoczenia, nawet wtedy, kiedy jest sucho,

Zygmunt się skrzywił;

— At? to je ominiemy.

Nie można, bo na groblę nikt nie przejedzie po przez muł, który woda naniósła do dołów pod wałami.

Zygmunt się niecierpliwił, a Gołden Klower niespokojnie parskął.

— Ależ u licha, tędy będziemy moknąć przez pół tory godziny. Dziękuję ci bardzo; widzę, żeś tchórzem się zrobił od czasu, jak z tobą jeździłem,,.

Zresztą, rób sobie co chcesz; ja wiem, że jadę kępą, a zobaczymy, kto będzie pierw i bezpieczniej w domu—i ruszył sam naprzód kłusem.

Krzysztofa niecierpliwość zaczynała porywać. Ścisnął konia ostrogami i ruszył za Zygmuntem. _

Chłodny powiew przeleciał tymczasem po olszach i wierzbach nadbrzeżnych i jakby dreszczem zaszeleścił w drobnych jeszcze, srebrnych liściach starych białych drzewów. Kilka grzmotów przebiegło po ciemnych chmurach a po chwili pierwsze, grube i ciepłe krople deszczu spadły na jadących. Wiatr z zachodu zerwał się nagle silny i ciął wodą po twarzach, tak że konie zaczęły niecierpliwie strzepywać uszami. Wkrótce jednak uciszyło się. Deszcz drobniejszy i chłodny dowodził, że poprzednie niezwykle ciepło i jego gwałtowna burzliwość były tylko chwilowe, nie stać bowiem na nie jeszcze naszej wiosny, nie dorosłej do siły i potęgi lata. Niebo zrównało się też niebawem w jednostajnym, jasnosiwym cieniu, a drobne kropelki, które jak rosa zawisły u złotej grzywy kasztanowatego konia, tak Sienińskiemu przypominały jesień, jak gdyby go ona we wszystkim zawsze otaczała. Ale Zygmunt, po pewnym czasie, przerwał mu tok myśli i swoje ponure mruknięcie i ze zmarszczonym czołem a wyrazem zniechęcenia na ustach rzekł do niego:

— Wiesz ty, Krzysztocie, że jak tu jestem i na ciebie patrzę, to przychodzi do przekonania, że wolałbym być ostatnim twoim parobkiem, niż sobą. Ilożabyś ty mnie wziął na ekonoma na przykład, albo na karbowego... na cokolwiekbyś wreszcie. Bo cóż ja teraz w mieście robić mogę?... Ojciec nie pozwolił mi się uczyć gospodarstwa wcześniej... nauczyłbyra się teraz... Mógłbyś mi przecież dać jakieś miejsce ?

Sieniński na te słowa ze zdziwieniem spojrział w twarz mówiącego, i prawie mimowoli zawołał! : o nie!.

Na usta cisnął mu się jeden wyraz: Chyba na rezydenta! —ale go zatrzymał, bo pocóż było mówić przyjacielowi rzecz ostrą i przykrą, wywołując tylko obrazę. Miał więc, aby mu się jakieś inne słowo krytyki nie wyrwało, a Zygmunt tymczasem pytał uporczywie:

— Ale czemu mi tak stanowczo oclmawiasz? Każdy głupi chłop może być karbownikiem, to i jabym potrafił.

Sieniński szuka! odpowiedzi i znalazł ją w deszczu, który coraz gęściej kropi!:

— Boby ci się prędko sprzykrzyło stać np. dzisiaj nad fornalami, którzy muszą wszystkie brony i narzędzia starannie pozbierać, nim będą mogli do domu wracać,

— At!—odparł Zygmunt, obracając sobie dogodniej kwestję. Wszystko się na świecie uprzykrzy, jak człowiek nie ma tego, coby chciał.

Sieniński, wbrew swemu zwyczajowi nieodpowiada nia na podobne ogólnikowe narzekania, odparł:

— Me znam dotąd człowieka, któryby miał to, czego pragnie.

— Oho! bardzo przepraszam—odrzekł Zygmunt. Są tacy, którzy mają wszystko, czego im trzeba, siedzą w Paryżu i w Monaco, i pieniędzy nawet tam im nie brakuje.

Sieniński oczy zmrużył, bo deszcz padał coraz gęściej, ramiona nieznacznie podniósł i mruknął krótko

— Takim, jeżeli nasi, lepiejby kamień u szyi uwiązać i w morze rzucić! — poczem, przerywając rozmowę, której nie miał ochoty dalej prowadzić, galopem ruszył naprzód.

Tymczasem gęsta murawa na ziemi, zeschłej w skalę po wiosennych wodach, zrobiła się pod kopytami koni bardzo ślizką. Już tylko

GoldenFlower szedł śmiało i pewnie pod mniejszą wagą i pewniejszą ręką swego pana: ale klacz irlandzka Zygmunta pracowała ciężko, aby utrzymać władzę nad swemi nogami, uciekającymi jej co chwila na boki, Sieniński, widząc to, rzekł po chwili:

— Przy zagrodzeniu będzie bardzo źle, i radzę ci wolno najeżdżać, bo inaczej będziesz leżał z pewnością.

Przeszkoda, zdaleka widoczna, rzeczywiście nie była łatwą do pokonania. Na wale, usypanym z ziemi, siał

wysoki plot z dwóch grubych Żerdzi złożony, po za którym pilyskala woda szerokiego rowu, co razem składało się na nader poważną zaporę. Sieniński zbliżając się dopiero pozwolił swemu koniowi ruszyć długim galopem. Z głową do góry wzniesioną, lekko oparty na miękkim mundsztuku, z okiem i nozdrzami szeroko rozwartymi, przyszedł GoldenFlower na sam brzeg przeszkody i wznosił się w górę czlerema nogami, tak że przez dłuższą chwilę wszystkie podkowy zabłyszczały w powietrzu. Gdy dotknął ziemi na przeciwnym brzegu, Sieniński, cały w tył przechylony, obydwoma rękami utrzymał go w równowadze, a silny koń na swych stalowych nogach pojechał tylko naprzód parę kroków, jak na łyżwach, i stanął bezpieczny.

W tej chwili klacz Zygmunta, gnana przez niego na przeszkodę, do której widocznie czuła nieufność, z ogrzonym zapędem wzniosła się również nad płotem, dotknęła przeciwnego brzegu, ale, pociągnięta po ślizgocie własną i jeźdźca wagą, runęła ciężko na ziemię, z jedną przednią nogą podwiniętą pod siebie. Zygmunt, którego impet odrzucił szczęśliwie na bok o parę kroków, wstał zaraz bez trudności, a tylko lepką ziemią cały był powalany i mokry. Nie miał atoli ochoty zbliżyć się zbyt do kopyt klaczy, która tymczasem gwałtownie się szamotała, daremnie próbując powstać. Zgodził się tylko potrzymać konia Sienińskiego i

towarzyszącego im grooma, podczas gdy Krzysztof ze stajennym chłopcem starali się dźwignąć biedne zwierzę.

— Musiała sobie coś złamać, kiedy wstać nie może— rzekł Sieniński, i całą siłą swych długich, żelaznych ramion podparł klacz pod prawy bok. Dźwignęła się nareszcie i stanęła, chrapiąc i trzęsąc się, cała pokryta pianą i biotem z jednej strony i z prawą przednią nogą, wiszącą bezwładnie od kolana. Na ten widok Sieniński zaklął gwałtownie i rzekł krótko;

— Trzeba jej zaraz w łeb strzelić!—w głosie zaś drgał mu gniew. Chłopiec klęknął na ziemi i oglądał złamaną nogę.

— Ej, jasnie panie, szkoda jeszcze: powiesimy ją na pasach w stajni, i kość się zrośnie.

Klacz stękała i głowę schylała ku niemu, jakby pokazać chciała bolącą nogę. Chłopca łzy w oczach stanęły i rzekł

— Nieme bydło. .i przecież tak jakby chciało mówić.

— No, próbuj ją prowadzić ku domowi, choć na trzech nogach—odparł Sieniński,—a ja pojedę naprzód i przyślę ci kogo na pomoc.

Sam siadł śpiesznie na GoldenFlower, Zygmunt na młodego konia, który pod lekkim i śmiałym chłopcem przebył przeszkodę bezpiecznie i, nie mówiąc słowa, wśród wzmagającej się ulewy, podążyli ku domowi.

Zajechawszy, Zygmunt uciekł zaraz na górę suszyć się i przebierać, a Sieniński poszedł wysłać ludzi na pomoc zostawionemu w polu chłopcu i rozmówić się o losie nieszczęśliwej klaczy ze starym masztalerzem ojca, mającym dozór nad zdrowiem całej stajni.

Deszcz tymczasem szemrał coraz grubszym i niższym głosem; chłodny wiatr wstrząsał gateżmi topoli, a grube krople coraz gęściej spadały z wystającego, czarnego okapu starego domu.

W tydzień po tym wypadku, Sieniński musiał pojechać na wybory, pomimo wrodzonego wstrętu do po dobných występów, bez których w tym razie nie mogło się jednak obejść. Hieronim, pewny zwycięstwa, towarzyszył mu, aby się niem nacieszyć, a Zygmunt, aby nowem widowiskiem nieco się rozerwać. Wybór pana z Chronowic był rzeczywiście zapewniony w powiecie, bo księża okoliczni byli mu przychylni po większej części, chłopci wszyscy chętnie nań swe głosy dawali, a wrogie wołania nielicznych przeciwników z małych

miasteczek, owoc zabiegów Jawnego posta, zginęły zupełnie wśród krzyku ogólnej radości z nowego kandy data. Sieniński rad nie rad musiał więc wejść na stót, aby parę słów powiedzieć do swych wyborców, do tych włościan z nad Wisły, w ciemnych guniach i porządnych butach, którym z ogorzałych rysów i ciemnych oczów biły spryt i energia, i do tych drugich, suchych, białych lasowców, bosych, łub noszących krypcie z sosnowej kory, którzy słuchali go cicho, pokornie, spuszczać głowy. Pan chronowicki powieilział im tylko w zwykłych, potocznych wyrazach, nie natracając w nich nigdy afektowanej chłopskiej mowy, że będzie pamiętał o ustawach gminnych i drogowych, dotyczących ich zbliżka; podziękował im za zaufanie i zaręczył, że uważa za swój obowiązek utrzymanie najlepszego stosunku między nim a wnukami dziadów, którzy, jak jego i ich ojcowie, od wieków na sąsiednich siedzieli łanach. To też po tym krótkim akcie rozchodzące się zaraz potem gromady wyborców w

brunatnych guniach i zgrzebnych płutniankach, szeptały tylko między sobą pocicbu, kiwając wielkimi laskami:

— Udało nam się raz przecie mieć pana na posła, a nie łyka miejskiego, który z biednych ludzi darłby dobytek do końca,.. Ten gospodarz i nde, jak w polu narobić się trzeba. Krowy u niego dużo mleka dają. konie wielkie i grube, a on pieniędzy u żyda nigdy nie pożycza...

Trzej przyjaciele tymczasem, wracając o zmierzchu białą szosą do domu wysokim faetonem, z którego Sieniński czwórka zwykł się był wozić, naturalnie roz mawiali także o wyborach,

— Każdy z was rai przyzna—mówił Zygmunt,—że ci ludzie z lasów wyglądają zupełnie głupkowaci, ze swenu błędnymi oczami; a szelmy, w dodatku muszą być straszne próżniaki, kiedy sobie nawet na buty zarobić nic umieją.

— To prawda, że do roboty nie są skorzy—odparł Sieniński,—ale ciekawym, kto nim być potrali, jeżeli od dziesięciu generacji żyje w wilgotnym lesie, we wsiach, rozsianych szeroko na ogromnej cienistej przestrzeni. Z licznych wprawdzie, ale piaskowych, albo co gorzej, sapowatych gruntów, zbierze parę korcy żyta. ',wsa i ziemniaków, a na kwaśnej trawie na polanach ledwie wyżywi krowę, która nigdy mleka nie daje, i ciele, które w pierwszym roku zazaz zgarbi się i spar szywieje. Zygmunt się skrzywił:

quelle misere!

— Nędza to jest...—przerwał Krzysztof i namyślał się chwilę, nim dorzucił,ale nie tak straszna, jak się zdaje, bo ja nieraz już najbiedniejszym z nich dawałem dostateczny zarobek fornała, mieszkanie i zboże, a każdy

taki uciekt w lasy swoje przed półrokiem. Leśni natomiast są z nich doskonali; wysłuchują rogacze i słonki, lisy w paściach wygubią i o każdej so sence pamiętają lepiej, niż leśniczy z Czech albo z Moraw. Ot, teraz np. właśnie musiałem wziąć jednego od koni, ho nie mógł się nauczyć wlec mojemi bronami, i poszedł na leśnego do Toporowa.

— Ty chyba musisz mieć kroplę ich krwi w sobie—wtrącił Hieronim,— i ztąd ta twoja niechęć do pracy szerszej, do codziennego, trochę liczniejszego towarzystwa ludzi, ten twój pociąg ilo zamykania się w domu, aby samemu orać i siać. zamiast robić coś więcej...

— Pewnie także dlatego on woli patrzeć w rów. w którym płynie czarna woda z lasów, jak zabawić się w Wiedniu lub w Paryżu, — drwiącym głosem dorzucił Zygmunt.

— Sieniński się zaśmiał:

— Ha! cóż chcecie? Tu się rodziłem, tu od wieków siedzieli dziadowie i... Boże odpuść.. nie więcej..

odemnie robili. Trudno więc, żebym się był od nich zupełnie odrodził,,. Zresztą, teraz,, stało się zadość iwoim życzeniom, Hieronimie. Mam nadzieję, żeś kontent ze mnie i że te sześć tygodni na rok, przez które będę chodził w poselskiej niewoli, zadowolnią cię na czas jakiś.

— Na początek... tak! Ale potem... możesz poma gać tym, na których cała pracę w kraju zwalają, bo niema ludzi, którzyby ją z nimi dzielić chcieli, — odparł Olszowski.

Krzysztof na te słowa zmarszczył się tak. że mu gruba podłużna kresa z pomiędzy brwi już przez cały wieczór nic zesła. Batem zawinął w

powietrzu nad końmi, które ruszyły wielkim kłusem, a miarowy ich tentent przygłuszył prawie przez zęby wyszeptane słowa:

— Czy ja im tam zdałbym się na co?!

W sześć lat po tej wiośnie, w piękny i ciepły wieczór lipcowy, szeroką drogą, wiodącą na północ, lekkim powozikiem, zaprzężonym parą rosłych angielskich kasztanowatych koni, jechał Olszowski znowu do Chronowic, a tuman kurzu, wznosząc się gęsto z pod cicho idących kół, ciągnął się drogą nieskonczonem pasmem lub stał w powietrzu prawie nieruchomie.

— To pana dziś w domu niema?—Olszowski, znudzony długością drogi, zagadnął furmana.

— Jaśnie pan miał dzisiaj rano jechać na wybory, ale pewnie na wieczór wróci, choć później niż my — odparł Woźnica,

— A cóż ludzie o wyborach mówili?—pytał dalej ciekawy Hieronim,

— Ej, różnie—brzmiała odpowiedź. Nasz pan nie stara się o to dosyć, a ten, z przeproszeniem jaśnie

pana, łyk aiiwokat, co kupił Zalesie, pcha się aż sirach. po ksicżach Jeździ, ludzi traktuje wódką, ty tuniem i kielbasą na wszystkich Jarmarkach, a niejednemu ponoś dziesiątki pchat cicho do łapy... takim naturalni", co wiedział, że im ten grajcar paków nie poparzy...

— To wszystko szkaradzieństtyo—ciągnął dalej nasi chłopci cięli wczoraj nowe łaski z buczyny na tych, coby za naszym panem nie byli... Ale jak tamtych będzie dużo, to nic nie wskórają.

— ..ileż to źle—przerwa! nieco zaniepokojony Olszowski. Pan mi nic o tera nie pisał i nikt o tem nie wie.

— Jaśnie pan pewnie nie chciał martwić wielmożnego pana—wtrącił furman tonem przypuszczenia.

gde Olszowski tło Chronowic zajechał, Sienińskiego rzeczywiście jeszcze w domu nie było. Kozgościł się więc w swoim zwykłym mieszkaniu, aie z kolacją kazał czekać ita pana. Myśl o wyborach tymczasem zaczynają go niepokoić coraz bardziej. Dotąd nie wątpił on, że pójdą łatwo; nie przypttszczał nawet podobieństwa, aby Sieniński w nich raógł przepaść, bo pociągnęłoby to za sobą zupełny zawó.l jego marzeń. Odepchnięta niecierpliwie, obawa ta wracała jednak uparcie, a słowa furmana złowrogo dzwoniły mu w uszach, Hieronim oddawna wiedział i najmocniej był o tem przekonany, że pan chronowicki tylko na parlamentar nej drodze mógł służyć krajowi i składać mu należną od siebie daninę. Przez ostatnie sześć lat Olszowski przekonał się też był dowodnie, że miał słuszność, sądząc, iż dań fa Krzysztofa nawet większą być powinna od tej, którą ogól dawać może, wszyscy zaś koledzy sejmowi i znajomi Sienińskiego nauczyli się myśleć o nim tak samo. Łatwe bowiem majątkowe stosunki, zupełna niezależność, brak rodziny i zdolności polityczne, obok znajomości ludzi i interesów krajowych, obok

sądu w gruncie może nadto, ale nie nie.sprawiedliwie ostrego, tylko zaś powierzchownie dla ogólu pobłażliwego, czyniły Krzysztofa stworzonym do podobnej pracy i kładły nati ten obowiązek dziesięćkroć więcej, niż na innego. Na innej zaś drodze, jak na sejmowej, nic on ojczyźnie dać nie mógł, bo egzaminów prawniczych nie zdawał, w wojsku służył tylko jako jednoroczny, a majątku nie posiadał znów takiego, aby mógł nim zaważyć w finansowych sprawach prowincji. Ale też teraz, po długiem wprawdzie

a cierpliwem czekaniu, mógł by sobie Olszowski powiedzieć, że się nie mylił, sądząc, iż ten ostatni syn panów z Sienna był naprawdę w stanie robić wiele.

Rzeczywiście bowiem, gdy przed sześciu laty młody poseł, zrazu po mozolnem śledzeniu wszystkich spraw sejmowych, zaczął z czasem widzieć chwilami przed sobą drogę prosto dla kraju wytkniętą, gdy słyszał słowa tych, którzy tam mówili, że dawne błędy w narodzie trwają zawsze, a tylko na małej rozwijając się widowni, gotowe wybuchnąć przy pierwszej sposobności, zapalała się w nim nowa dlań chęć zwakzania, zgniecienia tych niesfornych żywiołów, ujęcia ich w żelazne karby; poczuł w sobie siłę, iż jeden bodaj przeciw tysiącom byłby w stanie bronić tych przekonań i tych ludzi, którzy śmieli prawdy owe głośno wypowiadać. gdy po dwóch latach i jemu tam wypadło się odezwać, mówił jasno i bez ogródki, a słowa jego płynęły z potęgą, jaką dają długie myślenie i wielkie bogactwo spostrzeżeń, wraz ze swobodą wrodzonej zdolności. Wkrótce też znaleźli się w stronnictwie ludzie, którzy młodego pracownika użyć zapragnęli i o ciągłą pomoc jego zaczęli się starać. Wymykał i wyslizgiwał się im zrazu, ale znalazł się nareszcie taki, który przypomnieniem szkolnych czasów uderzył w strunę, niegdyś przez wielkiego, zmarłego już historyka w Sienińskim zbudzoną, i przywiódł go kilku słowami do tego, że obie

cał un podjąć się ciężkiej służby w krajowym wydziale, gdy pora potemu nadejdzie. Ale Olszowski, który jeden znalazł Sienińskiego, bał się czasami tej chwili. On jeden często, po zwichnięciu jakiejś ważniejszej dla kraju sprawy, po jednym z owych wybryków burzliwych a nas żywiołów, nie

poskramianych i nie karconych wobec btałości publicznej opinii żadną powagą, widywał Krzysztofa w usposobieniu, które go przestraszało. Najczęściej mikzał on wtedy, ale był posepny aż do dzikości, tak jego naturze przeciwnej; uciekał wówczas do Ohronowic, schować się w wiejskiej samotności. A bywało także, że zaczepiony w podobnych wypadkach przez znajomych lub kolegów, z jakąś ostrością zupełnie mu obcą, odzierał postępowanie niby winnych wedle jego przekouania, ze wszystkich pozorów, tłómaczących ustępstwa, jakie na rzecz partji przeciwnej ci jego stronnicy czynili, Gdy chodziło zwłaszcza o pobłażliwość, o brak oporu lub uleganie pod krzykiem dzienników i pod presją opinji, zamiast panowania nad jednemi i kierowania drugą, wówczas bywał on nieubłagany. Hieronim starał się w takich razach wpływać na przyjaciela; ale zwykle było to bezskutecznem, jak gdyby za karę za ów opór, który on stawiał przed laty Sienińskiemu, gdy tenże chciał go otrząść z jego apatji i gdy mu wyrzucał zniechęcenie do własnej pracy.

Z końcem ostatniej kadencji sejmowej nadeszła byia właśnie chwila spełnienia owej obietnicy Krzysztofa, danej niedawno starszemu sejmowemu koledze. Zapadła decyzja, że miał on zająć jedno z tych miejsc ważnych, choć nie wybitnych, w autonomicznym rządzie kraju, na których kierownicy, u steru będący, potrzebują nieodzownie narzędzi złołnych i sfornych, a od którego ciężka, mozolna droga mogła go nawet była z czasem zawieść wysoko, na coraz trudniejsze stanowiska. Wszyscy, a Hieronim więcej niż ktokolwiek, czuli, że Krzysztof teraz zdecydowany był nareszcie pójść do

końca droga obowiązku dla kraju, że nie widział jnż na tej drodze odwrotu. A tylko nikt, uawet ten serdeczny przyjaciel, nie wiedział, co się na myśl ową działało w Sienińskiego duszy; nikt przypuszczeń bodaj robić nie mógł, z jakim uczuciem szedł on ku nowemu życiu, bo powierzchownie zawsze równie gładki i ujmujący, nigdy niczem nie zdradził się z ową tajemnicą niewiary we własną na tem polu pracę, jaka serce mu gryzła.

W życiu Olszowskiego natomiast nie prawie przez te lata nie było się zmieniło. Na uniwersytecie wykładał on zawsze, ale dosyć już często jedne lekcję, a czasem i całe półroczka opuszczał. Napisał kilka cennych rozpraw historycznych, w których drgało zawsze uczucie, dające niezwykle życie każdej jego naukowej pracy. Powierzchownie przytem stracił nieco z dawnej swojej żywości, ale gwałtowności w zdaniu się nie pozbył; wyłysiał tylko znacznie, tak iż chuda postać i zmęczone oczy czyniły go o piętnaścia lat starszym, niż był w istocie. Do Chronowic przyjeżdżał zawsze, jak dawniej, a tylko Zygmunta widywał rzadziej, bo ten od śmierci ojca, między Wiedniem a Lwowem, gdzie teraz prawie stale przebywał, coraz spieszniej tracił swój majątek i coraz mniej dbał o dawnych kolegów, Kowiński w ostatnich czasach wpadł był na pomysł wejścia także do sejmu, a później dostania się ztamtąd do rady państwa, której djeta dzienna nie mogła mu wprawdzie wystarczyć, ale choć trochę dopomódz do życia w Wiedniu, Stawiany jednak między rusinami, z okręgu, w którym brat starszy zatrzymał był po ojcu majątek, przepadł odrazu bezpowrotnie, wskutek czego musiał zaniechać i tego projektu politycznej kariery, budzącej przez dwa miesiące wszystkie jego nadzieje. Brat tymczasem, widząc, jak szybko z resztą swych pieniędzy się uwijał, myślał tylko nad tera, że wkrótce wypadnie starać się dla niego bodaj o jakieś miejsce

w banku krajowym lub w jakiej innej autonomicznej instytucji, chwila bowiem musiała być już niedaleką, kiedy Zygmunt miał się znaleźć wobec niczego.

Ciemno już było zupełnie, i tylko gwiazdy na czarnym niebie migotały, a lampy oświetlały zamieszkałą część starego dworu, gdy przez naścież otwarte okna dudniący tentent szybko idących koni i przygłuszony turkot faetonu na ndękim dziedzińcu, doleciały nadzioru Hieronima, Wszedł śpiesznie i, we drzwiach jeszcze stojąc, rzucił jednym słowem pytanie, w którym brzmiały wszystkie jego obawy:

— Przecież wybrany?

Ciemna postać, oddawszy lejce chłopcu, w tyle siedzącemu, zeskoczyła szybko z kozła, i Sienitiski stanął przed przyjacielem w promieniu światła, wpadającego przez drzwi, Kękę wyciągnął ku niemu i rzekł całkiem spokojnie:

— Nie. Ale nie desperuj nademną, bo nie wyłącznie moja w tem wina. Hieronim złapał się za głowę, zapominając uścisnąć podanej mu dłoni.

— Ależ to straszne! teraz już naprawdę po wszystkich... Cóż się stało? Mówże prędko... Co powie marszałek, który na ciebie liczył napewno? Przecież wszyscy myślą, że twój wybór był zapewniony?—ciągnął dalej gorączkowo.

— Chodźmy do domu—odparł Sieniński ze spokojem, który był aż chłodnym wobec głosu Olszowskiego, Powiem ci wszystko, ale nie tu. bo dziś zmęczyłem się gorzej niż ten. co za bronami chodzi.

Gdy weszli do sali jadalnej, każdy, ktoby by! raniej od Hieronima przerażonym, musiałby zauważyć, jak twarz Krzysztofa była bladą pod brązowem opaleniem lata, i jak podłużna kresa na czole między brwiami głęboko mu się wyżłobiła, O ile zaś rysy nosiły ślady sześciu lat pracy i zmęczenia dopiero co prze

bytej walki, o tyle postać nie zmieniła się wcale, bo ruch fizyczny i robota nmyślowa naprzeciw zachowały, jej były sprężystość młodości obok męskiej siły, a czas tylko wycieńczał ją zwolna i wyszlachelniał. Hieronim drżał tymczasem z niecierpliwości, ale nic nie mówił, tylko oczy wlepił w Sienińskiego w nie mem pytaniu. W jego bowiem przekonaniu takt, że Krzysztof nie został do sejmu wybranym, był dlatego tak niezwyklej doniosłości, że musiał pociągnąć za sobą od charakteru przyjaciela nieodłączne złamanie jego politycznej kariery i zerwanie pracy publicznej człowieka, który był do niej stworzonym, a w którym nie on tylko upatrywał jeden z nielicznych filarów, mogących z czasem podeprzeć przyszłość kraju.

Sieniński. wchodząc do sali, rzucił na ławkę kapelusz, siadł przy stole i, uśmiechając się lekko, rzeki;

— Ha... no. Takie widać było przeznaczenie. Adwokat wysadził mnie z poselstwa, boiu nie umiał z agitatorami, z większych miast przybyłymi, gadać. — a w głosie jego brzmiała pewna ironją.

— Alboś nie chciał? wrócił Hieronim, patrząc nań żarzącymi oczyma. Krzysztof powieki na źrenice spuścił i brwi zmarszczył jeszcze silniej.

— Pewnie pakem nie ruszyłeś, aby mu przeszko dzić?—pytał dalej Olszowski.

— Więcej się o wybór starałem, niż za pierwszym razem, bo wiedziałem, że powinien. Ale są rzeczy, których my robić nie możemy... nie umiemy; u nich zaś broń to najskuteczniejsza, bo przeciw niej my nie mamy żadnej... A zresztą, zrobiłem co mogłem, i na prawdę chciałem... nie dali rai inni. Pocóż ja mam się walać, aby w nagrodę otrzymać ciężar, który mnie gniecie, którego sobie uprosić prostą drogą nie mogę!— i oczy .iego błysnęły z pod rzęsów światłem prawie gniewnem.

Hieronim czat, ie lepiej teraz tej struny nie tykać; opanował więc satn siebie i spytał:

— Zkądże się tu wziął ten twój przeciwnik?

— Na czym zrobił majątek, nie wiem, Ale domyśleć się łatwo. Następnie kupił tn ładna wieś. Zalesie, z dużym lasem, poczem zaraz zachciało mu się poselskiej godności. Gdyby był niemcem, siedziałby cicho z pewnością, bo na to trzeba być tylko jednym z nas, aby, posiadaj;tc paręset morgów, już na nich zaraz piąć się w górę. Tu, na wsi, chętnieby on znowu zaprzął swoich sąsiadów o miedzę do pańszczyzny, ale tam... na widowni,.. będzie świetnie bronił sprawy oświaty i postępu owych npośledzonych przez wieki.

Sieniński jadł szybko kolację, której Hieronim ledwie mógł skosztować, tak go trawił niespodziewany przewrót wszystkich planów i nadziei. Gdy, skończywszy, przeszli do biblioteki i usiedli, jak zwykle, w wysokich fotelach, Sieniński podał przyjacielowi cygaro i sam, mikząc, zapalił drugie. Po chwili dopiero Olszowski się ozwał:

— Więc cóż teraz będzie? Co pocznie marszałek, który na ciebie liczył? Kogóż weźmie do swego boku, kiedy mu z młodych coraz mniej sit do pomocy przybywa?,, A tobie, czyż może być nie żal rozpoczętej pracy, którą u wejścia do niej porzucasz? Nie czujesz, że ona twojem przeznaczeniem,.. nad wszystkie? Twoim obowiązkiem... jedynym, który Bóg włożył na tve silne barki!,,

Sieniński palił cygaro, mikząc ciągle. Potem rzucił je do popielniczki, ręce na biurze położył i głowę na nich oparł, tak że twarzy jego zupełnie widać nie było, podobnie, jak robią maii chłopcy na szkolnej ławie, gdy zmartwienie za otrzymaną złą klasę kryją przed kolegami, Hieronim patrzył na tę ciemną głowę, pochyloną tak nisko, i czekał—a patrzeć na nią zda

wata się także z portretu młoda kobieta w bieli. Stary zegar tylko wśród ciszy slyebać było z czarnej gdańskiej szafy, i świece w kandelabrach błyskając skrzypiały. Krzysztof po długiej chwili głowę podniósł wreszcie, ale rąk nie spuścił z uad oczów, jak gdyby mgła zaszłych, w zaciągniętych zaś rysach malowała się ciężka walka wszystkich targających go uczuć. Usta um drgały, aż, gwałtownie do spokoju się zmuszając, rzek! w końcu: — Ma mi być żal, że nie pójdę tam, gdzie, mojem zdaniem, dziesięciu rąk nie nastarczyłoby w pracy, a gdzieby mnie moje dwie jeszcze związali, abym nic począc nie mógł? .Ma mi być żal, że daremnie na chwilę nie będę już ust fałszywym politykom zamykał, aby się w sekundę później szerzej otworzyły; że w jednej tysiącznej; części nie pomogę sprawie, którą jutro przez złość lub lenistwo zwałą przeciwnicy? Zapewne, że żal mi będzie... Ale mnie tylu rzeczy na świecie jest żal... że już prawie nic innego nie czuję. Z siłą w rękach i myślą dobrą w głowie, gdy patrzę na moje złofo pszenice, na czarne sosny i srebrne nad Wisłą topole; gdy spojrzę na tych moich parobków w siermięgach, słyszę i gdy drzę, że i tu nawet wszystko zginać nam może, bo ludzie, choćby najszlachetniejsi, zbyt mają czule sumienie, aby dobrze działać; gdy nadto widzę, jak innych, stosunkowo dzielnych, każdy przecież powiew jest w stanie w odmienną poruszyć stronę; gdy w końcu poznaję mózg i tych także, u których nic nie byłoby zdolnem zapełnić przepaści, przed wiekami stworzonej pomiędzy sprawą własną lub przyjaciela a dobrem kraju, i którym nikt i nic nie da nigdy poczucia obowiązku i konieczności posłuszeństwa... o! wówczas prawdziwie raki porywa mnie gniew, taki żal... że mógłbym kłać tej godzinie, kiedym się tu urodził! Głos .stłumiony i cichy chwilami łamał mu się w gardle; to też zatrzymał się, odetchnął i głośniejsz już mówił dalej:

— Resztę otuchy musi odebrać człowiekowi z mo

jem usposobieniem to jedyne nasze wolne prawodawcze zebranie, a każdy, który je pozna, musi odejść z prze konaniem, żeśmy niepoprawni, bo, co jeden w dobrej wierze robi, to drugi roztrąci. Słowo tego, który do sumienia narodu przed kilku laty jeszcze mówił, który uczył i gromił, przebrzmiało w powietrzu, jak echo bez śladu, a mnie, gdym tam chodził między ludźmi, goniła ciągle jego pamkć, zawsze dzwoniły w uszach słowa, że biada narodowi, który kamieniuje swe prorokiń... Mnie i dzień cały męczy uczucie, że ja nie lepszy od innych, że, wiedząc o nim dobrze, lamie przecież mój święty obowiązek, że mnie ciągnie dziadów pokusa, że i ja ruszam ramionami, a paka między drzwi nie włożę... Ale czemuż, dając mi możliwość pracy, nie dano mi w nią wiary, ufności w prawdopodobieństwo przyszłości? Człowiek bez tej nadziei jest słaby jak dziecko... a ja jej nie mam Natura nie dała... nikt jej nie uczył... Indzie czynami wytępilli resztę, a nie wlał mi jej też ani kropli ten, który sam jeden rozgrzać mnie umiał, do którego zaś skonu nie słyszałem nic w sprawie ojczystej, coby siły i życia dodało... Jak ziarno na roli zasieję, to wiem, że wyda pewien plon. Tu trzeba orać dla prawnuków, którzy, według ludzkiej rachuby, pewnie nic nie zbiorą... a Boskie miłosierdzie chyba na tamtym świecie nam da zapłatę... AVidać zresztą, żeś ty się omylił, sądząc mnie zdolnym do walki. Kiedy ja pługą w rękę utrzymać nie umiałem, nie staż mnie snać na nią; zdawało ci się, że jestem ze stali, która ogień taki przetrwa, a ja tymcza.sem ostatecznie pierwszej wielkiej zapory, na mej drodze stojącej, złamać nic umiałem, choć zaprawdę zrobiłem wszystko, co jeden z nas zrobić może, i tak jestem stargany tą

daremna praca, że, gdyby nie sumienie, cieszyłbym się, że zostałem pobity...

Tu umilkł i znowu głowę spuścił, a Hieronim, choć czuł częściową niesłuszność tych zarzutów i całą ich jednostron

ność, z charakteni przyjaciela wypływającą, cicho go zapytał:

— Możliwyś jeszcze próbował stanąć gdzieindziej, z miasta albo z większej własności. Potrzebują cię tak bardzo, że pewnie miejsce ci wyszukają. Tylko ty im dopomóż.

Krzysztofowi przebiegł po ustach ironiczny uśmiech;

— A kto miejsca ustąpi? Naszym stronnikom, ludziom tych samych przekonań, zabierać mandatu nie ração, a tam, gdzieby trzeba innego człowieka, czyż my jesteśmy w stanic przeprowadzić swego?,,. Spytam się o to z pewnością, czy mnie potrzeliować będą, i do marszałka napiszę, aby powiedział, co mi robić każe, Ale wątpię, abym zdołał przejść między obcymi, ja, który nie umiałem wziąć w kluby moich własnych ludzi,.. W Towarzystwie rolniczem mogę zostać nadal... ale... tak tu. jak we wszystkim u nas, trzebaby mieć prawo egzekucji w rękę, aby cośkolwiek módz zrobić,,. Oj! żeby ją miał ktoś taki, jak Ozarny Zawisza., toż jabym mu służył na śmierć i życie, ażby mnie kto położył tam, między lipami, poi czarnym kościołem, Ale dziś... młodzież leniwa, ospalsza niż dawna starość... a wiek męzki niesforny, bezsilny, pcha z dnia na dzień własną biedę... Dai Boże, aby mi kłam zadali!

Krzysztof po raz pierw.szy w życin mówił o tych rzeczach zupełnie otwarcie, a długo tłumione uczucia wytryskiwały teraz gwałtownie, drżąc we wszystkich nerwach zazwyczaj spokojnego, nieledwie chłodnego

człowieka, dając jego słowom dźwięk tak głęboki, że wbijał je miotem w duszę Hieronima. Tęgo wszystkiego właśnie on się bał odilawna. W ostatnich czasach, z nieznaczących napozór wyrazów Krzysztofa, domyślał się wewnętrznego zatarga, który go nurtował. Ale mówić z nim o tem nie chciał, aby go nie drażnić i mi mowrdnie nie zaszkodzić. Teraz, gdy o wszystkim wiedział, czuł się oszołomionym, jak gdyby był upadł na

głowę; czuł, że go coś wewnątrz bolało dotkliwie, a sprawy sobie nie zdawał, iż był to żal za nadzieją, jaką w „Sienińskiin pokładał, za wiarą, że z nich trzech on jeden przynajmniej życia dla innych i dla siebie użyje, Rozchodzili się późno, a gdy Olszowski szedł sam do swego mieszkania na górze przez wielkie ciemne komnaty, ze świecą, która na długi szereg twarzy dawnych panów z Sienna rzuciła swe blade, migocące światło, przyszło mu nagle na myśl przeświadczenie, że rody, tak jak narody, gdy zginą zapomnienia fali. i w samolubslwie, mogą tylko błysnąć na chwilę, iak dopalająca się lampa, aby zgasnąć potem nazawsze. Przed jednym z portretów jednak, z którego w stal okuty młodzieniec o ciemnym, krótko strzyżonym zaroście włosów, a o wyrazie jakby drzemiącej determinacji, przypominał mu dziwnie Krzysztofa, zatrzymał się i szepnął:
— Odyby było można głowę jego ubrać w ten hełm, w zbroię całego go zakuć, nie byłby zmarniał, Głowa i serce zdolne byłoby je nosić!
i poszedł dalej, odwracając się ze wstrętem od ciężkich, bezmyślnych, wąsatych i podgolonych postaci, znaczących następne stulecia. Dalej przesuwaly się przed jego wzrokiem damy w habitach i robronach; surowe i ciemne, patrzyły na niego uporczywie i zdawały się mówić: o nas nie

dosyć pamiętają; nas nie stało, aby tego ostatniego syna rodu naszego wychować, wlać mu w serce wiarę w przyszłość, której nie ma i bez której ginie.

— Możeby mu ją dziś dała inna?zapytał ich prawie głośno Hieronim. Ale ciemne, mnisze twarze nie odpowiedziały nic, a chude ręce nie przestały przesuwając różańcowych paciorków, jak gdyby w ich surowych duszach dla dzisiejszych córek miłości nie było.

Olszowski poszedł na górę, bo zmęczony był bardzo, Ale we śnie jeszcze młocie i stare kobiece postacie

zmieniały się przed jego zamkniętymi oczyma; zbliżały się do Krzysztoła. lecz on na nie patrzył obojętnym lub nieufnym wzrokiem, tęsknie spoglądając tylko na postać kobiety w bieli, której portret wisiał nad biurkiem w jego pokoju.

Nazajutrz przez całe rano dwaj przyjaciele wyjątkowo byli mizy. Sieniński załatwiał swe zwykłe gospodarskie sprawy i pisał do jednego z poważnych dawnych swych kolegów sejmowych, z zapytaniem, czy sobie życzą, aby stał jeszcze w wyborach z większej własności, i z oświadczeniem, że w takim razie gotów jest spełnić ich żądanie; ale swoją drogą z lakonicznych wyrazów jego listu łatwo można było spostrzedz, że tylko poczucie obowiązku zmusiło go do podobnego pytania.

Hieronim, jak zwykle, zajmował się czytaniem lub robieniem wyciągów do przyszłych wykładów, lecz co chwila książkę zamykał, pióro odrzucał i gubił się w głębokim zamyśleniu. Sieniński, jego przyszłość, przyszłość tego starego domu, mogącego jeszcze przetrwać wieki, i tego majątku, rosnącego w bogactwo i wartość, wszystko bezustanku w pamięci mu

stało. Nie widział on prawdopodobieństwa powrotu Krzysztofa do pracy publicznej bez jakiejś wielkiej zmiany w jego życiu, bez wejścia w grę nowego jakiegoś nań wpływu. Lecz czuł zarazem, że ożenie, o którym dlań marzył, natrafić musiało z jego charakterem na niezmiernie. prawie nieobliczalne, przeszkody. Parę razy dawniej JUŻ, zdaleka dotykał on z nim tej sprawy, ale zwykle wtedy otrzymywał żartobliwą odpowiedź. Sam on bardzo naserjo mówił wtedy Krzysztofowi, że wywieść ród dzielnych pracowników ze starego gniazda, było koniecznością, od której Sieniński uie miał prawa się uchylać. Tłómaczył mu i przedstawiał wiele razy. że zostawienie syna, aby było komu na przyszłość po nim dzierżyć szerokie lany nad Wisłą i chodzić w jarzmie

piacy dla kraju, nie jest mniejszym obowiązkiem, jak zwyciężenie owej rodowej niechęci do walki z innemi zdaniem i ze złą wolą na szerokim świecie i jak wyrzeczenie się przysłowia dziadów, że jam nie bocian, abym świat czyściła; wskutek tego to, przez dwa wieki, co byto w kraju lepszego i szlachetniejszego, spało w gnuśnym używaniu dnia, który mijał, zostawiając otwarte pola prywacie i sprzedajności. I dziś też Olszowski, wobec tych refleksyj, pod wrażeniem ciosu dnia poprzedniego, zapytywał samego siebie, czy ten brat jego ukochany, jakiemu nie znalazł równego, ten pan, za którym słudzy chodzili jak w minionych wiekach, ten człowiek, którego niedawno z pomiędzy bardzo wielu wybrał był sobie główny kraju kierownik na pomocnika i podporę w przyszłości, czy on byłby zdolnym dokonać dziś tego pierwszego swego obowiązku i nie dać zginąć gniazdu i imieniowi?

Po obiedzie, tego samego dnia, Sieniński rzekł do przyjaciela;

— Dziś popołudniu muszę być w Mokrzanaeh, by naznaczyć, gdzie mają stawiać na jesień sagi w wielkim lesie. Jestto ztąd kawał drogi, ale chciałbym tam konno się przejechać, bom tak zeszywniał od dnia wczorajszego, że jak stary koń potrzebuję się rozruszać. Wieczorem będzie chłodniej, bo od wschodu całkiem świeży wietrzyk pociąga, Możebyś sobie i ty przypomniał młodzieńczą lekkomyślność, kiedyś życie narażał na starej siwce, aby mi w pole towarzyszyć? Jej córka będzie teraz na twoje usługi, a wygodniej na niej do lasu zajedziesz, niż powozem po piasku. Powinno cię w dodatku rozculić jej miano, bo chłopcy stajenni dla twojej pamięci przewali ją Olszą.

Hieronim przystał chętnie na propozycję i, gdy słońce nieco zniżyć się zaczęło, poszedł naciągać długo zaniedbane wysokie buty, które w Chronowicach leżały jakby w zastawie, oczekując tam zawsze jego przyby

eia. Gdy wyszedł na dziedziniec, Krzysztof stał już i czekał na niego, a chłopiec prowadził wkoło gazonu dwie posiadlane klacze, Jedna z nich ogromna, o włosie jak śnieg białym, długiej szyi i niezwykle silnej łopatce, obok dużych czarnych chrapów i szeroko rozwartych ciemnych oczów, na pierwszy rzut oka zdradzała swą krew angielskoarabską; opędzała się teraz niecierpliwie od much ciągiem drganiem cienkiej jak atlas skóry, pod którą siatka żył rysowała się wyraźnie.

— A gdzież się podział GobleuFlowcr ?—zapytał Olszowski, siadając na spokojnie obok stojącą kasztankę.

Towarzysz jego zaśmiał się pierwszy raz od dnia wczorajszego.

— Coś, widzę, pan profesor z czasem się nie liczy, albo z historią naturalną w niezgodzie, zapomniał, że szlachetne zwierzę nie dosięga uawet... oślich lat. GoldenFlower pędzi jeszcze wprawdzie spokojny żywot, ale już bardzo zeszywniał i musi na laurach spoczywać. SilverBlossom—i tu poklepał białą, lekko przy głowie zagiętą szyję klaczy—zastępuje rai go dobrze, choć nie jest tak szybką, jak on bywał. Ale w ciężkim piasku i na ślizkiej kępie pójdzie równie śmiało i skoczy równie dobrze, co już wystarcza na stare moje lata. Wychowałem ją sobie z podwójnym staraniem od tej starej białej Lilji, której genealogię od dwudziestu po kolei, zdobną we wszystkie gwiazdy wschodu, znalazłeś między manuskryptami w bibliotece. Euszyli szybko ku lasom zwykle mokremi błoniami, wśród których przy posusze tylko w czarnych wyrwach kryła się jeszcze drzemiąca woda. Na głuchy odgłos szybkich kroków końskich, przerywany tylko niekiedy metalicznym dźwiękiem podkowy, gromadzkie bydło podnosiło głowy; gęsi, z gniewem bijąc skrzydłami, leciały za jeźdźcami, a pastuchy, ściągając z płowych, czasem prawie białych czupryn kapelusze o szerokich .

brzegach, stali z szeroko otwartymi ustami, patrząc z nowym zawsze podziwem za ogromną, srebrnowłosą klaczą, dobrze wszystkim od Wisty ku lasom znaną.

W dobrą godzinę stanęli u granicy wielkiego lasu. Stara leśniczówka, stojąca w jego cieniu, rysowała się niezwykle wyraźnie lia ciepłym tle drzew wiaz ze swym spiczastym, czarnym gontowym dachem, bogatym sadem, wystawką o dwóch słupkach, zupełnie groszkiem obrośniętą. Obok

małej obórki i dwóch wysokich brogów pachnącego siana, mogła ona rzeczywiście służyć za wzór najcichszego, najspokojniejszego schronienia, o jakim zama rzyćby mógł człowiek, stroniący od ludzi. Cień lasu, silny zapach żywicy i traw otaczającej łąki. napępniały powietrze pewnym chłodem drzewnym. Cisza zupełna panowała wokoło, bo bór stał nieruchomy w ciepłe letniego wieczora, bydło zaś pognano na dalekie pastwiska, a dzieci poszły do jeszcze odleglejszego kościoła. Tylko pomiędzy wysokie, stare sosny migały żółto na krapiane tanie, lub wychylała się czasem w ostre rogi strojna głowa rogacza, skubiącego Uście młodych grabów, lub drobną trawę przybrzeżnej łąki. Sieniński, rozmawiając z leśniczym, poszedł z nim linja wgłęb lasu, a Olszowski czekał na niego, siedząc na pniaku starej, dawno ściętej sosny, w tym zaś spokoju przyrody nawet mu się o wszystkich troskach myśleć odechciało. Po godzinie dopiero obydwaj, ochłodziwszy się mlekiem, pachnącem prawdziwie leśnymi trawami i macierzanką, które im pani leśniczowa wprost z zimnej piwnicy wyniosła, wsiedli znowu na konie i zwrócili się ku domowi białą, piaskową drogą nad brzegiem lasu. Gdy odjechali kawałek, Hieronim, wskazując na leśniczówkę, zostającą za nimi, rzekł:
O niej mógłby prawdziwie poeta powiedzieć, że iest tam
Ramn...
Kur ein wirklich liebendi Paar.

Krzysztof obrócił się na siodle i, opierając rękę na szerokich krzyżach białej klaczy, patrzył na ciche domostwo, świecące małemi szybkami

swych okien w promieniach zniżającego się słońca, pod cieniem lasu, który je swą powagą i opieką otaczał.

— Prawda... ale samemu tu żyć—odrzekł z wolna — byłoby zacicho... zaciasno! Widzieć... czuć tylko las, tylko czarne sosny, różowy wrzos i żółte łanie.., to dla człowieka samego zamalo.,, — i obrócił się znów do towarzysza, dodając: Lasowcy też podobno żenią się wcześniej niż ktokolwiek, co przy ich biedzie natrafia nawet na wielkie przeszkody, pomimo braku wszelkich wymagań i przezorności,

— Więc przyznajesz, że dla człowieka zupełna samoność jest niemożliwą do życia?—pytał dalej Hieronim,

— Tak, ale tylko w takim razie, jeżeli myśli i uczucia jego skazane są na ciasne koło własnych potrzeb. A w tych znowu mnie, dzięki Panu Bogu. nasz wielki zmarły nawczycielhistoryk zamknąć się nie dał—odparł Sieniński, i uśmiech dziwny, niby żartujący z przyjaciela, a naprawdę smutny, przebiegł mu po ustach.

— Więc powiedz przynajmniej, czemu masz być tym wyjątkiem, któremu wolno bezkarnie samemu na świecie pozostać, bez innego powodu, jak prosty a niezwykle brak chęci, wbrew przekonaniom, które wiem, że ci mówią, iż powinienes się ożenić, aby syuowi imi? dziadów, majątek i pracę swą zostawić?

Krzysztof po chwili odpart zapytaniem:

— Z kimże chcesz, abym się ożenił?

— Z kim?—brzmiała odpowiedź, ale przychodziła wolno, bo imię, co od tak dawna przez jego wargi nie przeszło, paliło je jeszcze wspomnieniem. Z panną Anielą Zbąską, którą znasz, która jest bardzo rozumna i miła, a która, choć ma już lat blisko trzydzieści, i fizycznie i moralnie jeszcze chyba wypiękniała i wyszlachetniała.

— Ha. ha. zaśmiał się Sieniński z całkiem mu obcem szyderstwem, którem zdziwiony Hieronim spojrział na niego dwa razy. uderzony nieznanym tonem twardej ironii, drgającej w słowach przyjaciela.

— O! poszłaby za mnie z pewnością... Za dochody z Chronowic i za procenty jej ładnego posagu możnaby żyć wygodnie. Moglibyśmy nawet jeździć co roku do Włoch, ja mógłbym się dać wybrać do reichsratu i spędzać sześć miesięcy w Wiedniu. Onaby mogła mieć tam powóz do Prateru i suknie... może nawet od Wortha. Do Chronowic możnaby przez lato spraszać gości z kochanej Warszawy... czasem ze Lwowa, aby dopomódz mej politycznej karierze; wreszcie, przyjmować nawet sąsiadów, aby mnie popularnym zrobić... Moi szanowni dziadowie, którzy, śpiąc nawet za życia, spokojnie patrzali, jak kraj się walił i grosza z majątku nie strwonili, oddali mi te biedne chronowickie łany. które dziś usunęłyby mi z drogi wszystkich przeciwników, a panna Aniela zbyt dobrze jest na to wychowana, aby nie miała zrozumieć życzenia rodziców, którzy tak coraz więcej pragną przyszłość jej zapewnić...

Krzysztof, porwany prawie gniewem, drgającym w każdym jego słowie, mówił z siłą człowieka lat dojrzałych, który zwykł był wszystko pokrywać prawie chłodną łagodnością, ale w którym wiek żadnego uczucia nie wypalił, żadnego źródła w duszy i umyśle nie wysuszył. W tej chwili nawet, wbrew swej zwykłej delikatnej uwadze, zapomniał on. że pierwszy raz od czasu, gdy dostał odmowę, Olszowski dla przyjaciela wspomniał o pannie Zbąskiej.

— Widzisz—ciągnął dalej, już zwykłym swoim głosem ją się ożenić nie mogę... dlatego, że jak w teraźniejszości politycznej kraju wszystko, na co patrzeć muszę, gniewa mnie i boli. łamiąc wszelkie nadzieje, tak mam przekonanie, że postać i charakter każdej kobiety... dla mnie... zyskuje w oddaleniu... Plam nie

zniósłbym ani cienia... a zblizka jakieś być muszą... Nie znam ich zresztą, i już jestem na to zastary, po części za twardy, w niejednym może zamicki. aby zaczynać dziś od uczuć studenta na szkolnej lawie... A w końcu? A zresztą... kto wie? Gdyby nie dzień wczorajszy, gdybym był umiał drogę sobie utorować do tego miejsca przy autonomicznym rządzie, z którego jużby odwrotu nie było... kto wie? wtedy byłbym się może i ożenił... aby uciec od siebie i od własnych myśli!

Wtej chwili przyjechali do miejsca, gdzie droga znowu wchodziła w las wąską, białą smugą, zacienioną zupełnie z jednej strony murem młodych sosen, z drugiej nizko opadającymi gałęziami młodszej jeszcze brzeziny, której białe pniaki srebrzyły się w tej powodzi zieleń. Chłód i zapach lasu znowu jeźdźców ogarnął. Sieniński zdjął kapelusz, pchnął furkającą radośnie białą klacz do wolnego galopu i całymi piersiami odetchnął tem powietrzem z niewypowiedzianą rozkoszą.

Po chwili, z uśmiechem, całkiem tym razem szczerym, dodał:

— A prócz tego wszystkiego jeszcze, przyznaj sam, że ja do żony nie stworzony, że musiałbym ją nudzić i męczyć, a ona przeszkadzałaby mi także we wszystkim, do czego przywykłem... Cóżby z nią było w takiej chwili, jak teraz naprzykład, kiedy przed nami jest zamknięta leśna rogatka, którą ty możesz pomiędzy brzozy objechać, wystawiając się tylko na delikatne wysmaganie przez miękkie gałęzie, podczas gdy Silver Blossom rozraduje się trudną przeszkodą. Zonę trz baby puścić naprzód, i nawet w najlepszym razie, gdyby ona się nie zabiła, moja dzisiejsza biała pani z pewnością do tego stopnia pogniewałaby się na mnie, iż ją w tyle zostawiłem, że wyrzekłbym się nazawsze podobnych dla siebie rozkoszy!

I śmiejąc się głośno, silnie na głowę wcisnął kapelusz, pochylił się nieco naprzód i ruszył przed siebie.

Po nad roгатkę, złożoną z jednej grubej belki, w cienistą drogę, którą jechali, z wielkiej polany, leżącej przed nimi, wypadały czerwone strumienie światła, migocąc na białej korze brzeziny i bronzową farbą po wlekając paproć, u stóp lasu rosnącą. Na tem tle jakby ognistem, po nad wysoką roгатką, ujrzał Hieronim nagle w górę wzniesioną białą głowę kłaczy i postać Krzysztofa, lekko pochyloną naprzód; potem cztery podkowy błysnęły w powietrzu, i Olszowski ostrożnie wjechał pomiędzy gęste drzewa, aby się na polanę wydostać.

Na prawo las szpilkowy podnosi! się i ciągnął dalej, a tylko urywała się brzezina i odsłaniała widok na krainę, pochyloną ku Wiśle, złocącą się od pszenicy. Słońce, blizkie zachodu, stało nad pagórkami przeciwnego brzegu, a czerwone światło łamało się fioletowym cieniem w zakrętach rzeki i w ciemnej zieleni kęp, purpurowym płomieniem padało na las i różowemi smugami mieniło się w srebrnym włosie białej kłaczy Krzysztofa, Ona, z głową do góry wzniesioną i ro twartemi chrapami, stała naprzeciw, na pagórku, a odbijając jasno od ciemnego tła lasu i wciągając powietrze do szerokich fine, wyglądała jak łania jakaś z tych czasów, kiedy bór ów zalegał jeszcze wszystkie pola, a gdy po obu stronach rzeki mieszkał naród jeden, żyjący mlekiem trzód swoich i miodem leśnych ułów.

Sieniński ręce wsparł na szerokich, białych łopatkach pięknego zwierzęcia i w tył się trochę przechylił. Ciemna, smukła postać, w obcisłym ubraniu i wysokich, lśniących butach, rysowała się z niezmierną wyrazistością linii w tej grze jasnych barw, a wyglądała jak samo uosobienie siły z harmonji zrodzonej, jak ukuta z tej stali wytrawionej w ogniu, która przez wieki pozbawiła się wszystkiego, co nieszlachetne. Powiew od Wisły, drżąc wśród długich gałęzi brzeziny, niósł zapach zbóż i ziół, dźwięk dalekich głosów ludzkich i

ptasich z blizkiego lasu, a Sieniński pił je wzrokiem i słuchem całą siłą duszy, jak gdyby tonął zupełnie w widoku tej ziemi, przed nim leżącej, która izbo zami i trawami tak była kwitnącą.. Uczucie to cale paliło się w ogorzałych jego rysach tak wyraźnie, że Hierouim, podjechawszy blizko, patrzył nań chwilę w mikzeniu i rzekł potem zwolna;

— Tyś zginął cały w platonizmuem kochaniu tej ziemi... tak, że nic innego na świecie nie czujesz i uczuć nie pragniesz. Wyhulać się po błoniach i kępach na białej klaczy, słuchać w lesie ryczenia jeleni, ciągu słońek lub gwaru budzącego się ptastwa... albo siedzieć w starej biblijotece, patrzeć za Wisłę i żęby zaciskać nad własną niemocą... a zawsze, nadewszystko... uszy sobie pięściami zatykać, aby nie słyszeć krzyku politycznych warcholów, pustej rozmowy próżniaczej młodzieży i burzliwego wrzasku tej drugiej gawiedzi, żądającej reform socjalnych... To twój ideał i to ceł życia twego, w którym utoniesz.. i ty także... w którym zmarniejesz. Jak tylu innych!

Tu umilkł, a Sieniński zwrócił nań swe zamglone oczy. w których łamało się czerwone światło, a któremi patrzył, jak gdyby nie widział rzeczywiście nic, prócz tej ziemi swojej i słońca.

Hieronim zaś kończył:

— Ha... jedna jest wielka prawda, to, żeś i ty grubo podszyty tą imlokncją słowimiską, która gubi u nas to, co szlachetne i mądre... Dawniej wystarczało dać się zabić w wake, a człowiek żył tak prędko, że cofać się nie miał czasu... Dziś trzeba się dać wolno rąbać po kawałku, jeden krok stawiać trzy razy, a końca drogi może nigdy nic zobaczyć... Ale tego... tobie i nam trzeba się dopiero uczyć...

Czy ci silni i młodzi, do pracy jak mało kto stworzeni, z własnej winy tak nie umieli dojrzeć tej kropli deszczu, co, na ziarno spadając, kłos zeń w końcu rodzi, jak nie znali drogi, którą wschodzą plony z ludzkich myśli i starań? Snadź zapomnieli, że walka ze ziemią już sama z siebie jest dobrem, że przyszłe pokolenia po wiekach dopiero owoce z niej zbierać mogą.